

# Messalina cesarzowa nierządnica

Belmont Leo



calibre 0.9.43

# Belmont Leo

## Messalina cesarzowa nierządnica

Księga pierwsza

Rzym się bawi

Rozdział I

Człowiek, który nie potrafi umierać

- Fe! jak on kiepsko umiera...

Okrzyk ten wydarł się kędyś z wyżyn przepelnionego amfiteatru. Widocznie spodobał się, trafił masom do przekonania, był odpowiednikiem uczuć ogółu. Bo zaraz podchwycili go najbliżsi sąsiedzi krzykacza; przeskoczył na stopnie wyższe, zajęte przez motłoch, stoczył się na dół ku doborowej publiczności, szerzył się po zatłoczonych widzami marmurowych ławach, znalazł wszędzie wesołe echo. I niebawem cała ta wielotysięcowa tłuszcza, żądna widoku „estetycznej” śmierci, jęła powtarzać na setki sposobów, z gwizdem szyderczym, z tupaniem nóg, z odruchami wstrętu, a nade wszystko z potężnym rechotem śmiechu, ów okrzyk niepospolitego znawcy:

- Fe, jak on kiepsko umiera...

Wrzawa biła pod stropy bezchmurnego nieba, zalewającego cyrk jaskrawym światłem i skwarem pogodnego, letniego dnia.

Gdzieś głęboko w dole, na żółtych piaskach areny, tu i ówdzie zabarwionych już na ciemno wielkimi plamami krwi - świadectwem szeregu stoczonych tu niedawno bojów, wił się w okrutnych boleściach człowiek, do którego stosował się ów sąd drwiący i niechętny. Był nagi. Zakrwawiona, zdarta na strzępy, płócienna opaska zsunęła się z jego smagłych bioder. Uderzał oczy barwą brązu, budową ciała atletyczną a zarazem niezwykle piękną. Wspaniały tors, muskularne ręce, krzepkie ramiona - były, zda się, wykute ze spiżu.

Imponująca była wyrazistością rysów twarzy ogromna głowa w wichurze czerwonych włosów, spadających na szeroki kark. Jeszcze przed kilkoma chwilami wywoływał zachwyt tych samych widzów, gdy groźnie potrząsał grzywą. Jego szeroka twarz, o wydatnych kościach policzkowych, obca Rzymowi, a interesująca dlań - twarz Galla - opromieniona blaskiem jasnych oczu i wyrazem dumy, znamionującym szlachectwo nieprzyjaciela, budziła szacunek tłumu. Każdy jego skok, zwinnością przypominający panterę, każdy rzut umiejętnego oszczepu, zygzakowate ruchy miecza, którym błysnął nagle - wszystko to było pobudką dla zrywających się dokoła okrzyków podziwu, oklasków zachwytu.

Ale w tej chwili był już tylko obrazem niemocy. Chwała jego zgasła wraz z pomroką, która padła na przymknięte oczy. Silił się je otworzyć - czasami świeciły białka, lecz źrenice głęboko uciekły pod mdlejące powieki. Był już nieprzytomny. Tylko instynktem uciekającego życie chwycił jeszcze oburącz walące się z otwartego brzucha, krwią dymiące własne trzewia - jakby chciał je umieścić tam na nowo, odwlec zgon. Piszczął przy tym przeraźliwie.

Niewątpliwie był „brzydki” w tym niedołącznym zmaganiu się z potęgą śmierci.

Widok trzewi, walących się czerwono-czarną masą z rany, podtrzymywanych niepewnymi ruchami drgających rąk - uraził jakiegoś estety. Nadto zgorszył go pisk atlety, który przeobraził się jakoby w zdeptane kocię. W mgnieniu oka przepadł bohater. Wzniosłość stoczyła się w kałużę śmieszności. Tłum, który chciał przyjąć oklaskami zwycięstwo bohatera, ujrzał niespodzianie tchórzliwą, wstrętną maskę niesławnej śmierci. Złośliwy oburzył się. Zawiedzione uwielbienie wynagradzał sobie śmiechem szyderstwa...

Cyrkowa służba składała na wozy dwie olbrzymie tusze zwierząt: martwego lwa i zdychającego tura - dwie ofiary walki z Gallem. Głuchy pomruk kopiącego potężnymi łapami powietrze byka mieszał się z jękiem pogromcy, który ostatecznie okazał się zwyciężony.

Śmiertelnie raniony przezeń krótkim mieczem rzymskim tur północy przebił mu rogami

brzuch w chwili, gdy Gall już poprzednio położywszy ciosem oszczepu libijskiego lwa, w mniemaniu, że święci triumf, odrzucił broń nieostrożnie i podniósł ramiona w górę, domagając się oklasków od tłumu i przyrzeczonej wolności od Cezara.

Tragiczna była historia tego Galla, który padł na arenie cyrku rzymskiego jako gladiator, nie przekazawszy wiekom swego imienia. Zachciało mu się w uciszonej mieczem wielkiego Juliusza Cezara Galii wzniecić nowe bunty. Niepomny losu genialnego Wercyngetoryksa, który podobną śmiałość opłacił przed stu laty udziałem w pochodzie za triumfalnym rydwanem zwycięzcy i śmiercią w kajdanach od ręki dławiącej kata - pokusił się już nie pamiętających wolności rodaków zawezwać do powstania. Zgromadził garść mężnej młodzieży, która pod hipnozą jego potężnego głosu i błyszczących, jasnych oczu, wycięła w pień załogę jednej z forteczek rzymskich w Galii Celtyckiej, po czym kryła się długo w lasach, stawiając dzielny opór przesładującym powstańców legionom. Ale w przerwie bitew uległ namiętności gry w kości, która kaziła charakter tego wojowniczego i pięknego, jasnowłosego ludu; przegrał wszystko, co miał, na dobitkę siebie samego, tj. wolność swoją, w grze z przebiegłym zdrajcą, rzekomo powstańcem, w gruncie rzeczy już przekupionym sługą Rzymu. Wierny słowu swojemu, jak było w obyczajach tego ludu, oddał się bez zastrzeżeń wygrywającemu, a ten zakutego w kajdany oddał Rzymianom w ręce. Skazany na śmierć przez zrzucenie ze skały Tarpejskiej buntowniczy Gall jakimś cudownym sposobem umknął w przebraniu z lochów eskwilińskiego więzienia. Kryjąc się na spodzie handlowego okrętu, wśród pak towarów, niepostrzeżenie wy dostał się na ląd w Afryce. Tam zamyślał nowe bunty - wędrował od plemienia do plemienia, zakłęciami Hannibala wzywał szczątki dawnych ludów Kartaginy i Egiptu, osiadłe wśród puszczy, nie pogodzone z „pokojem rzymskim”, aby wystąpiły łącznie a zbrojnie przeciwko panującemu nad światem Rzymowi.

Były to wszystko marzenia dzieciinne; ale sprawiły prokonsulom i propretorom wiele kłopotu rozruchami, które wypadają nieustannie dławic. Schwytany wreszcie, w potrójnych żelazach przywieziony do stolicy, jako rozbójnik i skazany na ścięcie, Gall zaproponował władzom, iż wystąpi na świetnych igrzyskach, które Klaudiusz przyrzekł dać ludowi na pamiątkę osiemsetlecia Rzymu - i to w niebywałym widowisku. Oto gotów jest z oszczepem w jednej ręce, z mieczem rzymskim w drugiej, walczyć naraz z dwoma dzikimi zwierzętami - lwem południa i buhajem północy; lecz za warunek swego zwycięstwa kładzie odzyskanie wolności łaską Cezara. Klaudiusz pełen zachwytu dla niezwyklej imprezy, uznał ważność tej umowy.

Już trzymał śmiałość zwycięstwo w ręku. Zabił dwie bestie - obudził entuzjazm tłumu.

Na mgnienie błysnęła mu wolność - z ręki trzeciej bestii, Rzymu...

Sen spełził... Oto konający krwawił teraz na arenie. Budził śmiech swoim zarozumiałstwem, iż wyjdzie cało z boju, i wstręt - brzydota śmierci.

Oczekiwano, że utartym zwyczajem Cezar pierwszy da hasło do bicia zwyciężonego znakiem dużego palca, zwróconego ku ziemi.

Ale Cezar nie spieszył się. Nie był dziś w humorze. Jakkolwiek wysiłkiem tysięcy wolnych rzemieślników i niewolników, pracujących pod batem, Circus maximus \* zbudowany ogniem przez króla Tarkwiniusza Starego między wzgórzami Palatynu i Awentynu - z drewnianej budy podniósł się na stopień cudu świata, obsyty został marmurami na całej długości 2100 stóp i szerokości 400 stóp, urósł do trzech pięter galerii, lśnił drogocennymi makatami na całym okręgu łóż, wypełnił się widzami w liczbie blisko 200 tysięcy osób\*\*, słowem stanął gotowy na termin, wskazany przez Klaudiusza - Cezar chmurzył się. Chodziło o ten termin. Wczorajszego dnia pewien uparty senator przeciął sobie żyły, a przed śmiercią przysłał Cezarowi list, w którym wytykał mu nieuctwo - przyspieszenie o lat trzy błędem jego

obliczeń daty osiemsetlecia Rzymu\*\*\*. Klaudiusza gniewało, że nie zdążył przekonać  
zuchwałego senatora, który uciekł od dysputy z nim do innego świata, iż właśnie on, Cezar,  
poprawił dokładnie pomyłkę w poprzednich wyliczeniach uczonych kronikarzy. Miał  
Klaudiusz wrażenie, że Rzym skrycie podziela słusność poglądów samobójcy, który przed  
śmiercią treść swego listu ogłosił przyjaciołom podczas uczty przedzgonnej, drwiąc z  
„uczoności” Cezara.

Nadto tegoż popołudnia trzynastu najznakomitszych gladiatorów, ćwiczonych  
specjalnie na uroczystość osiemsetlecia, powkładało ręce i nogi w drodze do cyrku pomiędzy  
szprychy wielkich kół u wozów, na których jechali, pokaleczyło się, lub poprzebijało, padając  
na miecze straży, aby nie bawić Rzymu walką niewolników i nie oddać hołdu Cezarowi  
sakramentalnym pozdrowieniem przed bojem „Ave Caesar Imperator! Morituri te salutari”\

\*\*\*\* To pachniało już buntem.

Na domiar złego, okręt który miał przybyć wczoraj do nowej przystani w Ostii,  
wioząc olbrzymie zapasy zboża dla ludności rzymskiej - spóźnił się. Możliwą było rzeczą, że  
uległ katastrofie, która pochłonęła owe zapasy chleba - mniejsza o to: dawały się one zastąpić  
- ale zatopił

\* Cyrk wielki, (przyp. aut.)

\*\* Rozszerzony przy następnych Cezarach, według Pliniusza, mieścił 250.000

widzów-(przyp. aut.) \_\_\_\_\_ ~~-i\_-,

\*\*\* Rzym założony został w r. 753 przed n.e., więc osiemsetlecie upływało w roku 47  
ery chrześcijańskiej, (przyp. aut.) - Witaj Cezarze! Pozdrawiajcie ci. co umrzeć mają.

(przyp. aut.)zarazem wysłanego na uroczystość dzisiejszą przez namiestnika Libii do Rzymu  
króla gladiatorów, siłacza Krotona, którego występ zapowiadały od tygodnia plakaty na  
murach stołecznych.

A tu jeszcze to fiasko olbrzymie z Gallem!

Po prostu skandal!

I widzą to zaproszeni na dziś posłowie narodów Azji i Afryki, którzy zjawili się w pełnym blasku swoich cudzoziemskich odzieży smakując przyrzeczone im widowisko, mające po myśli Klaudiusza „przejść wszystko, co przeszłość dała na arenie cyrkowej”. On sam przecież zjawił się dziś w stroju rycerskim - w tunice pancernej, ułożonej w siatkę z drobnych i gęstych kółek srebrnych, w hełmie z czystego złota, w symbolicznym dla majestatu purpurowym płaszczu, narzuconym na świetną zbroję - słowem w odzieży wodza, w której występował ongiś w Brytanii, zagarniając ów długo Rzymowi oporny kraj w charakterze zwycięzcy - ściślej mówiąc, eskamotując tanim wysiłkiem zwycięstwa, dokonane przez swego skromnego legata.

W drażliwej duszy Klaudiusza pokutowała w tej chwili myśl, że owi posłowie z Afryki i Azji drwią z nieudanego programu widowiska - że śmieją się ci Egipcjanie w turbanach, tatuowani Brytaniczycy, nawet czarni nubijscy niewolnicy, stojący nieruchomo za plecami gości Rzymu, uczonych kapłanów Izydy, że gotowi są roześmiać się nawet barbarzyńscy, jasnowłosi Germanowie, jeno uniformem straży przybocznej jego majestatu skrepowani w okazaniu wyraźnym śmiechu, że szydęczy uśmiech błąka się nawet na ustach nowo upieczonych senatorów galijskich, którzy zmienili wczorajsze spodnie na togę dzisiejszą i cenią bardziej łaskę Cezara dla siebie, niż życie buntownika ze swojej krwi plemiennej.

Kim jest na przykład ten młodzieniec, który stanął z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, plecami oparty o przegrodę dolnej łoży senatorskiej? Tak hardo spogląda w górę, wprost ku podniesieniu, gdzie na sellach z kości słoniowej siedzą cesarz i cesarzowa - ma najwyraźniej uśmiech drwiny na ustach!

Cezar to rzuca okiem niespokojnym na małżonkę, przystrojoną gwoli dzisiejszej uroczystości w barwy tylko jej jednej służące - w szaty fioletowe, lśniącą nagimi ramionami, perłami i złotem klejnotów - to kieruje drżącą nerwowo ręką okazały szmaragd, kryształ powiększający, unikat, arcydzieło szlifierskie Augustowego skhrbca, na owego śmiałka.

Nachylił się ku cesarzowej, szepcze:

- Mam wrażenie, że ten młodzik uśmiecha się bezczelnie.- Który? Nie wiem! -

zmieszała się.

Ona z dawna ujrzała piękną twarz młodego Rzymianina, przybranego w krótką tunikę, owiniętą skrętami haftowanego pasa, jaki zwykli nosić amatorzy-woźnice, popisujący się sztuką kierowania w pozycji stojącej czwórką koni, zaprzężonych do kwadryg na igrzyskach.

Widziała jego wąskie usta, ozdobione uśmiechem szyderczym i wpijające się w nią czarne ogniste oczy. Coś tajnie drgnęło w jej duszy - pytanie:

- On, czy nie on?

Zdaje się, że nie widziała nic z tego, co się dzieje na arenie - że tylko widok tego młodzieńca zajął ją - że oczy obojga porozumiewają się - wrogo, czy przyjaźnie - osądzić trudno.

Ale pyta raz jeszcze, jakby roztargniona:

- Który?

- Ten tam... na prawo, przy senatorskiej łoży!

- Zdaje ci się, Cezarze.

- Nie! Nie! On patrzy na ciebie, Mesalino.

Błada twarz Mesaliny płonie rumieńcem. Przechodzi drgnienie po drobnych, subtelnych rysach. Jej zielone oczy są przepastną głębią. Na dnie ich kryje się lęk. Widzi, jak kilkakroć kiwnęła się olbrzymia łysina Cezara, jak szpetnie otworzyły się skrzywieniem



grube jego wargi, ukazując dwie szczeliny wśród ostrych, żółtych zębów; zna ten tik, wie, iż poprzedza on wybuch straszliwego gniewu Klaudiusza. Ujęła małżonka delikatnie za rękę.

Uśmiecha się perłami ząbków w różowej oprawie drobnych ust - odwraca jego uwagę:

- Cezarze! Skończ mękę tego nieszczęśliwca... Rzym czeka... prosi cię o znak.

Teraz Cezar wyraźnie słyszy ów krzyk, spadający z galerii, zbliżający się gwarem do jego potwornie długich uszu:

- Fe, jak on kiepsko umiera! Skończ z tym niedołęgą, Cezarze!

Cezar zapomina o młodziku.

Rozgląda się dokoła po zatłoczonej widowni - chmury z jego twarzy pierzchają:

przecież to wszystko czeka jego znaku - on tu jeden jest panem! Dumnie wstrząsnął olbrzymią głową - odpiera:

- Nie, jeszcze! Przyjrzę mu się wprzód.

Z lekka klasnął w dłonie - powstaje.

Znak ten rozumie dobrze wyzwoleniec Narcyz - Grek, ongiś niewolnik, dziś

wszechmocny minister Cezara, z pozoru najkorniejszy sługa majestatu, w istocie rzeczy pan swojego pana, groza Rzymu

ufnością, którą w radzie jego Klaudiusz pokłada. Stoi zawsze, on jeden, podczas

igrzysk w łoży cesarskiej, kryjąc się skromnie w jej cieniu, za cesarowym krzesłem. Jest

nieruchomy z rękoma opuszczonymi ku dołowi. Tylko usta poruszają się nieustannie, jakby

przeżuwały jakąś gorycz. Pod wysokim czołem palą się cichą zagadką mądre oczy. Czasem

Mesalina przypadkiem spostrzeżga, że te oczy wparte są w nią zagadkowo - ale już za jej

spojrzeniem uciekły, mrużą się, kryjąc tajemnicę spojrzenia.

Na znak Cezara głowa Narcyza, wstępującego teraz u wejścia łoży na stopień

najwyższy, ukazuje się tłumowi - brzęczą na błękitnej tunice złote łańcuchy, które są darem

wdzięczności cesarskiej za wierne usługi pierwszego ministra. Wysoko podniesiona chuda ręka daje znak przewodniczącemu igrzysk principii liulorum, który już, zadyszany, poprawiając togę na grubym cielsku, spieszy ze swego obserwacyjnego stanowiska ponad lożą cesarską i wydaje krótkie rozkazy pretorianom, uszykowanym w przejściu na galerii. Uderzając lancami w podniesione tarcze, grupują się oni w dwa oddziały pod wodzą princepsa cyrku, aby przyjąć w środek Cezara, pragnącego zejść na arenę, jak to odgadł w mig Narcyz. Wyzwoleniec zna zwyczaje monarchy; wie o tym, że z dawna pociągają go kurczami twarze umierających. O, Cezar jest badaczem! Interesują go nie tylko dzieje starożytnego ludu Etrusków, przepych ich grobowców, sztuka płasko-rzeźbienia pięknych metalowych naczyń i urn marmurowych; zajmuje go również anatomia! Bywało, że w odległych miastach Italii odkładano dlań kaźnie nad rozbójnikami, aby miał czas przybyć i przyjrzeć się drgawkom konających na stryczku, lub ciekawym zmianom na martwych twarzach skazańców, którym kat nagle zrąbał głowę.

Kiedy Cezar wstaje, postać jego imponuje publiczności wysokością wzrostu - piękną cechą Klaudiuszowego rodu. Już dawno przestał być śmieszny. Jeszcze w pierwszych latach panowania bywał urągówiskiem śmiałków, pamiętających jego poniżenie książęce przed niespodzianym wstąpieniem na tron Cezarów; bywało, że mu podstawiano nogi, gdy wchodził na stopnie sędziowskiego podium i głośno śmiano się z jego dwuznacznych wyroków, obrażających subtelny zmysł świetnych prawników rzymskich. Teraz to minęło - dzięki Narcyzowi, który podniósł powagę Cezara puszczeniem w ruch maszyny, nakręconej już za rządów Tyberiusza - wytaczaniem procesów o obrazę majestatu, kończących się wyrokami śmierci.c

Narcyz towarzyszy nieodstępnie Cezarowi wchodzącemu na arenę. Droga jest zawiła, gdyż wysokie zapory okrężnych marmurów, zabezpieczające widzów przed skokiem na

widownię zwierząt drapieżnych nie dają bezpośredniego dostępu na arenę. Wypadnie Cezarowi przejść najpierw przez środek dolnego amfiteatru, pomiędzy ławami senatorów, potem zejść w oświetlone sterczącymi z murów pochodniami smolnymi korytarze podziemne, dalej przesunąć się obok ubieralni i cmentarzy gladiatorских, oraz żelaznych klatek menażerii, wyjącej i ryczącej setkami głosów zwierzęcych - są to czworonodzy aktorzy, oczekujący nieświadomie swojej godziny występu; w końcu wychodzi się z podziemia po tak zwanych „schodkach cesarskich” na środek areny przez rozwierające się w marmurowej zagrodzie wrota żelazne - taka jest droga najkrótsza.

Kiedy Klaudiusz przechodzi środkiem podłużnej łąy senatorskiej, „ojcowie senatu” hurmem powstają po obu stronach i twarzami zwracają się ku niemu, podnoszą nagie ramiona nad chylącymi się głowami, wołając: „Arc Caesar Szeleszczą fałdami białe togi, obramowane szerokimi pasami z czerwonej materii...

Klaudiusz kiwa łysą głową, uśmiecha się radośnie, wypukłymi oczami ogarnia to mnóstwo głów, spostrzega puste miejsca w pierwszej ławie. Przypomina z natężeniem, komu przyrzeczone były te miejsca poczesne imiennie w nagrodę za znaczne na przebudowę cyrku pieniężne ofiary. A gdy schodzi w podziemia, zwraca się nagle do Narcyza:

- Zdaje mi się, że Druzus Pomponiusz nie przyszedł.
- Nie!
- Dlaczego?
- Ścięty w zeszłym miesiącu z rozkazu waszej cesarskiej mości.
- A, prawda! - przypomina Cezar. - Nie myślałem, że to tak dawno... Obiecałem mu pierwsze miejsce na jubileusz osiemsetletni.

Milczenie. Po chwili Cezar znowu:

- Ale coś nie widziałem dzisiaj i Kwintusa Rufusa.

- Otworzył sobie żyły onegdaj z rozkazu waszej cesarskiej mości.

- Tak... tak... mruczy Klaudiusz. Szkoda go! Był taki wesoły. Opowiadał pysznie anegdoty o miłośkach Jowisza. Tylko Enniusz Welejanus ma taki sam humor.

I dodaje: - Poprosisz go do innie na śniadanie jutrzejsze.- Ależ. Cezarze, to niemożliwe! - syczy z lekkim zażenowaniem Narcyz. - On również należał do spisku 37 senatorów... ścięty został z wyroku waszej cesarskiej mości.

Cezar pociera czoło:

- Zapomniałem! Te imiona rodów senatorskich powtarzają się zbyt często... mieszają się w głowie... Ale co za przykrości! Na tylu ludziach się zawiodłem!

Wzdycha.

Wie o tym, że w niedawnym monstrualnym procesie - chyba już ostatnim podrygu uporczywych wspomnień o republice arystokratycznej i tradycjach Brutusa - skazał na ścięcie 37 senatorów. Z natury dobroduszny, poczynający łagodnością panowanie, miał pewne zastrzeżenia, podpisując wyroki śmierci, ale wyzwoleńcy: Narcyz, Polibiusz, Feliks, potrafili rozżec jego gniew i przekonać go, iż inaczej hydry spisków patrycjańskich nigdy się nie zdusi. Widywał tamtych ludzi, lubił niektórych, tym bardziej urażony był ich „czarną niewdzięcznością”, podkopującą się pod jego tron... Dlaczego?! - nie rozumie - czyż nie uszczęśliwił świata władzą swoją? Nie zakwitłaż Roma za jego rządów?... Żał mu tych, których imiona wskrzesił naraz w pamięci. Sztywny, milczący, stąpa przy nim Narcyz. Zna Cezara: on szybko zapomni - wszakże dziś zapomniał nawet, jakie wyroki śmierci własnoręcznie podpisał.

Stanęli wreszcie na arenie. Motłoch, z wyżyn galerii ujrzawszy Cezara, wrzeszczy radośnie. Gall leży z twarzą w piasku zakrytą, jakby chciał zakryć boleść swego pogromu wraz z hańbą narodu, któremu nie zdołał przywrócić wolności. Konwulsyjnie podrygują jego

ramiona. Cezar nakazuje odwrócić go twarzą ku sobie. Przypatruje się schylony oczom zapadłym i wargom zsiniałym, toczącym krwawą pianę.

Procedura ta wydaje się publiczności przydługa. Tłum pragnie dalszego ciągu widowiska.

- Każ dobić go, Cezarze! - dyktuje władcy swoją wolę.

Nie jest to litość. Rzym słabo wzrusza się śmiercią i cierpieniem. Większość mężczyzn spośród tego tłumu brała udział w bojach, narażając swoje życie co dnia - starsi za młodu w epoce zmagali się z wiecznie niespokojnymi Germanami, lub narodami Kaukazu i Azji Mniejszej, młodszy - w starciach na północy z Brytanią, lub na pograniczu wielkiego imperium, na wschodzie i południu afrykańskim. Albowiem, nie bacząc na czarowne zacisze, w które wprowadził najpierw miecz, potem rządy Augusta Oktawiana, od czasu do czasu tu i tam wybuchały groźne zamieszki. Rzym utrzymywać musiał ziemie podbite w posłuchu ciągłą czujnością wojsk kolonialnych. Innych twardy reżim ostatnich lat Tyberiusza i wściekłość wesoła następcy, młodego Kaliguli, nauczyły lekceważyć wartości życia. Zresztą nawet dziewice westalki miały swoje miejsce na amfiteatrze. Ledwo z lekkim wzdrygnięciem przypatrywały się krwawym widowiskom. Wszakże chodziło o zgon „rozbójnika”, który zasłużył na karę przed sądem bogów i ludzi. Był buntownikiem w imię pogromionego narodu - jakiego?!... Barbarzyńców północy, Gallów, którzy ogień napadli na wolny Rzym i wymordowali wszystkich starców-senatorów, oczekujących śmierci w postawie posągowej. Gdyby nie zwyciężyli tych dzikusów Rzymianie, miecz Brennusa hulałby po głowach kobiet i dzieci rzymskich. Czegóż chciały hordy, grożące wiecznym najazdem, ci Germanowie, którzy utopili w błotach północy europejskiej kilkudziesięcne doborowe wojsko Augusta - legiony Warusa? Nie rozumieli dobrodziejstwa kultury Rzymu! Dziś łaska Cezara obywatelstwem darzy mieszkańców dalekich prowincji, wprowadza

członków zwyciężonych ludów w progi senatu, równo ich z Rzymianami - ten więc, kto opiera się i łaski nie rozumie, nie jest godzien litości. Tak rozumuje Rzym.

Niepodobna również wzruszać się losem gladiatorów. Są to niewolnicy - byli jeńcy wojenni. Czyż, póki mogli wojować, nie kosili oni szeregów rzymskich, oblekając w żalobę matrony - wdowy i matki? Stad patrzy one suchym okiem na ich zmagania w krwawych zapasach na arenie. Rzym jest „szlachetny” - zwycięzców obdarza wolnością i zaszczytami; dawnych wrogów czyni swymi ulubieńcami. Bywało, że matrony rzymskie uciekały od mężów w towarzystwie znakomitych gladiatorów, aby gdzieś pod dalekim niebem dzielić z nimi rozkosze miłości.

Jeżeli jest w życiu coś zajmującego to właśnie widok tych bojów, które znęciły nawet wolnych Rzymian i kazały im w poszukiwaniu chwały wstępować dobrowolnie w szeregi zapaśników. Cóż jest złem?!... Co może razić oczy?!... Wszakże nie to, co tkwi w obyczajach... Wszędzie i zawsze widok walki - rozgrywka wielkiej zręczności i siły - kształtność młodzieńczego ciała, piękna nagość, potęga mięśni, gibkość ruchów - podoba się tłumom, roznamiętnia mężczyźni kobiety, jest nad wyraz wszelki zajmująca. Tu, w Rzymie, zapasy kończą się śmiercią - tym lepiej! - Nie są więc zabawką dla ckliwych serc, lecz pełną powagi zabawą dla mocnych nerwów. Stawka życia - zwiększone ryzyko - tragedia krwi lejącej się naprawdę - zaciekłość walczących, broniących się szczerze, bo wiedzących, że muszą paść, lub zabić przeciwnika, wszystko to potęguje ciekawość i radość z widowiska. ożywia przesycone nadmiarem użycia nerwy. Przyzwyczajono się do przelewu krwi na arenie - śmierć na niej bywa piękna. Chodzi o artyzm gry, o czar niebezpieczeństwa, oglądany bezpiecznie tak z bliska.

Powiadają, że cesarzowa nie przepada za cyrkowymi widowiskami. Ale i ona, posłuszna woli małżonka, przybyła na widowisko dzisiejsze. Jej twarz jest spokojna, jako

innych matron, które asystują igrzyskom z obowiązku towarzyszenia mężom, albo udziału w galowym przedstawieniu. Zresztą większość kobiet - nie tylko z plebsu, lecz i z rodów patrycjuszowskich roznamiętnia się walką gladiatorów między sobą, lub z dzikimi zwierzętami, nie mniej od mężczyzn: oczy ich błyszczą, policzki goreją, falują obnażone piersi; od czasu do czasu z ust wyrwie się okrzyk przerażenia, czasem zachwytu, nieraz poparcia walczących; ręce zawirują w zapamiętałym oklasku. Biorą one też udział w przerzutach z ust od ust cyfr wielkich zakładów, z których wygrana stanowi nieraz majątek i jest torem miłości niewieściej ku zapaśnikowi, który zasłużył na wdzięczność wygrywającej przezeń zyskowny zakład.

Ale teraz cyrk poziewa. Już nazbyt długo Cezar bawi się z trupo-szem. Nawet majestat winien szanować uciechę tłumu - przyrzekł rozrywki, daje nudę. Zrywa się burza:

- Dosyć! Dosyć! Dosyć!

Słychać tupanie nóg.

Klaudiusz rozumie, że nie wolno mu przeciągnąć struny cierpliwości. Przecież niepodobna 200.000 ludzi skazać za obrazę majestatu. Podniósł głowę - palec skierował ku ziemi.

- Dobić!

I zaraz sługa cyrkowy - nagi, z przyklejoną siwą brodą, w peruce Charona - trójzębem kładzie kres nieprzytomnej męce Galla.

Już zwłoki rzucone na tragi. Zawieszono zostaną do spoliarium - znajdującego się w podziemiach cyrku cmentarza gladiatorów.

Cezar coś szeptem przewodnikowi zabaw.

Ten przez olbrzymią tubę ogłasza nasłuchującemu tłumowi:

- Nastąpi teraz wyścig kwadryg o nagrodę cesarską, złoty puchar, wysadzany rubinami

i ametystami oraz wieniec laurowy z rąk małżonki Cezara.

Burza oklasków... Wszystkie oczy zwracają się ku łożu Mesaliny, która lekkim skinieniem głowy odpowiada na entuzjazm tłumu. Jej twarz jest nieporuszona, blada, niby wykuta z marmuru. Przy ukłonie brylanty we włosach grają setnymi kolorami.

Szmer pochwał rozchodzi się po olbrzymim amfiteatrze.

- Boska! Mesalina! Diana złotowłosa!

„Diana” - jest to przydomek cesarzowej, najczęściej dawany jej przez tłum. Rozpustny Rzym poważa cnotę małżonki cesarskiej. Imieniem bogini czystości darzy ją podczas jej rzadkich występów na uroczystościach publicznych i szybkich przejazdów przez ulice Rzymu na wieś do Kampanii celem odwiedzenia matki i wychowujących się u niej dwojga dzieci cesarskich. Albowiem dwudziestoletnia cesarzowa jest skromna - stroni od gwaru - kocha zacisze swego ogrodu przy pałacu Augusta i stara się być wzorem kapłanki domowego ogniska. „Może tylko lęka się obudzić zazdrość uwielbiającego ją małżonka!” - mówią udający wtajemniczonych.

Cezar zawraca z areny. Otwierają się w kilku miejscach na podszyciu z kararyjskiego marmuru, biegnące w krąg areny, żelazne wrzeciędze, rzą ogniste rumaki - gotują się do wjazdu złożone kwadrygi. Brzmią hałaśliwe trąby.

Tragi z ciałem Galla chłonie czarny otwór bocznej furty.

Złośliwy senator Fabiusz Weraks ociera pot z pomarszczonej starością i cynicznym użyciem twarzy, rozwiera dla przewiewu togę tak, że widać piersi włochate i gołe kolana, pochyla się ku sąsiadowi, senatorowi rodem z Galii, układającemu fałdy swojej togi wzorem elegantów stołecznych, i szepcze:

- Musi być jednak szanownemu koledze przykro widzieć tak nędzny skon swego rodaka.



Ten zrozumiał - odcina się:

- Mam nadzieję, że będziemy mieli wspólną przyjemność, oglądając dziś na arenie śmierć jakiegoś rodowitego Rzymianina.- Nastąpi teraz wyścig kwadryg o nagrodę cesarską, złoty puchar, wysadzany rubinami i ametystami oraz wieniec laurowy z rąk małżonki Cezara.

Burza oklasków... Wszystkie oczy zwracają się ku łożu Mesaliny, która lekkim skinieniem głowy odpowiada na entuzjazm tłumu. Jej twarz jest nieporuszona, blada, niby wykuta z marmuru. Przy ukłonie brylanty we włosach grają setnymi kolorami.

Szmer pochwał rozchodzi się po olbrzymim amfiteatrze.

- Boska! Mesalina! Diana złotowłosa!

„Diana” - jest to przydomek cesarzowej, najczęściej dawany jej przez tłum. Rozpustny Rzym uważa cnotę małżonki cesarskiej. Imieniem bogini czystości darzy ją podczas jej rzadkich występów na uroczystościach publicznych i szybkich przejazdów przez ulice Rzymu na wieś do Kampanii celem odwiedzenia matki i wychowujących się u niej dwojga dzieci cesarskich. Albowiem dwudziestoletnia cesarzowa jest skromna - stroni od gwaru - kocha zacisze swego ogrodu przy pałacu Augusta i stara się być wzorem kapłanki domowego ogniska. „Może tylko lęka się obudzić zazdrość uwielbiającego ją małżonka!” - mówią udający wtajemniczonych.

Cezar zawraca z areny. Otwierają się w kilku miejscach na podszyciu z kararyjskiego marmuru, biegnące w krąg areny, żelazne wrzeciędzie, rzą ogniste rumaki - gotują się do wjazdu złożone kwadrygi. Brzmią hałaśliwe trąby.

Tragi z ciałem Galla chłonie czarny otwór bocznej furty.

Złośliwy senator Fabiusz Weraks ociera pot z pomarszczonej starością i cynicznym użyciem twarzy, rozwiera dla przewiewu togę tak, że widać piersi włochate i gołe kolana, pochyla się ku sąsiadowi, senatorowi rodem z Galii, układającemu fałdy swojej togi wzorem

elegantów stołecznych, i szepcze:

- Musi być jednak szanownemu koledze przykro widzieć tak nędzny skon swego rodaka.

Ten zrozumiał - odcina się:

- Mam nadzieję, że będziemy mieli wspólną przyjemność, oglądając dziś na arenie śmierć jakiegoś rodowitego Rzymianina.

## Rozdział II

Myśli rosnące w podziemiu

Wzrok Cezara przed zejściem z areny szuka przez kryształ szmaragdu oczu żony Nie chwyta ich spojrzenia. Mesalina zda się zapatrzona jest w kogoś wśród widzów. Oczy Cezara idą w kierunku spojrzeń cesarzowej. Znowu ten zagadkowy młodzik: ręce skrzyżował na piersi, kołysze się wsparty o czarny marmur przegrody między lożami - można by rzec, iż wpiera oczy w twarz cesarzowej; na ustach jego błądzi zawsze ten sam szyderczy uśmieszek. W zbliżeniu przez szmaragd Cezar chwyta to spojrzenie: widzi w nim nic szyderstwo, ale chuć... Jakże ów śmie?!

W podziemnym korytarzu, gdzie łoskot stóp żołnierzy straży odbija się o sklepienia i głuszy słowa, Cezar daje znak Narcyzowi, aby pochylił ku jego ustom ucho.

- Nie wiesz, kim jest ów młodzik? - pyta.

- Ten, który tak uparcie patrzy na cesarzową?

- I ty to zauważyłeś?

- Tak jest... Hołd uwielbienia dla cesarzowej ze strony przybysza z prowincji...

niezupełnie trzymany w granicach należnych - syczy Narcyz. - Musiałem to zauważyć.

- Kim on jest?

- Nie wiem jeszcze... Ale już zarządziłem, aby donosiciel Sporus wybadał rzecz...

Widziałem jednak, że skłonił się bratance waszej cesarskiej mości. Dostojna Agrypina musi go znać.

- Czy jest w cyrku? Nie widziałem jej.

- Nie narzuca się oczom Cezara... przez rozsądek! - uśmiecha się lekko Narcyz. - Jest w łoży na lewym skrzydle cyrku, tuż pod posągami Herkulesa.

- Odwiedzę ją - decyduje Cezar. - A ty idź, zasięgnij języka.

Narczyż znika. Cezar obiera inną drogę przez korytarz podziemny pod areną.

córka jednoimiennej z nią matki i brata cesarskiego, Germanika, liczy w owej epoce lat blisko trzydzieści. Patrząc na twarz jej gładką i przesłoniętą mgłą marzycielstwa piękne oczy, nie domyśliłby się

\* Odziedziczył go Cezar następny, Neron, (przyp. aut.)

2 - Mesalinianki, że duszę jej zbrzydziła wielokrotnie grzeszna namiętność. Jej lata dziewczęce splamił kazirodczy stosunek z bratem Kaligulą. Miała dwóch mężów i licznych kochanków. Zarzucała sieci pokusyny wszystkim szwagrom swoim - odepchnięta przez Galbę, zdołała Domicji Młodszej, ciotce Mesaliny, odebrać męża, Passienusa. Rzym szeptał, że ów mąż drugi zszedł ze świata nie bez pomocy jadu, podanego jej \_tęką-Odziedziczyła po nim kuszący ją do tego związku majątek, który ukryła, aby posłużył karierze jej syna. Nerona. Może marzyła dlań o koronie - i musiała wyrzec się tych marzeń, skoro Klaudiusz, wstąpiwszy na tron, spłodził z Mesaliną następcę, Brytanika.

Jest pewne to jednoT~2e”~St>ecznie poświęciła się całkiem wychowaniu syna-

\_jrótomka”~rudobrodego ojca, Ahenobarbusa, zamieszkałszy z jedynakiem w ustroniu wiejskim. Kampanii. Nie bywa u dworu.

Czy zgębiły ją zawody przeszłości? Czy lęka się, że jest politycznie podejrzana?

Ongiś Kajus Kaligula ukarał ją srogo. Zamknął w więzieniu za udział w spisku przeciw niemu

Domicjusza, wuja Mesaliny. Ów opłacił nieudany zamach głową. Agrypina kochała tego wyrodka szczerze. Domagała się od brata, Kajusa, aby pozwolił jej wziąć udział w pogrzebie. Zezwolił - ale pod jakimż szyderczym warunkiem? Musiała z dalekiego wygnania, gdzie spalono zwłoki spiskowca, wędrować przez ulice Rzymu, niosąc sama u piersi urnę z prochami kochanka - tak wystawił ją Cezar na hańbę publiczną, na pośmiewisko stolicy. Jednakże czyż po śmierci Kaliguli nie okazała skruchy?... Przecież wraz z siostrą - Julią wzięła udział w pogrzebie zabitego niezadługo potem cesarza. Spaliły obie pospiesznie ciało zdyszonorowanego brata, a nie dopalone zwłoki pogrzebały skrycie w zacisznym kącie Augustowskiego ogrodu, nie kładąc znaku na mogile.

Klaudiusz, następca Kaliguli, przywrócił do łaski bratanicę. Jej krągłe pieśń kształty, piękna dojrzałość kobieca burzyły skrycie lubieżnika, choć starał się nie poddać jej kusicielskim oczom, przełożywszy nad nie czystość małżeńską Mesaliny i zgorzony skandalicznym Agrypiny życiem... Wolał, iżby przebywała z dala od dworu. Na domiar siostra jej, Julia, uparta w spiskowaniu, które ją także kiedyś zawiodło na wygnanie za korszachty z siostrą i Lepidusem przeciw rządowi Kaliguli, naraziła się w sposób podobny kopaniem dołków pod nowym Cezarem, Klaudiuszem, skąd znalazła się ponownie w więzieniu. Agrypina nie wątpiła, iż zmarła niespodzianie w murach twierdzy obezwładnił tajnym śmierci nakazem wszechpotężny Narcyz. Stała się trusią istotnie, czy też pozornie... Wolała Rzym opuścić i ukryć się na wsi.

Klaudiusz, wchodząc do jej łoża, wyraził zdziwienie:

- Nie wiedziałem, że bawisz w Rzymie, bratanko?

Ujęta zaszczytem wizyty cesarskiej w jej łożu cyrkowej - zaszczytem okazywanym przezeń tylko przełożonej westalek, Wibidii, dziś z powodu słabości nieobecnej na widowisku - Agrypina powstała, chyląc nisko głowę i zginając się całą postacią, jak przystało wobec

Cezara i starszego krewnego.

- Cezarze! Sądziłam, że z powodu jubileuszu osiemsetlecia Romy. urządzonego przez majestat, obowiązkiem moim jest przybycie tu choćby na jeden dzień z mego pustkowia.

Właściwie dziś dopiero gwoli tej uroczystości zrzuciłam swoje wdowie szaty i przypomniałam sobie, że jestem nie tylko matką, ale bratanicą Cezara oraz obywatelką rzymską.

Mówiła to wszystko głosem pełnym słodyczy.

Cezar usiadł przy niej. Nie interesował się rozpoczętymi za jego zezwoleniem wyścigami woźniców. Obserwował krągłość jej piersi i biel ciała, przeświecającą wskroś przejrzystości tkaniny azjatyckiej o srebrnym połysku. Jej szata, przekrojem według mody greckiej, od puszku ciemnego pod lewym ramieniem do palców zgrabnej stopy, lśniącej perłami na rzemieniach sandału, obnażała piękną linię bioder i nogi aż po kształtną łydkę.

- Jesteś najprzykładniejszą z wdów - rzekł - nie przypuszczałem nigdy, że możesz nosić żałobę poza wszelkimi terminami, ustalonymi przez obyczaj.

- Gdy się kocha naprawdę... - rzekła, przewracając obłudnie oczyma i wystawiając niby nieumyślnie nagie kolano.

Cezar zachnął się z lekka, zerkając na obok siedzącą. Niedługo za młodu wróżbiarz egipski czytał Klaudiuszowi z gwiazd, że sążone mu jest zginąć z ręki kobiety, która go usidli, zostawszy jego małżonką, o ile nie ustrzeże się pokusy. Wróżbę tę, podyktowaną Egipcjaninowi z pewnością nie przez bieg planet, lecz przez mądrą domyślność na tle analogii losów podobnych, wiedziony jakimś trafnym przecuciem Klaudiusz zastosował wówczas do Agrypiny. Od tego czasu wystrzegał się bliskości z tą, która burzyła mu zmysły.

Roześmiał się na jej słowa:

- Pięknie czynisz, Agrypino! Pozostawaj dalej na wsi, bądź przykładem cnót

wdowich... Ale masz śliczne kolanko. Zrozumiała nawet poprzez osłode tego pochlebstwa, że znajduje się jednakże w dalszym ciągu w stanie niełaski. Odparła z uśmiechem:

- Marzeniem moim jest dać Rzymowi wielkiego obywatela w synu moim... To jest zadaniem schyłku lat moich...

Cezar jakby nagle przypomniał sobie, z czym przyszedł.

Agrypino! rzekł, wskazując palcem w stronę zbocza senatorskiej łoży. - Intryguje mnie mocno tamten młodzieniec...

- W szacie greckiego woźnicy... z rękoma na piersi... ten, co zwrócony jest w stronę łoży cesarzowej? spytała.

- Tak jest! - uderzył kościstą dłonią w purpurę poręczy.

Gniewało go, że i ona zauważyła to samo. co on i Narcyz.

Coś chytrego błysnęło w jej oczach.

- To jest Lucjusz Sewerus... Pochodzi z rodziny, która już w kilku pokoleniach nie cieszyła się łaskami Cezarów. Ten młodzik jest miły i utalentowany... Wiem, że kiedyś... starał się o względy... dzisiejszej cesarzowej, ale oczywiście pani Domicja Lepida wyforowała go z domu, znalazłszy godniejszego konkurenta do ręki dostojnej córki.

Pochyliła głowę pochlebco w stronę Cezara. Dodała:

- Przepadał długo... Ale podobno zyskał sławę pierwszego woźnicy na ostatnich igrzyskach olimpijskich. Zapewne z tego powodu zjawił się w Rzymie, aby stanąć do popisu.

Cezar już powstał. Był chmurny. Kiedyś zasłyszał coś od teściowej o konkurach tego chłystka. Sewerusa. Rozumiał teraz, czemu prześladowuje on tak uporczywie oczyma cesarzową. Wspomnienie dawnej miłości! - to nawet jest rozrzewniające. Ale za wysoko zadziera głowę... I jakże to znosi Mesalina? Nie mówiła mu nigdy o tym Sewerusie.

Pożegnał Agrypinę chmurny. W jej oczach grała złośliwa radość. Nienawidziła tej

kobiety, puszącej się swoją cnotą - jak sądziła. Ona zabrała jej Klaudiusza!... Gdyby Passienus nie umarł zbyt późno, kto wie? - Czy nie zostałaby raczej ona żoną Cezara. Ta parweniuszka z krwi pośledniej rudyh Domicjuszów zajęła jej miejsce! Miała wrażenie, że swoją skromną informacją wbiła cierń w śmieszne serce tego samolubka, za jakiego poczytywała Klaudiusza; nasypała imbiru w potrawę cesarzowej.

Cezar w przejściu podziemnym spotkał oczekującego nań Narcyza.

- Już wiem, kim jest ten przybysz z prowincji - rzekł tamten.

- Ja też - odparł wciąż chmurny Klaudiusz.

- Może nie wszystko?- Cóż wiesz ponad to, że nazywa się Lucjusz Sewerus i że jest woźnicą-zapaśnikiem?

- Że starał się o rękę osoby, która go odrzuciła - rzekł Narcyz, śledząc oczy Cezara.

- A! To dobrze - rozpogodził się Klaudiusz. - Ale on jeszcze oczy podnosi zbyt wysoko... Jest zuchwały!

Rozumieli się obaj wybornie. Narcyz cedził:

- Wiem jeszcze, że jest poetą... i to podejrzanym politycznie. W ślad za nim przyszedł wieści do tajnej kancelarii, że w Atenach popisywał się satyrycznymi wierszykami w rodzaju Katullusa, swego przodka, który... drwił ongiś z wielkiego Juliusza Cezara.

- Oho!

Przypisują mu pewien wierszyk satyryczny na... waszą cesarską mość, którego autora dotąd nie udało się nam wysledzić.

- Jaki to wiersz?

- Mam powtórzyć?

- Rozkazuję!

Obaj zatrzymali się u kraty żelaznej, przez którą wchodziło się z podziemia na

widownię. Rozdwojone strażę stanęły w oddaleniu, nakazanym przez szacunek dla zajętego rozmową Cezara. Narcyz recytował:

Twierdzi, że brał Cezarów-krewniaków na kawał:

Chroniąc głowę, udaną zabłysnął głupotą...

Może!... lec, kto tak dobrze idiotę udawał...

Ten być musiał naprawdę - idiotą!

Cezar zatrzęsł się od śmiechu:

- To bardzo dowcipne - rzekł.

Narcyz skrzywił wzgardliwie usta...

- Czy to w istocie... o mnie?

- O tym, kto mówił, że... „udawał głupca na dworze dla bezpieczeństwa”.

- A więc... o mnie!... Naturalnie! A to dowcipna szelma...

- Cezarze, w tym wierszu tkwi... obraza majestatu!

- Oczywiście! - Cezar przybrał naraz minę poważną. - Jest bezczelny... Należy mu wytoczyć proces z powodu tego wiersza...

- Niepodobieństwo! Choćby udało się dowieść Sewerowi jego autorstwo, znaczyłoby to narazić Cezara na śmieszność.

- A więc... niech wyjeżdża mi zaraz do prababki Hekate! Każ go wyrzucić ze stolicy...

Na Plutona! Po cóż to przybył... skoro nie bierze udziału w wyścigach?! Podobno świetny woźnica... wziął nagrodę olimpijską... Powinien zgłosić się do udziału w wyścigach...

- Zgłosił się... Po to przybył do Rzymu... Ale princeps ludorum nie przyjął jego zgłoszenia, bo ten młodzik nosi nazwisko skompromitowane politycznie...

- Ależ to głupstwo! Nie odpowiada za przodków...

- Z pewnością... jeżeliby nie kontynuował ich roli. Ale tajna kancelaria ma swoje



wiadomości o tych satyrkach. I doniosła o tym princepsowi ludorum.

- Więc co z nim począć?

- Cezar może nakazać, aby mu pozwolono przyjąć udział w dzisiejszych wyścigach kwadryg.

- Jak to... chcesz, żeby otrzymał wieniec laurowy z rąk cesarzowej?! - zachnął się Cezar.

- Nie!

- Ależ!... Może przecież wygrać w wyścigu?

- Niekoniecznie... jeżeli Cezar pozwoli, żeby... wyjęto wiązadło z koła kwadrygi, którą przygotujemy dla tego niebezpiecznego młodzieńca...

Cezar zdumiony wybałuszył oczy na Narcyza.

- Przecież złamie kark! - rzekł.

- Właśnie... o to chodzi! Złamie kark! - zimno potwierdził Narcyz...

I Klaudiusz znowu się roześmiał.

- Wiesz, to doskonała myśl! On mi patrzy nazbyt bezczelnie na cesarzową... Zrób. coś powiedział.

- Wszystko, co Cezar rozkaże! - skłonił się Narcyz.

### Rozdział III

Laurowy wieniec z rąk cesarzowej

Cezar powrócił do swojej łoży...

Na razie trwają biegi mniej ciekawe, w których zwycięstwo zapewnia nagrody niższej wartości, acz sięgające zawsze kilku tysięcy sestercji. Stanowią one niejako próbny egzamin największej zręczności i wytrzymałości w kierowaniu końmi. Eliminuje się zwycięzców w takich dziewięciu biegach, w których bierze udział za każdym razem po sześć kwadryg. tj.

dwukółek greckich, zaprzężonych w czwórkę koni. Dopiero ci wyśmienici woźnice rozlosowują między sobą wybrane przez nich ze znawstwem najświetniejsze rumaki, które całym stadem rzuca się na arenę z olbrzymich stajni cyrkowych... Po czym służba wtacza ukwiecone, pozłotą błyszczące kwadrygi; trzymaną za uzdy w krzepkim ręku wybrańców czwórkę koni zaprzęga do każdej i odprowadza na start. Wówczas nastąpi wyścig ostatni sześciu kwadryg - (bo szeroki pas areny użycza tyle swobodnego miejsca na torze) - dziewięciokrotny bieg okólny po arenie, widoczny całej tej masie ludzkiej, złożonej z głów dwustu tysięcy. Metą jest miejsce pod łożą pary cesarskiej, która darzy zwycięzcę bezcennej wartości kielichem i wieńcem laurowym; piszą o tym później kroniki; czasem zwycięzca ma zapewnioną nieśmiertelność w kształcie posągu na Kapitolu.

Jakieś głosy rozchodzą się teraz zapowiedzią, że w biegu weźmie udział Rzymianin, który pozyskał nagrodę tegoroczną w wyścigu na igrzyskach olimpijskich. Bo oto dłoń konsula Propercjusza z lekka dotknęła ramienia młodzieńca, siedzącego tuż przy łożu senatorskiej, który smukłą postacią i pięknem twarzy już wcześniej wzbudził ciekawość widzów.

- Lucjuszu Sewerze! Cezar życzyłby sobie, żebyś wziął udział w wyścigu o wieniec cesarzowej.

Twarz młodzieńca zalewa się rumieńcem radości.

Składa dłoń na piersi:

- Cezar jest sprawiedliwy!... Tylko po to przybyłem do Rzymu.

W jego tonie brzmi nieznaczny odcień ironii.

Powstał - idzie...

Tuby roznoszą na olbrzymiej przestrzeni cyrku zapowiedź udziału w wyścigu

Lucjusza Sewera, zwycięzcy w Olimpi.

Entuzjazm ogarnia tłumy... Jeszcze Rzym nie jest zupełnie kosmopolityczny. A

jakkolwiek oklaskami tubylców tak samo, jak i cudzoziemców, powitał pięciu stających do wyścigu - raziło przecież przykro uczucia stolicy, iż stającymi do nagrody cesarzowej, zatem zwycięzcami w biegach próbnych, byli: czarny Abisyńczyk, rudawy Gall. dalej - przybysz z nieznanej krainy, skórami zwierzęcymi obwieszony Sarmata, już wstrząsający hardo płową czupryną w przeczuciu swego triumfu, i wreszcie dwaj Grecy, zawsze wybijający się przed Rzymianami na wszelkie stanowiska wysokie poza wojną. Do tych pięciu przybył jednak rodak...

Sympatie publiczności przeszły więc w mig większością do pięknego młodzieńca, pochodzącego z rodu rzymskich nobilów, rodu ubogiego, ale dostojnego cnót narodowych pamięcią. Stawiano już na szanse jego wygranej ogromne sumy w zakładach...

Cezar dał chustką jedwabną znak...

Zagrały trąby.

Porwało się z miejsca sześć czwórek rumaków - dwadzieścia cztery szlachetnych łbów końskich, symboli..cudownego szaleństwa”, zarżało, bryzgnęło pianą - czterdzieści osiem wypukłych oczu zapłonęło zrozumieniem rozkazu swoich przygodnych panów i wspólną z nimi żądzą triumfu - dziewięćdziesiąt sześć kopyt wzbiło tupotem tumany kurzu na arenie.

Chrapliwy krzyk wydarł się z gardła Abisyńczyka, spadając pobudką na kruczej maści rumaki. Gwizdnął wesoło Gall na swoje kare arabczyki. Dwaj Grecy z wołaniem „EvoeV pognali swoje białe konie, nakrapiane ciemnymi plamkami. Sarmata zrobił z bicza wirujące nad głowami żółtych mochnatych koników kręgi i po swojemu wrzasnął radośnie „Wio!”

Rzymianin zaciął usta - był blady ze wzruszenia - zda się, wstrzymywał jeszcze naprężeniem lejców zapęd swoich koni maści czarnej, z białymi gwiazdami na łbach, aby je później rzucić na czoło kawalkady.

Sto, dwieście tysięcy głosów bierze w tym biegu udział poganiającym krzykiem. Piach areny słupami wzbija się pod niebo, jakby powiał nagły orkan i zapragnął wszystko zagrzebać w tumanie... Serca widzów biją pospiesznie w rytm z chrapem końskim i oddechem woźniców... Biała piana rosi lejce, występuje na bokach rumaków, bryzga w powietrze. Przelecieli woźnice jak wichry... raz... i drugi...

Jeszcze ciągle są w równej linii... Albo też, ledwo jedna kwadryga wyścignie inne, natychmiast inna wysuwa się naprzód, starając się zabiec jej drogę... Ale tamta wymija sąsiednią i ponownie wysuwa się naprzód. Wciąż zmieniają się okrzyki widzów: „Abisyńczyk wziął!”, „Nie! Gall wysforował się naprzód!”, „Patrzcie! Grek Nikodemos wyrwał się na czoło!”... „Nie! Straton, Straton zostawił go w tyle!”, „Ba, Sarmata, Sarmata pobije wszystkich”. Tych, co stawiali za Rzymianinem bierze lęk - trzyma się on w równi z większością, ale nie wysadził się ani razu naprzód; ma się czasem wrażenie, że zostanie w tyle za innymi... „Co to znaczy? Za cóż wziął nagrodę olimpijską?!”

W dwóch biegach okrężnych nie ma zwycięzcy.

Lecz oto trzecie koło...

Miejsca kwadryg zmieniają się. Woźnice, którzy wybiegli na czoło, starają się zygzakowatymi ruchami zatamować drogę następcom...

Jeden z Greków omdlał z wysiłku. Wnet poskoczyła służba cyrkowa - zatoczyła go wraz z kwadrygą w podwoje do podziemia. Padł jeden z koni Abisyńczyka, który klnie, zeskakuje z wozu, rwie rozwiane włosy, rozpacza. Drugi Grek wyteża wszystkie siły. Na zmęczonych rękach występują sine pręgi, już powściąga konie i rozumie swoją przegraną.

Gall wysunął się przed nim o zaprzęg trzykrotny. Teraz Sarmata sponad Czarnego Morza wymknął się naprzód - śmieje się hałaśliwie, wykrzykuje swoje: „Wio!” - zda się, tańczy na wozie. „Sclavus saltansV” \* - słyhać krzyk dokoła... „Zwycięży! Zwycięży!” Gall płacze -

pięścią grozi w powietrzu...

Nagle Rzymianin przegania obu - piorunem zajął pierwsze miejsce w szeregu.

Arcydzielę sztuki kierowniczej - dwoma zwrotami na ukos, w prawo i w lewo, zastępuje drogę Gallowi i Sarmacie, płosząc ich konie, hamując woźniców w szalonym biegu. Smukła postać stojącego pręży się dumnie na wozie.

- Sewerus! Sewerus! - grzmi cyrk w zachwyceniu...

Pierś Mesaliny faluje. Pochyliła się ku poręczy łoży. Zda się, zapomniała, kim jest - gdzie, przy kim się znajduje. Na jej twarz wystąpiły rumieńce - oczy jej biegną za pięknym Rzymianinem... Jest szczęśliwa przewidywaniem jego zwycięstwa.

Klaudiusz widzi zapal małżonki. Nie rozumie jej... Gryzie wargi. Kiwnął palcem do tyłu. Poskoczył Narcyz - chyli się ku niemu.

Mesalina delikatnym słuchem swoim mimo woli chwyta szept Cezara:

- Ten gałgan zwycięży!... U licha! Zapomniałeś przecież, że...

I chwyta zarazem stłumiony głos Narcyza:

- Zrobione wszystko... Koło się obluźnia... Zaraz spadnie... O już... już...

\* Niewolnik tańczący, (przyp. aut.) Mesalina ziębnie - dreszcze nią wstrząsają. Chyli się ku poręczy. Chce krzyknąć: głos jej więźnie w gardle... Zdrętwiała...

Widzi, że koło wozu Sewera krzywi się. Teraz rozumie, o czym ci dwaj za nią rozmawiali. Wielki Zeusie! Koło stacza się - jeździec wypadnie z wozu. Dwie pary rumaków, nadbiegające wściekle, stratują go!

Ręce Mesaliny biją bezradnie w poręcz. Zamknęła oczy. Nie może krzyknąć, uprzedzić...

Ale na przełaj cyrku ze stron obu lecą krzyki: „Koło!... Koło... Sewerus! Koło!”

Młody Rzymianin odczuwa brak równowagi wozu. Błyskawicznie orientuje się, iż

zagraża mu niebezpieczeństwo...

Cisza zaległa naraz cyrk... Rwą naprzód spienione rumaki Sarmaty... Jeździec przedni spadnie - stratują go. Sarmata na niego... Rumaki wspięły kopyta... Uderzyły w kark Sarmaty... Spadł!... Konie Galla rzuciły się w bok, spłoszone jękiem padającego... Gall wstrzymuje swe konie, aby nie rozbić się o marmury cyrkowej zagrody. Sarmata wije się w bólach na piasku areny.

Jego kwadryga pognała pusta... Teraz pod kopyta koni Sarmaty spaść musi Rzymianin ze swojej wywracającej się kwadrygi...

Nie! nie!... kwadryga Sewera ryje się w piasku - przedni koń łamie nogę, płacze się w zaprzęgu wraz z innymi. Ale Rzymianin skoczył w biegu na przelatującą obok kwadrygę Sarmaty. Cudem chwycił lejce... Wywija biczem nad mochnatymi końmi...

Stanął u mety...

I zdaje się, że marmurowy cyrk zatrzęsł się w posadach od huraganu oklasków...

- Brawo! Brawo! Sewerus! Sewerus!

Szał ogarnia widownię... Ludzie zbiegają z wyższych siedzeń ku marmurowej zagrodzie. Gotowi są skakać na arenę... Zatrzymują ich rozsądniejsi... Ruszyli się pretorianie...

- Stać!... stać!

Sewerus zeskoczył lekko z kwadrygi i pod lożą cesarską... Oddaje pokłon parze monarszej - senatorom - tłumowi. Dumą promienieje jego oko...

Krzyk: „Victor\ victor] \* tysiącem ech bije pod stropy - pieści jego uszy...

\* Zwycięzca! (przyp. aut.) Naówczas pacia z łoży na arenę laurowy wieniec, spuszczonej na złotym sznurze dłonią cesarzowej, podczas gdy Cezar, zmartwiały, zdziwiony, nie bierze podawanego mu przez konsula pucharu złotego, po który zwycięzca winien zjawić

się włoży już w wieńcu laurowym, aby ucałować według zwyczaju dłoń małżonki Cezara.

Co to?!

Zwycięzca nie tylko nie pochwycił oburącz rzuconego mu przez monarchinię wieńca, jak nakazywał ceremoniał - ale nie schylił się nawet po laury, kiedy już te legły u jego stóp.

Skrzyżował ręce na piersi w postawie obojętnej.

To despekt!... Co za grubianin!... Lub może oszalał z radości zwycięstwa?...

Podbiega strażnik od wrót gestem wskazuje zwycięzcy wieniec. Ów głową potrząsa - nie podnosi wieńca.

Cisza zgrozy pada na cyrk...

Wśród tej ciszy Rzymianin coś mówi...

Najbliżsi słyszą...

- Wybacz, małżonko boskiego Cezara... Mogłem wziąć wieniec w Olimpii, bo podała mi go dziewczica. Jestem Coelebs \* jako Scypion! Ślubowałem niebu, że przyjmę wieniec zwycięstwa jedynie z rąk kapłanki Westy...

Głos jego jest drwiący...

Mesalina blednie - ręce jej drżą.

Nic nie mówi...

To tłumaczenie, które podają sobie widzowie z ust do ust - brzmi na pozór zręcznie.

Nie przestaje być jednak obelgą... Jest odrzuceniem daru boskiej Augusty...

Cezar coś mówi cicho do Narcyza...

Narcyz daje znak przewodniczącemu igrzysk. Ten przesyła dalej znak strażnikom...

Kiedy Rzymianin skłoniwszy się parze cesarskiej pragnie wyjść z areny - słyszy głos strażnika:

- Proszę poczekać...

- Dlaczego?

- Kazano! Zaraz zejdzie tu princeps ludorum... On wyjaśni.

Sewcrus czeka... i cyrk cały czeka!...

\* Coelebs - dziewiczy, (przyp. aut.)

## Rozdział IV

Sieć, której uniknąć trudno

Na arenie pojawia się powszechnie lubiany konsul Winicjusz, jeden z dwóch urzędujących w bieżącym dwuleciu. Poprzedza go orszak liktorów z różgami - znakami władzy i chorążowie z proporcami zdobnymi w symboliczne orły Rzymu. Za nim stąpa wysoki niewolnik, trzymając wianek z róż i lilii nad jego głową. Konsul jest w szkarłacie i szkarłatna jest jego twarz, drgająca wzruszeniem.

Olbrzymi amfiteatr zacicha. Wie, że nastąpi ważne ogłoszenie imieniem Cezara. Co zwiastować będzie?

Konsul ujmuje pod rękę zmieszanego Sewera, prowadzi go na środek areny; objął go, ściska, całuje. Zaczyna się to dobrze. Zatem Cezar przebaczył znakomitemu woźnicy. Tłum wybucha entuzjastycznymi oklaskami i krzykami radości.

Konsul ręką wzniesioną prosi o milczenie. Bierze z ręki niewolnika „dźwięcznik” - wielką tubę, rodzaj megafonu, którym posługiwano się w olbrzymim cyrku, gdyż inaczej głos nie doszedłby do jego dalekich kolistych granic. Padają niemal skandowane gwoli uroczystemu tonowi wyrazy:

- Cezar zachwycony jest sztuką Lucjusza Sewera. Jest pewny, że mistrzowski skok, który dzisiaj uczynił przed nami, pamiętny będzie wiekom, a sława jego nie przeminie, póki Rzym istnieć będzie - lub mówiąc słowami Horacego:

Póki z cichą Westalką w Kapitolu progi Wstępować będzie kapłan, ona istnieć będzie!



- Cezar osądził ze zřeczności Lucjusza Sewera, że potrafi on wygrać w kaźdej walce, gdyż mieści w sobie wszystkie talenty. Cezar sądzi, że Sewerus potrafi pokonać najzřeczniejszego, najbardziej niezwyiężonego z retiariusów\*.

- Cezar przyrzeka Lucjuszowi Sewerusowi zapomnienie o błędach jego przodków, zwrot dóbr w Apulei, własności ongiś jego dziada,

\* Sieciarze, (przyp. aut.) prowincję z tytułem prokonsuła według jego wyboru w Afryce i pomnik marmurowy na Kapitolu, jeżeli...

Głos z lekka załamał się ze wzruszenia:

-...Jeżeli Lucjusz Sewerus przyjmie zaszczytną propozycję jego majestatu podjęcia walki z sieciarzem według wyboru Cezara!

Oszołomienie potęguje ciszę w cyrku. Jest to grad łask, czy wystawienie zwycięskiego młodzieńca na próbę, która skończyć się musi dlań śmiercią? Było w Rzymie wielu specjalnie wyćwiczonych w zarzucaniu sieci na przeciwnika szermierzy; a z rzadka, walczący w ciężkiej ochronnej zbroi hoplitów, władający najdzielniej mieczem zapaśnicy potrafili uniknąć węzowych skrętów olbrzymiej siatki i kołącego trójzęba retiariususa.

Czy Lucjusz Sewerus przyjmie tej bój nierówny, zwłaszcza jeżeli nigdy nie podejmował tego rodzaju walki? W zasadzie, jako wolny obywatel rzymski odmówić może.

Ale tylko w zasadzie... biorąc rzecz z grubsza, praktycznie; może bowiem odpowiedzieć:

„Nie znam tej walki! Nie potrafię!” Ale czy to nie będzie wystawieniem się na pośmiewisko tłumu? Gorzej! - odrzucić propozycję tylu łask i samo zaszczytne zaproszenie Cezara do popisu, nie jest li to ściągnąć na siebie grom jego gniewu? Lucjusz rozumie, że zastawiono nań śmiertelną pułapkę: jeżeli nie zginie na arenie, popadnie w pogardę... i zginie poza areną, skoro Cezar najwidoczniej uwziął się na niego.

O czym mówi teraz z konsulem? Słów jego nie słyhać. Nawet dla najbliższych

zagłusza je wrzawa trąb, pisk fletni i brzęk cytr orkiestry, która na znak princepsa w zaszłej przerwie zagrała hymn na cześć Cezara, sławiąc jego łaski. Czy Lucjusz odmawia? Spłonął rumieńcem - czoło jego ocieka potem... Jeszcze wstrząsa nim dreszcz dokonanego wysiłku, wzruszenie zwycięstwa - dziw, że nie omdlał po biegu, jak zdarzało się tylu innym. Może przyjąć ten nowy bój?

Konsul, korzystając z tego, że muzyka nie dozwala dosłyszeć jego słów, szepce doń:

- Dzielny młodzieńcze, żal mi ciebie. Ten bój to śmierć pewna. Udaj, że przyjmujesz.

Poproś o kwadrans wypoczynku i przygotowań. Wskażę ci wyjście podziemne z cyrku - uciekaj, ukryj się. Ale, na Zeusa, nie zdradź... bo zgubisz mnie wraz z sobą.

Lucjusz potrząsa rękoma, coś mówi gorąco. Żyły występują mu na skroniach. Konsul wyczekuje, aż orkiestra ukończy hymn. Zaraz ogłosi odpowiedź Lucjusza.i.

- Na szczęście Wamba siedzi w więzieniu! - powiada jakiś znawca cyrku do sąsiadki, zatrwożonej z góry losem pięknego młodzieńca.

Wamba jest Murzynem. Jako sieciarz walczył zwycięsko we wszystkich głośnych cyrkach olbrzymiego cesarstwa. Zakłuł trójzębem stu pięćdziesięciu przeciwników, schwytych w oczka jego nieubłaganej sieci. Stąd urósł w dumę. Podczas próby generalnej dzisiejszego widowiska, wlaźł pomiędzy grających pantomimę: Spór bogiń na górze Ida o pasterza Parysa i ogłosił się, że on sam jest Venus Callypiga \*, przy czym wypiął pośladek na upominającego go o poszanowanie reżysera. Wywleczony z areny, zakłuł nożem jednego z dozorców, drugiemu przegryzł gardło i wtrącony do celi „cuniculum”, w podziemiach cyrku, oczekiwał wyroku Cezara, który - jak można było spodziewać się - brzmieć musi: „śmierć”.

Kwestią był tylko rodzaj śmierci: krzyż, szubienica, czy topór?

Byle nie Wamba! - ozwał się w innym miejscu głos, wyrażający w ten sposób sympatię dla zwycięzcy wyścigu.

Hymn milknie.

Konsul ogłasza w środku areny przez megafon:

- Lucjusz Sewerus wyraża wdzięczność miłościwemu Cezarowi za nadmiar łaskawych obietnic, którymi raczył małość jego zasługi nagrodzić, i przyjmuje proponowaną walkę, jakkolwiek nigdy dotąd nie zmagił się w starciach tego rodzaju.

Szmer podziwu... Oklaski. Konsul kończy:

- Wszelako Lucjusz Sewerus prosi o wytchnienie w ciągu kwadransa i o prawo walki bez obciążenia ciężką zbroją hoplity, ale za to w pełni nagości greckiej z krótkim mieczem rzymskim w ręce i jedyną osłoną z małej tarczy spartańskiej.

Burza oklasków znaczy zwiększony podziw i radość widzów. Tylko niektóre serca niewieście ściskają się złowrogim przecuciem - dłonie tych kobiet nie składają się do aplauzu - łzy błyszczą w oczach.

Konsul kończy:

- Wielki Cezar, mnożąc łaski, wyznacza Lucjuszowi Sewerusowi najgodniejszego sławą przeciwnika, któremu na wypadek zwycięstwa ofiaruje darowanie kary, życie i wolność. Walczyć będzie... Wamba Afrikanus!

\* „Wenera pięknozada”. (przyp. aut.) Znowu cisza. Jakby powiało na cyrk grozą.

Lucjusz pod lożą cesarską składa majestatowi podziękowanie potrójnym ukłonem.

Za każdym podniesieniem głowy oczy jego, mijając Cezara, tkwią w Mesalinie.

Cesarzowa siedzi nieruchoma; twarz jej jest teraz blada śmiertelnie. Ma wrażenie, że usta Lucjusza krzywią się gorzkim uśmiechem ironii.

Nie słyszy paplaniny Klaudiusza. Milczy. Cóż może powiedzieć? Rozumie doskonale, że Lucjusz chciał wyraźnie uczynić jej despekt wobec całego Rzymu. Czuje się urażona w swoim dostojństwie; uraza jest musem. Któż kiedykolwiek w Rzymie odrzucił dar z jej ręki,

choćby przy tym powołał się na bogów? Nie są Cezarowie i ich małżonki bogami na ziemi, jak tamci na Olimpie? Czyż inaczej bogowie powierzaliby prawo życia i śmierci nad wszystkimi poddanymi swoim pomazańcom?

Wśród ciszy, która zalega cyrk, gdy padło imię niezwyciężonego Wamby - naraz z górnych ławek ktoś rzuca pełną piersią na głowy widzów i arenę krzyk:

- Historia Koloserosa!

Rzym rozumie, co chce powiedzieć śmiałek, siedzący w górze, na wprost łoży cesarskiej.

Rozumie to i Lucjusz, albowiem obejrzał się w stronę okrzyku, nim zniknął w wyjściu z areny do podziemi. Już pretorianie z nakazu setnika uprzątają krzykacza. Imię „Koloseros” jest głośnie w Rzymie. Drażni się nim Klaudiusza, ilekroć chce się zaznaczyć, iż nie odszedł on daleko - mimo pozorów początkowych i zapewnień nowego łagodnego systemu na przyszłość - od rządów bratanka Kaliguli, że raz po raz powraca sam do szaleństw poprzednika.

Historia Koloserosa streszczała w fakcie symbolicznym dzieje tyranii jedynowładców.

Esus Prokulus, syn wysokiego oficera, nazwany powyższym dwoistym imieniem: „Kolos - Eros” za wzrost Kolosa i Erosa piękność, znajduje się w cyrku, budząc podziw powszechny i uwagę ogólną. Kajus Kaligula zasiada w łoży cesarskiej. Jak to? Rzym nie patrzy już na Cezara! Ten młodzik zabrał mu cześć tłumów! Kaligula popada w szal wściekłości. Wyrwany z jego rozkazu spośród widzów, powleczony przez pretorianów na arenę, Koloseros zniewolony został do walki z najbardziej wyćwiczonym zapaśnikiem, przybyłym dnia tego z Tracji. Walczy i kładzie przeciwnika. Chce odejść z areny, już zarzucony kwiatami i żegnany burzą oklasków. Ale Kaligula domaga. Znowu cisza. Jakby powiało na cyrk grozą. Lucjusz pod łożą cesarską składa majestatowi podziękowanie potrójnym ukłonem.

Za każdym podniesieniem głowy oczy jego, mijając Cezara, tkwią w Mesalinie.

Cesarzowa siedzi nieruchoma; twarz jej jest teraz blada śmiertelnie. Ma wrażenie, że usta Lucjusza krzywią się gorzkim uśmiechem ironii.

Nie słyszy paplaniny Klaudiusza. Milczy. Cóż może powiedzieć? Rozumie doskonale, że Lucjusz chciał wyraźnie uczynić jej despekt wobec całego Rzymu. Czuje się urażona w swoim dostojeniu; uraza jest musem. Któż kiedykolwiek w Rzymie odrzucił dar z jej ręki, choćby przy tym powołał się na bogów? Nie są Cezarowie i ich małżonki bogami na ziemi, jak tamci na Olimpie? Czyż inaczej bogowie powierzaliby prawo życia i śmierci nad wszystkimi poddanymi swoim pomazańcom?

Wśród ciszy, która zalega cyrk, gdy padło imię niezwyciężonego Wamby - naraz z górnych ławek ktoś rzuca pełną piersią na głowy widzów i arenę krzyk:

- Historia Koloserosa!

Rzym rozumie, co chce powiedzieć śmiałek, siedzący w górze, na wprost łoża cesarskiej.

Rozumie to i Lucjusz, albowiem obejrzał się w stronę okrzyku, nim zniknął w wyjściu z areny do podziemi. Już pretorianie z nakazu setnika uprzątają krzykacza. Imię „Koloseros” jest głośnie w Rzymie. Drażni się nim Klaudiusza, ilekroć chce się zaznaczyć, iż nie odszedł on daleko - mimo pozorów początkowych i zapewnień nowego łagodnego systemu na przyszłość - od rządów bratanka Kaliguli, że raz po raz powraca sam do szaleństw poprzednika.

Historia Koloserosa streszczała w fakcie symbolicznym dzieje tyranii jedynowładców.

Esus Prokulus, syn wysokiego oficera, nazwany powyższym dwoistym imieniem: „Kolos - Eros” za wzrost Kolosa i Erosa piękność, znajduje się w cyrku, budząc podziw powszechny i uwagę ogólną. Kajus Kaligula zasiada w łożu cesarskiej. Jak to? Rzym nie patrzy już na

Cezara! Ten młodzik zabrał mu cześć tłumów! Kaligula popada w szal wściekłości. Wyrwany z jego rozkazu spośród widzów, powleczony przez pretorianów na arenę, Koloseros zniewolony został do walki z najbardziej wyćwiczonym zapaśnikiem, przybyłym dnia tego z Tracji. Walczy i kładzie przeciwnika. Chce odejść z areny, już zarzucony kwiatami i żegnany burzą oklasków. Ale Kaligula domaga

Znowu cisza. Jakby powiało na cyrk grozą. Lucjusz pod lożą cesarską składa majestatowi podziękowanie potrójnym ukłonem.

Za każdym podniesieniem głowy oczy jego, mijając Cezara, tkwią w Mesalinie.

Cesarzowa siedzi nieruchoma; twarz jej jest teraz blada śmiertelnie. Ma wrażenie, że usta Lucjusza krzywią się gorzkim uśmiechem ironii.

Nie słyszy paplaniny Klaudiusza. Milczy. Cóż może powiedzieć? Rozumie doskonale, że Lucjusz chciał wyraźnie uczynić jej despekt wobec całego Rzymu. Czuje się urażona w swoim dostojęństwie; uraza jest musem. Któż kiedykolwiek w Rzymie odrzucił dar z jej ręki, choćby przy tym powołał się na bogów? Nie są Cezarowie i ich małżonki bogami na ziemi, jak tamci na Olimpie? Czyż inaczej bogowie powierzaliby prawo życia i śmierci nad wszystkimi poddanymi swoim pomazańcom?

Wśród ciszy, która zalega cyrk, gdy padło imię niezwycięzonego Wamby - naraz z górnych ławek ktoś rzuca pełną piersią na głowy widzów i arenę krzyk:

- Historia Koloserosa!

Rzym rozumie, co chce powiedzieć śmiałek, siedzący w górze, na wprost loży cesarskiej.

Rozumie to i Lucjusz, albowiem obejrzał się w stronę okrzyku, nim zniknął w wyjściu z areny do podziemi. Już pretorianie z nakazu setnika uprzątają krzykacza. Imię „Koloseros” jest głośnie w Rzymie. Drażni się nim Klaudiusza, ilekroć chce się zaznaczyć, iż nie odszedł

on daleko - mimo pozorów początkowych i zapewnien nowego łagodnego systemu na przyszłość - od rządów bratanka Kaliguli, że raz po raz powraca sam do szaleństw poprzednika.

Historia Koloserosa streszczała w fakcie symbolicznym dzieje tyranii jedynowładców.

Esius Prokulus, syn wysokiego oficera, nazwany powyższym dwoistym imieniem: „Kolos - Eros” za wzrost Kolosa i Erosa piękność, znajduje się w cyrku, budząc podziw powszechny i uwagę ogólną. Kajus Kaligula zasiada w łoży cesarskiej. Jak to? Rzym nie patrzy już na Cezara! Ten młodzik zabrał mu cześć tłumów! Kaligula popada w szał wściekłości. Wyrwany z jego rozkazu spośród widzów, powleczony przez pretorianów na arenę, Koloseros zniewolony został do walki z najbardziej wyćwiczonym zapaśnikiem, przybyłym dnia tego z Tracji. Walczy i kładzie przeciwnika. Chce odejść z areny, już zarzucony kwiatami i żegnany burzą oklasków. Ale Kaligula domaga się próby ostatecznej. Odchodzącemu zastępuje drogę hoplita w przyłbicy i ciężkim pancerzu, a z dzidą w ręku. Koloseros musi przyjąć drugi bój. I znów zwycięża. Tłum nie posiada się z radości. Wbrew zakazowi ludzie skaczą z wysoka na arenę. Otoczyli zwycięzcę - ściskają go, obejmują.

Kaligula wścieka się bardziej. Czuje się poskromiony. Gwardia germańska rozpędza lancami zachwyconych - morduje bez litości. Z Koloserosa zdiera się szaty, rwie się je na nim w strzępy. Wleczony jest przez ulice Rzymu: „Niechaj ujrzą w łachmanach omdlałego, posiniaczonego - kobiety! Niech przyjrzą się, jaki jest mocny i piękny!” Tak woła Kaligula, pędząc na rydwaniu za prześladowanym. Krzyk w tłumie: „Jest piękny! piękny, ty brzydalu!” To głos serca niewiasty brzemiennej. W mig lanca przebija jej łono wraz z płodem. Koloseros zostaje zaduszony pętlą centuriona na ulicy...

Przeto i teraz zuchwalec, który przypominał to imię, zostaje wydarty spośród widzów.

Sąsiedzi spróbowali go osłonić. Płazując, spadły na nich miecze. Setnik wrzeszczy: „Co za

hałastra! Cezar wpuszcza ich darmo na widowisko. Bawi ich - a oni nie umieją się przyzwyczoić zachować”. Odstąpili. Gdzieś pod stopami ludzkimi ozwał się jęk - ucichł. To zapewnia spokój.

Mesalina utkwiała oczy w Cezarze.

- Słyszałeś? Co znaczy: Koloseros?

Ona, zamknięta w swoim pałacu, nie zna sensu tego imienia.

Klaudiusz uśmiecha się krzywo:

- To znaczy, że sądzą, iż... jestem mniej władcą, niż Kaligula... Chcą mnie zastraszyć.

- Nie jesteś przecież Kaligulą! - mówi nieśmiało.

Nie odważa się przypomnieć mu losu Kaliguli.

Klaudiusz chmurzy się. Czy sama Mesalina zaprzecza jego władzy?! To ten zuchwały

Lucjusz natchnął ją tak szkodną myślą. Patrzy na jej obnażoną szyję i cedzi:

- Kaligula powiedział do swojej ukochanej żony Cezonii: „Jakże bawi mnie ta myśl, że gdybym zechciał, to na tym pięknym karczku nie byłoby tej pięknej główki!”

- Co chcesz przez to rzec, Cezarze?

Patrzy na niego rozszerzonymi zdziwieniem oczyma.

- Tylko to, że masz piękną główkę i piękną szyjkę. Że je kocham! I nie pozwolę obrażać żony Cezara... ni-ko-mu! Mesalina doznaje po raz pierwszy lęku wobec męża. Kurczy się... cichnie. Już się nie odezwie. Rozumie, że tym razem spotkała się w małżonku z wolą majestatu. Broni on ich wspólnego dostojęstwa - nie ustąpi w swoim tępym uporze. Niech się więc dzieje, co ma się dziać. Ona też jest cesarzową!

Płynie okrutnie wolny kwadrans. W pięćdziesięciu miejscach wybucha muzyka.

Grzmia długie trąby, piszcza fletnie, dźwięczą tamtamy, brzęczą struny harf. Dziw, jak grający utrzymują się w równowadze na zrębach marmurowego okola pod ciemniejącym



niebem.

Na piasku areny w stu miejscach potykają się pary zapaśników różnej broni.

Albowiem wobec olbrzymich rozmiarów cyrku trzeba, aby wszyscy widzieli należycie zapasy. Należy zabawić żądne rozrywki masy, które nie rozumieją, iż Cezar tą pasącą ich

oczy darmową uciechą utrzymuje rzekome „obywatelstwo” - plebs i patrycjat - w

poddaństwie łacniej, niżby mógł to uczynić biczem. Olbrzymie skarby Kaliguli, który nago

tarzał się na złotych monetach, i obfite pobory ze wszystkich ziem cesarstwa idą na te

igrzyska, których wspaniałości żaden czas nie dorówna; odwracają one zachwycone oczy od

spraw poważnych, które klika rządząca dworu załatwia za tajnikami kulis.

Więc w stu miejscach brzęczą ciężko miecze, ścierając się wygiętymi tarczami

przeciwników - słycać wrzaski nacierających zręcznie gladiatorów - to tu, to tam ozwie się

przeciągły jęk padającego - leje się krew na arenę - jej zapach podnieca nerwy nie mniej, niż

zapach kadzideł, unoszących się wonnym dymem z urn, rozstawionych na setkach kolumn.

Co chwila niezdolni już do walki wyciągani są przez wąskie otwory z areny hakami czujnej

straży. Czasem tuż w oczach widzów dozorca bitew próbuje gorącym żelazem padłe ciała,

które skwierczą pod dotknięciem. Ci, co dają oznaki życia, dobijani są raczej z zasady, niż z

litości, jako już niezdatni do swojej roli.

A gdy czyni się luźniej, gdy zapaśników ubywa - wówczas wpadają na arenę aktorzy

mimiczni o twarzach pstro malowanych, lub w maskach potwornie śmiesznych, przemykają

się wśród walczących, tańczą, śpiewają, wydają dziwaczne okrzyki w mnóstwie narzeczy, lub

naśladują głosy rozmaitych zwierząt...

Lekkomyślny Rzym na chwilę daje się porwać nowej uciechu, zapomina o tym, co

było i nie pamięta o tym, co ma nastąpić. Przechodzi przez arenę barwna procesja, niosąca

posągi bogów. Po-nfK

zdrawiana jest żywo Ceres, bogini zbiorów. W miarę posuwania się Marsa powstają młodzi legioniści i siwogłowi weterani. Gdy przenoszona jest na skrzyżowanych drągach z cedrów, osłoniętych złotolitą materią Wenus, dziewczęta miotają kwiaty, starając się utrafić w posąg, co zapewnia bliskie szczęście w kochaniu lub małżeństwie...

Teraz arena się oczyszcza. Będzie tylko jedno widowisko w jego centrum - za to cenne wartością, zajmujące dla wszystkich. Oddalonym szerokością cyrku i wyżynami galerii widzom ukazą się dwaj zapaśnicy, jako czarowne, drobne figurki.

Za kulisami cyrku Lucjusz prostuje kark, wyciąga ręce i nogi, które namaszczają mu sprawnie wonną oliwą niewolnicy. Stoi nad nim konsul - pomrukuje po grecku, aby nie był rozumiany przez Murzy-nów-rabów.

- Szaleńcze! Uparłeś się... Nie słuchasz dobrej rady.

Lucjusz szczerzy uśmiechem olśniewające białością zęby i kręci głową przecząco.

- Peractum est\ - odpowiada.

To „stało się” brzmi jako nieodwołalne postanowienie przyjęcia walki, choć znaczy zarazem: „skończone!” - jako okrzyk, z którym dobijano padłych w boju cyrkowym gladiatorów...

Konsul ściska młodzieńcowi dłoń - zwarł usta - z wolna zawraca - odchodzi.

Na opróżnionej arenie pojawia się Lucjusz Sewerus. Jego nagość młodzieńcza - boskość kształtów, równająca go ze złotołukim Apol-linem, wywołuje zapał i wrzawę zachwytu na całym okręgu cyrku. Kobiety powstają, machając chustami.

Ma on na biodrach przepaskę tyryjską czerwonej barwy. Srebrną tarczę podniósł wysoko. Mocno ściska miecz w prawicy. Skłonił się przed lożą cesarską.

Wymawia sakramentalne:

- Ave Caesar Imperator! Moriturus te salut at!

Ale to powitanie znowu brzmi w uchu Cezara ironią. Nikt dotąd tak lekceważąco tego pozdrowienia nie wygłaszał. A Sewerus nadto dodaje słowa, których przed bojem nikt nie mówił, gdyż ceremoniał ich nie ustanowił:

- Et te, conjux Augusti, moriturus salut at\*.

\* I ciebie, żono Cezara, gotrujący się na śmierć pozdrawia, (przyp. aut.) Cesarzowa podnosi rękę. Czyni słaby znak. Zda się, zamierza złożyć palce błogosławieństwem, używanym przez Westalki. Nie śmie. Dłoń opadła na poręcz łoża. Lucjusz już się odwrócił. Z jakiegoż to otworu wypełził na arenę Murzyn? Idzie ów naprzeciw niemu. Pod łożą cesarza wywinął kozła - zaśmiał się z niewyraźnym

„Aver

Wydaje się potworem czarnym z dna piekieł. Twarz jego jest ohydna. Ślepią wyszłe z ciemni „cuniculum” mrużą się jeszcze niespodzianym wtargnięciem na światło: już bowiem w stu miejscach zapłonęły czerwone pochodnie, walczące jeszcze połyskiem z szarzejącą pod wieczór bladością nieba. Wywija siecią w powietrzu, nadając jej kształt zwijającego się w kłęby boa. Wesoło potrząsa trójzębem.

Czerń jego skóry, prężenie kolosalnych mięśni pleców i ramion, wstrząs brzucha, zwłaszcza małpie skoki, którymi popisuje się, zanim runie w bój - wszystko to mrozi krew w żyłach czulszych widzów. Czulsi, bo żal im tego Rzymianina, który jest piękny, jak bożek, a musi polec niesławnie w boju z tą zwinną czarną małpą.

- Wamba! Simia! \* - odzywają się drażniące głosy.

I naraz skądś zrywa się krzyk:

- Non licet\ \*\*

Kto krzyknął?... Komu drgnęło serce w przeczuciu tej niepotrzebnej męki i śmierci?

Czy to ten młodzieniec o rysach semickich, w greckiej tunice, z włosami

ufryzowanymi wbrew obyczajom żydowskim, i z oczami gorejącymi, jak dwie żagwie?

Tak, zapewne on... Sąsiedzi obejrzeni się zdziwieni. Co to za przybysz dyktuje Romie, co wolno, a czego nie wolno - gdy wola Cezara postanowiła? Jest to młodzieńczy Józef, nie znany nikomu, który zarwał nieco idei z mętnej filozofii genialnego Platona, a raczej z drugiej ręki - mistrza swego w Aleksandrii, pseudogenialnego Filona żydowskiego, wmawiającego Grekom, że „Głos” z pięcioksięgu Mojżesza i „Mądrość” z Przysłów Salomona są tym samym, co greckie „Logos” - Słowo, oraz że obie filozofie, grecka i żydowska, są identycznym natchnieniem z nieba. Czyżby ów młodzik stąd nabrał dumy i chciał sam mistrzować Rzymianom?

\* Małpa! (przyp. aut.)

\*\* Nie wolno! (przyp. aut.)r

Tak, to on!... Bo zaraz starzec, siedzący przy nim, widocznie rodzic śmiałka, targnął go za rękaw tuniki i przerażony wybuchem synowskim, położył mu rękę na ustach.

- Milcz!... Chcesz mnie zgubić i siebie?

Starzec Abraham jest Żydem aleksandryjskim, na pół oświeconym, pozwalającym synowi „bawić się grecką filozofią”. Ma na sobie płaszcz złoty z materii jedwabnej i łańcuch złoty na szyi. Wydaje się jakimś kapłanem egipskim. Twarz jego jest pełna dumy. Nie dziw! - jest przecież dzierżawcą stu tratw na Nilu, poborcą podatków cesarskich, właścicielem trzystu młynów w okolicach Aleksandrii. Przybył do Rzymu, by złożyć pieniądze pobrane dla Cezara do kas państwowych i wystarać się o nowe przywileje. A oto niedojrzałość syna psuje mu interesy!...

Z miłym uśmiechem zwraca się starzec ku sąsiadom i tłumaczy:

- Przepraszam... On jest w cyrku tutejszym po raz pierwszy... Chciałem mu to

pokazać, bo trzeba przecież wszystko zobaczyć. Ja to sam lubię... Obaj kochamy cyrk i...

Cezara!

Uspokoił sarkających - a wzburzonemu synowi, któremu po tym wydartym z trzewi mocą współczucia, niemal nieświadomym okrzyku język skołowaciał - tłumaczy na ucho:

- Co wyrabiasz, wariacie? Co cię to obchodzi? Wypadalo się tu pokazać... przez lojalność, nic więcej.

- Ojczy! Żal mi tego Rzymianina - dygoce chłopiec.

- Głuptasku! Co ci to szkodzi? Niech oni powyrzynają się wszyscy, skoro się im to podoba. Co my mamy się wtrącać do nich?... To są nasi wrogowie... do końca świata!

- Jednakże, ojczy... Inni też czują... protestują krzykiem...

W istocie owo „Non licet!” pochwycone zostało tuż na okół ponad ich głowami na górnej ławie, zmieniając się na jednoznaczne: „Non oportet \*”, „Veto!\ „Precz z Wambą!”

- Tfy! Patrz... kto krzyczy! - odwrócił się starzec z obrzydzeniem.

Przełknął ślinę, aby nie splunąć.

Syn popatrzył - i zwiesił głowę, milczący zaś ojciec z zadowoleniem pogłaskał swoją siwą brodę patriarchy.

\* Nie uchodzi! (przyp. aut.)

W istocie ci, którzy wrzeszczeli, nie mogli wywołać zachwytu ze współnictwa uczuć w młodym semicie, znającym podobne typy z Aleksandrii. Jakkolwiek byli wykwinłni, budzili w nim zgorszenie. Mieli usta naróżowane, pudrowane twarze, zawinięte po kobiecemu loki, pieszczone palce w pierścionkach z brylantami, podczernione brwi, szaty podobne niewieścim - uperfumowane nawet mocniej, niż zwykł się perfumować cały światowy Rzym, przepadający wtedy za pachnidłami.

Surowe

prawa

Augusta

prześladowały

tych

zwyrodniałych,

czy

też

unieszczęśliwionych błędem przyrodzonej organizacji ludzi; nie zdołały jednak zapobiec ich praktykom, na które zresztą klasycyzm patrzył wyrozumialszymi oczami, niż nasza współczesność. Upoił się bowiem pieśniami Anakreonta i Ucztą Platona, który pod „miłością platonicką” rozumiał po prostu stosunki między młodzieżą męską, wiążące zarazem ciała i dusze.

Tyberiusz, ulegający temu grzechowi, nieobcemu nawet wielkim wodzom, Cezarowi i Hannibalowi, a później Kaligula - obaj zezwolili na puszczenie owych praw w niepamięć. To pozwoliło trzymającej się zwarcie gromadce zwolenników miłości przewrotnej usłać sobie dziś jawne gniazdko na galerii cyrku.

Kwitnąca piękność nagiego ciała Lucjusza, wydanego na łup Wambie, olśniła po niewieściemu łzawiące się oczy i zapiszczeli oni dyszkantami swoje: „nie pozwalałam!” Ale zasłyszawszy ciężkie stąpania i brzęk orężnej straży, rozstawionej wszędzie w przejściach, tchórzliwie zamilkli.

Nie dawało się nic odmienić w wyrokach losu.

Nie trwało to długo. Wprawdzie Lucjusz uczynił kilka zwinnych ruchów - obudził zachwytnie: „ach!” widzów - zdawało się, że szalę walki przeważą cudem odwagi na swoją korzyść. Mierzył po trzykroć z bliska w pierś przeciwnika. Ale ten tylko bawił się nim, jak kot myszą. Za każdym razem odskokiem gibkich nóg przelatywał mu nad głową. Potem

małpie susy pomnożyły się. Piętami nóg Murzyna wzbity piasek zasypał kurzem oczy Lucjuszowi. Już ten nic nie widział - niby ślepiec, zwracał się tu i ówdzie, bijąc mieczem w powietrze, a nie znajdując zręcznego potwora.

Niebawem znalazł się też w zgubnej sieci. Murzyn potężnych rąk zamachem miotnął sieć w górę, niby z rybą złowioną - uwikłał go, uczynił zeń bezoporny kłębek, zawrował zdobyczą - potem spuścił siatkę z ofiarą na nastawiony sztorcem trójząb. Nieszczęsny pierśią wbił się na ostrze.

Zacharczał; krew trysnęła z ran, rzuciła się ustami. Rechot Wamby zwiastował zwycięstwo.

O ratunku nie było mowy. Krzyk kobiet poleciał amfiteatrem. Mężczyźni wstawali, Rzym drgnął niezwykłym wzruszeniem. Murzyn zwyczajem czekał znaku dobicia. Klaudiusz, nie ważąc się w tej chwili nie policzyć z życzeniem tłumu, rozejrzał się po cyrku. Większość rąk wysuniętych zwróciła jednak palce ku dołowi, nie w górę, co byłoby prośbą do Cezara o łaskę. Nie było to w danym wypadku okrucieństwem. To była istotnie litość. Drgające na piasku areny ciało - trójrana w piersi w okolicy serca - wszystko świadczyło, że zwyciężony nie wyjdzie z męki: - należało ją skończyć.

Klaudiusz skierował gruby palec ku dołowi. Murzyn, trzymający w zębach nóż w pogotowiu, położył kres życiu młodzieńca... Już wleczono krwawe zawiniątko ku wyjściu z areny. Kilka kobiet zemdlało.

Mesalina była nieruchoma. Zamknęła oczy przy pierwszych wyczynach boju.

Przywołała w duszy cień ojca, iżby krwią dziedziczną, mocą swego wytrwania, dopomógł jej nie zdradzić wzruszenia w tej chwili. Gdy cały cyrk naraz krzyknął, zrozumiała, że „stało się”.

Peractum est\

Otworzyła oczy - patrzyła jak wleczono trupa. Była dziwnie spokojna. Tylko oczy jej były rozwarte tak szeroko, jakby chciały widzieć więcej, niż człowiek zobaczyć może - a nie widziały nic w tumanie, który nagle zakręcił się na arenie.\

Bo Klaudiusz mądrze nie pozwolił tłumom na wyrażenie zgrozy i żalu. Ledwie ciało znikło, a jeszcze zanim Murzyn koziołkując, zbiegł z areny - już nowe widowisko, jedno z najciekawszych, skusiło wszystkie oczy. Niepodobna było zebrać myśli, zawrócić wspomnieniem do rozegranej dopiero co walki, gdyż wraz z kurzawą, wznieconą nagle przez rojowisko łap zwierzęcych, obszary cyrku wypełnił wściekły ryk, wycie i pisk olbrzymiej masy dzikich zwierząt. Wypuszczone zostały jednocześnie ze wszystkich klatek, już oczekujących w ujawnionych nagłym rozsunięciem się marmurów otworach okolonej zagrody.

Zwierzęta, widłami szczute przeciw zwierzętom - kły olbrzymich czworonogów, szarpiące się wzajem - dzicz, oszalała w niewoli i głodna umyślnie, aby spróbowała w walce mięsa innych drapieżników; to była największa sensacja dla tłumów, gwóźdź dzisiejszego widowiska, przygotowany na jego koniec.

Klaudiusz rozmiłowany był w tym sporcie. Setki, nieraz wiele setek - na ów dzień osiemsetlecia przeszło jedenaście setek tej dziczy - zappełniło arenę. Przedtem w ciągu lat paru spędzano je na okręty, zwożono ze wszystkich podbitych krajów - z Afryki, Azji, Galii, Hiszpanii, Germanii, aby rzucić je na siebie i morzem krwi zalać arenę. Były tu lwy, dziki, słonie, lamparty, pantery, tygrysy, buhaje, konie Nilu...

Rzym oszalał z uciechy. Sławił teraz ofiarność Cezara. Klaudiusz promieniał zachwytem, dzieląc uciechę podwładnego sobie Rzymu. Co znaczył drobiazg - nikły epizod - ofiara z Lucjusza wobec tej czarownej hekatombi? Już zapomniał o nim - i Rzym zapomniał.

Walka dzikich zwierząt w tak niesłychanej obfitości - to była wspaniałość godna pamięci



wieków. Jeden z kronikarzy cesarskich zapisał o tym dniu w księgach pamiątkowych Rzymu:

„Tyle zwierząt drapieżnych szlachetny połów rzymski transportuje na arenę, że wkrótce tam, gdzie lew napędzał grozę na wszystkich, rozciągną się pastwiska dla setek tysięcy jagniąt, a Egipcjanin zbierać będzie żniwa swoje bez lęku, że go nosorożec Nilu wypłoszy przy pracy!”

Mesalina tępyimi oczami patrzy na tę rzeź zwierząt. Zdaje się, że wciąż jeszcze nic nie widzi. Jej twarz jest martwa, gdyby maska - oczy tępe - nieokreślony uśmiech błądzi po wargach. Słyszy ciągle ten ustawiczny złośliwie radosny śmiech Cezara. On bawi się, jak... dziecko!

Ale odór krwi sięga jej rozdymających się nozdrzy. Mdli ją, mąci w głowie. Zwraca się naraz do Cezara.

- Nie mogę dłużej... Cezarze, pozwól mi odejść...

Klaudiusz postrzega bladość małżonki. Jej piękna główka chyli się na piersi; powieki zapadają. Przeląkł się... Wielkodusznie postanawia:

- Wyjdziemy razem, kochanie!

Porzuca dla niej umiłowane widowisko. Rzym, porwany widokiem kłębiących się w uścisku wzajemnym, szarpiących się pazurami i kłami, olbrzymich cielsk - nie zauważył poprzez tumany kurzu, że para cesarska powstała. Wycie rozwartych paszcz, bryzgających krwią i śliną, zagłusza okrzyk przewodniczącego igrzysk:

- Wstać! Cezar i Augusta odchodzą.

Rzym nie powstał...

Rzym się bawi...

Cezar się nie gniewa - rozumie swój Rzym!

Rozdział V

Droga krótka a długa

Jakkolwiek od cyrku do pałacu Augustowskiego droga jest krótka, oczywiście stopy pary cesarskiej nie dotkną jej zabrukowania.

Przed cyrkiem oczekuje od chwili rozpoczęcia widowiska przez godzin wiele wspaniała lektyka cesarska. Jest cała ze srebra, posiada ozdoby złote - gryfy i posążki bogini Zwycięstwa na daszku, purpurowe firanki w oknach. Mieści miękkie poślanie dla dwóch osób. Kazał ją swego czasu zrobić Kaligula dla siebie i ukochanej siostry, grającej przy nim rolę małżonki wraz z jej obowiązkami. Nie zasiadła w niej, ponieważ w dniu, gdy lektyka stanęła gotowa przed pałacem, Druzilla nagle zmarła. Cezar popadł w rozpacz, zbudował chram jej imienia, w którym dotąd ku czci zmarłej składano ofiary. Lektyka stała w świątyni, póki jej nie kazał wyciągnąć Klaudiusz, aby oddać ją do użytku ubóstwianej Mesalinie.

Oto legli oboje po trudach przypatrywania się długiemu widowisku na amarantowych poduszkach lektyki, którą zaraz otoczyły liczne strażę, albowiem Klaudiusz, pamiętny losów poprzednika, ma się na bacności i nie tylko nie rusza nigdy w najkrótszą nawet drogę bez osłony z wiernych sług, ale często w jadalni musi widzieć dokoła obronne miecze, a już - podejrzliwy - nie ułoży się na spoczynek, zanim wszystkie kąty sypialni i miejsca pod łóżkiem nie ulegną dokładnemu zbadaniu.

Więc unoszeni są oboje na ramionach dziesięciu par nubijskich niewolników ku podwojom pałacu Augusta. Pałac ten zaledwo zwracający uwagę w czasach pierwszego jedynowładcy, kokietującego swoją skromnością obywateli, zaniedbany przez Tyberiusza, nie mającego zmysłu dla dzieł wielkiej architektury i zagrzebanego dobrowolnie pod koniec życia na wyspie Capri, w ciągu czterech lat rządów Kaliguli przeobraził się we wnętrzu w cud świata: przystroił się mnóstwem posągów i malowideł, posiadał strop w jadalni z mozaiki, zmieniającej kalejdoskopowo barwy i układ w ciągu doby za pomocą wymyślnej maszynerii, nabył ściany i kolumny z marmuru, bazaltu, jaspisu, lub z jakichś nowych mieszanin

minerałów, добыtych w odległych kopalniach i zwiezionych trudem tysięcy ludzi i koni - słowem, stał się bajką. Klaudiusz zdołał go dalej z kolosalną rozrzutnością dla swej Mesaliny, która w pewnej epoce oddała się całą duszą nowości zbytku i pięknu swojego domu, zanim hałaśliwość bliskich robót na skrzydle pałacu nie znużyła jej, skąd na jej prośbę zaprzestano dalszej przebudowy - po czym dopiero następca Klaudiuszowy, Neron, pchnął dalej prace budowlane, a pobudowawszy tu jadalnię, obracającą się wokół osi przy ustawicznej zmianie obrazów, zdecydował, że „nareszcie mieszka, jak... człowiek”.

Mesalina zarzuciła wpołżejąc pod głowę lśniące bransoletami nagie ręce, wychylające się z otworów tuniki. Obok niej Klaudiusz zrywa się ciągle z poduszek, paplając bez ustanku. Zmuszona jest wsłuchiwać się w tę jego gadaninę, która dziś ją razi, aczkolwiek dotąd była na nią obojętna, jako na konieczny dodatek do swego losu. Zresztą bawiło ją chwilami to jego ciągle przeskakiwanie z tematu na temat, ta dziwna małpia żywość myśli przy nieporadności sądu i niemożności skupienia się na jednym przedmiocie; a gdy była znudzona, udawała uprzejmym uśmiechem i potakiwaniem głowy, że go słucha, w gruncie rzeczy nieciekawa wszystkiego, co mówił. On zaś bodaj plótł raczej dla własnej przyjemności; bo nie wymagał od niej potwierdzenia, jakby w zrozumieniu, że porusza sprawy, które są zbyt zawile, gdy chodziło o politykę, nazbyt suche, gdy dotyczyły materii naukowych, aby zająć mogły śliczną główkę jego cierpliwej zresztą w posłuchu małżonki. Może Mesalina nie zdecydowała jeszcze po ów dzień, czy małżonek jej cesarski był wielkim uczonym, czy też okrutnym głupcem, lub wstydziła się pytanie to rozstrzygnąć na niekorzyść Cezara. Było coś niezrozumiałego dla niej w tym fakcie, że potrafił „myśleć tak nieustannie i tak dużo”, tyłoma rzeczami interesować się naraz - chwilami zdradzać olbrzymią pamięć szczegółów, dotyczących rzeczy najbardziej dalekich od życia, chwilami zapominał o tym, co było najważniejsze, lub co działo się wczoraj, a nawet tego dnia, i to przed minutą.

Czy jest wielkim dzieckiem, z natury dobroniosnym a bezwolnym, które cudza namowa, lub fala namiętności popycha do złośliwego figla? Czy był raczej jakąś mądra machiną, z której choroba powyrywała pewne cząstki może najważniejsze, bo pono już dzieckiem zapadał na różne niedomagania fizyczne i nawet sam nie potrafił się ubrać? Piąty rok związana z nim ślubami Hymenu, była przecież daleka od torów jego myśli - może przez lekkomyślność i obojętne rozleniwienie wśród wygod, może wskutek przebywania w sferze własnych niespełnionych marzeń. Lecz dzisiejszy wypadek wstrząsnął nią - ukazał jej naraz Klaudiusza z innej strony. Była oszołomiona lękiem, który już niekiedy bił na nią podczas jego wybuchów, lecz nigdy nie natężył się w tym stopniu, bo i nie miał tak tragicznej podstawy.

Wydawał się jej teraz stokroć odleglejszy od niej, niż był dotychczas - słuchała, co mówił, już bez dawnego niedbalstwa, raczej z pewną zgrozą, jakby głos jego przychodził do niej z drugiego brzegu przepaści i stał się nagle przykry swym podnieceniem i zmianami nagłymi tonu.

Co Cezar mówił?!

Już chyba sam nie pamięta o widowisku. Toć nawet nie napomknął o nim. A może umyślnie pomija wypadek, który - jak powinien był zauważyć - sprawił jej boleść. - Jestem zapracowany! - skarży się. - Czy uwierzysz? Wiesz, wydałem wczoraj, w jednym dniu, aż trzydzieści praw! Ba! Nawet już nie pamiętam wszystkich... Poczekaj!..."

Niech no przypomnę... Niektóre są doskonałe... Rzym uczi we mnie po moim zgonie geniusz prawodawczy. A, wiem! Oto jedno z tych praw: „Podczas przyszłego winobrania beczki powinny być dobrze smołowane”. Ten edykt ma być rozklejony po wszystkich wsiach... Senat już wydał rozkaz. A drugi edykt, uważaj, brzmi: „Przeciw ukąszeniu żmii najlepszym lekiem jest żywica z drzewa cisowego”. Rzym będzie mi wdzięczny za to mądre prawo.

Naraz poczyna się śmiać na całe gardło.

- Wydałem jeszcze jeden edykt, za który współczesność i potomność błogosławić mnie będą: „Pozwala się podczas uczt, nawet w domu Cezara, wypuszczać powietrze”...\*

Śmiejesz się?

- Nie śmieję się! - odpowiada mu tępo.

I on już jest poważny:

- To ze względu na tego pocziwca senatora Emiliusza Labeo, który tak powstrzymywał się od tego niezbędnego sposobu przyniesienia ulgi ludzkiej naturze, że rozchorował się okrutnie po ostatniej uczcie, wydanej przeze mnie dla Ojców Senatu... A wiesz co? - zauważa. - Ten mój faworyt, Narcyz, często wymienia mi nazwiska skazanych, na których, przysięgłbym na Jowisza! nie podpisałem wyroków... Rozumiesz, że zdarza mi się zapomnieć... Przy tylu wyrokach i powtarzających się imionach trudno spamiętać wszystkie. Ale boję się, że... niekiedy oszukują mnie.

\* Wszystkie te edykty są historyczne, (przyp. aut.)- To możliwe! - rzuca Mesalina drgnąwszy lekko. - Winienes sam sprawdzać, Cezarze, czy podpisałeś wyrok śmierci. Klaudiusz nie odczuwa słuszności tej rady, acz trafnie odgadł nadużywanie jego słabej pamięci ze strony ministrów.

- Chi! Chi! - śmieje się. - Ostatecznie wszystko jedno... Narcyz rozumie, że skarb państwa nie może być pusty... I potrafi wyszukać takich, którym należy skonfiskować zbytek fortuny. A tylko umarli nie mają zwyczaju dokuczać mi skargami... Tak! Tak! W nierówności majątków tkwi wielka niesprawiedliwość! Państwo powinno być jedynym bogaczem!

Co on mówi?!

Opowiada zaraz potem, że ministrowi finansów Pallasowi wdzięczny senat z inicjatywy jego, Klaudiusza, przyznał wczoraj nagrodę w sumie pięciu milionów sestercji za

wyborne prawo.

- Zgadnij, Mesalino, za jakie?

- Nie mogę zgadnąć...

- Prawo to brzmi: „Jeżeli matrona rzymska bez wiedzy męża wejdzie w stosunek płciowy z niewolnikiem, będzie sama za niewolnicę uważana. Jeżeli dowiedzione będzie, iż mąż o tym wiedział, uważana być ma za wyzwolenkę”. Zasłużył się nasz Pallas! A wiesz co?

Zadowolili się tą nagrodą. Powiada, że żyć pragnie w swoim ubóstwie. To jest piękne!

Pallas ma już w majątku 300 milionów sestercji. Jest jednym z najbogatszych ludzi w

Rzymie; zdobył ten majątek łapówkami, sprzedawaniem tytułów obywatelskich,

denuncjacjami w sprawach obrazy majestatu. A Klaudiusz sądzi, że ów jest prawie

biedakiem, gdyż nie rozumiejącemu ceny pieniądza 5 milionów za powyższe oryginalne

prawo wydaje się nagrodą skromną. Tak samo sądzi senat.

Oto ocena wartości monety w tym czasie, kiedy złoto jest bożkiem i rozrzutność nie

zna żadnych granic. Mesalina milczy - bo i ona nie ma pojęcia o wartości pieniądza. Ani to

prawo, ani rozmiar nagrody dla projektodawcy nie poruszają jej. Myśl jej powraca

ustawicznie do... wypadku w cyrku...

Wielki Jowiszu! - jakże ten człowiek terkotem języka przeszkadza jej skupić się!

Opowiada teraz, że zarzucił czasowo pisanie dzieł o kulturze etruskiej, że przystąpił do

sporządzania swojej autobiografii - (napisze w istocie 23 tomy drobiazgowych wspomnień o

wojnie pomiędzy Oktawianem a Antoniuszem według tego, co zasłyszał o tym w

dzieciństwie) - że nadto zamierza napisać historię wojen Rzymu z Kartaginą -e

rozpocznie ją dziś jeszcze w nocy. (I tę napisał w 8 tomach. Ale czas wszystkich tych

dzieł Klaudiusza nie raczył zachować dla potomności). Jakże ta krótka droga wydaje się długa

Mesalinie!

## Rozdział VI

### Tragifarsa przewrotu dziejowego

Jak się stało, że ten człowiek, którego psychiatra XX wieku zakwalifikowałby po prostu do domu obłąkanych został powołany na tron cesarski?

Byłoby naiwnością nie do przebaczenia sądzić, że tron wielkiego państwa nie godzi się z obłądem panującego...

Było to możliwe nie tylko w Rzymie bezpośrednio po rządach czteroletnich Kaliguli, który potrafił zaciekawiać się, „Jak wyglądać może senator, rozdarty na drobne kawałki”, i zaraz służba przy uczcie rozdarciem gościa zadowalała kaprys cesarza. Nic tylko wówczas po Kaliguli, który w poczuciu swojej boskości snuł głośno teorię, że „pomiędzy cesarzem a poddanymi jest taka sama przepaść, jak między pasterzem i stadem baranów”. Było to możliwe nie tylko dlatego, że swawoli bezbrzeżnej na tronie odpowiadała już postawa niewolnicza tłumów - pełzanie przed Kaligulą senatora Witeliusza Primusa, który przywiózł z Syrii obyczaj padania w proch przed władcami i pochlebco głosił „boskość” człowieka, panującego Rzymowi.

Albowiem o wiele, wiele wieków później, było to nie mniejszą możliwością, czy to na zachodzie Europy, gdzie panowali ponurzy wariaci w rodzaju Filipa, bawiącego się ciałami ludzkimi, skwierczącymi na stosach, czy w Moskwie, gdzie Iwan Groźny radował się topieniem nowogrodzian w rzece, czy później jeszcze, gdy z tronu błysnął, acz na krótko, idiotyzm Piotra III lub Pawła. Z psychiczną chorobą wiązały się trony angielski i bawarski jeszcze w XIX stuleciu.

Cesarze mają prawo wariować nie mniej niż tłumy, rządzone przez nich, nie mniej niż całe narody i epoki...

Ale dojście Klaudiusza do władzy było. jako fakt dziejowy, jedną z najbardziej

ciekawych niespodzianek losu, przepyszną, groteskowścieną tragikomedii dziejowej, wybuchem śmiechu muzy historycznej Klio poprzez świeży opar krwi...

A dlatego warto ją opowiedzieć.

Rzecz dzieje się według naszej daty na trzy lata przed wyżej opisanym przedstawieniem, tj. w 41 roku po narodzinach Chrystusa.

Kaligula znajduje się w teatrze wraz z wujem Klaudiuszem. Widowisko jest interesujące: przybito do krzyża wodza rozbójników. Przybito naprawdę - rozbójnika prawdziwego! - co jest ciekawsze od już przestarzałych dla widzów tragedii Eschyla i Eurypida, i nawet nowoczesnych komedii Rzymianina Plauta. Aktorzy nie udają, cierpią w istocie. Ale konanie trwa przydługo. Kaligula poziewa...

Asprenos, króty należy do spiskowców, doradza Cezarowi, aby udał się do pałacu, wykapał się, zjadł, wypił, a potem powrócił na koniec widowiska, jako że jest to ostatni dzień igrzysk, które zamykać zwykł Cezar. Kaligula powstaje. Równocześnie powstaje współspiskujący Mi-nucjan.

- A ty po co odchodzisz, kochanku? - pyta Kaligula.

Minucjan posłusznie zajmuje miejsce, ale niebawem po wyjściu

Cezara wymyka się z teatru.

To wszystko uderza publiczność, która zawsze ciekawie spogląda ku łożu cesarskiej.

Tylko jeden Klaudiusz, jakkolwiek siedział tuż przy cesarzu, zagapiony na scenę, nic nie widzi. Nas>trój w teatrze jest taki, jakby przeczuwano wagę zbliżających się rzeczy. Tylko Klaudiusz nie zgaduje nic...

Nie zauważył, że tuż blisko pewien senator zwraca się do konsula: czy nie słyszał czegoś nowego? Wprawdzie obaj starają się mówić cicho. „Nic!” - mówi konsul, a szeptem dodaje:



- Dziś w programie mamy Zabójstwo tyrana.

- Milcz! Mamy sąsiada - wskazuje senator Klaudiusza.

Cherea. głowa spisku dowódca straży cesarskiej, oburzony na

Cezara, który przez figle narzucał mu okropnie ordynarne hasła, symbolizujące mniej

przyzwoite części ciała - niecierpliwi się już oczekiwaniem w przejściu pomiędzy teatrem i

łaźnią pałacową.

Wreszcie słychać kroki Cezara.

- Hasło?! - wykrzykuje w półciemnym korytarzu Cherea, otoczony kilku

współspiskowcami wyższych oficerów.

- Czyś oślepl? - pyta Kaligula - nie widzisz, że idzie Jowisz?

- Czyś ogłuchl? - pyta Cherea. - Nie słyszysz jego gromu!? Usłysz!

I mieczem siecze go przez łeb.

A zaraz przyskakują towarzysze i zanurzają miecze w jęczącym, dobijając go z

krzykiem:

- Poznaj piorun Jowisza, wyrodku!

Wywlekają trupa i rzucają na schody tarasu.

Wiadomość o zamordowaniu Cezara rozchodzi się błyskawicznie po pałacu. Rusza się

zaufana gwardia cesarska z Germanów. Z wściekłymi okrzykami opasuje teatr, wpada do

środku - szuka morderców; siecze na oślepl tych, co się nawinęli pod rękę. W pałacu roi się od

ludzi. Biegają niewolnicy i żołnierze. Wrzawa:

„Gdzie mordercy? Gdzie mordercy?!”

Trup Cezara leży na tarasie, a na nim dwa inne: trup żony cesarskiej, Cezonii, której

ubolewania nad tyranem rozdrażniły jednego ze spiskowców; położył on koniec skargom,

zresztą na jej własne żądanie: „Zabij i mnie!” - i trup córki Cezonii z pierwszego małżeństwa,

małej, która chciała „umrzeć razem z mamą”.

Dzień i noc trwa tumult w pałacu, na ulicach, placach, w zaułkach...

Klaudiusz popadł w strach okrutny.

Z teatru został popchnięty uciekającą falą ludzką... Jednym z wejść bocznych wkroczył do pałacu, szukając w nim jakiejś zbawczej kryjówki. Najpierw zbiegł do obszernych podziemi - do tak zwanego pawilonu „Hermesa”, ale wypłasza go stąd tupot kroków ludzkich nad głową; ma wrażenie, że szukają go, aby go zgładzić. Po krętych schodach wędruje z piętra na piętro - wszędzie ta sama trwoga. Ostatecznie wymyka się na dach, gdzie znajduje się wspaniały balkon. Są tam drzwi wejściowe podwójne. W ciemnym kącie między dwiema portierami siedzi Klaudiusz i dygoce...

Rzym nie ma cesarza.

Już na placach publicznych i w salach narad senatu toczy się walka o zmianę systemu rządzenia. Budzą się ze śpiączki stuletniej dawne rody arystokratyczne. Jest mowa o przywróceniu starodawnej Republiki. Głosy republikanów, którzy prawią o cnotach dawnych i klną zbrodnie cesarstwa, zdają się zwyciężać. Tłum rzymski już podaje im ucho...

A Klaudiusz wciąż jeszcze dygoce w swojej kryjówce. Nie wytyka nosa z niej przez całą dobę. Osłabł z głodu i potów śmiertelnych. Ku wieczorowi postanawia wyleźć ze swej nory, udać się do domu. Lecz zaledwie uszedł parę kroków, strach opada go ponownie. Powraca w ciemny swój kąt...A po pałacu krąży jeszcze jakiś uparty żołnierz. Zwie się Gratus, co znaczy „wdzięczny”. Wdzięczny cesarstwu i Kaliguli?! Historia określa tego chama bliżej: „zdaje się pastuch świń, czy stajenny z Tracji”. Poszukuje on jeszcze spiskowców.

Wtem spostrzega, że kotara poruszyła się... Spoza niej wysunęło się gołe kolano.

Żołnierz podchodzi - odsuwa firankę.

Klaudiusz wyciąga doń błagalnie ręce: „Ratuj mnie!”

Gratus wypycha z kąta drżącego człowieka, wzywa towarzyszy: „Mamy tu jednego!”

Teraz Klaudiusz znalazł się w świetle.

- Ależ to Klaudiusz! - woła żołdak.

- Nie zrobiłem nic złego! Nie zabijajcie mnie! O niczym nie wiem! - piszczy załośnie stryj cesarski.

Ale Gratus wpada nań z furią:

- Nie pleć głupstw! Kaligula umarł... dzięki Bogu! Chodź ty, bądź naszym cesarzem!

Pretorianie chcą mieć cesarza.

Gromadka żołdaków z Gratusem na czele wnosi Klaudiusza na karkach swoich do sali pałacowej. Wędruje on z rąk do rąk, pomny, że igrają z nim, że za chwilę go zabiją. Wrota pałacu są otwarte na oścież. Wali w nie tłum. Przybywa coraz więcej żołnierzy.

Podzielają zdanie Gratusa. Nie ma co naradzać się: „Jest cesarz!” Pospiesznie zabierają Klaudiusza - bezmownego zanoszą do koszar. Tu, rzucony na posłanie, nocuje bezsennie, wciąż jeszcze przebywając w dreszczu i potach lęku o żywot własny.

Nad ranem dochodzi go wieść, że senat uradził przywrócić republikę. To zdwaja jego strach. Na pewno zetną mu głowę za uzurpację.

A wtedy ironia dziejowa miesza się po raz drugi w wypadki... Rozpoczął farsę żołdak, świniarz. Dokończył jej król żydowski, Idumejczyk, bawiący przygodnie dla rozrywki w Rzymie. Gratus powołał Klaudiusza na tron. Agrypa podsadzi go nań. Ma on spryt żydowski, potrafiący czasem sprawić cuda. Rozruchy w Rzymie i zamęt myśli tłumów, spierających się o przyszły ustrój - jest to mętna woda, w której chytry Idumejczyk, wnuk Heroda, członek dynastii panującej Żydom za łaską rzymską, znieawidzonej przez lud żydowski, potrafi łowić ryby - wyciągnąć korzyści polityczne dla podwładnej mu części Palestyny i dla swego

rodu. A po pałacu krąży jeszcze jakiś uparty żołnierz. Zwie się Gratus, co znaczy

„wdzięczny”. Wdzięczny cesarstwu i Kaliguli?! Historia określa tego chama bliżej: „zdaje się pastuch świń, czy stajenny z Tracji”. Poszukuje on jeszcze spiskowców.

Wtem spostrzega, że kotara poruszyła się... Spoza niej wysunęło się gołe kolano.

Żołnierz podchodzi - odsuwa firankę.

Klaudiusz wyciąga doń błagalnie ręce: „Ratuj mnie!”

Gratus wypycha z kąta drżącego człowieka, wzywa towarzyszy: „Mamy tu jednego!”

Teraz Klaudiusz znalazł się w świetle.

- Ależ to Klaudiusz! - woła żołdak.

- Nie zrobiłem nic złego! Nie zabijajcie mnie! O niczym nie wiem! - piszczy żałośnie stryj cesarski.

Ale Gratus wpada nań z furją:

- Nie pleć głupstw! Kaligula umarł... dzięki Bogu! Chodź ty, bądź naszym cesarzem!

Pretorianie chcą mieć cesarza.

Gromadka żołdaków z Gratusem na czele wnosi Klaudiusza na karkach swoich do sali pałacowej. Wędruje on z rąk do rąk, pomny, że igrają z nim, że za chwilę go zabiją. Wrota pałacu są otwarte na oścież. Wali w nie tłum. Przybywa coraz więcej żołnierzy.

Podzielają zdanie Gratusa. Nie ma co naradzać się: „Jest cesarz!” Pospiesznie zabierają Klaudiusza - bezmownego zanoszą do koszar. Tu, rzucony na posłanie, nocuje bezsennie, wciąż jeszcze przebywając w dreszczu i potach lęku o żywot własny.

Nad ranem dochodzi go wieść, że senat uradził przywrócić republikę. To zdwaja jego strach. Na pewno zetną mu głowę za uzurpację.

A wtedy ironia dziejowa miesza się po raz drugi w wypadki... Rozpoczął farsę żołdak, świniarz. Dokończył jej król żydowski, Idumej-czyk, bawiący przygodnie dla rozrywki w

Rzymie. Gratus powołał Klaudiusza na tron. Agrypa podsadzi go nań. Ma on spryt żydowski, potrafiący czasem sprawić cuda. Rozruchy w Rzymie i zamęt myśli tłumów, spierających się o przyszły ustrój - jest to mętna woda, w której chytry Idumejczyk, wnuk Heroda, członek dynastii panującej Żydom za łaską rzymką, znieawidzonej przez lud żydowski, potrafi łowić ryby - wyciągnąć korzyści polityczne dla podwładnej mu części Palestyny i dla swego rodu. Agrypa udaje się do Klaudiusza. Jest z nim w izbie koszarowej sam na sam.

- Pomóż mi wyjść stąd - prosi Klaudiusz. - Żołnierze zatrzymują mnie tu. Idź do senatu; wytłumacz, że ja wcale nie pragnę być Cezarem.

- Brednie, Klaudiuszku! Kto ma w łapach koronę, nie powinien jej wypuszczać. Nie pomogę ci wyjść. Ty musisz być Cezarem! Siedź tu w koszarach, a ja będę działał w senacie za ciebie.

- W jaki sposób?

- W tym moja głowa!...

Klaudiusz jest zdumiony. Czeka...

A król żydowski Agrypa udaje się do senatu. Głowę namaścił, zatacza się, na salę obrad wchodzi wesoły. Udaje pijanego. Jakoby wrócił dopiero co z uczyty u przyjaciół. Nic nie wie.

Rzuca pytanie senatorowi:

- A co porabia Klaudiusz? Jakoś go nie widać. Chciałbym go odwiedzić.

Senat ufa prostodusznie Agrypie. Wie, że jest to człowiek doświadczony; nieraz zadziwiał on swoją zdolnością do rozbioru trudnych kwestii. Bawiąc w Rzymie, popisywał się swoją mądrością przed ludźmi, którzy przestali myśleć, pogodziwszy się ze wszystkim, co się działo: z łaskami i niełaską Cezara - stępieli w rozpuście i niepewności losu.

Ktoś z senatorów rzuca pytanie:

- Agrypo! Jaka forma rządu jest zdaniem twoim najlepsza?

Idumejczyk jakoby trzeźwieje. Składa rękę na piersi i oświadcza:

- Senacie rzymski! Zanim odpowiem, pragnę ci złożyć hołd... O, ty najdostojniejsza z instytucji świata, która trwasz przeszło lat pół tysiąca... Jakże chętnie oddałbym życie za to zebranie, w którym myśl o dobru republiki wiąże tyle mądrych i szanownych głów...

Senat jest ujęty. Nie widzi poza mrużącymi się powiekami blasku chytrych źrenic, tajnej myśli dowcipnego króla żydowskiego, który wymyślił sobie, że więcej osiągnie korzyści od jednego, a słabego Cezara, niż od tego kilkusetgłowego a wiecznymi sporami partyjnymi obezwładnionego w próbach działania senatu.

Agrypa mówi:

Jaka forma rządu jest najlepsza?! Kto to wie?... Kto wiedzieć może?... Jedna jest dobra dziś, druga jutro, jedna dobra tu, druga tam. Gdybym chciał mówić jako Żyd, mógłbym powiedzieć: ta, która naśladuje niebo... Jeden jest Bóg na niebie, więc winien być jeden Cezar na ziemi. Ale nikt z nas nie wie na pewno, co się dzieje za obłokami: oże niebo jest właśnie greckie, lub rzymskie i o ziemi radzi wielu gów; to nie jest wykluczone wobec kłótni wysłańców niebieskich, ywiołów na ziemi. Jednak i na niebie Jowisz jest ojcem bogów... jako Bóg żydowski rządzi aniołami i diabłami... Mniejsza jednak o rzeczy niebieskie, gdy trzeba urządzić ludzkość praktycznie. Więc myślę:

Słuchano w napięciu końca tych ostrożnych wywodów...

- Myślę, że powinienem mówić, jak Rzymianin do Rzymian. Jaka forma rządu jest najlepsza? Wszakże ta, co Rzym uwolni od wojny domowej, bratobójczej... Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że starzy wysłużeni żołnierze opowiedzą się za monarchią, za krwią Julio-Klaudiańską, do której przywiązali się w ciągu lat dziesiątków. Klaudiusz może stanąć na ich czele... A co pomogą wtedy wasze głowy i języki... przeciw mieczom?... Należy więc,

zdaniem moim, wysłać kogoś do Klaudiusza i poprosić go, aby dobrowolnie zrzekł się tronu, a gdyby Klaudiusz nie zgodził się na to, trzeba będzie... poprosić go, aby przyjął władzę i rządził łaskawiej niż jego poprzednicy. Jeżeli Klaudiusz posłucha, będziecie mieli republikę bez wojny domowej; jeżeli odmówi zyskacie monarchię łagodną... A w każdym razie obejdzie się bez rozlewu krwi, do czego przecież każdy człowiek rozsądny przede wszystkim dążyć powinien, bo najlepszą formą rządu jest ta, która stwarza pokój w domu i oszczędza żywoty tysięcy...

Przemówienie to tak trafiło senatorom do przekonania, że uradzono wysłać do Klaudiusza tego właśnie mądrego żydowskiego króla, aby nakłonił go do zrzeczenia się tronu.

- Przyjmuję, ale jeżeli nie podołam zadaniu... to nie weźmiecie mi tego za złe...

- Nie! nie! nie! Pertraktuj w naszym imieniu...

Czcigodny makler udał się natychmiast do obozu, doradził Klaudiuszowi. aby „dał senatorom odpowiedź godną jego wielkości i cesarskiej krwi”. Nadto namówił go, aby zaraz pociągnął wojsko do przysięgi na wierność cesarzowi; niech zapowie zarazem, że natychmiast po wstąpieniu na tron każdemu żołnierzowi z gwardii cesarskiej udzieli w darze 50.000 sestercji - oficerom podwójnie, w ogóle zaś podwyższy żołd wszystkim oddziałom armii.

Klaudiusz posłuchał dobrych rad pochlebcy. Złota wędka podziałała na wojsko.

Agrypa zaniósł senatowi odpowiedź Cezara: „nie godzi się!” - Doniósł zarazem o mocnej postawie legionów, które zamierzają ponoc

4 - Mesalinapodażyć na senat i rozpędzić opornych. Wysłany został ponownie, jako parlamentariusz do Cezara, niosący mu kapitulację republikanów.

Klaudiusz potrafił wynagrodzić po monarszemu swego doradcę i powiększył państewko, rządzone przezeń, dodatkiem ziem pod Libanem; rozstrzygnął spór Greków i

Żydów w Aleksandrii z olbrzymią korzyścią dla Żydów; nadto nadał Żydom w Rzymie  
mnogie przywileje handlowe i obywatelskie.

- Wielkość łask twoich odpowiada wielkości twojej władzy monarszej! - rzekł  
dwujęzyczny Agrypa do Cezara.

Tym sposobem dzięki losowi, który działał przez ręce ordynarnego żołdaka i przez  
kłamliwy język zręcznego cudzoziemca z małej Palestyny - olbrzymie państwo rzymskie,  
składające się z 22 prowincji, obejmujące cały ówczesny świat cywilizowany, łączy trzech  
części świata nad Morzem Śródziemnym - otrzymało pana w półgłówku, na którego miliony  
ludzi pooglądały jak na bóstwo!

## Rozdział VII

### Przypomnienie

Kiedy para cesarska znajduje się już w vestibulum pałacu, naraz Klaudiusz wybucha  
śmiechem, uderzywszy się w czoło...

Straże zatrzymują się i śmieją się również, czy dlatego, że śmiech je zaraża, czy  
dlatego, że wypada śmiać się, kiedy Cezar jest w dobrym humorze.

Mesalina zatrzymuje się i pyta, jak przystało według zasad etykiety, gdy nie są już we  
dwoje:

- Co tak śmiesz boskiego Cezara?

- Ach! Bo przypomniałem sobie... że... że...

I znów krztusi się śmiechem.

Mesalina przypomina sobie, jak jeszcze w ich czasach narzeczeńskich opowiadał jej,  
krztusząc się podobnie, o pewnym nieudanym swoim odczycie. Miał wtedy przeczytać ustęp  
ze swojego dzieła z dziedziny archeologii; aliści ledwo rozpoczął, załamała się jedna z ław  
pod kilku zbyt ciężkimi słuchaczami, którzy nagle „fknęli kozła”. Opisał ich



minywystraszone i tak je wybornie naśladował, że pobudził dostojnych gości do śmiechu. Chciał potem czytać, lecz śmiech nie ustawał. On sam zresztą tak był rozbawiony, że co rozpoczął swój odczyt, wybuchał śmiechem, bawiąc innych. Ostatecznie odczyt wypadło odłożyć. Opowiadał o tym, dusząc się ze śmiechu... i wówczas zmęczył ją głupim swym śmiechem.

- Teraz znowu to samo! - pomyślała.

Wreszcie Klaudiusz wysapał się i wyjaśnił powód swej wesołości:

- Wyobraź sobie - już nie dodał tytułu - że zapomniałem na śmierć, iż mamy tu poselstwo dostojników z Jerozolimy. Nie chcieli przyjąć zaproszenia do cyrku, więc poleciłem ich zatrzymać w pałacu, aż do mego powrotu. Biedactwa! Musieli się wygłodzić, bo kazałem im podawać tylko potrawy z wieprzowiny... cha! cha! cha!

Pamiętał, że Kaligula obszedł się w podobnie lekceważący sposób z ostatnią delegacją judejską. Przywitał ją w Rzymie przyjaźnie, ale poprosił, aby wysłannicy Palestyny udali się za nim do Neapolu, gdyż tam musi obejrzeć nowe budowle. Żydzi dreptali za nim przez cały dzień wszędzie, dokąd się udał.

Wreszcie ku wieczorowi zwrócił się do nich krzykiem: „Czy to prawda, że nie jadacie świniny?!” Po czym kazał im odjechać. Na tym skończyła się audyencja.

Klaudiusz jednak nie miał zamiaru być aż tak niedostępny. Przybysze ze wschodu interesowali go. Nie darmo był przecież badaczem obyczajów różnych ludów ziemi.

Zaproponował nagle małżonce:

- Wiesz co. zjemy wieczerzę w audiencyjnej sali. Przeprowadzę z nimi równocześnie dysputę. Nie masz pojęcia, jacy oni są zabawni. Herod Agrypa opowiadał mi o nich rzeczy pocieszne. Ubawią cię więcej, niż mimy. grajkowie i tancerze...

Rzucił to porównanie, gdyż było w zwyczaju, że podczas ich wspólnej wieczerzy parę

cesarską zabawiano grą, tańcami i sztuką mimiczną...

- Musisz ich zobaczyć!

Była śmiertelnie znużona.

Ale owo: „musisz” brzmiało jak rozkaz. Nie miała zresztą siły do oporu. A może po okrutnej scenie w cyrku czuła sama potrzebę zapomnienia się, zagłuszenia wspomnień byle czym, jakimś nowym wrażeniem, zby tylko nie zostać sama! Aby tylko nie myśleć o tamtym, co się stało i odstać się nie może. Ocaliła się egoistycznie od natręctwa obrazu, który trwał wciąż przed jej oczami i boleśnie drażył jej duszę... odparła:

- Dobrze, Cezarze!

Księga druga

Kontrast narodów ducha i materii

Rozdział VIII

Świątynia Jerozolimska

Świątynia Jerozolimska owej epoki, w kolei historycznej trzecia, należała niewątpliwie do cudów świata. Przepychem i mądrością architektury równała się bodaj egipskiej świątyni w File, chramom Zeusa na Partenonie i Jowisza na Kapitolu, z którymi przecież trudno było jej budowniczym konkurować, gdyż skrepowani byli przez Zakon Mojżeszowy niemożnością zdobienia żydowskiej bożnicy za pomocą rzeźb i malowideł. Więc cała piękność legła w stylu, kształcie, ogromie budowy. Dźwignięta na górze wysokiej ponad przepaścią skalną, imponowała światu sztuką geniuszu niewiadomych architektów i trudem tysięcy bezimiennych robotników.

Józef Flawiusz, świadek jej zburzenia i historyk ostatniej wielkiej wojny żydowskiej, opisując cud tej świątynicy. woła w zachwycie:.. Całe jej zewnątrz musiało zachwycać wszelakie oko i wszelaką duszę! Ściany, pokryte wszędzie ciężkimi złotymi płytami, o

wschodzie słońca jaśniały żywym blaskiem ognia, rażąc oczy. niby świecenie słońca. Gdy pielgrzym do Jerozolimy dążący, spojrział z daleka ku świątyni, zdawało mu się, że ma przed sobą górę, pokrytą śniegiem: bo gdzie nie było blach, świeciła jasność kamienia. Cały przybytek na swym wierzchu był najeżony złotymi strzałami, aby go ptactwo nie obsiadało i nie zapaskudzało” \*.

Można uwierzyć entuzjastycznej ocenie Józefa Flawiusza. gdyż był on nie tylko znakomitym historykiem jak świadczy jasność, obrazowość,

\* Józef Flawiusz. Dzieje wojny żydowskiej, przekł. A. Niemojewskiego. s. 368.

(przyp. aul.) ścisłość jego stylu, wyprzedzającego geniusz Tacyty - ale był nadto jedynym imiennym Żydem na przestrzeni przeszło 3000 lat od zakazu drugiego przykazania Synajskiego, który posiadał zmysł piękna w tak wysokim stopniu, iż ocenił urok rzeźb pogańskich i umiał oddać hołd chramowi Jowisza Kapitońskiego \*.

Rozumie się samo przez się, że nie może iść w żadne z tą świątynią porównanie druga świątynia, acz budowana przez pobożność gorliwszą i szerszą Ezdrasza, wypuszczonego z niewoli za szlachetnym przyzwoleniem perskiego króla, Cyrusa. Albowiem ta świątynia, jakkolwiek rozpoczęta przez pobożnych, którzy z rozkazu Ezdrasza odpędzili ryczałtem swoje żony „z krwi obcej” i dzieci, poczęte w Babilonie - ta przecież pozostała ledwo skromnym początkiem, zarzuconym rychło, jako że „niepodobna było” jej budować wspólnie z garnącymi się do tej roboty Samarytanami, albowiem ci krew Izraela pomieszali w swych żyłach z krwią obcą, i obłądnie sądzą, iż ich pomoc może być miła Jehowie, nie znoszącemu „mczaliansów” w narodzie wybranym.

Ale niewątpliwie przechodziła ta trzecia wspaniałością i czarem budowlanym nawet przesławną świątynię Salomona, choć płaczącym przez dwa tysiąclecia pod szczątkową jej ścianą pielgrzymom żydowskim niewątpliwie dziś się wydaje, iż oplakują świątynię swojego

wielkiego i najmędrszego z królów na świecie. Dość porównać opis Flawiusza z opisem Kronik biblijnych, aby się o tym przekonać. Wprawdzie znany zmysł piękna żydowskiego kronikarza daje nam pojęcie o krasie tej pierwszej świątyni, zapisując dla pamięci wieków, że..miała 60 łokci wzdłuż, a wszerz łokci 20, a przysiónek był na 20 łokci a wzniesienie 120 łokci, a święte świątyni miało 20 łokci”. Lecz gdyby chodziło tylko o piękno, mierzone na łokcie, to i tu rozmiary trzeciej świątyni, podane przez Flawiusza, imponują co najmniej pięciokrotną przewagą: np. „strona licowa przybytku szeroka i wysoka na 100 łokci”.

Nie chcemy wszakże uchybić pięknu domu Pańskiego, zbudowanego przez Salomona.

Wszakże Hiram, król Tyrski, za dostawę pszenicy, jęczmienia, wina, oliwy, przysłał na prośbę Salomona najumiejniejszego..mądrym i roztropnym architektem” fenickiego. aby Żydom pobudował świątynię. A był to człowiek, który „umiał robić złotem, srebrem, miedzą, żelazem, kamieniem, szkarłatem, hiacyntem, jedwabiem kar-mazynowym” i miał ku pomocy..cudzoziemców”, których przy tej

\* Tamże. s. 473-475. (przyp. aut.) sposobności Salomon obliczył; a było ich wówczas na ziemi Izraela 153.600 i tych niewolników mądry król żydowski zaciągnął do roboty stawiania domu Bogu żydowskiemu: „70.000 z nich nosiło ciężary, 80.000 rąbało cedry na górze, 3600 dozorowało roboty”, aż stanął dom Boży, godny imienia Izraela. Albowiem był to naprawdę mądry król żydowski, gdyż liczył się tylko z własnym gustem, wzięwszy sobie 3000 żon poganek, czczących swoje bożki, a skończył życie jak prawdziwy despota wschodni i doskonały poganin. Zdaje się więc, że niezbyt oglądał się na przepisy Zakonu, skoro w świątyni Boga Izraela polecił ułożyć wokół ołtarza z miedzi wizerunki wołów egipskich - „dziesięciu na każdy łokieć”, oraz „wrył na ścianach Cherubiny, oprawione złotem”. Lud żydowski przebaczył mu nieświadomie wszystko, ponieważ same „gwoździe do świątyni ważyły 50 syklów złota, a cała sala przybytku była powleczone złotem”; złoto zaś miłe jest

bogom, nie wyłączając Jehowy.

Do wszystkich licznych nieszczęść Izraela - z pewnością najniezwyklejszego z  
ludów ziemi - przybywają jeszcze te dwie gorzkie, a nigdy przezeń nie ujęte ironie dziejowe:  
oto pierwszy dom Boży. miejsce, w którym Wszechobecny specjalnie się osiedlił, gdyż gdzie  
indziej bywa tylko przejazdem z ludem wybranym na wygnaniu (w „golusie”), pobudował  
Żydom król-poganin. drący zeń okrutne podatki, a owa ostatnia świątynia, tak czarowna i  
pamiętna, zbudowana została przez nienawistnego Żydom króla Heroda Wielkiego,  
Idumejczyka. A jeżeli Salomon posługiwał się geniuszem fenickim i marmurem korynckim.  
to wielki Herod posługiwał się smakiem pogańskim i geniuszem architektury rzymskiej, oraz  
materiałami i wzorami greckimi - i bodaj czynił tak pewnie przez wrodzoną złośliwość.  
Albowiem był to w istocie łotr nad łotrami, morderca swojej rodziny, zbrodniarz, ohydniejszy  
nawet od potworów na tronie, cesarów rzymskich, i poczciwy lud żydowski musiał go  
słusznie zniechęcić mimo jego wiekopomnej zasługi przed Bogiem. Nadmienimy, że ten  
chytry Idumejczyk do wszystkich swoich zbrodni dodał jeszcze tę największą, iż nie miał ani  
odrobiny wdzięczności dla Żydów, jakkolwiek powstaniec Judasz Machabeusz w  
wyjątkowym zapale prozelickim - nawrócił jego przodków na łono Izraela, wykonawszy  
gwałtem generalne obrzezanie na kilku tysiącach podbitego idumejskiego ludu. Był to wielki  
akt postępu tolerancji, bo dobroduszny Jozue, następca Mojżesza, byłby ich z pewnością  
wyrzucił metodą średniowiecznych Rauhritterów i nowożytnych chuliganów, znęcających się  
nad gettem. Ów Herod był przecież o tyle lepszym Żydem od  
Salomona, że nie wprowadził do świątyni żadnych rzeźbiarskich dodatków, które  
uraziłyby oczy kapłanów... prócz orła, którego naturalnie Izrael zrzucił z frontonu i  
roztrzaskał, jako rzecz ohydłą.

Świątynia Heroda Wielkiego była zatem niewątpliwym cudem. Musiała nim być,

skoro oblegający ją wódz rzymski, a przyszedł Cezar - jeden z najszlachetniejszych władców w dziejach - Tytus, pragnął ją ocalić, a ten zamiar nie powiódł mu się li dlatego, że podrzuciło do zdobytej świątyni ogień rozpasane żołdactwo rzymskie, wywierając rzeź na tysiącach jerozolimskiego ludu w odwet za rzeź, którą tysiącom w obozie rzymskim sprawiła mężna postawa powstańców w przerwach pomiędzy całopaleniami ofiarnymi na rzecz interwencji Bożej.

Świat żydowski nie przeszedł nigdy do porządku dziennego nad tą stratą, acz przez swoistą logikę przeklął genialnego Żyda Józefa Flawiusza, który w męce okrutnej opuścił szeregi powstańcze, przyszedłszy, jako wódz rozważny do wniosku, że nieuczona zbieranina żydowska nie dotrzyma placu bitnym legionom rzymskim, że obrona samowważcza „sykariuszów” \* obdziera i zagładza oblężone miasto - starców, kobiety i dzieci na rzecz własną i potrzeby ofiarników świątyni i że w ostateczności - jak z bólem przewidział - przypadnie też piękna świątynia, tj. powstanie chybi właściwego celu.

Natomiast późniejszy świat chrześcijański przyjął rozgrom świątyni jako fakt najdonioślejszy i najszczęśliwszy dla dziejów ludzkości; przechował on z pietyzmem dzieło greckie Flawiusza (nieco fałszując jego *Antiquitates*), gdyż widział w nim świadka zdarzenia, w którym sprawdzić się miała zapowiedź Jezusa. W istocie rzeczy, tajna nić „logiki” historycznej wiąże zburzenie świątyni, w której wyłącznie mogło dokonywać się rzeźnianie ofiar, z idącymi wszczepkami po całej ziemi kazaniem odszczepieńca żydowskiego Św. Pawła na temat, że „odtąd ofiary są już zbędne”. Albowiem po zachowanych a nie czytanych w ciągu wieków przez Izrael, gwoli wyższości Talmudu, prorocत्वach zbyt dufnego w siebie Izajasza, że „Jehowa jest syty już łożu z bydła i baranów”, nie był on wcale syty. Upłynęło 7 wieków, zanim wiara gorąca sekciarzy żydowskich przekonała... świat pogański o zbędności składania całopal-m

\* „Rozbójnicy” według terminologii Józefa Flawiusza i faktów dziejowych. W obleżonej Jerozolimie zdarzały się fakty ludożerstwa; matka przygotowała sobie pieczeń z dziecka. Albowiem mięsa brakło dla głodnych: woły szły tysiącami na całopalenia w świątyni. Por. Dzieje wojny żydowskiej, s. 431. (przyp. aut.)nej ofiary z ryżej jałówki według Zakonu Mojżeszowego, skoro na szczęście ludzkości Bóg Ojciec otrzymał ofiarę zastępczą w Synu - Baranku, krwią własną na krzyżu zroszonym.

Jehowa był „syty” - mówiąc słowami proroka - Żydzi z Konieczności przestali składać ofiary; dziedzice lewitów zburzonej świątyni zeszli na rzezaków miejskich, wprowadzili pod błogosławionym dozorem rabinów, pilnujących i poza ołtarzem przepisów uboju rytualnego. Poganie, którzy słuchali pism i słów żydowskiego odszczepieńca, zaniechali ofiar z bydła. Taka jest logika dziejów, która na swój sposób wyzyskała zburzenie świątyni Jerozolimskiej, określonej przez Flawiusza bardzo trafnie - a nie bez podziwu dla świetnych techniką kanałów podziemnych, którymi ściekała krew tysięcy wołów i baranów, nagromadzonych na Paschę w jej zagrodach z całej Palestyny. Rzekł bowiem o tej świątyni Jeruzalemu: była to „ogromna rzeźnia!”

Zastanówmy się przez chwilę...

„Łagodny” Abel składa na ofiarę Jehowie oblane posoką krwi trzewia baranków, gdy porywczy Kain-rolnik niesie Panu płody ziemi. I oto ofiara pasterska z krwią dymiących na stosie zwierząt zostaje mile przyjęta przez niebo pijące dym, gdyż ten wznosi się prosto w górę; zaś dym odrzuconej ofiary z owoców nisko ściele się po ziemi...

Wieszcz angielski (Byron) dostrzegł w tym pierwszy ironię dziejową i geniuszem wspaniałej przekory ujął się za Kainem, wymierzającym cios bratobójczy słabszemu Ablowi w zapamiętaniu - pod wpływem oburzenia na brata, iż ten osłonił przed nim swój ołtarz, na którym płonęły w ofierze Bogu owce i barany. Poeta wydobyl z legendy biblijnej głęboką

ironię stygmatu. kładącego się na dzieje ludzkości: ten, co miał wstręt do przelewu krwi i chciał zburzyć ołtarz, zalany posoką zwierząt - sam stał się pierwszym zabójcą... człowieka. Abel zginął bezpotomnie i ludzkość - według Byrona - jest potomstwem bratobójcy Kaina. Stąd i z polskich ust świadka bratobójczej rzezi, malarza Grotgera, wydarł się okrzyk: „Ludzkości - ty plemię Kaina!”

A gdyby w zgodzie z nauką Kościoła uznać, że grzechy zmarłego nagle bez spowiedzi obciążają jego mordercę, to w Kaina przeszczepił się grzeszny zwyczaj Abła: mordowanie baranków - grzeszny w pojęciu buddystów indyjskich, nie Jehowistów i ich aryjskich uczniów na zachodzie. I „potomstwo Kaina” w hołdzie swoim bóstwom przez wieki mordować będzie ludzi i zwierzęta - i przez wieki kurzyć się będą krwią ofiarną ołtarze i płonąć stosy, zapalone przez ekstazę religijną; a wewszystkich świątyniach świata, przy kamiennych ołtarzach chramu Salomona i pod złoconym dachem ubłagałni Heroda i wśród portyków Fidiaszowego Zeusa i Pallas-Ateny, i na stopniach przybytku Jowisza Kapitolijskiego. rozlegać się będzie żałosny ryk bydła, prowadzonego na rzeź ku czci bogów i... sytości dobrze zasłużonych przewodnictwem ludzkości kapłanów - tak samo jako przez wieki rozlegać się będą jęki tysięcy niewolników, zarzynanych w pagodach meksykańskiego bożka, Wiklipukli, modlitewne głosy zabijanych na ulicach Rzymu ku czci triumfatora - boskiego Cezara jeńców wojennych powstańczej Jerozolimy. ekstatyczne pienia płonących w cyrku Nerona żywych pochodni chrześcijaństwa... a po wiekach jeszcze syczeć będą smolne stosy auto-da-fe z okazji zaślubin infantki hiszpańskiej przy ponurym śpiewie pobożnych mnichów, tępiących herezję w katolicyzmie ku zadowoleniu Nieba.

Kiedy zaś cudowny głos: „Nie zabijaj” - rzucony z wierzchołka Synaju stanie się po trzech i pol tysiącach lat bardziej zrozumiałym sercom słuchaczy, niż temu, co rzucił w świat te słowa, a jako zgasły ogień molocha babilońskiego, w które rodzice rzucali swoje



pierworodne, tak zacichną, przynajmniej w świątyniach, ryki zwierząt ofiarnych i krew nie będzie już dziś plamić ołtarzy Bożych, a ludzkość kulturalna wzdrygać się będzie na biegnące z puszczy Afryki wieści o ucztach czarnych kanibalów, na której spożyto do spółki z duchami bogów białego podróżnika, to... chrześcijańska Europa wykąpie się w morzu krwi pod wichurą wojny wszechświatowej, po czym wschód słowiański odkryje, że bez religii morduje się jeszcze swobodniej - a to się nazywa postępem ludzkości i uświadomieniem sumień!

## Rozdział IX

### Skargi Jerozolimy

Na czele delegacji jerozolimskiej, która dnia poprzedzającego opisane widowisko cyrkowe, przybyła do Rzymu w ważnej misji „polityczno-religijnej” znalazł się jeden z trzech arcykapłanów, obecnie już nie sprawujący swego urzędu, natomiast wielki nauczyciel Talmudu, „re-ktor” akademii rabieźnej w „świętym mieście”, jeden z tych, co położyli pierwsze podwaliny pod największe akademie w Usz, Sepforis i Tyberia-dzie, mające odegrać po zburzeniu świątyni olbrzymią rolę oświatową w epoce rozkwitu żydowskiego prawa w Palestynie, a której wspaniałe owoce można jeszcze dziś oglądać w najbardziej zapadłych uliczkach najmizerniejszego getta Rumunii lub Polski.

Zwał się Reb Szmil Adonia Menachem.

Wszystkie owe późniejsze księgi talmudyczne, traktujące o rzezi bydła świątynnego, badaniach rytualnego noża i wnętrzości kiszek, którymi - ku zgrozie znawcy Talmudu, Salomona Majmona, filozofa XVIII wieku - „można byłoby zapełnić bibliotekę równą Aleksandryjskiej”, on sam posiadał w głowic. Znal wszystkie przepisy Mojżeszowej Księgi „Leviticus” wraz z miliardem komentarzy rabieźnych, dotyczące obiat dziękczynnych, ślubowanych, darowanych, paschalnych, pierworodnych, dziesięcinnych, przebłagalnych, niekrwawych z oliwy, wina, mąki, oraz dostojniejszych od tamtych - krwawych ofiar ze stad

wołów, kozłów, baranów, owiec, ptactwa, a wreszcie obrzędu naj-pocześniejszego - całopalnej ofiary z ryżej jałówki. Jego to palce nieraz odkupywały grzechy narodu kropieniem zgromadzenia ludowego „wodą z popiołem spalonej ze skórą, mięsem, krwią i gnojem rudej krowy”, co ma być synom Izraelskim i przychodniowi między nimi - według zapowiedzi Objawienia - „ustawą wieczną”.

Słowem, czynił on wszystko to. co w owej epoce - według świadectwa ks. Gaume'a - „przed zjawieniem się nauki Jezusa było niezbędne dla kultu prawdziwego Boga”.

Co prawda, w tym samym czasie „nieprawdziwi bogowie” również domagali się ofiar z bydła: Jowisz Kapitołijski lubował się w białych bykach ze złoconymi rogami, Atena grecka żądała cieląt, Demeter, bogini roli. odrzucająca kozy, nakazywała rzeź na ołtarzu szkodnych świń, Afrodyta pragnęła gołębi, Asklepiuszowi wystarczał kogut itd. Kapłani pogańscy posiadali także znajomość tysiąca skrupulatnych przepisów, zapewniających skutek pomyślny ceremoniom o treści symbolicznej. Nadto augurom rzymskim znana była sztuka wróżenia z wnętrzości zwierząt o losach ludzkich. A prawdziwość tych wróżb - nic mniej, niż prawda (spisanych ex post) prorocत्व Izajasza (bo Jeremiasz i Ezechiel mylili się nader często) - stwierdzała się nierzadko: biedak, Juliusz Cezar, zlekceważył wskazanie kapłanów co do jakiejś wady w nerkach cielęcia, czy co do niedokładnego rozgotowania sięofiarnego wołu i poszedłszy do Senatu wbrew „wskazówkom bogów”, zginął tegoż dnia od mieczów spiskowców.

Ale to była wielka różnica! Albowiem arcykapłan żydowski posiadał obcą pogaństwu znajomość sztuki rytualnej najhumanitarniejszego uboju bydła, powierzoną Mojżeszowi przez znawcę, samego Jehowę, na wzgórzu Horeb, do której już wszystkie wieki przysze nic dodać nie potrafią, jako do najwyższego ideału, uznanego (w prasie specjalnej) nawet przez ofiary uboju.

Zrozumiałe jest więc, że tak rabi Menachem, jak i dwaj rzeźnicy - kapłani z rodu Lewitów - Asaf i Husai. którzy weszli z nim w skład delegacji z dziesięciu osób - opuścili tylko z konieczności ziemię Palestyny i z okrętu w przystani Ostia wstąpili na ląd italski z okrutną pogardą dla narodu, który składał ofiary w sposób tak dalece odmienny od rytuału Mojżeszowego. Któż by tutaj potrafił tak pieszczotliwie jak oni. poderżnąć gardziel barankowi, by krew trysnęła od razu na ołtarz?... Kto, rąbiąc tuszę bydłęcia, zwracał się na północ, „ku obliczności Pańskiej?”... Kto naśladować umiał wielkiego prawodawcę, mającego Aronowi krwią nerek „ucho. wielki palec prawej nogi i prawej ręki?”... Kto tutaj metodą, wskazaną przez Mojżesza „naddzierał synogarlicy łeb paznokciem, wyciskając krew w złotą miednicę?

Jakkolwiek w Rzymie ówczesnym zamieszkiwało już z 8000 ich współwyznawców, wszyscy dziesięciu - (mniej być nie mogło ze względu na potrzeby sakramentalnego minimum, minche, dla odprawiania modłów przez cały czas podróży) - po raz pierwszy znaleźli się w Rzymie; a tylko jeden, wielki handlarz bydła, Arystobulos, wychylił nieraz głowę poza Palestynę i sporo obracał się w świecie rzymsko-greckim.

Wyjazd ich był po prostu wyprawą heroiczną, a to tym bardziej, iż lękali się zetknięcia nie tylko z poganami, lecz nawet z rodakami; podejrzewali bowiem tych ostatnich, iż nie zachowują oni w jadle, święceniu sabatu, przepisach czystości rytualnej naczyń paschalnych - skrupulatności, jakiej wymaga mądrość faryzejska. Podejrzenia te były, niestety, usprawiedliwione! Jakkolwiek bowiem Żydzi w Rzymie starali się zawsze mieszkać w gęstej kupie i wyodrębnieniu od tubylców, a satyrycy łacińscy z przekąsem mówili o wędrownkach po ulicach stołecznych kilku tysięcy „cycesów”, tj. kamizeli z niemi, grającymi mądrą rolę dzisiejszych węzełków na chustkach, a to dla pamięci o Bogu - to jednak oddalenie od ojczyzny nie dozwalało emigrantom utrzymywać się w wiecznie żywym źródle wiedzy

talmudycznej; to zaśmogło wpłynąć na zaniedbanie któregoś z przepisów kuchni jehowicznej, a tym samym nieuchronnie prowadziło do skażenia duszy pobożnej.

Kto więc wie?! Gdyby nie ważność misji, wziętej na barki przez dziesięciu

„sprawiedliwych”, gdyby nie fakt, że głowie delegacji i kompanom ofiarował listem gościnę pod swoim dachem sam brat Menachema, zamieszkały w Rzymie to może przybysze z Jerozolimy nie przedsięwzięliby tej ryzykownej dla dusz podróży. Na odporność moralną brata przeciw zepsuciu pogańskiemu mógł jednak reb Menachem liczyć w pełni, jako że ów pochodził z „dobrej krwi”, od młodu był „gorliwcem”, czyli należał do „najpobożniejszej, najuczciwszej, najidealniejszej - według Graetza - partii żydowskiej. Faryzeuszów”. W istocie brat Adonii Menachema, reb Tharfon, który z konieczności życiowej przeniósł się od lat dziesięciu do Rzymu, gdzie założył wielkie przedsiębiorstwo handlu niewolnikami i nawet przez pewien czas - dzięki protekcji i współpracy znanego rzeźbiarza (Semproniusz Nikokrates) - dostarczał dziewczątka dla dworu Kaliguli i pocześniejszych domów publicznych, nie odstąpił ani na jotę od przepisów kuchni koszernej i mógł służyć za wzór pobożności i cnoty. Niebo też, w którym z góry miał już swoje numerowane miejsce, pobłogosławiło mu na ziemi, gdyż wzbogacił się ogromnie; mimo tęsknoty do Syjonu nie myślał już o powrocie do ojczyzny, chyba na starość dla złożenia kości swoich w gruncie poświęconym, aby nie wypadło mu po śmierci zbyt daleko wędrować dla nigdy nieskończonych rozmów z przodkami na tematy z Talmudul

Powodem przybycia delegacji żydowskiej do Rzymu było niezadowolenie z rządów w eparchii Jerozolimskiej namiestnika Cezarowego Kumanusa, którego oskarżano o powolność działania w sprawach pierwszorzędnej wagi publicznej, zwykłą wiekowi starczemu, nie przy stojącą przecież urzędnikowi cesarskiemu, a nadto o karygodne pobbłazanie wojsku, które rozpuściło się pod jego osłabłą ręką i czyniło krzywdy ludności.

Delegacja miała zamiar skłonić Cezara wszelkimi możliwymi sposobami do odwołania postarzałego Kumanusa, „nie rozumiejącego potrzeb rządzonego kraju i swoich obowiązków, jako reprezentanta opieki rzymskiej nad żydowską ludnością” i prosić o zastąpienie go osobą „innego namiestnika, bardziej godnego imienia Rzymu”.

Ułożono w tym celu po grecku memoriał, który przypominał główne kamienie obrazy: Oto już w samych początkach zarządu Kumanusa zdarzył się „fakt, który nie powinien być mieć miejsca”. Podczas święta przaśników, kiedy lud z miasta i najdalszych okolic Jerozolimy tłumnie napływa z darami do świątyni i za kolumnadą rozstawione bywają kohorty rzymskie, aby „zapobiec łącznie mogącym zdarzyć się nieporządkom i rozruchom” - jeden z żołnierzy, należących do straży, upiwszy się, „wypiął w stronę pobożnych pielgrzymów siedzenie i wydał odpowiedni tej postawie dźwięk”. Starszyzna udała się natychmiast do namiestnika z prośbą o ukaranie winnego tej obelżywej nieobyczajności. Ale namiestnik nie..zjawił się na miejsce sam. jak tego wymagała powaga wypadku” - wywodził memoriał - a tymczasem „łatwo zapalna młodzież i burzliwsza część tłumu natarła na żołnierzy, ciskając w nich kamieniami”, czego memoriał bynajmniej nie pochwala, lecz tłumaczy „nastrojem oburzenia, jakie młodych i wrażliwych na skutek powyższej wspomnianej zelżywości ogarnąć musiało”. Po czym Kumanus w obawie, że cały lud żydowski przyłączy się do rozruchów, wysłał na miejsce „większy oddział hoplitów, a jego wtargnięcie między kolumnady wywołało wśród zgromadzonych tłumów taki popłoch, że jęły uciekać z miasta; a tak stłoczyły się one u bram, iż stratowano lub uduszono wówczas przeszło 30.000 ludzi, zmieniając święto w żałobę powszechną”.

Memoriał przyznawał, że powodem śmierci tylu tysięcy był lęk samych Żydów, ale przyczynę główną upatrywał w onym „dźwięku żołnierskim”, na który namiestnik osobistym wmiśzaniem się od razu nie zareagował, a nawet i później, gdy już „płacz dochodził z

każdego domu”, poszukiwania za winowajcą dla godnego ukarania go śmiercią nie zarządził, rzecz całą tłumacząc podpicciem. Stąd dało się - zdaniem memoriału - „zachęte do innego, zaszłego wkrótce potem, a nie mniej smutnego wypadku”.

Rozbójnicy żydowscy, których czynu memoriał również „nie pochwała, owszem najsurowiej potępia”, napadli na drodze publicznej w pobliżu Bajtoro na wysłańca Cezarowego Stefana i ograbili go doszczętnie. Kumanus rozesłał zbrojnych ludzi w celu pojmania rozbójników. a gdy ci nie potrafili tego uczynić, wyrzucał mieszkańcom, że nie ścigali rozbójników i nie wydali ich władzy. Żołnierz, który powrócił z nieudanego pościgu, tak się zawziął na Żydów, że w pewnej wsi, znalazłszy zwitek Zakonu Świętego, podarł go i rzucił w ogień. Czyn ten wywołał taki pożar gniewu w całym kraju, że owo rozzuchwalenie żołnierza mogło wywołać „najgorsze rozruchy po całej ziemi i bunty przeciw władzy Cezara, którą przecież naród żydowski szanuje, jako dopuszczoną z wyroku Bożego”, gdyby tym razem Kumanus nie posłuchał próśb tysięcy ludzi najszanowniejszych z Izraela; owi zbiegli się do Cezarei, błagając, iżby dla uspokojenia ludu namiestnik żołnierza onego, co zelżył Zakon, śmiercią pokarał. A tak ów przeprowadzony został środkiem skarżących się tłumów na ukrzyżowanie, a już biorący się do oręża Żydzi rozproszyli się zaraz. Jednak i tu „słuszną karę trzeba było od namiestnika wymodlić”, podczas gdy „bezkarność zagrażała przecież samemu spokojowi władania rzymskiego nad krajem, który chętnie płaci Rzymowi wszelkie trybuty i bez takowych obraz zawsze władzy zwycięzców gotów jest podlegać, jako że wie, co się należy Cezarowi”; jeno „pilnować musi zawsze tego, co się Bogu należy”.

Z kolei memoriał malował zatargi, jakie wybuchały ostatnio pomiędzy Galilejczykami i Samarytanami, z którymi, jako mieszańcami Izraela z krwią pogańską, a stąd „nieczystymi”, mimo krwi wspólnej Żydzi pozostają w odwiecznej niezgodzie. Pod wsią Gemą w równinie samarytańskiej zamordowany został jeden z licznych pielgrzymów galilejskich, dążących na

święta do Jerozolimy. Natychmiast powstało w Galilei zbiegowisko, zbrojące się do napaści na Samarytanów. Starszyzna samarytańska, pragnąc zapobiec rozlewowi krwi niewinnej, udała się do Kumanusa, prosząc, iżby wnet przybył do Galilei i ukarał winnych zamordowania Galilejczyka. Wszelako ten, lekceważąc sprawę dla innych, którymi był się zajmował, tego głosu rozsądku nie posłuchał.

W rezultacie takiej obojętności Kumanusa - oskarżał memoriał - nastąpiło wzburzenie w całym kraju. Wieść o morderstwie doszła do Jerozolimy i tłumy pobożnych, nie zważając na święta i nie słuchając przedłożeń starszyzny, ruszyły do Samarii, bez jakichkolwiek przywódców. celem dokonania tytułem zemsty ogólnego pogromu. Powoli zamieniło się to w bandę, chciwą grabieży i zamieszek, na czele której stanął niejaki zbój, Eleazar, syn Deinajosa, który jął napadać na mieszkańców pogranicza samarytańskiego, mordując wszystkich bez różnicy wieku i puszczając całe wsie z dymem.

Wprawdzie obecnie już Kumanus wyruszył z Cezarei na czele oddziału jeźdźców, pojmał wielu z bandy Elcazara i kazał potracić; i wprawdzie starszyźnie żydowskiej udało się wielką część tłumy odciągnąć od zemsty łzami i przedkładaniami, iż nierozsądną mściwością ściągną na kraj cały, na świątynię, na siebie samych, żony i dzieci, karę mieczami zymskiego; wszelako i dotąd wielu opornych pozostaje przy rozboju buncie, i kraj cały napełniony jest grabieżą i mordem.

Memoriał kończył się świetnym kwiatem dialektyki talmudycznej, który winien był ująć umysł i serce Cezara:

„Są cztery gatunki ludzi. A jedni są, co powiadają: »moje to moje, twoje to twoje«. I są drudzy, co mówią: »moje to moje i twoje to moje«. I są trzeci, co gadają: »moje to twoje a twoje to moje«. A są jeszcze zwarcie, co rzekną: »moje to twoje i twoje to twoje«. Kumanus nie jest ten ostatni i nikt nie chce, żeby on to powiedział: - to jest za dużo. Ale on nie jest

także trzeci, co już byłoby ładnie. Gdyby on był ten pierwszy, to nikt by się nie skarżył. Ale jaki on jest, to mądry Cezar niechaj sam się domyśli, bo są tylko cztery gatunki ludzi”.

## Rozdział X

### Rabi Menachem i inni

Zaznaczmy z naciskiem, że delegacja, której przewodził szanowny rabi Menachem nie należała do rzędu najpocześniejszych: była charak-erystyczna, ale nie typowa dla stosunków Judei z Rzymem. Należy sądzić, że platonista Józef Filon, który wziął udział w delegacji poprzedniej do Cezara Kajusa Kaliguli, nie wszedłby do tej delegacji, gdyby nawet nie dźwigał na barkach utrudniającego podróż siódmego krzyżyka nie bawił wówczas w rodzimej Aleksandrii, zajęty dowodzeniem bliskości filozofii greckiej z nauką Mojżesza, z zastrzeżeniem wyższości dla wiedzy żydowskiej, osiąganey wbrew mozolnym badaniom greckim samej przyrody przez cudowną szybkość Objawienia.

Ale delegacja ta nie miała charakteru poczesności nawet w ówczesnej opinii

Jerozolimy, jeżeli przy jej rozbiciu partyjnym może być mowa o istnieniu jakiejś jednej opinii. Decyzja o wysłaniu tej delegacji zapadła skrycie na”posiedzeniu nocnym, w którym wzięli udział tylko najwybitniejsi z 70 członków „Rady Najwyższej” (Synedrionu), oraz i dwaj inni arcykapłani, Oniasz i Ananiasz; wyjechała też pod pozorem interesów handlowych rzekomo do wielkiej kolonii żydowskiej w Aleksandrii, a nie do Rzymu.

z ymskiego; wszelako i dotąd wielu opornych pozostaje przy rozboju buncie, i kraj cały napełniony jest grabieżą i mordem.

Memoriał kończył się świetnym kwiatem dialektyki talmudycznej,;tóry winien był ująć umysł i serce Cezara:

„Są cztery gatunki ludzi. A jedni są, co powiadają: »moje to moje, t twoje to twoje«. I są drudzy, co mówią: »moje to moje i twoje to moje«.



są trzeci, co gadają: »moje to twoje a twoje to moje«. A są jeszcze: zwarci, co rzekną: »moje to twoje i twoje to twoje«. Kumanus nie jest: en ostatni i nikt nie chce, żeby on to powiedział: - to jest za dużo. Ale >n nie jest także trzeci, co już byłoby ładnie. Gdyby on był ten pierwszy, o nikt by się nie skarżył. Ale jaki on jest, to mądry Cezar niechaj sam się lomyśli, bo są tylko cztery gatunki ludzi”.

## Rozdział X

### Rabi Menachem i inni

Zaznaczmy z naciskiem, że delegacja, której przewodził szanowny rabi Menachem nie należała do rzędu najpocześniejszych: była charakterystyczna, ale nie typowa dla stosunków Judei z Rzymem. Należy sądzić, że platonista Józef Filon, który wziął udział w delegacji poprzedniej do Cezara Kajusa Kaliguli, nie wszedłby do tej delegacji, gdyby nawet nie dźwigał na barkach utrudniającego podróż siódmego krzyżyka i nie bawił wówczas w rodzimej Aleksandrii, zajęty dowodzeniem bliskości filozofii greckiej z nauką Mojżesza, z zastrzeżeniem wyższości dla wiedzy żydowskiej, osiąganey wbrew mozolnym badaniom greckim samej przyrody przez cudowną szybkość Objawienia.

Ale delegacja ta nie miała charakteru poczesności nawet w ówczesnej opinii Jerozolimy, jeżeli przy jej rozbiciu partyjnym może być mowa o istnieniu jakiejś jednej opinii. Decyzja o wysłaniu tej delegacji zapadła skrycie na posiedzeniu nocnym, w którym wzięli udział tylko najwybitniejsi z 70 członków „Rady Najwyższej” (Synedrionu), oraz i dwaj inni arcykapłani, Oniasz i Ananiasz; wyjechała też pod pozorem interesów handlowych rzekomo do wielkiej kolonii żydowskiej w Aleksandrii, a nie do Rzymu.

\* v iM

zymskiego; wszelako i dotąd wielu opornych pozostaje przy rozboju buncie, i kraj cały napełniony jest grabieżą i mordem.

Memoriał kończył się świetnym kwiatem dialektyki talmudycznej, który winien był

ująć umysł i serce Cezara:

„Są cztery gatunki ludzi. A jedni są, co powiadają: »moje to moje, i twoje to twoje«. I są drudzy, co mówią: »moje to moje i twoje to moje«.

są trzeci, co gadają: »moje to twoje a twoje to moje«. A są jeszcze:zwarcie, co rzekną:

»moje to twoje i twoje to twoje«. Kumanus nie jest en ostatni i nikt nie chce, żeby on to

powiedział: - to jest za dużo. Ale >n nie jest także trzeci, co już byłoby ładnie. Gdyby on był

ten pierwszy, to nikt by się nie skarżył. Ale jaki on jest, to mądry Cezar niechaj sam się

lomyśli, bo są tylko cztery gatunki ludzi”.

## Rozdział X

Rabi Menachem i inni

Zaznaczmy z naciskiem, że delegacja, której przewodził szanowny rabi Menachem nie należała do rzędu najpocześniejszych: była charakterystyczna, ale nie typowa dla stosunków

Judei z Rzymem. Należy sądzić, że platonista Józef Filon, który wziął udział w delegacji

poprzedniej do Cezara Kajusa Kaliguli, nie wszedłby do tej delegacji, gdyby nawet nie

dźwigał na barkach utrudniającego podróż siódmego krzyżyka i nie bawił wówczas w

rodzimej Aleksandrii, zajęty dowodzeniem bliskości filozofii greckiej z nauką Mojżesza, z

zastrzeżeniem wyższości dla wiedzy żydowskiej, osiąganey wbrew mozolnym badaniom

greckim samej przyrody przez cudowną szybkość Objawienia.

Ale delegacja ta nie miała charakteru poczesności nawet w ówczesnej opinii

Jerozolimy, jeżeli przy jej rozbiciu partyjnym może być mowa o istnieniu »jakiejś jednej

opinii. Decyzja o wysłaniu tej delegacji zapadła skrycie na posiedzeniu nocnym, w którym

wzięli udział tylko najwybitniejsi z 70 członków „Rady Najwyższej” (Synedrionu), oraz i

dwaj inni arcykapłani, Oniasz i Ananiasz; wyjechała też pod pozorem interesów handlowych

rzekomo do wielkiej kolonii żydowskiej w Aleksandrii, a nie do Rzymu.

Wszystko bowiem w kraju podbitym wrzało. Gorąca młodzież patriotyczna, która mniemała z pewną dozą naiwności, że lwa rzymskiego można będzie zakłuć tak łatwo, jak paschalnego baranka na ołtarzu, propagowała rzeź Rzymian, jako najłatwiejszy sposób wydobycia się z jarzma zaborców - przy pomocy nieba. Zbuntowana przez nią, źle uzbrojona i pozbawiona zupełnie militarne go wyszkolenia częśćka ludu zachęcała się na „ugodowców” szczer ych, Saduceuszów, i „ugodowców” obłudnych. Faryzeuszów - i zasiadłszy w górach, byłaby chętnie wycięła delegację rodaków, udającą się celem „konszachtów” do „nieczystej bestii apokaliptycznej”. Nienawidziła ona arcykapłanów, którzy mianowani byli wprawdzie z rodów lewickich, dziedziczących ten urząd często z ojca na syna, ale godzących się na to, iżby Piłat przechowywał i wydawał na święta wspaniałe arcykapłańskie szaty - ten symbol władzy, jaki zagwarantowali sobie prokuratorzy w imieniu Cezara za wielkie ustępstwo; zrzeczenia się w Judei swoich sztandarów, zdobnych w niemożliwe dla oczu wychowañców Starego Zakonu orły. Albowiem przykazanie brzmiało: „Nie zrobisz sobie podobieństwa niczego, co jest wzwyż na niebie, ani w dole na ziemi”. Zresztą opinia historyków żydowskich doby nowoczesnej potępiła z dawna tych niegodnych arcykapłanów, którzy na ogół płaszczyli się przed zwycięzcami, a Kaifasz, biorący udział w sądzie nad Jezusem, jest podobno „nazywany w samym Talmudzie z tej okazji rozbójnikiem”.

Partia Saduceuszów, gardząca Faryzeuszami tak, jak ci wspólnie z nimi gardzili Esseńczykami, do których należał Jan Chrzciciel i Jezus - kokietująca powierzchowną znajomością oświaty greckiej, otwarcie sprzymierzała się z zaborcami rzymskimi i na wyjazd tej delegacji nie dałaby swego „placet”. Saduceusze bowiem sądzili, że interesy arystokracji, jedyne dla nich ważkie, najlepiej układały się w dobrym pożyciu z dworem namiestnika Cezara, i przy pomocy dostaw dla wojska rzymskiego. Trzeba więc było działać w tajemnicy

przed nimi.

Co się tyczy prostoty esseriskich rybaków galilejskich, to ta, obca sprawom ziemskim, mająca już naśladowców w niższych warstwach ludowych Jerozolimy, zajęta marzeniami o „królestwie niebieskim” i ascetyczna w życiu - przecząca i pysze bogaczy saducejskich i pysze uczonych Faryzeuszów - uboga, korna i cicha - oddająca Cezarowi „to, co było jego”, tj. podatki, a „resztę Bogu”, tj. modlitwę - nie mając głosu w sprawach publicznych, nie protestowała wprawdzie przeciw wysłaniu delegacji; ale potrzeby ani tej, ani innej nie uznałaby w ogóle. Rzym nie przeszkadzał jej odziewać się, jak lilii, i karmić się wzorem ptaków niebieskich. Esseńczycy, skromni w życiu., byli nawet radzi męczeństwu, przyspieszającemu przyście królestwa niebieskiego, do którego oni jedynie nadawali się i wejść mogli. Na ogół należy mieć na względzie, że Żydzi, przechodzący długie okresy niewoli w Egipcie i w Babilonie, zawiśli niegdyś od Filistynów, później Asyryjczyków, zgreczonych Macedończyków, Persów, Ptolomeuszów egipskich. Rzymian - znający tylko krótkie błyski samodzielności politycznej - nieszczęśliwi i niewolniczy pod własnymi królami w państewkach Judy i Izraela, przy ciągłych wojnach i wstępowaniu na tron uzurpatorów przez mord poprzedników - nie wyrobili w sobie krzty zmysłu politycznego i nauczeni zostali przez proroków Izajaszów i Jeremiaszów, że niewola polityczna jest stanem normalnym, zesłanym na naród przez karzącą za grzechy dłoń Jehowy. Nie byli Żydzi bardziej szczęśliwi i w krótkiej epoce Hasmonejczyków z krwi powstańczej pasterzy Machabeuszów, gdyż swawola książąt, zdzierstwo bogaczy i mord wojny nie ustawały i za ich rządów, podobnie jak kwitły zbrodnie w nowej rodzinie królewskiej. Wnet potem nastąpiły zbrodnie i tyrania nowo upieczonej dynastii Herodów, skąd podobnie, jak sami Żydzi przywołali na pomoc Pompejusza, tak później prosili oni przeciw samozwańcom ze swoich o łaskawą opiekę nad Judeą Cezara Augusta, który też udzielił tej opieki z właściwym sobie uśmiechem ironii na

ustach. Znosiliby więc Żydzi chętnie tę opiekę rzymską, byle nie przeszkadzano im w ich jedynej trosce życiowej - rozwijaniu krępujących przepisów swojej religii. Gotowi byli płacić podwójne i potrójne podatki i kwaterować obce legiony, byleby nie naruszano ich świętości, nie pokazywano jawnie wizerunków orła. Byli korni i cisi, gdy Rzym okazywał tyle taktu, że nie pokazywał swoich proporców, zdobnych w wizerunki Cezarów - a wojska jego w pochodach nadkładały drogi, żeby nie przechodzić przez ziemię świętą „z rytymi obrazami”. Wobec obawy przed Kumanusem, którego wypadało oskarżyć przed Cezarem, akcja Menachema, pseudopolityczna, zyskała tedy na tajnej naradzie tylko względną aprobatę jego dwóch kolegów arcykapłanów, którzy wyrazili się: „Jeżeli się pojedzie i uzyska się zamianę Kumanusa na lepszego, to trzeba jechać; a jeżeli się uzyska coś gorszego, to nie trzeba było jechać”. Rabi Menachem zrozumiał, że rzecz ma się tak, jak z prorokami podług Talmudu: „jeżeli prorok coś zapowiedział, a to się spełniło, to natchnął go głos Boży; a jeżeli coś

Mesalina

zapowiedział, i to się nie spełniło, to nie natchnął go głos Boży”. Że jednak prorocy mówili wciąż w nadziei, iż mówi przez nich zawsze głos Boży. więc i rebe Menachem wziął na siebie ciężką misję dla dobra swego ludu z wiarą w powodzenie.

Sami zaś arcykapłani, Oniasz i Ananiasz, już po wyjeździe tej delegacji uradzili, że warto ją poprzeć z boku udaniem się do sąsiedniego namiestnika Syrii, Kwadratusa, niechętnego Kumanusowi - i w istocie na tej drodze osiągnęli zwycięstwo. Wkrótce już z upoważnienia posiadającego szersze pełnomocnictwo i większe zaufanie w Rzymie Kwadratusa (który wciągnięty został przez niepokoje na granicy w wir wypadków) udała się do Cezara inna delegacja, w której wzięli udział dwaj arcykapłani i poczciwi obywatele Judei i Syrii; albo raczej, podążyły do Rzymu dwie delegacje współczesne - i Kumanus, zmuszony tłumaczyć się przed Cezarem, zleciał z urzędu, a zastąpił go Feliks.

Ale nie uprzedzajmy wypadków...

Pod powyższym kątem widzenia układa się w granicach należnego szacunku nasz stosunek do delegacji rebege Menachema, nieco samo-zwańczej, ale nieobcej duchowi czasu i narodu, który chciało się jej reprezentować. Czy uczyniła to godnie, mądry czytelnik sam potrafi zdecydować, mając prawo nie liczyć się z entuzjazmem dla niej autora...

Nam osobiście imponuje, a nadto rozrzewnia nas piękna postać rebege Adonii Menachema. Przede wszystkim sama zewnętrżność: twarz drobna, o wyglądzie ascetycznym, niemal niksąca pod wielkim białym tałasem z najdelikatniejszego jedwabiu, sfałdowanym na chudej piersi czarnymi równoległymi na materii pasami i narzuconym na długą wschodnią szatę, opuszczającą się aż do stóp; rysy, jakby rzeźbione z kości słoniowej; bladość, przechodząca w żółtawy kolor wosku, tylko w czasie namiętnej dysputy różowiąca się, niby niebo wschodu, zapadłe policzki; wydatny nos w guście rasy orientalnej; wąskie, subtelne, bezkrwiste wargi, poruszane nieustannym szeptem modlitwy - rozmową psalmisty z Bogiem; długa broda, spadająca na pierś aż do nici zizithu (cycesu) i oczy! - bystre, biegające żywo, a miotające chwilami skry spod nastrzępionych siwych brwi. Całość - jakiś ptak niesamowity z rajy Adama, nieśmiertelny feniks żydowski.

Zrzekłszy się urzędu arcykapłana, nie występował w szacie Arona, bijącej świetnymi kolorami w oczy. W ogóle delegacja przedłożyła ubiór skromny, gdyż nie chciała zbyt zewnętrżnym skusić sekretarza cesarowego, chciwego Greka Narcyza do nakazu opłaty zbyt wielkiegokubanu za samo wyjednanie jej prawa audiencji u tronu. Znane było w Judei jego złośliwe określenie Żydów, przybywających z kolonii greckich: „są to pszczoły, pozostawiające żądła w domu i znoszące nam miód złoty, zebrany z cudzych kwiatów”. Żydzi pocieszali się, że nie uważa ich za trutni, o ile w ogóle uczuwali potrzebę pocieszania się z powodu złej o nich opinii nieobrzezańca, albowiem tylko obrzezanie wyrabia zdolność

trafnego sądu.

Ascetyzm twarzy rabiego Menachema był w zgodzie z jego umiarkowanym trybem życia, przewyższającym nawet skromność w jadle esseńską. Nie jadł on nigdy - licząc się z zakazem biblijnym - „koźłęcia, gotowanego w mleku matki”, co się tłumaczy: nie miesza się masła z mięsiwem. W ogóle nawet z najsmaczniejszych kąsków koźląt, znoszonych kapłanom, rebe Menachem dla uniknięcia pokusy ugotowania ich „w mleku matki” (tj. każdej krowy we wszechświecie) - brał ledwo odrobinę. Posiadał bowiem żołądek zepsuty, znoszący tylko mleko i owoce, jakkolwiek nigdy nie uchybił żadnemu z praw o jadle koszernym. Wysoce bogobojny - nie posiadający w sobie odrobiny buntu (na który zdobył się Hiob, rychło zresztą uspokojony dowodami Jehowy o swojej potędze a małości człowieka, co „nigdy nie potrafi złapać na wędkę wieloryba”) - nie szemrał; nie zaśpiewał nawet zakazanego przez Szymona Machabejczyka po zwycięstwie brata Judy nad słabą armią syryjską psalmu: „Ty śpisz, o Panie”. Na co jeść, skoro pożywa się Zakon? Czyż nie karmią nas do syta same tysiączne przepisy Talmudu o religijno-higienicznym jadle?

Niemniej potężna była umysłowość rebe Menachema. Przede wszystkim na każdy cytat z Talmudu potrafił znaleźć cytat przeciwny w tej zadziwiającej wolności dyskusji, którą - w ramach określonych granic bluźnierstwa, godnego kary śmierci za pomocą palącego się lontu, wsadzanego w gardło - dopuszcza tolerancja rabiniczna i prawodawstwo talmudyczne. Był przy tym na tyle uczciwy, że przeciwnikowi nigdy nie zarzucał kłamstwa w cytatach, wiedząc doskonale, iż w Talmudzie znajduje się wszystko, co „mądrość” pomyśleć może. W trapiącym już wówczas 500 lat i mającym trapić jeszcze 500 lat do ukończenia Talmudu i potem już do skończenia wieków umysły żydowskie „pył-pulu \ czyli interesującym z fanatycznymi Szamaitami sporze „liberalnych” Hillelitów. którzy pozwalali to, co Szamaja zakazał, i na przekorę Szamai zakazywali wszystko, co tamten zezwolił - zajął Menachem

jedyne zgodne z rozsądkiem żydowskim stanowisko, że w ogóle wszystko jest zakazane i uczynił sobie z życia mękę, miłą Panu Zastępów, wielkiemu Sabaoth-Adonai.

W ogóle był niesłuchanie łagodny w granicach prawa, którego okrucieństwo starał się możliwie obchodzić. Raz tylko jeden zapomniał się - mianowicie w Jaffie, gdy zuchwały „szames” tamtejszej bożnicy, nie posiadającej prawa uboju rytualnego, dopuszczony przezeń do dyskusji z nim, wielkim rabinem, zauważył: „nie wolno przeciągać sporu bez końca za pomocą ciągłego wydrapywania lepszych cytatów na równie dobre cytaty z Talmudu”.

Pamięta, że wtedy w uniesieniu nożem, służącym do obrzezania niemowląt - gdyż zawsze miał go pod ręką - rzucił w pierś śmiałka i nieostrożnie zachwiał się przy tym, łamiąc udo. Szames wylizał się wkrótce z rany, lecz sprawa miała ciąg dalszy.

Nie wiadomo, jak skończyłaby się dla zuchwalca, gdyby nie to, że okazało się, iż ten splamił sabat, nie podwiązawszy przed wieczorem piątkowym swego kozła w sposób należyty, jaki zapobiegłby niesłuchanemu na ziemi izraelskiej skandalowi: kozioł wszedł w stosunek miłosny z kozą w sam sabat. Szumesa postawiono wraz z kozłem i kozą przed sądem Synedrionu. Sięgnięto do wyborowego prawa Mojżeszowego, które kamieniuje właściciela bodącego wołu wraz z wołem, o ile właściciel znał ten przykry narów swego wołu, a wół przebódl człowieka. Sięgnięto zarazem do kasacyjnego wyroku Synedrionu, który ten przepis komentował w analogicznej sprawie Abtaliona, zaskarżonego przez sąsiada Ilai. I oto szamesa, jak owego Abtaliona, razem z kozłem i kozą, tj. trzech współników w sprawie pogwałcenia sabatu, ukamienowano. Była to konieczność taka sama, jaka zaszła w Askalonie. kiedy Synedrion wbrew wiekowi swojej łagodności ukamienował 80 czarownic - zresztą ani jednej więcej tego samego dnia. Zaznaczamy, że to był prawie drobiazg ■- oświecona bowiem przez blask religii miłości i dwóch Zakonów Europa w ciągu trzech wieków na rubieży średniowiecza i nowych czasów spaliła 4 miliony czarownic, nie



dostrzegając w tym żadnej niekonsekwencji z Ewangelią.

Zauważmy, że rabi Menachem, nie chcąc (przez obiektywizm) zabierać głosu w sprawie interlektora swego z bożnicy w Jaffie, umył wówczas ręce. Zdał się na sprawiedliwość Synedrionu, który zgorszony był zuchwalstwem podsądnego, nie okazującego skruchy, albowiem kamienowany krzyczał jeszcze: „na wasze lepsze cytaty ja mam też lepsze!” Nadmienić godzi się tutaj na rzecz rabiego Menachema, że w pewnym głośnym (później!) procesie, który arcykapłanowi Kaifaszowi o tyle zdawał się ważnym, iż nalegał na uzyskanie od namiestnika rzymskiego Piłata zatwierdzenia kapłańskiego wyroku śmierci na „błuzniercę”. przedstawionego Rzymowi, jako „uzurpatora władzy królewskiej nad Judeą i rzekomo przestępcę politycznego przeciw władzy Cezara” - rebe Menachem stanął w opozycji. Albowiem podczas gdy Kaifasz był zdania, że szkodliwej agitacji „fałszywego proroka” położyć może kres tylko kara rzymska - krzyża, rebe Menachem wywodził, iż cały ów bunt nie wart jest wydatku nawet 30 srebrników, jakich z kasy Synedrionu za wskazanie winowajcy zażądał donosiciel. Gwoli sprawiedliwości teologicznej przypomnijmy, że ów ostatni poczuwał się do obowiązku zdradzenia swego mistrza za wszelką cenę: a to celem przyspieszenia zbawienia świata, co należałoby zapisać na dobro zdrajcy obok samobójstwa wskutek wyrzutów sumienia. Jednakże światły Dante umieścił go na dnie piekła razem z Lucyferem i Brutusem!

Nieszczęśliwy przypadek z nożem, poza przykrymi skutkami dla szamesa, miał boleśniejsze znacznie skutki - dla samego Menachema.

Oto miał on złamane udo; przeto, jako kaleka, nie mógł już wchodzić do „Świętego świętych” - tajemniczej części Przybytku, do której wstęp posiadali jedynie arcykapłani.

Wprawdzie dla uniknięcia kompromitacji przed opinią kalectwo to zostało ukryte, ale sam Menachem uczciwie oświadczył kolegom duchownym, iż praktyki swego urzędu zrzeka się

na' przyszłość i poświęci się już tylko nauce i działalności oświatowej, do której sama opatrność - niby w boju z Jakubem - przeznaczyła go, łamiąc mu udo.

Nie będziemy opisywali pozostałych członków delegacji jerozolimskiej. Związek ich z naszą powieścią jest luźny. Jedyne figura Menachema ciąży na przyszłych jej wypadkach przewrotnym naciskiem na duchowość jego syna, mającego odegrać w niej rolę jednego z bohaterów.

Ledwo wspomnieć warto, że dwaj kapłani-rzezacy Asaf i Husai, stanowili z rabim kontrast zupełny ordynarną brzydotą ludzi, utuczonych na mięsie ofiarnym. Posiadali jednak piękne głosy, które pozwalały zapomnieć o ich okrągłych brzuskach i wylupiastych ślepiach. Podczas rzezi bydła śpiewali koncertowo psalmy pokutne grzesznika-króla Dawida, odkupującego nimi winę śmierci wodza Uriasza. Recytowali także jego hymny na chwałę Pana, ku któremu nawrócił się po stracie

I  
dziecka z cudzołożnego stosunku z Betsabą, żoną zdradziecko usuniętego z drogi królewskiej.

Tym dwóm nie brakło przecież, uczoności specjalnej: znali dokładnie rytuał ofiar, mogli nawet układać „gemarę”, tj. obliczać ilość każdej litery odnośnych przepisów (litera hebrajska jest bowiem zarazem liczbą), stwarzać z sumy słów wielkie idee, które służyły do Hugody. Ale co do znajomości „Miszny” - wyznajemy ze wstydem za nich - szwankowali mocno.

Wyróżniał  
się od  
innych  
cerą oliwkową,

męskością postawy,

niejaką

powściągliwością ruchów, weselem przebiegłych oczu, a zwłaszcza kostiumem syryjskim -

barwnym i bogatym kaftanem, zawojem w kształcie turbanu na głowie - kupiec Aristobulos

rodem z Damaszku, obecnie zamieszkały w Jerozolimie. Władał on biegle językiem greckim.

Stąd miał służyć delegacji za tłumacza. Względnie do innych był nieukiem. Ale wielił

uczoność Menachema i miał nadzieję zrobić jakiś dobry interes handlowy w Rzymie z okazji

sprawy narodowej, gdyż dwie te rzeczy - jak wiadomo - zwykle najlepiej się łączą.

Reszta byli to ludzie przeciętni - rzemieślnicy i rolnicy, którzy „grzali nogi w blasku

wiedzy” rebege Menachema i nie mogli odmówić sobie przyjemności pchania się na niego

bezustannie i dotykania skraju szat jego w czasie całej podróży, albowiem powiedziane jest:

„Będziesz szanował uczonego!”

Ich pogardy dla wiedzy świeckiej: Eratostenesa. Archimedesesa. Arystotelesesa - żadne

pióro nie zdoła opisać. Nie wiedzieli zresztą nic o ich odkryciach, ponieważ Izrael posiadał

już wówczas całą wiedzę, potrzebną światu, dla którego - zresztą nieświadomie - „fabrykował

etykę”, jak to przyzna każdy nieuprzedzony na podstawie tego, co się rzekło i rzecze się niżej.

Nieświadomie! - bo przede wszystkim uszczęśliwiał siebie. Reszta była przypadkiem

dziejowym na drogach odszczepieństwa, tj. wejścia garstki Żydów na złą drogę „obrzezania

w duchu, miast na ciełe”, oraz olbrzymiej domieszki greckiej filozofii wizjonera - Platona.

Wszelako jednego z dziesięciu delegatów wymienić należy imiennie i określić bliżej -

gdyż był kontrastem wszystkich tych ludzi starszych.

Był to młody wyrostek żydowski, który ledwie doszedł wieku lat siedemnastu, syn

rebege Menachema, Jonatan.

Posiadał on rysy przedziwnie piękne i łagodne. Bujne, czarne włosy spadały mu na

tunikię grecką - której noszenia ojciec mu nie zabronił; nigdy nożyce, podobnie jak i brody ojcowskiej, nie tknęły tych włosów, jakby młodzieniec dał obietnicę nazarejską. Z bladej szczupłej twarzyczki chłopięcia dziwnie smutnie patrzyły na świat wielkie czarne oczy. Zdawały się powleczone mgłą, patrząc w zaświat. Może w istocie nie widziały, co się wokół niego działo, gdyż i on - wzorem ojca - zagrzebał się w studiach; jeno przedkładał on proroków ponad Talmud i nawet Torę, co ojca mocno bolało, lecz rachował, iż syn, dojrzewając, zmieni upodobania. Zresztą od nawału nauki, którą wchłaniał od piątego roku życia, w głowie młodzieńczej, pragnącej rozstrzygnąć nazbyt szybko zagadkę stosunku tajemnicy nieba ze złem i dobrem ziemi - panował chaos, który może był bliskością obłądki; sprawiał mu ból nie tylko duchowy, lecz i fizyczny, bo chłopiec często ruchem nieświadomym ścisnął sobie skronie. Jakoś nerwowo prostował się ciągle, a stojąc tak przy zgarbionym pod górą wiedzy siwym ojcu, zdawał się wiosenną świeżością łąk Betlejem. Wszelako twarz jego, bledziuchna, jak opłatek, nie grała kolorami dzieciństwa. Nos miał semicki, lecz kształtny, orli - tyle że wydatny, co wśród ogólnej miękkości rysów i postaci nadawało mu znamię niespodzianej energii.

Ojca szanował i bał się, jak przystało w żydowskiej patriarchalnej rodzinie. Ubolewał z nim razem, że najstarszy z siedemnastu synów rebege Menachema przyczynił mu wielu kłopotów, uciekłszy w góry i przyłączywszy się do „rozbójników” (sykariuszy), co mogłoby narazić opinię lojalnego ojca wobec władzy prokuratora, urzędującego w Cezarei, gdyby Menachem nie wyrzekł się tego syna. O Judasie nie wolno było wspominać w domu, jako o synu buntowniczym. Jonatan bolał nad tym, że jego starszy brat zajmuje się rzezią i ograbianiem na drogach wysłańców cesarskich, choć i on nie czuł do nich nadmiernej sympatii, jako „dobry Żyd”.

Rebe Menachem kochał tego najmłodszego syna. Uważał go za oczko w głowie,

ocenivszy jego olbrzymią pamięć i wielkie pragnienie studiów, które rokowały w nim przyszłego wielkiego rabina. „To mój następca!” - mawiał niekiedy.

Ale syn ten sprawiał wielką troskę starcowi. Bawiąc czasem u matki, wchodził w rozmowy z legionistami rzymskimi i uczył się od nich łaciny, co było jeszcze gorsze, niż to, że przyjmował od nich niekiedy słodycze, którymi ślicznego malca żydowskiego darzyli weterani Cezara na postoju w Galilei. Należy nadmienić, że rabi Menachem, który wzorował się na patriarchach i Mojżeszu, a nie spotykał w tej mierze sprzeciwów w starym Zakonie, posiadał więcej niż jedną żonę; miał ich nawet trzynastu, choć nie wszystkie od razu, gdyż umiarkowany w użyciu płciowym, nie bacząc na nakaz płodności, ograniczał się często do czterech, lub pięciu żon. z których niektóre były bardziej niż małoletnie i na ich owocność wczesną nie można było liczyć. Małoletnie, ale oczywiście pełnoletnie, ponieważ nigdy nie były młodsze ponad 3 lata i 1 dzień, co według Talmudu jest okresem pierwszego dojrzewania i pozwala na „uświęcenie” kobiety aktem przez arcykapłana.

Menachem nie był zbyt szczęśliwy w pożyciu małżeńskim. Wszystkie żony, prócz ostatniej, umarły mu: zwłaszcza ta czteroletnie i pięcioletnie umierały szybko, jak muchy, co było niezrozumiałe, gdyż oczyszczały się w mykwie, jak należy, i na intencję ich zdrowia rabi przyniósł nie raz Panu w ofierze najlepsze, nic mające żadnej wady, baranki. Był to więc tylko dopust boży, próbujący jego pobożności, jak ongiś Hioba, kuszony przez szatana - i rabi nie poddał się wędce diabelskiej, tj. nie przestał być nabożnym. Przedostatnią z żon jego była Nazaretanka z pokolenia Beniamina, kobieta pełna słodyczy, którą rebe Menachem pojął za żonę i podniósł do siebie - o ile w ogóle może być mowa o podnoszeniu do mężczyzny tak „nieczystego” i niskiego stworzenia, jakim jest w pojęciu rabinicznym kobieta. Nie liczył się przy tym z tym, że pochodziła ona z Nazaretu, gdyż w epoce zawarcia związku z nią jeszcze nie powstało przysłowie talmudyczne: „Co może być dobrego z Nazaretu?” Wszelako,

jakkolwiek ona to właśnie urodziła mu ukochanego Jonatana, małżonek zmuszony był dać jej bez jej wiedzy list rozwodowy, gdyż nie okazała dalszej umiejętności rodzenia i nadto uchylała się od obowiązków małżeńskich; a w wieku swoim rabi nie mógł jej zmusić do posłuszeństwa niezrozumiałemu dla ciemnoty kobiecej prawu. Zubożały - jako że nie wchodził na drogi innych arcykapłanów, biorących to, co Boże, sobie - mógł na starość pojąć tylko jedną żonę, prawie bezpłodną, gdyż rodziła tylko same córki, co się nie liczy tam, gdzie mężczyzna zwraca się do nieba z modlitwą: „Dzięki ci Boże, że nie stworzyłeś mnie kobietą...” (Nie liczy się, o ile w ogóle wolno liczyć głowy Izraela po karze Bożej, która dotknęła Dawida porażeniem śmiercią 70.000 poddanych za statystykę, przedsięwziętą nieopatrznie przez króla). Wolnomyślny rabin pozwolił jednak synowi odwiedzać czasem matkę, a przy tej sposobności chłopiec zobaczył żołnierzy rzymskich, drzewa i niebo, tj. rzeczy, na które w ogóle się nie patrzy, gdyż litery Pieśni nad pieśniami - zdaniem rabiego Akiby - są piękniejsze od całej natury, nie mówiąc już o żołnierzach rzymskich. Jednakże wobec złych wpływów Nazaretu Menachem musiał zakazać dorastającemu synowi tych wycieczek.

Zajęty następnie pisaniem komentarzy do traktatu na temat Czerwona Krowa (Para) - tj. wskazaniem, ile czarnych włosów może mieć w ogonie boża jałówka, nie przestając być rudą - rabin Menachem stracił na pewien czas syna z oczu. I tu znowu uderzył go grom. Chłopiec wszedł w stosunki z tą zepsutą młodzieżą saducejską, która hellenizowała się wówczas dość chętnie, acz nieśmiało. Nauczył się od tych młodzieńców wprowadzić nie gimnastyki, lub obliczania biegu gwiazd według metody greckiej - ale języka greckiego. Od tego zaś był już tylko jeden krok do ukrywania ich wzorem na nagim ciele, podczas wspólnej gimnastyki z przybyszami greckimi, za pomocą przestępczej operacji - żenującego tych wyrostków znaku przymierza, jako że niektórzy synowie zwyrodniałych bogaczy

Saduceuszów bywali czuli na śmiech i drwiny „obcych półgłówków”.

Rabin Menachem z troską zauważył, iż syn nieświadomie poddaje się wpływow złego towarzystwa - i w obawie o jego karierę, a w chęci zbawienia duszy, potrzebnej Izraelowi - wyjeżdżając do Rzymu, zabrał go ze sobą, aby mieć syna ustawicznie na oku...

Nie ma bowiem nic lepszego ponad opiekę ojca, jeżeli ten jest dobrym talmudystą!

## Rozdział XI

### Policzek Minerwie

Nieszczęśliwa delegacja, która wybrawszy się do Rzymu bez łaciny i greckiego języka z jednym tłumaczem, Aristobulem, i od przypadku z drugim, Jonatanem, liczyła właśnie na szanowność osoby wielkiego rabina i potęgę jego wstawiennictwa za wejrzeniem Bożym - doznała, niestety, na wstępie wielkiego despektu.

Wprawdzie Narcyz, grubo opłaceny przez kupca drogą pośrednią nie odmówił delegacji prawa przedstawienia osobiście Klaudiuszowi memoriału, co się robiło dla zadowolenia posłów i prestiżu Cezara, gdyż Narcyz wiedział, że sam sprawę memoriału rozstrzygnie - to przeciezapowiedział wysłańcom, iż kwestii zatwierdzenia przez namiestnika rzymskiego wyroków śmierci, wydanych przez Synedrion, nie powinni poruszać.

„Prawo życia i śmierci” jest bowiem symbolem panowania Rzymu nad ludami podbitymi, głównym znamieniem państwowego prestiżu, od którego Rzym „nie odstąpi nawet w Judei”; toć na ten symbol władzy rzymskiej żadna z kolonii zawojowanych nie utyskiwała dotąd i „nie ma powodów czynić z tej zasady wyjątku dla Żydów ani przez szacunek, ani... przez lekceważenie tej względnie małej prowincji”.

Nadaremnie kupiec Aristobulos starał się wyjaśnić upartemu Narcyzowi - może nie bez pewnej sofistyki - że Rzymowi nie powinno zależeć, czy „Żydów - których jest tak wiele - będzie o parę głów mniej”. Nadmieniał przy tym, że Synedrion skazuje tylko buntowników

przeciw religii, a ludzie, którzy wąż się burzyć przeciw własnemu Bogu, „tym łacniej skłonni będą wystąpić przeciw autorytetowi obcego Cezara”. Dodawał jeszcze, że Synedrion w ogóle nie jest skłonny skazywać na śmierć nawet zbłąkanych z Izraela, że „jednak są wypadki takiej konieczności np. znieważenie Sabatu” (vide opowiedziany wypadek z Abtalionem). Co prawda, prokuratorzy rzymscy zazwyczaj ustępują powadze Synedrionu, jak np. Piłat, ale czynią to niechętnie, a już Kumanus oświadczył arcykapłanom, że „w ręce szalonych Rzym słusznie miecza nie oddał”, oraz że „Żydzi swarzą się o głupstwa, których prawnik rzymski nigdy zrozumieć nie potrafi”. Skoro więc „nie potrafi” - konkludował chytrze kupiec jerozolimski - to nie może zatwierdzać wyroków, których nie rozumie.

- No, to może odmówić! - pokazał Narcyz spryciarzowi plecy.

Po czym zawrócił od progu i dodał twardo:

- Jeszcze jeden warunek, pod którym Cezar udziela wam przeze mnie audiencji.

Chodzi o ten punkt, który zamierzacie poruszyć szerzej ustnie, jak zapowiedzieliście mi wczoraj. Widać, wam samym nie wydaje się on przystojnym, skoro nie rozwinęliście go w memoriale. Bardzo to pięknie, że prosicie, abyśmy postarali się „wytępić elementy rozbójnicze, które grabią naszych wysłańców i nakładają haracze na wszystkich bogaczy, chcąc zyskać fundusze na cele rozruchów powstańczych”. Jednak uważamy za całkiem zbędne udzielanie nam takich wskazówek, ponieważ Rzym sam wie, gdzie, kiedy i przeciw komu się bronić. Wymagamy pokory prawdziwej, a nie podejrzanej i wcale nie chciałbym, żeby mówiono u was, iż delegacje do Rzymu sprzedają własnych braci i że Rzym z jakąkolwiek z waszych partii wchodzi w konszachty przeciwniejszym warstwom waszej ludności. Tego rodzaju przypuszczenie wywołać może walkę domową, która zmusiłaby nas wmieszać się orężnie z całą surowością wojskową, po czym dopiero nastąpiłby wybuch prawdziwego powstania. Więc umiejcie sami zalecać spokój swoim bez powoływania się na



upoważnienia od nas. Dixi. (Powiedziałem).

Oddalił się dumnie.

O tych sumach, które poprzedniego dnia wpłaciła delegacja na ręce ministra finansów Pallasa i o darze złotego kielicha ze świątyni - jakoby nie wiedział. Delegaci uznali go w duchu za upartego głupca, który ani nie rozumie, że w interesie Rzymu jest naprawdę lepiej, jeżeli bluźniercy, którzy szkodzą całej ziemi, dostaną się do Szeolu (piekła), ani nie ocenia, jak bardzo chodzi delegacji o ten spokój w Judei, który jest dogodnym również dla całości państwa. Ale że z „gojami” trudno się dogadać, gdyż Bóg nie obdarzył ich właściwym rozumem - wypadło warunki Narcyza dla pokoju („Szuim”) przyjąć.

Dalszy despekt był jeszcze sroższy. Rozmowa powyższa miała miejsce o godzinie 6.00 z rana, gdyż Klaudiusz, często trapiiony bezsennością, zamierzał o tej godzinie rozpocząć zwykle prace państwowe przyjęciem delegacji. Później jednakże zamiar zmienił - przede wszystkim zasnął, następnie zajął się przejrzaniem szczegółów programu widowiskowego, potem udał się do cyrku i przebywał tam niemal do godzin wieczornych.

Wszelako rozkaz Cezara: „Delegacja żydowska rtia czekać!” był czymś w rodzaju litery Sterego Testamentu na skutek analogii rządów ziemskich i niebieskich; odstąpić odeń nie było wolno. I nieszczęśliwi delegaci, wprowadzeni do olbrzymiej sali audiencyjnej, gdzie stało sto posągów i biło dziesięć wodotrysków, a ściany lśniły barwnymi mozaikami i malowidłami pierwszorzędnymi mistrzów - znaleźli się niby w czarującym więzieniu.

Oczekując przez dzień cały - przeszło godzin dwanaście - nie byliby wrażliwi na piękno tej pułapki cesarskiej, gdyby nawet zakaz religijny nie pozbawił ich całkiem zmysłu plastycznego piękna.

Nadto siedzieli tu w zamknięciu o głodzie. Klaudiusz bowiem polecił podać im obfite śniadanie i obiad, lecz złożone wyłącznie ze świniny w różnych sosach i z wina. Zaznaczmy,

iz z tego powodu wywiązała się wcześniej pomiędzy monarchą i ministrem następująca rozmowa:

- Opowiedzą o tym w Palestynie, wasza cesarska miłość! Sądziłbym, że nie należałoby drażnić tego rojowiska komarów.\*
- Czy kolos rzymski ma się obawiać takich drobnych stworzeń, jak komary?
- Cezarze! Komar może wleźć w ucho nawet rzymskiemu lwu i przyprawić go o szaleństwo.

Była to uwaga rozsądna - Narcyz wymówił ją tonem, brzmiącym jak proroctwo Sybilli. Wszelako Klaudiusz nie ustąpił. Nie chciał wierzyć był to zaprawdę upór „goja” - aby żywi ludzie mogli wyrzec się o głodzie doskonałej wieprzowiny, bijącej w nos ponętym zapachem. Bo „przecież człowiek - rozumował - nie jest ostatecznie komarem”. Chodziło mu o ciekawy eksperyment psychologiczny, którego rzec się nie mógł. Narcyz nie ważył się toczyć w tej „drobnej sprawie” sporu z Cezarem, któremu nie godziło się okazywać, iż nie może działać według swojej woli. Nie chciał nadto - ostrożny wobec podkopów dworskich - dawać służbie pałacowej zleceć ubocznych, paraliżujących rozkaz Cezara. Zresztą znał Żyda Szymona Maga, który w rezultacie wychowania w bethamidraszu palestyńskim, znalazłszy się w Rzymie, uparł się jeść przez cały rok jedyne mięso - wieprzowinę. Interesowało Narcyza, czy nie da się odmienić smaku rabina Menachema za podszeptem głodu, potężniejszego od woli Cezara. Grek nie rozumiał „dobrego Żyda”.

Wniesiono o południu zgodnie z rozkazem cesarskim do sali audien-cyjnej okazałego, wspaniale upieczonego na roznach kuchni pałacowej wieprza - całego w sosie cebulkowym, obłożonego rodzynkami sarońskimi i bobkowymi liśćmi hebrońskimi - słowem, specjał nie mniejszy od Lewiatana, którym żywić się będą, według zapowiedzi Hagady, wierni Izraela na tamym świecie. Ale nawet aromatyczna woń dymiącego na olbrzymim półmisku złotym

wieprza nie zdołała oddziaływać kusząco na pobożne nozdrza nieszczęśliwych delegatów. Siedzieli już od godzin wielu w ponurym milczeniu, jako że sam rabin Menachem milczał, obmyślając, co dalej czynić należy. Nad męką nieszczęśliwych - nie z głodu, kurczącego im żołądki, ale od widoków rzeczy tak niesamowitej, jak wieprz pieczony - zlitował się wreszcie zarządzający kuchnią cesarską wyzwoleniec Kallistus (posiadający w rodzinie babkę stryjeczną. Żydówkę) i polecił rzecz, która wywołała bunt Matatii Machabeusza przeciw Syrii odnieść nienaruszoną do kuchni. Delegaci nie tknęli nawet wina, gdyż i to - według nauki Talmudu - było bez ratunku strefione, ponieważ spojrzeli na nie gojowie ze służby, którzy je wnieśli. Zabrano i wino. Nieszczęśliwi współplemieńcy męczennika Daniela, którego podobny wstręt do wieprzowiny i odwagę uszanowały nawet lwy, siedzieli z głowami spuszczoneymi i oczami przymkniętym już w ciągu godzin sześciu. Głód był drobnostki }! Jedno odemknięte oko. maleńki gest kościstego palca i szept zwiędłych ust Menachema określiły sytuację: „w tym roku nakazuję na dziś drugi Jom-Kipur na ziemi golusu” - tj. ustalał się post i wszystko stało się jasne. Kupiec Aristobulos odnalazł w sakwie podróźnej trochę daktyli, nabytych w Jabnie, a te ze względu na słabe siły starca dostały się jemu jednemu. Menachem zezwolił na tę częściową ulgę w poście, ustanowionym dla delegacji, przy czym odrzucał pestki na marmurową posadzkę, a dwaj kapłani zbierali je na pamiątkę, iż ich powłokę daktylową spożył „święty” w ich obecności. Przechowały się w rodzie Husajego przez kilka stuleci, ale do nas, niestety, nie dotrwały.

Coś innego stokroć gorzej, niż głód. trapiło biednych delegatów, zmuszając ich do zamknięcia oczu. Dokoła nich stały” bałwany”, a oni nie mogli ich zburzyć! - boć wybrali się do Rzymu, a nie do Ziemi Obiecanej, i pod wodzą cichego Menachema, a nie wojowniczego Jozuego. Przykrzejszą jeszcze męką ich oczom - jako jaskrawsze w barwach i treści od posągów - sprawiały przeklęte, ohydne, obrzydliwe malowidła na wszystkich czterech

ścianach. Mniejsza o to, że świeciła z nich golizna mężów i niewiast. Menachem, mający praktykę w obrzezaniach, próbach dziewictwa, badaniach czystości podejrzanego o zdradę łona niewieściego, oglądaniach wrzodów na wszystkich częściach ciała w przedsionku świątyni (jako że nieraz wypadło mu określić, kogo pokropić wodą z popiołem, kogo „na siedem dni” według Zakonu odłączyć od zgromadzenia, iżby „po siedmiu dniach” a po przyniesieniu w ofierze tłustego baranka, lub dojrzałej kózki, został „czystym”) - był nieczuły na bezwstyd golizny. Ale tamto było żywe, wonne ciało ludzkie, lub w ostateczności „śmierdząca kropla”, jak określa Talmud człowieka). Tu śmierdziało nieznośniej, bo to były... obrazy, czyli to, co obraża uczucie religijne „ludu Bożego”.

Czekać na Cezara... w towarzystwie obrazów! - była to męka nad męki. Daniel w lwiej jamie nie miał takiej przykrości. O mało rabi Menachem nie pożałował, że wyruszył z Jerozolimy między Hamanów, jakkolwiek chodziło o dobro „narodu wybranego”. Na jakież to próby Jehowa naraża swój lud wybrany, kładąc na jego szczupłe, zgarbione plecy ciężar, jakiego zaiste wszystkie ludy „niewybrane” nie byłyby w stanie podźwignąć pospołu!

O. biedny mój ludu!

Nawiasem mówiąc, malowidła na ścianach pałacu Augusta były... czarująco piękne.

Jeszcze bardziej mówiąc nawiasem, nie odznaczały się przyzwoitością. Przeciwnie, w samej treści były ohydne.

Wyobraźmy sobie tylko: bóg Jowisz w postaci jurnego byka schodzi z Olimpu, aby objąć łapami kuszącą nimfę, Europę - obrzydliwość egipska! Cóż znaczy, że to symbol zapłodnienia ziemi przez słońce, wiara rolników w dobroczynną potęgę ornego wołu, pod którego postacią sam lud Izraela w ciągu 200 lat czcił Jehowę w świątyni Samaryjskiej - bez sprzeciwu ze strony Eliasza. Łagodny prorok potrafił w ciągu pół godziny wyróżnić 400

kapłanów żydowskich Baala, a przecież ze wspomnieniem Apisa egipskiego nie mógł się uporać. Nie posiadał bowiem potęgi Mojżesza, który, zszedłszy z Synaju, zlecił „braciom i ojcom wyciąć w pień 3000 braci i synów” za taniec wokół złotego cielca, ulanego rękoma Arona, którego - sprawa to rodzinna - uczynił potem arcykapłanem Jehowy: brat przecież rodzony!

Dalej patrz! - tenże Jowisz, w postaci łabędzia obejmuje omdlewającą z rozkoszy, bujnoształną, uroczą Ledę. Gdybyż jeszcze wziął na się postać węża, którego sam Mojżesz, wbrew swemu przykazaniu, postawił z miedzi na pustyni w celach terapii metalurgicznej, a Żydzi kadzili mu przez lat kilkaset, aż zburzył tę „obrzydliwość” Mojżeszową pobożny król judejski. Ale łabędź - to istna sodomia!

Dalej... znowu bóg olimpijski! Teraz spada deszczem złotym na białe łono złotowłosej Danae. rozwierającej śnieżne kolana. Manna w tej postaci sama przez się nie uraziłaby nikogo z wiernych, nawet w Izraelu, ale... taki deszcz na sprośnię łono kobiece, pogańskie!

Jeszcze dalej - mozaiką z kolorowych kamyczków ułożony spór bóstw - Zeusa z Herą, skandal małżeński na Olimpie! Mniejsza o to, że to jest Zeus w błyskawicach i piorunach Jehowicznych - może słowny obraz Biblii, przeniesiony wyobraźnią aryjską w kolory plastyczne! Mniejsza, iż jest to symbol orkanu nieba, walczącego z niwą ziemi. Ale jakież to sromotnie ludzkie, arcyludzkie! - jak dalece od duchowości „ręki Bożej”, wyciągniętej nad wojskiem Faraona! - jakże brzydkie w porównaniu z „ogniem, zapalającym się w nosie Pana!”

A dalej jeszcze - Wenera, podająca Parysowi jabłko i rzucająca w jego objęcia piękną Helenę!... Potem nimfy, najady, fauny, syleny...gaje i wzgórza, gdzie z kadzielnic wlatuje dym bluźnierczy pod niebo, wyłączną własność Jehowy... I Psyche i Amorki... i znowu Wenus - bogini lubieżna w uściskach Marsa - oboje schwytni w sieć przez figlarza, boga

Wulkana!

Zgroza! - zgroza! - zgroza!

Chciałbyś na czas oczekiwań zapomnieć się tu w rozmyślaniach pobożnych, lubo w mądrej dyspacie talmudycznej. Ale jak podnieść oczy, iżby tych potworności nie widzieć?!

Wreszcie rabin Menachem - biedny, głodny, utrapiony rabi Menachem - znajduje myśl. sposób reakcji, który wyzwoli wszystkie dusze, owych dziesięciu jeńców drwinkarza-tyrana... stanowić będzie zadośćuczynienie jednemu Bogu oraz jednemu ludowi, który Go rozpoznał, a nie zagubił się w otoczeniu barbarzyńców.

Rabi wstaje - powiada jedno słowo: „Sza!”

Jest cisza martwa w sali. Drzwi wskazał palcem. Już poskoczyło ku nim dwóch, trzech poczciwców. Inni nasłuchują przy drzwiach dalszych. Nikt nie idzie!

Wówczas Menachem powstaje... Jest wspaniały, jest królewski, jest pełen majestatu!

Oślania się dwoma ludźmi, ostrożnie, jako Mojżesz w chwili, gdy bohaterko zabijał Egipcjanina, ciemiężcę swoich braci.

I z całej siły... pluje na jeden z obrazów!

Na jaki?

Azali nie wszystko jedno głodnemu i sponiewieranemu?!

Ślina pada w twarz nagiej, bezwstydney kobiecie na malowidle.

Jest nią przypadkiem... bogini Atena - Minerwa, Mądrość. Błogosławi dwóm wielkim

Naukom, które rozszerzyły niebo, policzyły gwiazdy i pchnęły wiedzę na szlak wieczny poszukiwania praw natury - Matematyce i Astronomii, upostaciowanym w kształcie niewiast w białych szatach, z cyrklem i astrolabią - otoczonym na obrazie przez gromadę mędrców helleńskich, od Talesa do Archimedes!a!

Menachem osłonił tałesem głowę, spełniwszy obowiązek...

Ach! Ta ślina jego ostatecznie się nauczy przez setki lat, aż do Odrodzenia - chociaż sami Żydzi wyliczą z potrzeby określenia terminów świąt, a z pomocą Babilończyków i Greków, czas księżycowych obrotów - chociaż oni sami w epoce ciemnoty europejskiej będą tłumaczyli wraz z Arabami dzieła Arystotelesa na mowę arabską i pomagać będą szlachetnym Maurom w obserwacjach nieba - choć w brzaskachC  
nowożytnej oświaty Żyd będzie pomocnikiem astronoma Tycho Brahe, wyprzedzającego pilnymi wyliczeniami obrotu gwiazd genialne uogólnienia Kopernika! Ślina Menachema znajdzie się w ustach katolickiej Hiszpanii - przejdzie przez całe średniowiecze, burzące sztukę, podstawę nauki! Padnie w twarz palonemu na stosie, za niezgodę z biblijnym Jozuem, zatrzymującym słońce, Giordanowi Bruno... Oplwa oczy zniewolonego przez inkwizycję do wyrzeczenia się prawdy obrotu ziemi Galileusza.

Jakiej prawdy?!

Wszak prawdę zna tylko rabi Menachem!

Ex oriente lux\

Tu w sali audiencyjnej Klaudiusza - błązna, który zastąpił na tronie szaleńca Kaligulę - w tej samej bodaj sali, gdzie szaleniec wydał dekret, nakazujący posągom bogów odrąbywać głowy i nasadzać na karki jego, Cezara, marmurową głowę (uczył bowiem narody, że Bogiem jest człowiek... człowiek zły! - uczył ku zgorszeniu Izraela, wierzącego, że złym wolno być jedynie Bogu i że nawet najidealniejszy z ludzi nie mógłby być Bogiem) - tu, w tej sali, ona plwocinę świętą, rzuconą w twarz podłemu bóstwu pogańskiemu... Mądrości Greckiej, roznoszą pobożnymi palcami dwaj kapłani, dwaj rytualni rzeźnicy cudownej świątyni Heroda Wielkiego, ojcowie wszystkich rzeźników na podwórzach getta po 2000 lat - przenoszą ją na obrazy sąsiednie, rozmazują z rozkoszą, jak „ciągnącą się” w opisie talmudycznym ślinę „halicyV

Albowiem rabi Menachem rozwiódł się na wieki z Minerwą i nie chce Apollinowi, bogu słońca, który ogrzewa go bratnio - „wzbudzić potomstwa!”

A jednak... Ono przyjdzie, wbrew wszystkim twoim nieświadomym i obłudnym obrońcom, słodki bracie Menachemie, z krwi którego - nawet z niej! z tej krwi, zarażonej przez Grecję, wyjdzie Hertz, wiekopomny twórca teorii fal elektrycznych...

Ale na dziś - w Rzymie Klaudiusza - ty, uczony rabinie, masz satysfakcję!

A za to postawiłem ci w pałacu Cezarów pomnik, którego nie rozwalisz! Ani ty, ani tobie podobni!

## Rozdział XII

### Nauka mędrca

Teraz rabi Menachem może już mówić.

Jego piękna twarz urodzonego ascety nabiera wyrazu najwyższej, jaką sobie można wyobrazić świętości. Pod nastrzępionymi, siwymi brwiami zapalają się źrenice cichym płomieniem głębokiej uczoności. Zdawało się, że zaginął na wieki ognisty język pięcioksiągu Mojżesza, nakazującego wyćpienie doszczętne dziesięciu ludów z żonami, dziećmi i bydłem, które ważyły się stanąć na drodze Izraela do ziemi, płynącej mlekiem i miodem, podążającego już do spełnienia świętej misji swojego pokojowego wybraństwa na ziemi. Można byłoby przypuścić, że zapomniany został płomień wymowy proroków, przypominających ludowi wieczne imię Jehowy, którego to imienia wymówić nie wolno, ale które jawi się w każdej katastrofie, tępiącej narody Izraelowi nieprzyjazne. Przecież rabi Menachem mówi tylko o materiałach suchych, o kazuistyce, rozstrzępiającej genialnie każdy wiersz zakazowy Tory na milion mędrszych jeszcze, niż sama Tora, przepisów rabinicznych; oba bowiem dowodzą, że w każdym zakazie tkwi od dnia Objawienia milion zakazów, które tylko rabini czytać umieją - nigdy ciemni „Amhaarecy”. A przecież ogień tych oczu posiada wszystkie blaski



pierwszego nauczyciela Tory oraz wysłańców Bożych proroków. Głos jest cichy, drżący, ale poza tą ciszą i drzeniem, tkwi piorun klątwy (heremu) na niewiernych, odcinający im drogi do wszelkiej pomocy ludzkiej na ziemi.

Rabin Menachem w tym okresie nosi tytuł Amoraime. Umie on na pamięć każdą literę Tory i wszystkie komentarze obu Talmudów, Babilońskiego i Jerozolimskiego, odkąd pozwolone zostało (rok 189 przed Chr.) spisywać je zebraniu starców i uczonych, ażeby nie przepadły dla świata w podaniu ustnym. Zna objaśnienia Miszny tak dokładnie, że dosyć jest wetknąć w zwój foliałów szpilkę w pewnym miejscu, a on rzec potrafi, jakie litery w głąb zwoju mieszczą się na każdej karcie pod przekłutą przez szpilkę wierzchnią literą. Jest on pamięcią wieczności Izraela - jest nie tylko egzegetą, logikiem, prawnikiem, encyklopedystą wszystkich nauk, którym początek dała Tora, jest zarazem poetą i filozofem!

6 - MesalinaDlatego potrafi on dać uogólnienia, na które nie zdobędzie się pierwszy lepszy faryzeusz, rozumiejący tylko praktykę obrzędów. On prześcignął swoich współczesnych - chwytą ideę filozoficzną wszystkich tych przepisów. Staje przed słuchaczami cała teoria:

Oto są tylko dwie rzeczy we wszechświecie ważne: sam Stworzyciel, wszechmocny i sprawiedliwy Pan nieba i ziemi, i lud wybrany. Reszta jest tylko dodatkiem, ramą stosunku pomiędzy tym dwojgiem. Cóż począłby Jehowa bez wybranego ludu? Albo co mógłby uczynić Izrael bez swojego Pana? Reszta narodów ziemi istnieje po to, aby były karą na Izrael, gdyby odstąpić się ważył od litery swego Zakonu. Ale czyż może odstąpić na długo, gdy zawsze przekonuje się, że Zakon istnieje dla dumy Boga i szczęścia wybranego ludu. Przecież Zakon ten nie jest bynajmniej narzucony Izraelowi, jak niewolnikowi. Nie! On jest tylko wyrazem najmądrszego kontraktu pomiędzy Bogiem i narodem: Bogu należy się dym ofiar z bydła; lud spożywa je, zabite rytualnie na ołtarzu Pańskim - obie strony są

zadowolone; kapłani, pośrednicy w wykonywaniu tej umowy, pobierają tylko skromną dziesięcinę ze wszystkiego, co posiada Izrael, a którą znieść winien do świątyni. Lada uchybienie ze strony ludu w procencie kapłańskim, lub w tysiącnych dodatkach z okazji chorób i przewinień religijnych, a deszcz przestanie padać i ziemia rodzić przestanie i wrzody dotkną Izrael, jak to zapowiedział Mojżesz w rejestrze klątw z ognistej góry Synaj.

Wszechświat istnieje zaledwie nikłych 3800 lat z okładem - a mądrość żydowska odcyfrowała doszczętnie jego zagładę i do tego rozwiązania już żadna filozofia nic nie doda, chyba... komentarze, komentarze, komentarze!

Z tej czarującej koncepcji - tak wywodzą subtelne usta rabiego Menachema i poruszające się przy tym żywo palce - wynika olbrzymie światło religii, która jest religią życia, zawartą w dwóch łącznych dogmatach: obrzezaniu i płodzeniu. Bo obrzezanie mogłoby mieć jeszcze jaki taki sens bez płodzenia, jako dogmat najważniejszy, ale płodzenie w duchu jedynie miłym Jehowie i racjonalnie-pobożnym nie daje się zrozumieć bez obrzezania.

Możliwe jest tylko dla bydła i dla pogan, czyli gojów, lub „zawów”, z natury rzeczy nieczystych.

„O jakże piękne są namioty Jakuba!” - przełyka zachwytnie ślinę rabi Menachem. W jego komentarzu odkrywa się całe piękno życia, którego jedyną wartością jest nauka, tj. Tora, rozumie się w komentarzu talmudycznym, albowiem Talmud jest „ogrodzenie! Tory”, wyższymz natury rzeczy nad to, co ogradza. Jaki jest cel Tory?... Ocalić życie Izraela - jedyne rozumne i etyczne życie na ziemi. Wszystko inne jest „nieczystością”.

I gestykułując chudymi palcami, na paznokciach których może według Hagady osiąść milion diabłów, ale u znawcy Halachy-amoraima siedzą pewnie same anioły, rabi Menachem bystrym umysłem wyrzuca w mgnieniu oka sto cytatów z najróżniejszych traktatów, wiążących we wspólną harmonię ten światopogląd, który literą biblijną przesłania niebo,

gwiazdy, słońce, góry, lasy, łąki, wody, kwiaty, narody (prócz Izraela, tj. „bliźniego”,  
albowiem - jako rzeczono - Tora jest jedyną piękną wszechświata i sam Bóg nie czyni nic  
innego (w przerwie gromów, rzucanych na grzesznego czasem Izraela) jeno „studiuje Torę w  
niebie”. Jest to bowiem mądrość tak wielka, że sam Bóg wszechwiedzący nie może się jej  
nauczyć od razu i musi czekać na komentarze rabinów - jak stwierdza Talmud.

Więc w pięć minut mówca dowiódł obecnym, jak harmonijnie wszystko składa się w  
tej najpraktyczniejszej, najoptymistyczniejszej teorii na pobożną miłość bytu na ziemi.  
Więc w traktacie Jewamot brat, choćby miał już żonę, musi „wzbudzić nasienie”  
nieboszczykowi bratu, obcując z jego wdową, a przeklęty jest ten, który zaniedba tego  
obowiązku - nakaz Boży grozi mu hańbą oplwania i zżucia trzewika przez nieszczęsną  
wdowę podług obrządku „halicy”. Więc w traktacie Nedarim mąż winien zgwałcić wolę  
żony, która bezczelnie zaprzysięgłaby sobie nie obcować z nim, czyli nie zliczebnić Izraela,  
gdyż ten musi dojść do liczby gwiazd na niebie i drobinek piasku na dnie morza, jak  
zapowiedział Bóg pierwszemu z patriarchów. A że kobieta, oczywiście tylko wyjątkowo  
Żydówka, może przypadkiem zdradzić męża, nawet żydowskiego, to traktat Sota każe gorzką  
wodą badać czystość łona podejrzanej niewiasty, co jest najpewniejszym środkiem medycyny  
kapłańskiej do stwierdzenia faktu zdrady. Ponieważ z wszystkich praw żydowskich  
największą czystością, pięknem i mądrością tchnie prawo małżeńskie, więc gwoli  
rozpowszechnieniu życia traktat Kiduszim włożenie pierścionka na palec kobiecie przy  
świadcach, a bez jej woli, uznaje za ślub i podnosi sam akt płciowy do godności małżeństwa;  
z całą też słusnością traktat Gittin wypędza za progi domu małżeńskiego bezpłodną  
rozwodowym pismem, które nieświadomie przyjęła przy świadkach od męża, dbałego o  
wieczną mnożność Izraela. Co innego, gdyby chodziło o życie w formie, nie przynoszącej  
Bogu przyjemności; gdyby np. Żydówkę zgwałcił poganin, to ona musi być odepchnięta od

lona Izraela, jako zarażona według traktatu Ketubot nasieniem nieczystym, i na to sam Bóg, związany kontraktem z Izraelem, nic już poradzić nie może...

Słowem: „życie jest piękne a śmierć jest gorzka” i słusznie traktat Nazir przypomina, że sam kapłan Samuel bał się śmierci, a nawet „na głowie bohaterskiego Samsona był strach śmierci”.

- Rebe! - odzywa się nagle cichy i trwożny głos bladego chłopca, Jonatana - wszakże strach śmierci jest brzydki... I to jest właśnie piękne, że trzej młodzieńcy Sidrah, Misach i Abdenagi, jak opowiada księga Daniela, dali się spalić w piecu ognistym i przedłożyli śmierć ponad złamanie nakazu Pisma.

Izrael pozwala dyskutować. Więc rabi Menachem podniósł głowę, uśmiechnął się słodko do młodzieńca i rzekł:

- To jest inny wypadek. Oni nie mogli żyć, skoro Nabuchodonozor kazał im spożyć jadło niekoszerne; takie jadło jest zakazane, a więc nie może wyjść Żydowi na zdrowie.

Po tym zwycięskim odparciu błędnego sądu młodzieńca rebe Menachem jeszcze łaskawie wyjaśnił obecnym, że traktat Hullin wyznacza mądrością prawodawczą Synedrionu 40 uderzeń biczem człowiekowi, który zjadłby z bydłęcia kawałek trefnego nerwu, choćby tylko wielkości oliwki, gdyż to sprzeciwia się czystości Izraela. Albowiem Izrael jest ludem odrębnym od wszystkich innych, a tak szczęśliwym, że o każdej godzinie winien stąpać po ziemi, szepcząc pochwalne i dziękczynne modlitwy swemu Panu i we właściwych godzinach nosząc jawnie symbole przykazań - naczelniki i naręczniki drewniane, przywiązane rzemykami do ciała, a to według traktatu Berahot. Poparł to jeszcze powołaniem się na traktat Halla, który ku radości Izraela „pozwoił nam piec ciasta wielkanocne na wieczną pamiątkę ujścia od śmierci z rąk niegodziwca faraona”, i na traktat Sabbath, który nakazuje święcić sobotę nawet nierozumnym rzeczom, gdyż „mędrcy” zakazują, aby gotowało się w Sabat

jadło, które zaczęło się gotować choćby przed wieczorem piątkowym, tj. przed początkiem Sabatu.

Tu nadzwyczajnie szybko, w roli argumentów logicznych, popierających całość tego wywodu, mignęły cytaty z traktatu Nidda, zabraniającego dotknąć choćby końcem palca kobiety w pewnym okresie jej przyrodzonego stanu fizjologicznego, jako w tym czasie napiętnowanej znamieniem nieczystości, oraz z traktatu Mikwaot wymierzającego religijnie ilość wody, w której oczyszczać się mają niewiasty świętego narodu, oczekujące poświęcenia przez mężów aktem małżeńskim, aby tej wody nie było przypadkiem za mało, albo za wiele, wbrew wyliczeniu rabinów, jak zawsze, opartym ściśle na Piśmie Świętym.

Dotąd rabi Menachem mówił sam. Ale zaledwie dotknął traktatu Teharot-Ohalot-Kelim, który cofa się z przerażeniem przed dotknięciem trupa, jako największej nieczystości na ziemi, gdy niebawem zaczęli mówić wszyscy razem. Tyle naraz powstało zawilich kwestii i cudownych trudności, aby odróżnić się dało wszystkie „źródła nieczystości”, dzielące się według logiki talmudycznej na „ojców ojców nieczystości, na ojców nieczystości i na dzieci nieczystości”. „Ojcem ojców” był trup - nie sam trup, ale kawałek mięsa trupiego wielkości oliwki i ćwierć „toga” krwi trupiej, a nawet kosteczka trupia wielkości ziarna jęczmiennego albo mogiła, albo rzecz, która dotknęła trupa.

- A co jest „ojcem nieczystości”? - egzaminował rebe Menachem, mrużąc mądrze oczy.

- Szerec, czyli gad! - rzucił Lewi.

- Newela, czyli trup bydlęcia! - przypomniał Natan.

- Zaw, czyli ciekący materia! - zauważył Husai.

- Nidda, kobieta w pewnych okresach, rodząca i trędowaty! - wysapał z pychą Asaf, dumny ze swej wiedzy.

- To znaczy - uogólnił rabin, stykając wskazujące palce obu chudych rąk - to co

dotknęło ojca ojców. Ale co tu jeszcze wchodzi?

- Bałwany i sami poganie! - pośpieszył z gestem obrzydzenia Naftali. - Oni są zawsze zgnilcy!

- A ty nic nie powiesz? - zdziwił się rabi milczeniu Jonatana. - Nie wiesz nawet, co to „są dzieci nieczystości?”

Jonatan zarumienił się. Widział, że ojciec spogląda nań surowo, zażenowany jego milczeniem, jakby dowodem niewiedzy. Więc wyjąkał niechętnie:

- Wiem, rabi! Uczyłem się... Dziećmi nieczystości są ci, co połknęli trupa ptaka, albo odrobinę śliny...

- Wybornie! - pogłaskał brodę uradowany ojciec.

I teraz już wszyscy chórem mówili: ono zanieczyszcza dotknięciem, ono gdy je poniesiesz, lub popchniesz, tamto gdy na nim siądziesz, a to gdy się położysz, inne, gdy na nim zawiśniesz, inne jeszcze, gdy je przełkniesz...A wszystko to posiadało swoje terminy i wszystko miało jeden ceł szlachetny; oddania kapłanom tucznego baranka, lub tłustej owieczki celem oczyszczenia się od grzechu zetknięcia z nieczystością. Oczyszczenia zaś dokonywano z pomocą pogrążenia grzesznika w wodzie tej samej mykwy, która już tylu innym niechybnie pomogła - czasem zaś pokropieniem wodą, do której przymieszany był popiół ryżej jałówki, nie posiadającej nawet dwóch czarnych włosów, co było przecuciem religijnym zasad współczesnej higieny i antyseptyki, jak to już nieraz dowiedzione zostało przez wyjątkowych znawców Talmudu, pewnych lekarzy (Żydów) w XX wieku bieżącej ery! Powstają uczone spory między dyskutantami. Twarze ich purpurowieją pięknym zapalem. Oczy błyszczą namiętnością, która odpowiada wadze poruszanych kwestii. Ręce dotykają wzajem swoich ubiorów na znak rozrzewniającej solidarności nawet kłócących się w

Izraelu.

Straż pałacowa czasem zajrzy przez drzwi - machnie ręką obojętnie i odchodzi, gdyż składa się z żołnierzy, co już bywali w Palestynie i rozumieją, czym jest na wschodzie dyskusja uczonych, do rzędu których należy zresztą nieomal cały naród judejski.

Gdyby rozumieli po aramejsku - bo dyskutanci nie mówią po hebrajsku, jako że ten język zdążyli już zapomnieć i używają mowy nienawistnych Babilończyków - sądziłoby, słysząc wyraz: „czystość” i „nieczystość”, że tu chodzi o tę czystość, o jakiej mówią wszystkie narody zachodu.

Uczciwy i uczony rebi Menachem wyprowadziłby ich przecież z błędu, jakiego tak często dopuszcza się nieuctwo. Chodzi bowiem o „czystość” wcale inną - szlachetniejszą, rytualną, o jakiś strach okrutny, osnuwający misterną pajęczyną wywodów (logicznych tylko dla umysłu żydowskiego, łotniejszego od płaskiej myśli aryjskiej) - strach przed „zarazą” nie istotną, ale fikcyjną, żadną, i przez to właśnie najniebezpieczniejszą, bo przed nią tylko znajomość zakonu i jego komentarzy może uchronić naród Izraela już po wszystkie wieki przyszłe. Amen!

Bo oto rabi przypomni, że np. wszystkie ślina w Jerozolimie jest czysta, gdy wszystkie ślina w każdym mieście pogańskim jest nieczysta.

Wy tłumaczy rabi Menachem, że leżące na drodze dziecko brudne jest czyste, a umyte jest właśnie nieczyste, gdyż brudnego dziecka kobieta podczas „niedyspozycji” mogła nie pocałować, a czyste mogło ją skusić do pocałunku, przez co dziecko musiałoby ulec zarazie od „ojcanieczystości”. Dalej wyjaśni, że po długich dyskusjach rabinicznych zwyciężył wreszcie jedynie racjonalny pogląd, że „woda, lejąca się z pyska krowy jest nieczystą, podczas gdy mocz jej jest niewątpliwie czysty”.

I będzie mówił z entuzjazmem, słuchany z rozkoszą przez tych ludzi, żądnych wiedzy

- którzy rozumieją dokładnie, co znaczą w Talmudzie te perły zachęty: „słuchaj mędrców”, „szanuj naukę”, „miłuj nauczyciela”, „oddawaj hołd wiedzy”, „studiuj, badaj”, bo wszystko minie, a „nauka zostanie” - będzie mówił godzinę, dwie, trzy o tych wszystkich rzeczach, które pozostaną jeszcze przez 20 wieków, ba! 100, 1000 - najzdrowszą strawą dla umysłów żydowskich, czasami budzącą nawet cześć niepospolitych uczonych aryjskich (archeologów) - arką przymierza, ostoją narodowego życia Izraela, dumą i posiewem kultury, wyszydzanej tylko przez antysemityzm; mianowicie, że:

Ponieważ Mojżesz powiada: „wpadło w środek”, to dla zarazy są podatne wszystkie naczynia głębokie, a nawet naczynia płaskie, drewniane, skórzane, z kości i szkła, z pokrywki tylko z otworkiem i zastrzone - jest to wywód „logiczny”. Ale co do wielkości otworu, przyjmującego nieczystości, to tu bystry rabi Symeon powie: „skoro przepuści figę”, a nie mniej bystry od niego rabi Meir wywiedzie: „jeżeli oliwkę”, a również logiczny i bystry, jak tamci, rabi Juda udowodni: „jeżeli orzechy” - po czym wszyscy trzej będą badali, czy skorupa garnka ma uszka, czy nie ma go, aby mogli zdecydować, czy może ona „przyjąć nieczystość od zetknięcia się z gadem” (szered).

A jeżeli kropla mleka z piersi kobiety „nieczystej” (tj. podlegającej normalnej przypadłości) - kapnie do pieca, to co? - basta! Piec jest nieczysty.

Z kolosalną szybkością przedziwnie prędko chwywane przez bystre umysły tych słuchaczy, spadają następujące słowa cytatu:

„Kilka garnków stoi jeden w drugim, ale ich brzegi są na jednym poziomie; jeśli gad jest w wierzchnim, lub w dolnym, to one są nieczyste i jeżeli mają otwór, przez który przechodzi płyn, i gad jest w wierzchnim, to wszystkie są nieczyste; jeżeli zaś jest w dolnym, to ten jest nieczysty, a inne czyste; «jeżeli jest w wierzchnim, a dolny wystaje, to itd., itd.» - bez końca!”



Głupi Klaudiuszu! Sądziłeś, że ci ludzie są w niewoli u ciebie. Zamknij ich na rok - na dwa, dziesięć lat - na sto - tysiąc, dwa tysiące, oni się zapomną w rozkoszach tej biesiady. Bo takich stronic -jednakich zupełnie, jest kilka tysięcy - i oni muszą te cytaty przeżuwać i mnożyć do skończenia świata z jednakim pożytkiem. Szczęśliwe dzieci, których ojcowie uczą się tego od maleństwa - aby przeszli z tą jedyną wiedzą przez całe życie. Nigdy zatopienie oczu w gwieździstym niebie nie da umysłom tyle rozkoszy, a zwłaszcza pożytku! Tu tkwi tajemnica wieczności narodu, który był przed wszystkimi narodami! Wszystkie narody przeżyje!

Hadgadju\ \*

Wtem z dalekich korytarzy odzywa się gwar... Słysząc stugłosy krzyk, towarzyszący brząkaniu broni:

- Ave Caesar Imperator! Ave Caesar Claudius!

Tabi Menachem przerywa naukę...

Wśród milczenia sali audiencyjnej słysząc ściszony szept, zwrócony do otaczającego grona... Spada ze zwiędłych ust sykiem:

- Cezar Klaudiusz! Niech będzie przeklęte imię jego!

Nie ma w tym... nienawiści. W tym samym czasie przeklinają Cezara inni... swoi... ci na wyżynach i na nizinach, których pokrzywdził - nie tylko niewolnicy ze stu narodów obcych. Przeklinają i nienawidzą. Któż może kochać ciemność? Kto błogosławi zaborcy?

Ale... Menachem nie nienawidzi. A nie dlatego, że jest synem Izraela. O, ja wiem!

Izrael nie jest mściwy - to jedyny naród słodki na ziemi. Jeszcze, wdzierając się rozbójniczo do Chanaanu, mordując jego ludy i gwałcąc jego ziemię, już... pełnił misję! Przygotowywał najwyższe ideały ludzkości... etykę... miłość nawet dla wroga.

Menachem przeklina na zimno. Bo on ma lat 70. Życie strawił na rozmowaniach.

Jest myślicielem. A myśl osłabia temperament, uczy wyrozumiałości. Nie przeklina się nad grobem. To może czynić tylko dobry... król Dawid.

Klaudiusz nie obchodzi Menachema. Mędrzec przeklina tylko dlatego, że w jego pojęciu jest to przepis religijny. Bo powiedziane jest: „Nie wymówisz imienia jego (Nabuchodonozora) bez klątwy”. Klaudiusz jest Nabuchodonozorem - tak chce rabi Menachem. A Talmud uczy: „Przestępcą jest, kto wymawiając takie imiona, nie dołącza do nich klątwy”.

Menachem jest cnotliwy - to wszystko.

! Radosny okrzyk paschalny: oznacza upartego, figlarnego koziołka, (przyp. aut.)

### Rozdział XIII

Dysputa o sprawach, które umrzeć nie mogą

Te dwa światy - może dwie karykatury życia, zaprzeczające zarówno człowieczeństwu, jak i boskości - świat despotyzmu zwyrodniałego człowieka i świat tyranii źle pojętego bóstwa - zetkną się...

Klaudiusz będzie żarł, Menachem będzie uczył. Nie jest to pełna reprezentacja całości dwóch światów - powiadacie. Zgoda! Jest to zetknięcie się pod kątem kaprysu fantazji autora. Wiem o tym... Ale to kaprys pouczający. Widzieliście w pierwszym rozdziale cyrk bestii w ludzkim ciele - przyjrzyjcie się z kolei cyrkowi pcheł w myśli ludzkiej. Pchła jest stworzeniem zajmującym - cudownym akrobatą w skoku - atletą w potędze mięśni względnie do swego rozmiaru - potrafi ssać krew z człowieka - kryje się w niewidzialnych fałdach pościeli - umie, wyćwiczona w zamknięciu, w kajdankach, posuwać o wiele większe od jej wagi ciężary... Proszę, patrzcie!

Menachem-filozof próbuje oświecić Klaudiusza. Czyni to niechętnie. Biedna pchła, którą przewleczono przez żołądek drucikami i zaprzęgnięto do powozika ze złotej tektury, w

którym paradują inne pchły...

Cezar słucha, ale przede wszystkim je...

Nie będziemy opisywali olbrzymiego stołu, za którym siedzą Klaudiusz i Mesalina, ani zastawy czarodziejskiej z dań, zniesionych na złotych i srebrnych półmiskach przez olbrzymi poczet służby, niewolników i niewolnic. Kto spamięta te wszystkie przysmaki wymyślne - pieczone pawie i bażanty, języki ptaków: flamingów i słowików, mleczko muren, po które floty wyprawiały się aż po Gibraltar, ostrygi znad Bałtyku, granaty z Afryki, purpurowe ślimaki, jeże morskie, tuczone dropie - słowem zwierzynę, ryby, owoce, zwiezione dla kaprysu podniebień cesarskich ze wszystkich trzech części świata, które żołnierz rzymski zdobył trudem 500 lat dla swoich bogaczy i swojego boga - Cezara?!

Klaudiusz jedząc, jest zawsze w dobrodusznym humorze. Nawet sam widok

zastawionego stołu i woń pieczystego uderzająca w nozdrza delikatne żarłoka i smakosza, z

góry go rozwesela. Nie zauważył, że Mesalina udaje tylko, iż podziela z nim ucztę -

przypatruje się ona tym oryginalnym przybyszom ze wschodu, jak potworom ze śmiesznej

bajki. Co myśli - kto wie? Może nimi gardzi - nie domyśla się przecież, że jest potrójnie

wzgardzona przez nich, jako nieczysta kobieta, poganka i władczyni wrogiego narodu...

Gardzić nią?! - Czyż wszyscy dostojnicy dworu nie stanęli z szacunkiem za tronowymi

krzesłami jej i cesarza?...

Ci przybysze ze wschodu jednak nie spojrzeli na nią. I Cezarowi skłonili się

wprawdzie - skłonili się dość nisko - ale nie padli na twarz. A przecież tak czyniły wszystkie

poselstwa... wszystkie prócz... Żydów. Czy to wielki upór małego narodu, który - cokolwiek

myśli się o jego roli, źle, czy dobrze - wie, że odegra w dziejach olbrzymią rolę, albo nie wie

o tym, gdyż sam nie chce jej odegrać dla innych; jednak jego prorocy marzą o tej roli -

wymarzą ją, źle czy dobrze marząc - wszystko jedno! Czyż nie rzekł Ezdrasz, że wszystkie

narody, poza wybranym narodem Judy, są kroplami, ściekającymi obficie z wiadra, a świat stworzony został tylko dla Żydów, jak Ziemia Obiecana. Czyż nie przyrzekł prorok, że przyjdą czasy, kiedy „synów i córki judzkie inne narody poniosą na swych ramionach. Królowie będą ich piastunami, królowe - mamkami, a wszystko padnie na twarz przed nimi i proch nóg ich będzie lizać”. Jest więc to pycha?... Nie, to tylko obietnica Pana Boga! Przecież dlatego on sam dał im prawa, które - według Mojżesza - wszystkie narody będą podziwiałały przez wieki, boć lepszych nie było i nie będzie! - zwłaszcza po poprawkach talmudystów! Więc przywilej?... Tak! Wyjednał go delegacjom żydowskim na terenie Rzymu zręczny król Herod Agrypa za usługę, którą wyświadczył Cezarowi Klaudiuszowi. Cezar krzywi się na to wewnętrznie, ale wino falerneńskie, którego kielich wypił wszedłszy i jeszcze okiem nie rzuciwszy na delegację, wprowadziło go w złoty humor. Niech sobie ci zabawni Żydzi stoją przed nim!

Nie! - co za wspianiała ironia! Kazał podać krzesło z kości słoniowej. Niech Menachem siada naprzeciwko - jest starcem, arcykapłanem. Wszakże Narcyz radził, aby nie „drażnić komarów”. Klaudiusz pragnie, aby Palestyna dowiedziała się, że Cezar jest łaskawy. W gruncie rzeczy ma mimowolny szacunek dla tych dziwaków ze wschodu. Już wie, że nie tknęli jego jada. Wytrzymać głód przeszło dzień cały - i ten chudy starzec także! - To się nie mieści w głowie tłustego żarłoka, Klaudiusza. Świat materii chyli głowę przed światem ducha. Cezar podziwia Menachema. Ten Żyd ze wschodu jest śmieszny, ale jest wielki! Jowisz kazał jeść - Menachem nie słucha! Klaudiusz jest badaczem - on to musi zrozumieć. Rozpocznie dyskusję. O memoriale nie ma mowy. Gestem ręki Cezar polecił wziąć go Narcyzowi. To się rozpatrzy w wolnej chwili. Teraz jest rzecz ważniejsza - zbadanie tajemnicy rozkazu Boga, Jehowy. Klaudiusz rzuca tłumaczowi delegacji, kupcowi Arystobulosowi, po grecku pytanie, podług wzoru Kaliguli - tylko nie tonem gniewu, nie

czekającego odpowiedzi, ale w kształcie łaski, ciekawej rozwiązania zagadki:

- Dlaczego nie jadacie świniny?

Tłumacz informuje Menachema. Zdziwienie na twarzy delegacji. Dlaczego Cezar miesza się w sprawy ich religii? Co to może obchodzić obcego, któremu Izrael za zezwoleniem Boga może w bramach swoich sprzedać ścierwo, jakiego nie wolno jeść ludowi świętemu?

Czy warto coś tłumaczyć bezbożnikowi!

Ale przecież Jeremiasz rozmawiał z Nabuchodonozorem! Przecież prorok Eliasz nie wstydził się pokazywać królowi-bałwochwalcy, że potrafi cień cofnąć o dziesięć stopni wstecz... Sam Mojżesz uprzedzał o plagach faraona, któremu Jehowa umyślnie wprzód „serce zatwardził”, aby go później ukarać za to „zatwardzenie”. Tedy i Menachem rozstrzyga, że winien oświecić Klaudiusza, skoro ów chce poznać wolę Boga Izraela, jakkolwiek mądry rabi już rozumie - po wypadku z Idumejczykami - że „prozelityzm jest wrzodem na ciele Izraela. Nie masz wdzięczności od pogan za światło z Synaju”.

Tedy z woli Menachema tłumacz oświadcza:

- Jedynie rabi Menachem może odpowiedzieć na to. Ale on mówi tylko po żydowsku.

„Po żydowsku” - znaczy w tej epoce po aramejsku, jak kiedyś będzie znaczyło: po niemiecku, oczywiście z domieszką słów hebrajskich.

Okazuje się, że Klaudiusz nie umie po żydowsku; i że nie ma nikogo, kto by tu na dworze ten język rozumiał. Staje tedy umowa: rebe Menachem będzie mówił po swojemu, a kupiec będzie tłumaczył jego odpowiedzi na greckie Cezarowi, który przez cały czas zajada i jest głęboko przekonany, iż Mesalinę interesować winno to, co interesuje kapryśnego Cezara.

Rabi Menachem mógłby odpowiedzieć, jak arcykapłan Eleazar w piśmie do Greków

w lat 84 potem: „Abyśmy się nie splugawili obcowaniem z innymi i nie byli zepsuci przez

współżycie ze złymi ludźmi, otoczył nas prawodawca zewsząd prawami, dotyczącymi czystości jadeł, napojów, dotknięcia się, w ogóle wszystkiego, co widzimy i słyszymy” - ale rabi Menachem jest grzeczniejszy od swego następcy i woli odpowiedzieć słowami Zakonu.

Pada więc przez usta tłumacza tekst Pisma Świętego:

-”Wszelkie zwierzę, która ma rozdzielone kopyto, a przeżuwa, jeść będziecie. Zając też jest nieczysty, bo i ten przeżuwa, ale kopyta nie dzieli. I świnia, która, acz dzieli kopyto, nie przeżuwa...” - tak rzekł nam prawodawca.

Narcyz nachyla się z uśmiechem i coś szepce do ucha Klaudiusza, który poleca zapytać rabina:

- Czy rabi wie, że zając nie przeżuwa?

- Jeżeli zając tak robi, to on się myli, bo prawodawca nie mógł się omylić - odpowiada skromnie rabin.

Klaudiusz jest zadowolony, bo on jest też prawodawcą, jak Mojżesz. Zauważa:

- Chciałbym, aby nasz senat usłyszał to, bo i on czasem szemrze. Wszelako intryguje go mocno, jaki jest związek pomiędzy zakazem jedzenia świni, a tym, że ona „nie przeżuwa, ale dzieli kopyta”. Menachem odpowiada pytaniem:

- Jaki jest związek pomiędzy niejedzeniem przez Cezara konia a tym, że on przeżuwa, ale nie dzieli kopyt?

Cezar wdaje się w dyskusję:

- Po prostu konina mi nie smakuje. Menachem pyta:

- Czy Cezar nie używał lekarstwa, które mu też nie smakuje?

- Owszem. Menachem triumfuje:

- Zatem je się nie z powodu, że coś smakuje, i nie je się nie z powodu, że coś nie

smakuje. Je się i nie je się podług prawa. Świnina jest może smaczna, ale Żydzi jej nie jedzą, bo je się nie dla smaku, ale dla pożytku.

- Hm! - skrobie się Cezar w głowę - a więc nie jem koniny, bo myślę, że jest niezdrowa. A wcale nie dlatego, że koń przeżuwa, choć ma pojedyncze kopyta. Wieprzowina zaś jest zdrowa, więc jest pożyteczna. Tylu ludzi je wieprzowinę i nie umiera.

- Hm... ludzi?! Innym narodom nic nie szkodzi. Żydom wszystko.

- A gdyby rabin zjadł kawałek świniny?

- To umarłbym.

- Może jednak rabin spróbowałby... i nie umarł?- A czy Cezar spróbowałby konia?

- Nie! Nie chcę...

- A może Cezar także by nie umarł?

Z pewnym podziwem dla mędrca porozumiewa się Cezar oczyma z Mesaliną. Jak ten człowiek rozumuje? Niepodobna go złapać na błędzie logicznym. Cezar jednak zastawia jeszcze jedną pułapkę.

- Gdyby jednak rabi nie umarł, zjadłszy kawałek świniny, to czy... nie jadłby jej dalej?

- To niemożliwe! Ja bym umarł!

- Czy dlatego, że wieprzowina jest niezdrowa?

- Nie!... Ale dlatego, że istnieje zakaz od Pana Boga. A kto przekracza zakaz, jest wyklęty. A kto jest wyklęty, musi zginąć... nie dziś, to jutro.

- To jest przypuszczenie rzeczy odległych! - powiada Cezar, szczerząc usta nieco złowrogim uśmiechem. - A ja dam rabinowi pewność teraźniejszości. Ot, tu leży kawałek wieprzowiny. Rozkażę ci go zjeść, rabi... A jeżeli nie zjesz, to każę ci ściąć głowę!

Menachem jest spokojny, choć żart Cezara grozi skutkami rzeczywistymi. Odpowiada z całym spokojem:

- Wtedy Cezar dowiedzie tylko, że ja mogę umrzeć, chociaż nie zjem świniny. Ale nie dowiedzie mi, że ja nie muszę umrzeć, gdybym ją zjadł!

- Doskonale, mędrze! - mówi Cezar, prawie zachwycony. - Rozumujesz znakomicie.

Ale jeżeli nie zetnę ci głowy, a tylko... każę ci wtłoczyć do gardła kawałek wieprzowiny... i nie umrzesz! To co?

- Ja mogę nie umrzeć, to będzie wypadek. Ale mój naród umrze, bo zmiesza się z innymi. Zakaz jest po to, żeby naród wybrany nie zmieszał się z innymi. Cezar je potrawy, jakich zwyczajni ludzie nie jedzą, także nie dla zdrowia i nie dla smaku, ale żeby nie zmieszać się z innymi.

- To prawda - myśli Cezar na głos - te języki słowicze nie są wcale smaczne i nie służą mi, bo kiedyś rozchorowałem się, zjadłszy ich półmisek, ale jadam je, ponieważ to jest drogie i... oryginalne.

Potem rzuca myśl:

- Więc twój Bóg utrzymuje twój naród przy życiu przez żołądek?

- Niezbadane są drogi Opatrzności! - odpowiada uroczyście rabi.

Nagle Cezar wypluwa z ust kostkę pawia - krztusi się - wpada w złość i już prawie krzyczy:- Wy, rabini, buntujecie wasz naród! Zrobiliście go najniegościn-niejszym z narodów ziemi, odpychającym obcych od swych stołów i gardzącym cudzą gością! Odgradzacie się od Rzymian. Żaden Rzymianin nie wzbroniłby wam prawa przyniesienia ofiar w jego świątyni, a wy nie chcecie przyjmować ofiar, składanych przez Rzymian waszemu Bogu! Odrzuciliście nawet ofiary Cezarów!

Spokojnie odpowiada rabi.

- Były wypadki dawniej, że przyjmowało się... ale podług wyboru i za ogrodzeniem...

Teraz rośnie nabożność... i zakazujemy\* - odpowiada z zimną krwią rabin. - Musi być



bowiem równość!

- Jaka równość?

- Jeżeli my nie korzystamy z łask bogów cudzych, to dlaczego inni mają korzystać z łask naszego Boga!

- A jeżeli chcą?

- Po co chcą? Skoro nasz Bóg nie chce!

- A może on... zechce?

- Nie może, bo On może chcieć tylko tego, czego chcą rabini.

- Więc dlaczego wy nie chcecie?

- Bo my możemy chcieć tylko tego, czego chce Bóg!

Jest to circulus vitiosus, od którego Cezarowi poczyna kręcić się w głowie. Gniewa się:

- Nie wpuszczacie Rzymian i Greków do waszej świątyni. Nie szanujecie mowy naszej!

- Mowy? Owszem... w drugim ogrodzeniu Przybytku jest nawet napis po łacinie i po grecku. To każdy może zobaczyć.

Cezar jest udobruchany tym dowodem tolerancji.

W istocie w drugim ogrodzeniu świątyni jest napis po grecku i po łacinie, że... „dalej nie wolno wstąpić żadnemu cudzoziemcowi”.

\* Cała wojna żydowska, która doprowadziła do zburzenia świątyni w roku 70 n.e., wywołana została przez drobny powód: poganin postawił przed świątynią garnek ofiarny, licząc na łaskę żydowskiego Boga. Żydzi odrzucili garnek. Por. J. Flawiusz Wojna... s. 165. (przyp. aut.)

Rozdział XIV

Wstrząs

Milczenie. Cezar pije wino i mlaszcze językiem.

Korzysta z tego kupiec żydowski, mający trzynastu synów, osiadłych w Syrii i za błogosławieństwem rabina zgłasza jedną z najważniejszych próśb tej delegacji, dbając o współplemieńców na całym świecie. Chodzi o to, aby rząd rzymski pozwolił na przeprowadzenie w całym szeregu przedmieść Antiochii, gdzie powstały nowe kolonie żydowskie, podobnie jak to ma miejsce już w stu innych - magicznego drutu „ejruw”, o którym mówi jeden z olbrzymich traktatów talmudycznych pod tym tytułem. Jest to sine qua non zasad praw obywatelskich w pojęciu żydowskim w owym czasie i do skończenia wieków: „ogrodzenie zakonu”. Bez tej czarodziejskiej osłony od sił szatańskich nie mogą przecież Żydzi poruszyć się w sobotę z żadną rzeczą tego świata - przenieść z domu do domu chustki do nosa: zresztą mniejsza o chustkę! Opatrzność człowiekowi „czystemu” dała palce, ale nawet modlitewnika do bożnicy przenieść niepodobna.

Cezar jest łaskawy - śmieje się, ale tego prawa udziela. Co to szkodzi Rzymowi, że będzie istniał drut dokoła miasta? Zresztą wagę talizmanów Rzym aryjski dobrze rozumie. Delegacja jest radosna: zyskało się tak wiele dla dobra Żydów. Nie wyjdzie się z Rzymu z próżnymi rękoma. Narcyz uśmiecha się złośliwie.

Klaudiusza interesuje rzecz inna: sprawy płciowe, jak gdyby on sam był urodzonym rabinem. Rzuca naraz pytanie:

- Kiedy podług prawa żydowskiego kobieta jest zdolna do płciowego stosunku?

Zachodzi scena dramatyczna. Trwa zresztą tylko moment. Przejdzie jak błyskawica, rzucona spod krzaczastych brwi Menachema w ślepią Aristobula, wprzód zdziwione, potem wylękłe i pokorne. Zgreczony Żyd poważił się zadać pytanie, czy nie wypadałoby powiększyć tego wieku „choćby o rok”. Obracał się wśród Greków - wśród nich odnośny przepis talmudyczny jest dla Żydów tylko teorią, ale w Palestynie mógłby nastąpić zakaz

rzymski, mieszający się do praktyki arcykapłańskiej. Już grzmi przecież słowo napomnienia z ust rabina:\*

- Amhaarecu\ (nieuku!) Chcesz ukryć prawdę naszą przed tym bydlęciem?!

„Bydlę” - w stosunku do Cezara Klaudiusza - nie ma co mówić! - to wspaniały gest żydowski, choć odbywa się tylko pod ostrożną maską aramejskiego języka. Jednakże rabinista wyprowadziłby z tezy Menachema pośród tysiąca wniosków jeszcze i ten logiczny, że można okłamywać tylko ludzi, bydlętom zaś mówi się prawdę. Może i tak...

Bez wątplenia tak!... Aristobulos nie upiera się dłużej.

Nie jest on przecież wielkim Żydem, wpływowym na wieki (nie mniej od św. Pawła) - mistrzem teologów średniowiecza chrześcijańskiego, Józefem Filonem, który już wie, że istnieją w świętych księgach żydowskich przepisy, jakich trzeba się wstydić i wypada je fałszować w cytatach dla obcych narodów, skoro się dba o dobrą opinię i chce się być dla tamtych przewodnikiem światła. Nie jest on też mądrym Żydem portugalskim don Furtado, który rozumiał, że Żydom niezbędne jest dla płuc, dla życia, dla rozwoju, dla wyjścia z klątwy odrębności zakonu, powietrze równości praw obywatelskich (nie w stylu magicznego „ej-ruwu”, koszar, sabatu, obrzezania) i na wielkim Synedrionie, zwołanym przez wielkiego Napoleona, pozyskał dla współplemieńców - po raz pierwszy w Europie - owe prawa; pozyskał je, kłamiąc, wbrew prawdzie współczesnych mu Menachemów, rabinów niemieckich, w tej epoce tak świątłych, jak... dzisiejsi polscy rabini; albowiem na pytania Napoleona dawał odpowiedzi nieprawdziwe: odparł, że podług prawa rabinicznego, opartego na Mozaizmie, wielożeństwo jest zakazane - co przeczy nie uczciwej praktyce, ale przeczy tekstom Zakonu i obyczajom wiecznotrwałym w rodzaju nieodmiennej do dziś przez naród żydowski „halicy”.

Rabi Menachem jest w tej chwili fenomenem umysłowości, które podobieństwa nie

wydał świat cały: jest okrutnie prostoliniyjny, chodząc równocześnie po najkrzywszych drogach, jakie sobie wyobrazić można on chce „prawdy”, nie bojąc się tego, że nowy Piłat rzuci mu drwiąco owo - podług Nietzschego, najgenialniejsze pytanie Ewangelii: - „Cói to jest prawda?” On chce prawdy, chociaż na jego gruncie „prawda bywi na nizinach błotem, na wierzchołkach gór podobłocznych - «cudowni iluzją», sięgającą nieba, niemożliwą do wcielenia prochowi ziemskiemu” Chce prawdy nie mniej, niż jakiś późny po wielu wiekach jego potomek który tę samą prawdę powie, uznając prawdę za gorące żelazo, co leczy wypiekając hańbę zgangrenowanych ran; - powie ją wbrew wszystkimizernym kłamcom, a im samym z pychą nieodrodną Izraela na zarzut iż nie kłamał, rzuci: „przyjdzie czas, a będziecie mi lizać stopy - wy, królowie kłamstwa i mamki koronowane ciemnoty”.

Reb Menachem rozkazał Aristobulosowi:

- Odpowiedz: „trzy lata i jeden dzień!”

I dodaje w obawie przed fałszem tłumacza:

- Mój syn rozumie po grecku. Będzie cię kontrolował.

Tedy biedny kupiec żydowski (zresztą bardzo bogaty, bo ma w Antiochii filię -

wielkie przedsiębiorstwo, spławiające całe lasy i kamieniołomy, z których Rzym korzysta) -

poddaje się i powtarza odpowiedź Menachema:

- Kobieta jest dojrzałą płciowo, mając trzy lata i jeden dzień.

Jest to ta kwintesencja anatomii, fizjologii, medycyny i etyki, która rabiemu

Menachemowi - bez właściwej w tym miejscu cytaty - zagwarantuje po dwudziestu wiekach

w wielkich hebrajskich encyklopediach miano „mędrca”, które na nizinach służyć będzie

podobnym jemu cadykom w oczach ciemnego motłochu najnowszej daty.

Cóż Klaudiusz?! - On jest trochę zażenowany, mlasnął językiem („bydlę!”), podziwia,

że pod słońcem wschodu tak szybko dojrzewają smaczne owoce.

Ale Mesalina - ona zachnęła się. Tak jest! Ta „rozpustnica potworna” krzywi usta.

Rzuca Cezarowi półgłosem:

- To oszust! On drwi z ciebie! To niemożliwe...

- Tak myślisz? - żyły wystąpiły mu na skroniach.

Klaudiusz wstaje - prostuje się nagle - wpada w irytację. Jeżeli ten człowiek odważa się go zwodzić, to biada mu! Klaudiusz jest znowu Cezarem. Grzmi:

- Wy, Żydzi, drwicie sobie z Rzymu! Opowiadacie nam wasze wschodnie bajdy i chcecie, abyśmy je przyjęli od was na wiarę! Pozwoliłem, niestety! usunąć orły nasze z waszych palestyńskich śmieci! A stąd już zadarliście głowy! Nie powitaliście dziś mego boskiego majestatu z należnymi honorami! Ale dość tego! Paść twarzą... Zaraz!

Błądy tłumacz drżącymi ustami powtarza delegacji żądanie Cezara. Cała delegacja blednie - prócz rebeego Menachema, na którego policzkach zapalają się ceglaste rumieńce.

Co zrobić?!... Co rozkaże rebe?!... Upaść w proch twarzą nie przed miłosiernym Jehową, ale przed okrutnym Cezarem - nie przed Bogiem, lecz przed człowiekiem?!... Tam w Palestynie bliskość świątyni i mas

7 - Mesalinaludowych dodałaby im odwagi do odmowy. Ale tu, w pałacu Cezara, gdzie są samotni, gdzie tak bliskie są strażę zbrojne - gdzie ten zbrodniczy władca, nie żaden pomazaniec Boży, jak Saul. lub pomazany na jego miejsce Dawid - daje tym strażom znak wymowny, skoro postrzegł, iż delegacja stoi uporczywie... gdzie już miecze chrzęsty - tu opór?! Czyż należy spierać się z wariatem, który za prawdę chce karać śmiercią?!

Delegacja - jak się rzekło - jest „niepoczesną”. Już uginają się drżące kolana dwóch rzezaków; już pięciu pocziwych faryzeuszy - piekarz mac, kołodziej, tkacz, dwaj rolnicy - patrzą błagalnie na rabina. Oczy ich mówią: „Ocal nas... a uczyn tak, abyśmy nie zgrzeszyli przed tym Drugim, który uderzy na nas wrzodami i zarazą egipską, i tysiącem plag, i odejmie

polom naszym w gniewie swoim rosę dżdżu!” Już Aristobulos przyklęka... Ale rabi

Menachem uśmiecha się... Bawi się monetą złotą (bez wizerunku Cezara). Trzyma ją dawno w palcach. Proroczy zmysł uprzedził go o możliwości tego kapryśnego żądania ze strony tyrana. Coś krzyknął po aramejsku - i rzucił monetę, która zakrążyła na marmurowej posadzce i potoczyła się do stóp Cezara.

A zaraz wszyscy i sam eks-arcykapłan pochylili się ku ziemi.

Cezar uśmiecha się - strażę na znak jego odstąpiły. Wszakże delegacja spełniła rozkaz... pokłoniła się.

Cała?... Nie!

Oto stoi wyprostowany - jeden. Jest blady, jak płótno. Ale stoi - nie drgnął.

Jonatan!

Klaudiusz spostrzega zuchwalca. Blednie także - z gniewu. „Co on dobrego czyni, ten mój Jonatan?” - myśli rebe Menachem. On oszalał? Nie zrozumiał chyba? Nie posiada w sobie zbawiennego instynktu talmudycznego.

- Jonatan! Poszukaj... monety! - szepce Menachem do syna.

Czy jego syn nie rozumie, że wierni prawdziwemu Bogu nie pokłonili się wcale

Cesarowi: oni po prostu szukali złotej monety, którą zgubił Menachem?... Złoto jest cenne!

Wolno go szukać nawet w obecności Cezara.

Jonatan nie słucha ojca. Zacisnął wargi - stoi. Słucha Zakonu... proroków! Nie

rozumie talmudycznego wykrętu, zbawiającego od grozy Jehowy i od złości... obcych. Cezar krzyknął:

- Ściąć mu głowę!

Menachem płacze...

Mesalina kładzie delikatną dłoń na ręce Cezara:

- Cezarze... ja nie chcę!... Proszę cię! Zapytaj, dlaczego on stoi! Musi być chory...

Tłumacz pospiesza z własnej inicjatywy z pomocą oszołomionemu ojcu. Wyjaśnia:

- O, on jest chory!... Ciągłe jest chory!... Okropnie chory!

Jonatan milczy.

Po raz pierwszy spojrzął na Mesalinę. Zobaczył ją.

Oczy małżonki Cezara i syna arcykapłana wpierają się w siebie. Oboje są bladzi różnym wzruszeniem. Ona widzi, że ten wyrostek semicki ma piękną twarz - postawę dumną. On nie spostrzega, że Mesalina jest urocza. Ale ona go zdumiewa. Litościwa poganka?! - nigdy tego nie przypuszczał. A przecież to na jej prośbę Cezar cofnął pretorianina i ostrze już wyciągniętego miecza schowało się za tarczę.

Jonatan nie jest w stanie mówić. Takie wielkie odkrycie!... Poganka - litościwa!...

Żona rzymskiego Cezara ma serce!... pozwala uchybić Cezarowi! Broni wiary Żyda w jego Boga! Jakiś dziw!... cud!... Tak jest! - cud Jehowy - Ojca wszystkich ludzi!...

Jonatan wlepia oczy w twarz Cezarowej. Widzi fakt miłosierdzia - nie widzi kobiety.

Nie to, iżby jej nie znał. Owszem, w szkole ojca już od piątego roku życia poznał wszystkie tajemnice ciała niewieściego. Jej „nieczystość” nie ma dlań sekretu. Wszakże nawet matka, którą tak lubi, która jest tak pieszczotliwa - nie odważa się go całować. Od 9 roku życia i jednego dnia jest przecież mężczyzną. Powinien by już dawno otrzymać z zawiązanymi oczami z rąk ojca nieznaną żonę, bo Panu Bogu potrzebni są nowo urodzeni chwalcę... bez liku... mnożący się nieustannie. A jeżeli nie płodzi on jeszcze dzieci z żoną, to tylko dlatego, że ojciec nie dobił targu z piętnastu ojcami, dającymi posagi córkom zbyt małe - że rodzic każe mu wciąż jeszcze studiować Talmud, gdyż wtedy nawet „amhaarec” zrozumie, jak wielkiej sumy posagowej wart jest uczony syn arcykapłana: będą to całe stada owiec, wielki dom ze wszystkimi drzwiami, opatrzonymi świętym papierkiem mezuzy i wielkie pola, i

mnóstwo obrzezanych niewolników, którzy nie uwolnili się w siódmym roku, gdy ziemia odpoczywa, i przedłożyli dobrowolnie jarzmo niewoli u bogatego pana z symbolicznym dowodem: przybitym chwilowo do drzwi uchem!

Jonatan sam nie pomyślał nigdy o kobiecie - zmysłami. Kobieta jest polem rodzajnym - nie istotą ludzką! Wszystko jedno, co ona myśli... A raczej musi myśleć to, co myślą mąż, brat, ojciec, syn - tylko bez zrozumienia, bo Zakon i Talmud tworzą mężczyźni; ona zaś słucha wiecznie i goli włosy na dzień ślubu i gotuje ryby i wchodzi do mykwy i ma „dwie szmatki dla obsłużenia domu!”

Cezar ustąpił... On sam nie chce psuć sobie i rabinowi humoru. Bo zaciekała go naraz kwestia... obrzezania. Jeszcze tę rzecz - tę jedyną jeszcze - musi mu rabin wyjaśnić.

- Po co obrzezanie? Po co z nożem przystępujecie do waszych niemowląt?

- Jak to, po co? - mimo woli rabi Menachem wzrusza ramionami. - Czy Cezar nie daje ubiorów swojej gwardii? Chce ją odróżnić. Nie może Bóg chcieć odróżnić swojej gwardii znakiem przymierza?

- To prawda! Ale jeżeli chodzi o to, aby lepiej widzieć znak swój z nieba, to dlaczego w miejscu, które ostatecznie ukrywa się? Czyżby „lud wybrany” wstydził się swego znaku?

- Nie! Przeciwnie, jest dumny z niego.

- Ale Bogu trudniej go dopatrzeć.

- Bydlę z zachodu! - uprzedza tym dodatkiem, niewskazanym do tłumaczenia na grecki, swoje aramejskie wyjaśnienia rebe Menachem. - Powiedz mu, że na tym polega moc Niewidzialnego, że widzi on przez zasłonę szat.

Menachem nie wyjaśnia już Cezarowi, że nie obrzezani nie mogą nigdy wejść do nieba, bo po cóż obrażać to władne bydlę, któremu nie sądzona jest nieśmiertelność. Nie mówi też o naklejaniu odrzezek na przestępcach przeciw Zakonowi, aby obrzezany nie



znalazł się w piekle. Wspomina tylko, że przegląd uniformów żydowskich odbywa się na drugim świecie.

- A co się dzieje z odrzezkami? - drwi Cezar, wpadając ponownie w wesoły humor.

Teraz ten barbarzyńca traktuje jawnie delegatów tak, jak oni jego traktują w myśli. On jeno zmienia dla wzdargy „zachód” na „wschód”, z czego oczywiście „wschód”, nawet wędrując dwa tysiące lat na „zachodzie”, może sobie nic nie robić, jako że zachód jest pełny „barbarzyńców”, którzy nigdy nie zrozumieją wschodu!

„Jaką wartość mają odrzezki”? Rebe Menachem gotów by odrzec: „żadnej”, ale przypomina ustęp z Biblii i komunikuje przez tłumacza: - Sto odrzezek posiada wartość jednej kobiety królewskiego rodu.

- Dlaczego? - wybałusza oczy Cezar.

- Bo pasterz Dawid tyle odrzezek ściął trupom filistyńskim, żeby otrzymać za nie rękę córki króla Saula, Micholi.

Mesalinie robi się mdło. Jej małżonek w zapale badań nad religią azjatycką oraz odpowiadający mu rabin wchodzi w szczegóły, które jej zmysł estetyczny - pogański - nieco zenują. Ma lęk, że ci przybysze ze wschodu gotowi są prezentować swoją wiarę za pomocą dowodów naocznych. Nie jest to bowiem jeszcze... potępiona przez historyków, Mesalina przyszłości.

Więc zwraca się cicho do cesarskiego małżonka: niechaj skończy audiencję, albo ją uwolni. Wtedy Cezar spostrzega, że on sam jest też zmęczony, że pora jest spać... Powstaje - niedbale kiwa jednym palcem delegacji - odwraca się - odchodzi wraz z małżonką.

Audiencja jest skończona.

Delegacja ociera pot z czoła - uwolniono ją od męki.

Rabi Menachem zaciera ręce... Posiada nieomylny instynkt.

„Wszystko idzie dobrze!”

- Ejruwl - pyta kupiec, myśląc o tym ważnym zysku delegacji.

- Nie, wszystko! - powiada Menachem. - Kumanus zleci.

Zgadł. Rabini się nie mylą. Ta przepowiednia z „mędrca” Menachema uczyni w opinii jerozolimskiej cudotwórcę i proroka, choć nie widzi on nieco dalej: w lat kilka później

Klaudiusz wyda edykt o wypędzeniu wszystkich Żydów z Rzymu.

Przy wyjściu rabi Menachem pośepnie spojrział na syna i pokiwał głową: „Pogadamy w domu”.

Jonatan spuszcza oczy w niepokornej pokorze - milczy - wierzy, że on jeden miał słusność. Wierzy wbrew mądrymu ojcu: stał się cud!

Księga trzecia

Pomiędzy ustami a brzegiem pucharu

Rozdział XV

Jego list

Mesalina jest wreszcie sama w swojej sypialni. Odesłała służebne.

- Nikogo nie potrzebuję!

Jest późny wieczór. Drgają czerwone światła w rzeźbionych urnach. Bieleją przy ścianach wśród kolumn marmurowe posągi. Żali się szmerem fontanna. Złociste łoże oczekuje próżno swej pani.

Odetchnęła. Wszystko to, czego była świadkiem przed chwilą - ci przybysze ze wschodu, ich gardłana wymowa, głupie spory o drobiazgi - wszystko pierzcha...

Powraca uparcie jedna wizja:

Krwawy zewłok na arenie!

Mesalina zbliżyła się do skrytki za posągiem Amora i Psyche - nikt by się jej nie

domyślił: tak urządził ją mądrze zaufany stolarz z Babilonu - tam są jej pamiątki.

Odnalazła pewien list - stary, pisany przed wielu laty - przeszło czterema.

Czyta:

Lucjusz Korneliusz Sewerus śle Mesalinie pozdrowienie.

Powróciłem do Rzymu po roku nieobecności przed niespełna miesiącem. A od trzech dni jestem szalony. Od trzech dni, odkąd w termach Augusta jakiś głos rzucił przez obłok pary słowa: „Jedynaczka eks-konsula Waleriusza Mesali wychodzi podobno za stryja Cezara!”

Nie wiedziałem, kto to powiedział. Runąłem z wyższych stopni, jak piorun, na wieszczącego nowinę, która zdała mi się niemożliwością, pomieszała mi wszystkie zmysły, krew zmieniła w lód, a za chwilę w lawę. „Podobno”! Chciałem zuchwałemu - nie wiem dotąd, kim był, bo miałem chmury na oczach - wtłoczyć ten fałsz do gardła z powrotem.

Rozdzielono nas. Uciekłem z łaźni. Przybiegłem na progi waszego domu. Niewolnicy stawili mi opór. Powiedziano, że z rozkazu matki Twojej mam wstęp zakazany. Wiedziała widać o moim powrocie, bo wydała rozkazy. Zażądałem rozmowy z Twym ojcem. Powiedziano mi, że jest chory - nikogo nie przyjmuje... Gotów byłem paść pierśią na lance, wedrzeć się gwałtem do waszego domu wbrew służbie, która wykonywała rozkaz pański Twej matki, stawiając mi zaporę z żelaza.

Wtem wzrok mój padł na odźwierze, przystrojone w mirty. Ujrzałem zaraz niewolnice, wnoszące ślubną szatę. Spytałem: dla kogo? Odpowiedziano mi ze zdziwieniem: czyli nie wiem, że dostojna Waleria Mesalina za tydzień zostaje żoną księżęcego stryja, Klaudiusza?

Czy nie wiem?!... Byłem obłąkany tą wieścią. Już musiałem uwierzyć, że tak jest.

Fałsz domniemany okazał się prawdą okrutną, okrutniejszą od mąk Syzyfa i Tantalą, którym

pozazdrościłem w owej chwili łagodności kar piekielnych.

Przez trzy dni krążyłem, jak wilk, koło waszego domu. Marzyłem, że ujrzę Cię przez kraty i różane krzewy, jak ongi, gdy zakradałem się do waszego ogrodu. Nie wyszłaś. Nocą słowiki waszej willi szydziły ze mnie swoją pieśnią weselną.

Dziś rano poczciwej służącej mojej, Chloe, która roniła nad zalem moim łzy serdeczne, udało się przeniknąć do Ciebie - (działała z własnego instynktu) - powiedzieć Ci, że jestem tu blisko i cierpię, spytać, czy nie masz mi nic do powiedzenia.

Odpowiedziałaś: „nic!” - odesłałaś mi pierścień, który zostawiłem Ci na pamiątkę, i dodałaś: „cóż mogą słowa, gdy wszystko jest skończone?” A to znaczyło, że jestem... przeklęty.

Co mogą słowa na to?! Wiatr słów nie powróci gwiazd spadłych - niebu!~

A jednak muszę mówić. Jeżeli są słowa w mowie ludzkiej, odwracające złe przeznaczenie, to wyrwę je z krwią spod mego serca, rzucę Ci je w szmaragd Twoich oczu, w różaność Twoich ust, w biel Twojej twarzy, w oczarowanie Twoich kształtów, równe urokom Psyche - i zatrzymam Ciebie na progach przepaści!

Mesalino! Boska! - piszę do Ciebie list jedyny i ostatni, zanim pójde na szlak wygnania, aby morzami i górami, miastami i puszciami odgrodzić się od... (strach powiedzieć!) małżonki Klaudiusza, którą marzyłem dla siebie. Nie będę znał w słowach listu ostrożności, choćby miał wpaść w ręce cenzorskie i skrócić mnie o głowę; nie ulęknię się zuchwalstwa, które zrani dumę Twoją, choćbyś miała mnie znienawidzić za to, iż chcę Cię zatrzymać przed skokiem w odmęt tego małżeństwa.

Wiem dobrze, iż nie dałaś mi praw stanowczych do siebie. Wzięłaś pierścień „na pamiątkę” - ale uprzedziłaś mnie, że ustępujesz moim prośbom, pozostawiając sobie wolność namysłu „na chwilę przed weselem”. Był to kaprys, igraszka? - zabawa piętnastoletniego

dziewczęcia w śluby z rozkochanym osiemnastoletnim sąsiadem, który zgrabnie jak jeleni Diany, wskakiwał przez parkan w gąszcz róż, wśród których w noc księżycową ujrzał wskrzeszony obraz bogini - odmłodzony ponownym urodzeniem na ziemi w pobłogosławionym przez Uranusa domu Mesali.

Wszelako bacz, Mesalino, że pewnego razu dałaś mi pocałunek - i zadźwięczały przy nim słowa: „będę twoją, lub niczyją!” Pocałunek taki - te słowa już nie mogły być żartem. Przyznaję, że nazajutrz cofnęłaś swoje obietnice - mówiłaś, że welon Hymenu nie jest ci przeznaczony, że wabią cię lilie Westalki i ogień, rozpalony na jej ołtarzu na intencję szczęścia innych w czystości domowego ogniska. Ale widziałem w tym wpływ czcigodnej ciotki Twojej, przełożonej nad Westalkami, Wibidii. Zresztą nie przeczyłem Ci... Bywa i tak, że młody chłopiec jest nie mniej czysty w myślach niż dziewica: - nie rozumie jeszcze ogni, które płoną w jego krwi. Ja, Mesalino, tak samo. jak Ty. drżałem przed objawieniami tajemnic Wenery. Dotknięcie szaty Twojej parzyło mnie - jak gdybym odczuwał trwogę przed męką miłości i współczuł Twojej obawie przed rozdarciem tajemnic, które są świętością kobiecie i wróżą jej boleść z rozkoszy. Byłem przecież poetą... marzącym wprawdzie o laurach stryjecznego dziada, Katulla, który nieprześcigniony dotąd przez nikogo ze śmiertelnych strofami sławił ogień Wenery i wesele Peleusza i Tetydy; ale on przecierpiał tyle od mąk miłosnych wskutek niewierności Lesbii, iż mnie, młodemu, bodaj z jego pieśni udzielił się lęk przed torturą miłości.

Tedy zdziwiony Twoją odmianą, nagłymi łzami, których przyczyny podać nie chciałaś - bom nie uwierzył pretekstowi: rzekomemu „ukąszeniu przez pszczołę” - nie badałem dni następnych Twych tajemnic, poddałem się mądrości losów i gotów byłem ustąpić Cię Weście. Ale tylko Weście, Mesalino - pamiętaj!

I Tyś sama obietnicę miłości powtórzyła w innej formie - ale pełnej powagi, ale

ważkiej dla mnie na zawsze... i do dziś jeszcze: „Jeżeli nie Westy, będę twoją!”

Przyznaj mi, że umiałem być skromny - i tę wolę Twoją szanowałem. Już nie  
ważyłem się objąć Twojej kibici, gdyś raz postawiła rozkaz - a gdy umilkły śmiechy Twoje,  
zamilkł i mój śmiech - już nie było dziecięcych igraszek. Jeno patrzyłem na Ciebie, jak na  
bóstwo, które wstąpić ma na Olimp, rzuciwszy jeden śmiech śmiertelnikowi, uszczęśliwiający  
go na wieki wspomnieniem. A gdyś przebywała w domu ciotki Wibidii, obchodziłem go z  
daleka, nie przeto, iż stoi przy świątyni Westy i dzieli z nim świętość, ale ponieważ zakaz  
Twój wzbronił mi stawiania tamy Twojemu wyborowi.

Oczekiwałem, w którą stronę przeznaczenie przeważy szalę wag - czy na radość  
nieba, czy na moje szczęście...

W tym stanie ducha wypadło mi Rzym opuścić...

Rzekłaś mi przy pożegnaniu, że nazajutrz wstępujesz w progi domu ciotki na czas  
prób i ćwiczeń pobożnych, gdyż dostojna Wibidia nie chce, iżby nieopatrzność dziewczęca  
zatomowała Ci drogę do Hymenu, ku późniejszym próżnym żalom; chce raczej, iżby dojrzały  
namysł dłuższego wyczekiwania, na pomocnych posługach przy ołtarzu bogini, w  
towarzystwie dziewic świętych, objawił Ci, czy surowość ślubów Westalki nie przestraszy  
młodej duszy, skoro z tej drogi już nie masz powrotu... chyba iść żywcem pod ziemię za  
uścisk miłości, wzbroniony po obłóczynach i przysiędze na straż dziewiczości do zgonu.  
Tedy odjechał, acz serce mi się krajało. Wszakże Ci mój odjazd nie był obrazą.

Mesalino! Nie jam chyba pchnął Cię w progi domu Wibidii musem mego wyjazdu. Albo  
chyba bym źle rozumiał Twoją rezygnację? Ty zaś mojego wyrzeczenia nie pojęłaś...

Lecz wiedziałaś chyba - bom Ci to nieraz wynurzył - że z woli stryja, sierota ubogi, od  
jego woli zależny testamentem ojcowskim, musiałem udać się do szkoły retorów w Atenach i  
studiować filozofię. Zresztą nie było mi podówczas marzyć o Tobie, gdyż matka Twoja

nierada była chudopachołka puścić w wasze progi; nasze widzenia wobec jej krzywych min a pomruków, a napomnień, iżby córa „nie zadawała się z podejrzanym sąsiedztwem” mogły być jeno tajne. Musiałem myśleć o tym, aby stanąć na nogach własnych, a zarazem na spuściznę po stryju, acz skromną, powolnością jego rozkazom zasłużyć. Nie tajno Ci, że wrychle stryja mego ostatnią chudobę skonfiskował rząd; stryj dla jakiegoś widma obrazy majestatu poszedł na wygnanie, dobrze jeszcze, że nie na śmierć po schodach Gemońskich... I oto szkołę retorów skończyłem i oto przybywam nie bez widoków na przyszłość w Rzymie, obrońca trybunalski - ale co mi to wszystko teraz?...

Nie szukałem Ciebie za powrotem, a raczej nie śmiałem szukać, gdyż z Twojej woli pismem ciotki Twojej Wibidii z dawna uprzedzony zostałem, iż zostajesz przy świątyni, przygotowana już na śluby Westalki - więc po cóż bym miał Tobie zwierzać rany tęsknoty? Aż tu - na piekło! - ta wiadomość... Jakoby Wezuwiusz wionął mi rozżarzonym popiołem w oczy i przywrócił nadzieje, już odrzucone - boś nie jest Westalką; i wraz zamordował je, jako bydlę na ołtarzu Priapa - bo jesteś narzeczoną Klaudiusza!

Czy Ty wiesz, co czynisz?! Wiesz, za kogo wychodzisz? Co zaimponowało w tym odpadku ludzkości Tobie?! Co matce Twojej?! Czuję jej ręce w tej robocie, bo Twój ojciec, czcigodny i mądry, nie mógł chyba wymyślić takiego związku. Bezwolna igraszka w palcach małżonki - (wybacz, Mesalino, tych słów niepoczesność; one gwałtem cisną się na usta, na papier) - dał przyzwolenie, ale oślepił jeno na chwilę. Już może zgody żałuje, ale nie śmie cofać obietnic swoich, nieprzystojnością sądząc to, co jest obowiązkiem. Złamać słowo - to drobiazg, gdy nie złamać - jest zbrodnią w obliczu nieśmiertelnych bogów, którym winien jest czuwać nad szczęściem córki jedynej - nad Twoim, Mesalino!

A jeśli ty, dziecię, możesz mieć przepaskę na oczach, to cóż skusiło matkę Twoją, iż spryt jej oślepił, iż pcha Cię w takie więzy Hymenu?! Nie rozumiem nic...! Może matka

własną córkę pchać w zgubę, jeżeli jej nie nienawidzi? Przebaczyć bólowi memu i to straszliwe podejrzenie - że matka własna może niedolę umyślnie płodowi łona swojego gotować. Acz zaprawdę jest to przeczeniem prawo natury, jest niesłychanym widowiskiem dla bogów Olimpu! Azaliż oni sami oślepli - bądź losy ludzkie są dla mieszkańców obłoków obojętne zgoła. Albo nawet złośliwi bawią się teatrem niedoli ziemskiej?!... Lub może wcale ich nie ma, a niebo jest pustką ogromną, wypełnioną przez bogi jeno w marzeniu ludzkim!... Gdyż i taka okrutna myśl chorą niezrozumieniem, biedną głowę moją chwilami nawiedza, rodząc z cierpienia miłości mojej najwyższe bluźnierstwo - zniszczenie bogów, a z tym zniszczeniem jakowegoś sensownego porządku we wszechświecie! Lecz skoro Kaligula sprawia rządy, to i to zda się możliwością, iż lubo nie było nigdy bogów na niebie, lubo nieśmiertelni... zasypiają niekiedy, gdy umrzeć nie mogą. Chyba jest jeszcze jedno wytłumaczenie, które małuczkości i ciemnocie ludzkiej skromnością przystoi: - że jakowas karę za grzechy pospólne Rzymu ojciec bogów, czy nieubłagane, niepojęte Fatum, nam gotuje, potęgując zło aż do nieścierpienia, iżby bezwolną dobroć obudzić i męstwem natchnąć dla obrony świętych praw, nakazanych ludziom z góry, a ze zgorszenia złem i buntu uczynić ich własną zasługę ku nowemu porządkowi na ziemi.

Ale dlaczegoż, idąc tą drogą, chcą bogowie uczynić właśnie z istoty najniewinniejszej, z arcytworu Diany, z tego mojego kochania - jagnię ofiarne? I na takim ołtarzu ohydny! Zaprawdę ofiarą czystą była również Ifigenia, zdana bogom przez rodzica, aby okręty greckie ku bojom z Troją poruszyć. Lecz ona tylko krew czystą pod nożem kapłana w jednym mgnieniu oka przelała. Ciebie pcha się na mękę długą i wstrętną, w brudne łożo starca, już do rozpust wszelakich zaprawionego... Jakże bóg Hymenu ścierpieć może takie naigrzanie się?!

Azali ślepią jesteś, Mesalino...? Albo może spodobał Ci się łysy łeb ogromny na karku



tlustym, a plamy czerwone na zmiętej twarzy wydały Ci się piękne? Rozkochałaś się w szpetnym uśmiechu, ukazującym gnijące zęby?! Myśl okrutna...! Samą dziewiczość gotówem podejrzewać o jakowąś przewrotność, o naśladownictwo precudnych nimf, gżących się w świętych gajach w lubości z koźlonogimi satyrami i włochatymi faunami!

Albo może zaimponowała Ci mądrość Klaudiusza? Wydał Ci cię uczonym, iż sławnego Liwiusza miał z łaskawości Augusta za mistrza lat młodych, iż nie rozumiejąc jał naśladować jego gesty, a słowa, badać stare urny etruskie i spisywać tomy historii, którym droga jest na śmiecie! Jeśli tym jego uczonym gadulstwem skusiła się Twoja piękna główka, łaknąca wiedzy, Minerwie przychylna, to - pozwól - rozwieję Twoje złudzenia.

Nie przez złośliwość zazdrosną - nie dla własnych amorów (boć sam jestem już beznadziejny, nie wymagający nic dla siebie, wyłącznie troską o Ciebie strapiony...) jeno przez sprawiedliwość prawdomówną, jakobym był tu pod dyktandem samej Temidy, powtórzę Ci to, com zasłyszał nieraz z ust szczerych i niekłamliwych, co Rzym już nie po kątach, ale głośno zwierza sobie - ile, że wobec niewydarzonego księcia już szept trwożny nie obowiązuje - co w zasłużonych przez Klaudiusza drwinach najpoufalej rozpowiada się po termach, jako sam niedawno świadkiem bywałem.

Posłuchaj tych rzeczy, a zastanów się nad nimi:

Sama matka Antonina przeżywała Klaudiusza „płodem niewykończonym przez naturę, jeno podrobionym”. Chciała-li rzec o kimś, iż nad wysłowienie jest głupi, mawiała: „głupszy niż mój syn”. Wcale inaczej był wychowywany, niżli brat jego, Germanik przesławny, bo nawet na wypadek katastrof śmierci w rodzie, w którym tyle zniw zbiera Tana-tis - a trudno powiadać, jakimi drogami - nikt w idiocie od kolebki nie domyśla się możliwości następstwa po Augustach. Nie był też Liwiusz dan mu za właściwego mistrza. Był zarzuconym w kąty ogrodowe pedagogiem najbliższym koniarz-masztalerz, który to go bijał

bez lęku czyjegoś zaś wstawiennictwa, to pił z nim podle wina, a uczył go grać w ulubione kości.

Miał August z tym księciem kłopot nie lada, iżby nie kompromitował cesarskiego rodu wystąpieniami publicznymi. Nie wolno mi tu cytować imion tych, co wśród pary łaźni odczytywali zaufanym, wśród których i jam bywałem, na ustroniu termy, odpisy listów Augustowych do Liwii, gdzie Cezar skarży się przed małżonką, iż nie wie, jaki urząd mógłby niedorajdzie powierzyć, a troska się, pod czyją opieką wolno byłoby go na igrzyska lub uroczystości państwowe puścić, iżby nie wystawiał się naprzód na widok, a jakimś głupstwem ceremonii publicznych nie zamącił. Usuwany był w cyrku na tyły łoża cesarskiej; na święcie Marsa krok w krok chodził za nim młody Silanus, aby dawał mu szeptem pouczenia, gdyż dla pozorów książęcego szacunku zdano mu chwilą na ręce tablice kapłańskie. Chcąc stłumić pośmiechy na to, że książę krwi jest półgłówkiem, niepodatnym na nic. chcąc ambicjom żałościwie skarżącemu się przed babką na pomijanie zadość uczynić, wola Augusta wyniosła Klaudiusza na urząd posług arcykapłańskich; lecz jego chód śmieszny, budzący ciche chichoty poza pozorną czcią ludzkich przy-stawań a chyłeń głów przed nim z obowiązku - sprawił, iż wkrótce cofnięto księcia w kąt zasłużony. Nie będę krył, iż list Augustowy chwali małżonce wymowność jej wnuka w czas jednej z parad, ale sam August wydziwić się nie mógł, że człek, tak zająkliwy a nieskładny w mowie potocznej, mógł naraz krasomówstwem zabłysnąć i nie zawstydził rodu swojego: upatruje w tym cud jakowys łaski bożej nad domem książęcym.

A później?... Mądry Tyberiusz wiedział dobrze, iż proszącemu o urząd bratankowi może dać li oznaki: obramowaną purpurą togei krzesło słoniowe, i gażę w monetach złotych, lecz nakazać musi, iżby ów cieszył się symbolami, jeno urzędu nie sprawował.

Więc jeśli matkę Twoją, albo Ciebie, uwiodły one czci oznaki, które tłum okazuje

Klaudiuszowi (bo musi pod głów utratą), lubo to, iż senat, zawsze krwi książęcej pochlebiać gotowy, dom spalony odbudować mu kosztem państwa rozkazał - to poza tymi pozorami, wiedz, kryje się niejedno poniżenie, bardziej od czci wymowne.

A że dziś, ze zmianą czasów, Kajus Kaligula półgłówka-stryjaszka foruje i urzędami nań sypie, że pozwala mu sprawować funkcje różnorakie - kapłańskie i sądowe - to przecież po to Cezar jest władcą, by czynił, co chce, skoroć miłszą mu śmieszność, niż powaga miłą była poprzednikom na tronie. Chcesz przecież znać jego dostojność obecną, to posłuchaj rytmów, które mi satyryczna Muza sama pod rylec na woskowaną tabliczkę wtłoczyła, kiedym wysłuchał opowieści młodzieży - bywalej na ucztach Cezara:

Rzym zna urzędy, dawane nie wiedzy, lubo zasłudze, Ani czynom wojennym, ani sprawności pożytku... Dosyć być błaznem, by władnie rozeprzeć się wszędy, Skoro Cezara to bawi, iż w śmieszność państwo pogrąża: Jest dostojnością książęcą - być błaznem i służyć błazeństwu! Byłeś na uczcie Cezara?... to wiesz, jak Klaudiusza szanują Jego przybocznicy - nie ludek! - a ci, którym bawić się wolno... Stryj cesarski nadchodzi; nikt z miejsc się nie ruszy zajętych... Musi obchodzić on stoły, odnaleźć gdzieś leżak na krańcu. Tu widowisko da gościom wyścigiem w żarłocztwie i picciu. Wygrał! - przy barwach Cezara obsypią obecni zwycięzcę Liśćmi oliwek, pestkami daktyli i śmiechem szyderczym. On zaś gębę rozwiera i brzuchem trzęsie opasłym. Dzięki składając za hołdy, rozbawion swym pośmiewiskiem. Spojrzyj; zachrapał przy stole, zmęczony upałem i tuszą. Figiel wyborny: włożono śpiącemu ostrożnie jeżowe Rękawice a potem kuksami, szczypaniem go budzą. Ocknion, przeciera oczęta i twarz zatłuszczoną podrapał. Wszyscy się śmieją dokoła - nie winien nikt naigrawań - Lustro podano... i książę rechocze sam do rozpuku.

Oto konterfekt Twojego przyszłego, Mesalino! Klnę się na Jowisza, że kłując Cię nim, sam kolce męki uczuwam w łonie, naśladując tony satyry, tak obce mojej czulej duszy, która

nierada Cię rani.\*

Cóż jednak prze Twoich lat szesnaście do związania ich z niedołączną pięćdziesiątką?

Na jakie honory dla Ciebie liczy matka w sprzężeniu Twojej bujnej młodości z tą zepsutą krwią Julio-Klaudiańską. pomiataną na dworze, zagrzebaną na krańcu stołu cesarowego, której zejść przeznaczono w cień niepamięci? Jakież kombinacje opiera polityczność Twojej rodzicielki na tym niczym, któremu sądzona jest jedynie korona błazeńska i wieniec z ostów - strawy oślęcej?

Wiem, że matka Twoja jest wyrachowana. Więc może chodzi

Omajątek? Ależ i tu zawodzi mnie próżne śledztwo myśli rozsądnej. Kaligula

wprowadził niedawno stryjka do nowo narodzonego kolegium kapłanów, mających palić

kadzidła Jego nowo upieczonej Boskości, ale za ten honor kazał durniowi, iżby wypłacił

skarbowi milion sestercji. Biedaczyna, szczęśliwy uczczeniem, nie rozporządzał taką sumą;

musiał zastawić wszystkie dobra swoje. Czyż matka nie czytała na słupach plakatów, chociaż

cały Rzym je czytał - że „ziemie Klaudiuszowe sprzedawane są z przetargów publicznych?!”

A więc nie tylko oddaje Cię nicości tytułowanej, ale i nędzy?

Doprawdy w głowie mi się miesza... Jakby Hekate na drwiny nalała mi trunek

obląkańczy do czary! Jakby Apollo wypuścił strzały złociste ze swego łuku i porażeniem

ugodził w moją biedną głowę, która nie wie - nie może zrozumieć, czemu to Mesalina, jeśli

nie uwierzyła w los przyszły Sewera i nie uznała go być godnym jej, tak łącno, tak

lekkomyślnie, skacze w błota, gorsze od Pontyńskich?!

Cóż szczęsnego czekać Cię może w związku ze starcem użytym

1kapryśnym? Mówiono wprawdzie, iż od zrzeczenia się uciech kawalerskich stał się

jednolubkiem, że siaduje pod tuniką u żony. Ale zaiste żon tych było za wiele. A ich los

winien być dla ciebie wróżbą Kasandry!

I tu znów - acz gorzko mi pisać te rzeczy, miał słów płomiennych miłości - winieniem uprzedzić Cię rozważaniami, które dyktuje mi sama rozsądna Metis, co wyszła z głowy Jowisza w postaci córy - Minerwy.

Bacz oto: twój wybraniec, Klaudiusz, jest nałogowym rozwodowcem.

Odesłał do domu pierwszą żonę - zasnę Emilię Lepidę, gdy zauważył, iż brwi Augusta zmarszczyły się kiedyś na tę jego daleką krewniaczkę za słowo śmielsze. Nie jest mi pewne - uczciwie rzeknę - czy naprawdę narzeczona druga, Kamilla, jak mówią, sama z bojaźni, pod musiem rodzicielskim zaręczona z kapryśnikiem, zadała sobie tajne jady, ale jej śmierć w sam dzień przygotowanych ślubnych obrzędów ma postać kary bogów na wybrańca i winna być Ci ostrzeżeniem, Najśłodsza! Rozwiódł się z następną żoną Plancją Urgulanillą. Powodem miał być jej nierząd. Nie taję, iż Rzym głośno mówił o tym i zarzuty nie były bezpodstawne. Ale zważ, Mesalino, rzeczy, których wolałbym nie dopuścić do czystego twego serca, hołdującego wiecznej lampie świętej Westy, strażniczki ślubów małżeńskich, a które - sromiąc się zgoła - winieniem Ci dla przestróg wyjawić, bo i o nich Rzym mawiał gęsto. Czy tu żona była winowajczynią, czy nie, raczej zużyty przez kawalerską Wenus i Bakcha sam małżonek, leczący się mnogimi ziołami i trawami syryjskimi, mażący się leczniczymi maściami Arabii, próbujący ustawnie pobudzeń z muszek hiszpańskich i zaklinań czarownic, aby rozgrzać w sobie krew niedołączną i sprostać jako tako obowiązkowi Hymenu i gorącej krwi żony?! Czy Ty wiesz, czysta, jaki płomień w latach kobiecego dojrzenia zapalić może w Tobie rozkaz Wenery? A czy nie zmierzi i Ciebie tego rodzaju Hymen? Azaliż nie rzuci na drogi, na które cnota niewieścia wejść nie bywa rada? Niechajże bogi mnie strzegą, iżbym hańbę takową zasłyszał kiedyś o Tobie... Jednak strzeż się... Wenus jest potężna - i niedobre zmysłami karze małżeństwa!

Ponoć uleczył się staruch... Ale cóż była mu winna żona następna, Elia Petina?

Mówią, że wysmiała jego uczoność, szukającą tajemnic w gwiazdach, które rachunków swojego biegu nie zwykły zdradzać byle półgłówkowi. Zadrwiła pono z jego krwi sabińskiej i z badań szukającego wbrew wiedzy, przez Wergila uznanej, początków łacińskich nie w Trojanach, jeno w Etruskach... W gniewie na nudę, którą cały dom wykarmił, stłukła mu jakąś wazę starożytną. Był że Ci to jednak dostateczny powód, by do domu ojcowego odsyłać biedną Petinę, a rozglądać się znów za ofiarą, której w takich kapryсах grozi jednaki despekt rozwodu? Boć wżarło się to już w te dawniej cnotliwe obyczaje rzymskie, i modne jest dziś wbrew trwogom zmarłego Augusta, dającego nam ogień dobre prawa a złe przykłady własnym rozwództwem.

Na którąż z tych hańb dążysz, Mesalino?!

Zzymam się w pełnym pytańników gniewie - głową biję o kamienne ściany, które drwią ze mnie milczeniem... Dochodzę do szaleństwa w podejrzeniach, bo już mi się maluje w wyobraźni inna Mesalina, niżeli ją znam w dziewczęciu - taka, co szuka sobie pobłażliwego z laty, lub bardziej ślepego rozkochaniem starca, przy którym, czy skryciej, czy może jawniej - sycić się będzie mogła swobodami małżeństwa pozamał-żeńskimi. Albowiem, Mesalino - (przebacz szalejącemu i to okrutnepodejrzenie!) - taki może być zamiar, taki podszept Twej doświadczonej matki! Rzekłem - i nie cofam!

Nie cofam, że z czystości możesz iść we wszeteczność, takimi związana ślubami!

Nie cofam, skoro godzisz się na ten związek, gdy nie ma dlań nakazu bogów - chyba bogów Hadesu! - nie ma musu wobec łagodności ojca!... Nie ma bezwoli w dumie, choćby był nakaz taki nieuczciwej matki!... Nie ma prawa wobec siebie samej, gdy wzór Lukrecji poucza

0śmierci, wybranej ponad hańbę!... Nie ma pozwolenia wobec mojej miłości i ongi danej mi z pocałunkiem obietnicy: „twoja, albo niczyja!” Nie cofam, gdyż niepojętość rzeczy

każe mi widzieć pod rumieńcem twojego dziewictwa plan wszeteczny i przeklinać Ciebie nienawiścią serca, które miłuje Cię i błogosławi!

Mesalino! Kocham Cię tak, jak nikomu Eros nie pozwolił miłować. Bo w mojej piersi tkwią wszystkie strzały jego kołczana, krwawiące serce męką nieznośną. I gdyby nie było mi wstyd plamić dostojność rodu

1 duszy własnej marnością samobójstwa dla... wzdargy dziewczęcej - już bym po wysłaniu tego listu nie żył.

Ale jeszcze kocham i mam nadzieję - jeszcze wierzę, nim pójdę na tułaczkę bezimienną, na drogi dobrowolnego wygnania, na zgłuszenie jęku serca rykiem oceanów, na zasypanie mąk duszy piaskami puszczy libijskiej - wierzę, że cofniesz się w czas. A gdybyś cofnęła się - wnet odrzucony przez wstępującą na stopnie ołtarza Westy, będę Cię kochał i modlił się do Ciebie!

Bo jesteś albo przeznaczona bogini - co musiałbym uznać w pokorze - albo tylko moja. gdyż pocałunek Twój oddał mi ciebie i bóstwo jedynie może mi Ciebie odebrać...

Nigdy człowiek śmiertelny... nigdy ramiona tak podłe!...

A więc błogosławię Ci każdą fibrą, która pragnie odsunąć Cię od tej przepaści ohydy.

Lecz jeżeli będziesz głucha - i uczynisz to, czego nie wolno Ci uczynić wobec „veto” najpotężniejszej miłości - to przeklinam Cię, Mesalino!

I poświęcam Cię bogom zguby, Ty - moje najwyższe ukochanie!

„Strzeż się klątwy miłości!”

## Rozdział XVI

Pod dachem rodzicielskim

Urodziła się w tym mieście, któremu los znamię wieczności położył na czole. Które sięgnęło po berło kierownicze w dziejach imieniem bóstw pogańskich i mianem Syna Bożego

- szczękiem władnym miecza, boga wojny, Marsa, i blasków gwiazdy, idącej od Betlejem, od Jordanu proroków Izraela - panowało ludzkości potęgą przekazaną Odrodzeniu sztuki i filozofii greckiej, natchnień idei republikańskiej, geniuszu rzymskich praw i rządności cesarstwa późnego szczęśliwego wieku (wiek Wespazjana, Tytusa, Marka Aureliusza, Antoniusza Piusa), oraz czarem słowa Miłości, usłyszanego, nigdy nie przebrzmiałego, ale nigdy nie zrozumianego, nie wcielonego po wieki wszystkie - jako Ideał!

Urodziła się w roku 777 od założenia Romy, czyli w roku 24 ery chrześcijańskiej w mieście, które już wówczas było światem całym, rozciągając nad światem władzę; skupiało w sobie wszystkie cnoty, nie chcąc umierać, i wszystkie zbrodnie, które miały się mnożyć przez wieki pod pokrywą prawa i pod maską obłudy. Było jak polip, wyciągający ramiona dla wyssania złota i dóbr życiowych ze wszystkich, zawojowanych mieczem, lub chytrą polityczną zdobytą prowincji i kolonii.

Urodziła się w mieście, w którym wówczas gorączka budowlana, zainicjowana przez Augusta, stawiała na rozkosznych wzgórzach nowe świątynie, pałace, wille bogaczy - trudem milionów jeńców wojennych, obróconych w niewolników, ledwo szemrać się wazących pod grozą bicia i kary śmierci.

Roma - stolica świata - miasto posągów marmurowych, obwitych w laury, kolumn, oplecionych bluszczem - miasto, tonące w lasach cyprysów, palm i drzew pomarańczowych w ogrodach róż. Uśmiech Natury i Sztuki, złączonych uściskiem nieśmiertelnym! Miasto, które zbliżającemu się z dala wędrowcowi przyspieszało bicie serca zachwytem i łyż wżruszenia wdzięcznego wyciskało z oczu!

Jej dzieciństwo przypadło na posępny czas konwulsji wściekłości Cezara Tyberiusza, rażonego zdradą przyjaciela Sejana, jedyną równą Judaszowej - od której może nieobcy lepszym natchnieniem władca oszalał, rozpętawszy furię zemsty nad Rzymem całym.



Wchodziła w okres dziewczęcości, tak wczesny na południu, pod przyspieszającym X - Mesalinarozwój słońcem Italii, w latach, gdy Kaligula figlował ponuro na tronie, odbierając mężom żony na dzień, lub dwa, i karząc je wygnaniem za następne stosunki z legalnymi mężami, albo wyrażając głośno żale, iż „Rzym nie posiada jednej tylko głowy, aby ściąć mógł wszystkie jednym miecza zamachem”.

Śmierć, tak wówczas łatwa, iż czekało się każdej chwili wysłańca cesarowego i bez słowa protestu otwierało się sobie na rozkaz żyły - znalazła dziwne dopełnienie w akordzie z szalem miłości i nieopatrzny weselem. Śmierć i Eros objęły się w dzikim tańcu. Bo skoro życie straciło wszelki sens i wartość wszelaką, nie godziło się smucić; należało go użyć za wszelką cenę. Zasadą istnienia stało się Horacjuszowe: „Carpe diem - korzystaj z bieżącego dnia. I czarujący śpiewak, który splótł tyle nowych rytmów eolijskich w epoce Augusta, a nieśmiertelną pieśnią ogłosił znikomość życia oraz czar wina i uciech zmysłowych - stał się mistrzem wesela dla rozczarowanych. Namiętniejszy jeszcze od Horacjusza Owidiusz lirą swoją wlał nowy żar w żyły zblazowanych, śmiejąc się z ruiny zdrowia i bogactwa: „jeżeli za mało ci jednej dziewczyny do zniszczenia siebie, weź drugą!” - żartuje. „Okłamię cię kochanka - pociesza - cóż z tego? Co warte szczęście, które nie oszuka?!” „Kobiety zdradzają - zdradzaj je także!” - doradza.

Cesarz żongluje głowami ludzkimi; lud tańczy na niebezpiecznej linii. Rzym jest cyrkiem, w którym grają zmysły i krew się leje. Ostępem jest, w którym Eros pędzi z biczem, pobudza dziewczęta do rozwiązłości, nieżonatych do psucia kobiet, mężów do niewierności, małżonki do zdrady; męką miłosną natęcza rozkosz; krąży między kątami tajnych schadzek i lupanarem na placu publicznym...

Życie jest tu odmętem, w którego głębinach szuka się wciąż nowych upojeń i który bryzga rozpaczliwą pianą przesytu...

Ta zatruta atmosfera urodzi i spęta Mesalinę, wionie tchem swoim na tę, której  
przeznaczone będzie zuchwalstwo zmysłów podnieść w szale powszechnym na szczyty tronu  
i orgią lubieżności skoczyć na dno piekielne życia epoki...

Ale dziecię-Mesalina i Mesalina-dziewczątka nie wie nic jeszcze o tym złowrogim,  
okrutnym, zarażonym rozpustą Rzymie...

Kwitnie, jak kwiat na ustroniu...

Zgiełk olbrzymiej stolicy ledwo dochodzi do zacisznej willi na zboczu jeszcze nie  
zagarnionego budowlaną gorączką czarownego watykańskiego wzgórza - właściwie  
przedmieścia, które włączy w obręb Romy dopiero wola cesarza Aureliana.

Cieszy ją tu złoto słońca, padające na ścieżki ogrodu poprzez gęste liście kasztanów i  
drzew cytrynowych; nozdrza dziecka poją się zapachem róż, kamelii i lewkonii, które  
krzewami obrosły trawnik; duże wesołe oczy pociągnięte są widokiem czerwonych rybek,  
igrających w stawie; zadumane stają się przed marmurowymi posągami bogów, strzegących  
wejścia do grot i altan; wabi je zabawa barwnośkrzydłych motyli. Piastunka Glicera ledwie  
może dopędzić dziewczątka, uganiające się za owadami w późny wieczór letni i zagnać je do  
snu. Dziecię zdaje się bezsennym w niewinności swojego wesela...

Nie dostrzega zupełnie, że ruina zbliża się do rodzicielskiego domu: ubywa służby idą  
w zastaw lub na sprzedaż drogie przedmioty sztuki, pamiątki bogactwa przodków i wypraw  
ojcowskich na wschód - matka śmieje się nerwowo - chmurzy się czoło ojca - sad jest  
zapuszczony dziwni goście, taksatorzy, zagląдают pod dach rodzinny. Wszystko ją bawi -  
zresztą jej nie braknie nigdy barwnych sukienek i łakoci - ma nadto zawsze błękitne niebo nad  
sobą, cień przyjemny drzew cyprysowych na zmianę, dokoła siebie - złoto pomarańczy i  
słodką woń ulubionych kwiatów.

Mesalina czuje się szczęśliwa pod opieką rodziców: kocha matkę, która jest taka

piękna i wykwiwna - wielbi ojca, który jest taki mądry i dobry. Matka pieści się z nią jak z lalką - obsypuje ją namiętnymi pocałunkami, pokazuje znajomym, gdyby cud świata. Ojciec bierze ją na kolana, opowiada jej bajki Ezopa i Apulejusza - kołysze i śmieczy...

Dziecię rośnie... Przychodzi zmiana, która zmusza je do powagi. Matka coraz częściej znajduje się za domem, coraz rzadziej bywa w domu. Ojciec poważnieje - przestał się uśmiechać. Niewolnica-piastunka wymyka się na gawędy ze służbą w sąsiedztwie, lub na wycieczki dalsze, zalecając dziecku milczenie „przed mamą” i pozostawiając je samotności w zapuszczonym ogrodzie, którego zaniedbanie Mesalina spostrzegać poczyna dojrzałszymi oczami. Już nie jest tak skłonna do ruchu i do śmiechu. Czasem kładzie się na ławie i patrzy w niebo godzinami - a łzy ma w oczach. Tęskni za matką. Kocha ją zawsze i podziwia. Ale teraz Domicja Lepida jest dla niej niby zjawiskiem, które przychodzi i znika: nigdy czasu dla niej nie ma. Wprawdzie zawsze, gdy przybędzie, obsypie ją pocałunkami; ale jakże krótka jest ta pieszczota!...Co się stało?... Mała Waleria Mesalina nie rozumie - i nikt nie chce jej tego wytłumaczyć. Widzi jednak, że ojciec patrzy chmurnie na wyróżzowaną twarz, ukarminowane usta, wysoką fryzurę jej matki - zwłaszcza na brylanty w jej uszach, naszyjniki z pereł i bransolety na rękach. Mama jest taka śliczna... - Czemu ojcu to piękno zdaje się nie sprawiać przyjemności?

Biedny ojciec - jest chory. Dokuczają mu stare rany, otrzymane w bojach za młodu, nigdy nie wyleczone dokładnie - artretyzm, nabyty w biotach germańskich i febra, przypominająca się z dawnych wypraw do krajów afrykańskich. Mesalina sądzi, że odkryła przyczynę ojcowskiego smutku; to te brzydkie choroby!

W jej ślicznej główce, jakkolwiek tkwi w niej para jasnych mądrych ocząt, nie pomieściłaby się jeszcze tragedia, która zajrzała do zrujnowanego domu. Zrujnowała go matka swoją żądzą zbytku: - gdy fortuny nie stało, gdy eks-konsul Mesala popadł w niełaskę

u Tyberiusza i zszedł z widowni publicznej, gdy - zbyt dumny, aby pełzać wzorem innych na kolanach przed nowym bóstwem Kaligulą, ukrył się w ustroniu górskim, a nie mógł już nasycić kapryśków żony - Domicja Lepida dała się porwać wichrowi zepsucia, wiejącemu od stolicy.

Skorzystała w całej pełni z praw młodości, które - zdaniem jej - winien był uznać o wiele starszy od niej małżonek. Należy jej się przecież coś od życia - zresztą żyć chce tak, jak każe moda, jak żyje Rzym cały, a nie ma chęci schnąć na pustkowiu, gdzie zachciało się mężowi zagrzebać w księgach filozoficznych! Skąd ma ona klejnoty, tak nie licujące ze skromną z konieczności stopą życiową zubożalego domu? Ach. rzecz prosta! Ma rodzinę bogatą - brat ją darzy - przyjaciółki czynią jej upominki.

Mesala wie, co winien myśleć o tym - rozumie, że ona wpadła w złe towarzystwo, że posiadała kochanków, opłacających suto łaski pięknej konsulowej. Zagryza wargi; choroba zniszczyła jego dawną energię. Zresztą miękki z natury - mimo młodości, spędzonej w bojach, tak różny od kolegów-wojskowych, z reguły okrutnych, jak przystało zwycięzcom świata, Rzymianom - stał się teraz dziwnie słabowolny i wyrozumiały. Może znoszenia wybryków żony nauczyły go filozofia stoicka, mądrość doświadczeń, świadomość podeszłego wieku, nie mogącego sprostać temperamentowi młodej żony, osobliwie zaś widzenie, że wszystko psuje się w ongiś drogim mu Rzymie: ze starymi cnotami republiki uciekła i cnota niewieścia. Sądzi błędy żony z wysoka, jako objaw choroby powszechnej. Więc oczy domyka i milczy - i tylko gryzie bezkrwiste, starcze wargi.

Chodzi mu tylko o jedno - o spokój w domu, gdyż nie znosi krzyków i scen domowych. Nie, jeszcze o coś - o to, co mu jest najdroższe: o honor nazwiska. Ma nadzieję, że żona zachowuje pewne decorum - jest ostrożna, potrafi kryć swoje eskapady miłosne z dyskretnymi mężczyznami. Niechaj tylko nikt konsulowi Mesali nie waży się rzucić w oczy

wzgardliwego słowa, lub uśmiechu - złośliwym napomknięciem ubliżyć czci, jaką winno się żonie członka znakomitego rodu Mesalów. Tym widmem honoru się cieszy. Nigdy słowo wyrzutu nie padło z ust jego pod adresem małżonki wobec służby - może też nigdy nie doszło do wyjaśnień pomiędzy nimi nawet sam na sam - w każdym razie ojciec dorastającej dziewczeczce nie poskarżył się nigdy na jej matkę. Dziecko winno szanować oboje rodziców - taka jest surowa zasada prawego ogniska domowego w Rzymie. Mesalina nie domyśla się, że ojciec jej i matka, mówiąc grzecznie z sobą, rozeszli się z dawna duszami wrogo.

Jednakże coś bolesnego uczuwa w atmosferze domowej - i cierpi...

Ojciec stara się posmutniałą córkę rozerwać, lub chce raczej zająć jej główkę pracą myśli. Wprowadził ją do biblioteki, pokazuje jej liczne zwoje papirusów, które zbierał z umiłowaniem przez całe życie - mówi jej o mądrości Egipcjan, badających niebo, o Grekach, twórcach sztuki, filozofii, nauk - uczy ją początków greckiego języka, cieszy się szybkością jej postępów.

Na razie Mesalina zapomina o „mamie, mającej tyle zajęć dobroczynnych na mieście”, czy też - jak mówi z lekkim uśmiechem piastunka Glicera - „pełniącej obowiązki wschodnich kultów religijnych”.

Jakże ten ojciec pięknie mówi! Odczytuje jej ustępy świetnych poematów Wergila, czarownych mów Cyclerona, urywki jego wspaniałych nauk o nieśmiertelności duszy. Są tu rzeczy zbyt trudne dla niej, ale ojciec potrafi wszystko tak mądrze tłumaczyć, a ona, ujęta rzeczą nowością, tak stara się wszystko zrozumieć. Jest dziecinnie rada, mogąc popisać się wyborną pamięcią, inteligentnym pytaniem, własnym sądem, który ojciec czasem sprostuje, nieraz z uśmiechem pochwali.

Ale te lekcje urywają się nagle. Nie o to chodzi, że znudziły ją zbyt wielkie wymagania ojcowskie, że przeszedł do rzeczy, przekraczających zakres pojęcia trzynastolatki,

że sprawia jej ból głowy, mówiąc godzinami całymi o starożytnym wierszu italskim, o świetności stylu Liwiusza

Andronikusa, tłumacza Odysei na łacinę, o nowatorstwie jego konkurenta Newiusza, o ewolucji geniuszu rzymskiego w utworach Cecyliusza, Terencjusza, Enniasza, o historiografii Katona Starszego, o kronikarzu Polibiuszu, a rzuca tyle innych ciężkich nazwisk. Ale jakże chceć może, iżby pogoniła za nim? - czemu tak się rozdrażnia, że córka trze oczy zaspane i poziewa?

Coś gorszego nadto zraża ją i boli. Ojciec zmienia się dziwnie w jej oczach, a mama nic nie widzi! - wyjeżdża, mieszka tygodniami u sióstr na przeciwnym krańcu Rzymu.

Czemu ojciec odrzuca nagle i depcze w gniewie stare rękopisy? Oświadcza, że Rzymianie są dziećmi i głupcami w porównaniu z Grekami, szydzi z filozofii Cyncerona, tj. „paplaniny naśladowczej”. Potem odrzuca również i Greków, z wyjątkiem Demokryta. Coś ciemnego opowiada jej o jakichś „atomach” - takie małe „rzeczy”, których się wcale nie widzi... Czy to nie głupstwo?!

Teraz znowu oświadczył, że jedynym pisarzem, którego czytać warto, jest uczeń Demokryta, Rzymianin Lukrecjusz. Deklamuje jej urywki z niego - znowu te okropne „atomy!”

Jest z tatusiem coraz gorzej: wpiera w nią oczy i mówi rzecz okropną - na pewno wyczytał ją u Lukrecjusza: „Wiesz, mała, że może bogów nie ma wcale: - bogi zrodził strach!”

Waleria boi się teraz ojca. Błuzni on zapewne dlatego, że dokuczają mu bóle. Kilka nocy spędził na tarasie w dżdżystą pogodę - patrzył w gwiazdy przeziębził się. Zaniedbany, nie ogolony, „brzydki” w jej oczach, leż teraz po całych dniach na posłaniu w bibliotece, która służy mu za jadalnię i sypialnię - zaprzestał wychodzić. Twierdzi, że ruch sprawi mu bóle. Głos mu gaśnie, kiedy mówi - oczy miewa zamknięte, lu stale wpatrzone w jeden punkt.

Mesalina ma wrażenie, że ojciec patrzy, a nie widzi.

Pewnego dnia skrzywił się nawet na Lukrecjusza. Każe jej odczyta na głos pewien ustęp. Mesalina czyta:

Również nam mówią, że żywe stworzenia pod nami mieszkają Spadać nie mogą w dół nieba, jak my nie możemy się podnieść Swoim ciężarem wzwyż niebios; że one stworzenia jakoby Słońce wędrowne widują, gdy my widzimy gwiazdy wędrowne: Że noce ich z dniami naszymi w odmierzonej zachodzą kolei. Pory roku są inne - wszystko to błędy są dziwne...Ojciec powiada z powagą, jakby do siebie:

- Nawet Lukrecjusz może się mylić! Możliwe jest, że z drugiej strony ziemi mieszkają antypody i nie spadają. Wszystko jest tajemnicą!

Potem zamilka - zapomina o jej obecności.

Co się stało z ojcem?!

W rezultacie dawnych chorób fizycznych, olbrzymiej pracy umysłowej. cierpień nad upadkiem Rzymu, o którym nigdy nie mówi (jakby lękał się rzecz nieostrożne słowo, albo brzydził się swą współczesnością), a najbardziej na tle troski z powodu haniebnego życia małżonki - stary Mesala rozstraja się psychicznie, popada w stan melancholii. Epoka jego nie potrafi diagnozować tej choroby, w szaleństwie upatruje gniew bogów. Nikt w domu nie widzi niebezpieczeństwa, zawisłego nad głową starca.

Mesalina boi się ojca. Znużył ją swymi chmurami i zawilými zagadkami - tyleż mową, coraz mniej zrozumiałą, co i tępym milczeniem. Serce jej się kraje na jego widok. Nie może przebywać w nudnym pokoju chorego; jest tu dla niej zbyt duszno. Uciekła do ogrodu - ale dawna jej żywość przepadła; teraz sama leniwie leży na trawie i nie myśli o niczym... chyba o tym, że wiatr szumi i owady brzęczą. Jest znużona. Rada by zapomnieć wszystko, czego ją uczono - myślenie tak męczy. Boli ją główka. Jak smutno!

Nawet starej piastunki Glicery przy niej nie ma.

Matka obita służebną, słusznie czy niesłusznie, Mesalina nie może osądzić. Ale mama uczyniła tak za ból sprawiony przez tamtą dziecku, po czym piastunka uciekła - i już nigdy nie udało się jej odszukać. Mesalinie żal starej piastunki, mimo krzywdy, którą ta jej uczyniła, zresztą, zdaje się tak błahej w pojęciu dziecka: ból, który szybko przeszedł. Stanowczo mama przesadziła w gniewie! Nie pozwoliła jednak nigdy wspominać o Glicerze i o tym wypadku - przed nikim, zwłaszcza przed ojcem; i Mesalina jest posłuszna. Ma tajemnicę - to ją podniosło w jej dziecinnych oczach; zresztą z czasem prawie zapomniała o niej.r

## Rozdział XVII

### Przygoda dziecka

Działo się to przed kilku laty. Odwiedziła Walerię jej kuzynka, rówieśnica Scintilla - żywa jak iskra, zgodnie ze swym imieniem. Córka Domicji Junii, matczynej siostry - miła i śliczna, gość drogi, bo rzadki: została u niej dni parę. Rodzina matki nie bywała zresztą w domu Mesali, urażona na zimne przyjęcie ze strony eks-konsula; ów milczeniem wyrażał swoją niechęć do zażyłszych stosunków z awanturnicznymi krewnymi małżonki, z potomstwem Domicjusza, płaszczącego się przed Cezarami Augustem i Tyberiuszem. Glicera zaprowadziła pewnego wieczoru obie dziewczeczki na via Appia. Tam, ponad drogą znajdował się w postaci leżącej stary kamienny bożek, Priapus - taki zabawny! Ludzki posąg bożka, który niemal zniknął w gąszczu krzewów i traw wysokich; zapadł się w ziemię. Kamień był omszały i wyżarty przez deszcze i pocałunki pielgrzymów, ale, zdaniem ludzi poważnych, w rodzaju ojca Mesaliny, i szlachetnych matron, zwłaszcza Wibidii, siostry jej ojca, przełożonej Wcstalek - ten bożek kamienny nie był godzien czci: uważano za bezwstyd zejście z drogi, aby oddać mu hołd; dzieciom nie pozwalano bawić się przy tym starym posągu.



Piastunka wprowadziła ośmioletnie dziewczątka w gąszcz, pokazał-im rzecz zakazaną. Jakże śmiała się wesolutka Scintilla, że bożek jest tak nieprzyzwoity! Miał takie kształty dziwne! Widzi się rzeczy podobne u chłopców w kąpielu. Ale chłopcy są mali, a tu... Scintilla na uszko powiedziała Walerci tajemnicze słówko: „Phallus” Glicera jąła cichym głosem opowiadać o dawnych czasach, którą pamiętała jeszcze, bo była bardzo stara: miała włosy siwe, twa pomarszczoną i ani jednego zęba. „Za moich czasów - prawiała szep tem - czczono wielce ten posąg. Matrony rzymskie w dzień ślubu córce’ sadowiły je na to ostrze... Taki był zwyczaj szanowny. Chcesz? Posadź cię... zaślubię cię bogu płodności, Priapowi”.

I nie pytając, podniosła Mesalinkę i usadowiła na występie kamienn statui. Osadziła ją w jakiejś pasji, głosząc dziwne zaklęcie w język syryjskim, którym mówiła w młodych latach. Mesalina krzyknęła. Poczwała ostry ból - zatrzepotała nóżkami. Jęła krwawić - przełękała się i rozplakała. Glicera próżno starała się ją uspokoić. Dziecko wyrwało się z rąk piastunce - uciekło na drogę. Wrzeszczało, zanosząc się od płaczu. Piastunka chustą ocierała krew na jej nogach. Scintilla płakała z przyjaciółką.

Wtem na drodze ukazała się zamknięta lektyka. Niosło ją dwóch niewolników. Dama wyjrzała spoza firanek. Była to Domicja Lepida powracająca z jakiejś wyprawy ze swoim bratem Lepidem, który ją odprowadzał niekiedy do domu. nie wchodząc pod dach Mesali.

Matka usłyszała krzyk dziecka. Przerażona wyskoczyła z lektyki - biegła ku płaczącej.

- Co się stało? - spytała.

- Nic! - bezczelnie odparła Glicera. - Ot, dzieciak rozbeczał się bez powodu.

Mesalina powstrzymała łzy. nie chcąc szkodzić niańce, którą lubiła. Ale Scintilla, oburzona opowiedziała ciotce, co się stało:

- Glicera wsadziła Walercię na Priapa!

Wtedy Domicja Lepida popadła w szalony gniew. Miała w ręku biczyk ze złotą gałką, którym niekiedy poganiała opieszających lektykonośców. Na twarz, na gołe plecy Glicery - spadł grad uderzeń. Ukazały się krwawe pręgi na pomarszczonej, ciemnej skórze.

Wujek Lepidus - którego Mesalina prawie nie znała - śmiał się na całe gardło.

- Wcześnie zaczyna maleńka! - rzekł. - Oszczędziła pracy mężowi.

- Milcz! - szepnęła Domicja do brata. - Czy nie rozumiesz, że będzie ją teraz trudno wydać za męża?

- Ej! - zadrwił Lepidus - znajdzie się staruch dostojny, który wdzięczny będzie Priapowi za fatygę.

- Nie błażnij!

Zwróciła się do Glicery:

- W domu zakatrupię cię!

Tegoż wieczoru piastunka zniknęła na zawsze.

Mesalina nie pojęła tego zacięcia się w gniewie matki, ani jej słów iziwnych o niemożliwości zamęścia. Zresztą o czymże to mama mówi? Żna ma wszakże dopiero osiem lat. Za ledwie cztery lata wolno by jej wyjść za męża. I co znaczą słowa wujka o staruchu? Ale padł zakaz matczynej opowiadania o wypadku komukolwiek - zwłaszcza ojcu, pod rygorem: „Nie zechcesz zmartwić ojczulka, prawda?” Domicja Lepida lękała się wyrzutów męża za brak dozoru nad dzieckiem. W tym wypadku mógłby stracić swoją zwykłą cierpliwość. Słowem, Mesalina ukryła wypadek - z czasem zapomniała o krótkotrwałym bólu. Raczej doznała radości, że matka widocznie ją kocha, skoro lekkie skaleczenie córki tak bardzo wzięła do serca. Zdawało się jednak, że i matka zapomniała o wypadku - gdyż nigdy nie mówiła o tym z córką.

Rozdział XVIII

## Piękny sąsiad

W smutek Mesaliny - dziecka zaniedbanego przez matkę i oddalającego się od ojca, zresztą dziecka już wchodzącego w okres dziewczęctwa - wpadł naraz promień słoneczny.

Mieszkał w sąsiedztwie pod dachem skromnej willi Metellus Sewerus, więdnąca w ustroniu gałąź genealogicznego drzewa, którego owocem był śpiewak Katullus. Był to zarazem krewniak daleki zmagającego się gdzieś w bojach nad Pontem wodza legionów, z którego szczepu wyjść miał przyszły szlachetny Cezar Aleksander Sewerus.

Ongiś magnat i senator, który wielką fortunę niemal dobrowolnie oddał cesarstwu, aby nie narazić się na fałszywy donos, mający na cel zagrabienie mu majątku - zostawił sobie tylko drobną posiadłość wiejską. Pragnął przekazać ją bratankowi, Lucjuszowi Sewerowi, w nin widząc latorośl mającą przywrócić dawną chwałę rodowi. Wychowywan surowo, Lucjusz znajdował się pod ścisłą kontrolą wybranych przez starca nauczycieli; nie puszczano go samopas na ulice zepsutego Rzymu. Musiał wiele się uczyć, gdyż starzec, odkrywszy w chłopcu wielki zdolności, pragnął ujrzeć w nim spadkobiercę sławy Katulla. Rzadki wakacje spędzał młodzieniec w domu stryja, nasłuchując jego cichych opowieści o wielkich cnotach - przeidealizowanej zresztą wyobraźni starca - republiki. Wszystko zło - zdaniem stryja - rozpoczęło się Juliusza Cezara, który gorszył go, jak gorszył niegdyś Katulla - swoizapędami do jedynowładztwa, mającego obecnie wyraz w zbrodniach panującego Kaliguli. Starzec nie zaprzeczał, że wielki Cezar był geniuszem, ale sądził, że klęska jego zabójcy, Brutusa - była największym nieszczęściem dla Rzymu.

Z sąsiedztwem Metellus Sewerus nie wchodził w stosunki, jako że był odludkiem.

Zakazał nadto bratankowi wstępować pod dach Mesali, bowiem gorszył się rozwiązłością

Domicji Lepidy i nie mógł darować konsulowi jego haniebną słabowolności; „ja bym

ścierwo takie - mówił - wychłostał i wyrzucił precz z domu!” Zresztą i pani Domicja, pomna

starych porachunków między rodami Domicjuszów i Sewerusów, uprzedziła córkę, aby nie zadawała się z młodym sąsiadem, który - nie wiedzieć czemu - krąży koło ich domu. Na ukłon młodzieńca kon-»ulowa nie odpowiadała.

Ale zakazany owoc najbardziej smakuje...

Niewiele czasu było potrzeba, żeby Lucjusz, niby przypadkiem rzuciwszy piłkę do ogrodu Mesali, przelazł przez parkan i - zapoznał się i czternastoletnią sąsiadką, którą nieraz samotną obserwował z wysokiego tarasu domu stryjowskiego i o której jął marzyć po nocach, a dniem tęsknić za niedostępną. Lucjusz był rówieśnikiem Mesaliny - wesoły i sentymentalny, namiętny, nieśmiały, wymowny i poetyczny, pełen wielkich ambicji, a przede wszystkim piękny z twarzy i postaci - uczuciem swoim rzucił iskrę w nieświadome serce uroczej sąsiadki. Rozpoczęły się tajne schadzki o zmierzchu w sadzie, o których stryj, cały dzień trzymający bratanka na uwięzi, nic nie wiedział; pod wieczór bowiem morzył go sen nieubłagany. Tych schadzek w sadzie oczekiwała Mesalina z biciem serca, marząc przez dzień cały o ślicznym sąsiedzie, który układał na jej cześć wiersze, wzorowane na Katullusie. Rozkosz tych tajemnych spotkań pozwoliła Mesalinie zapomnieć o opuszczeniu swoim przez matkę, nawet o ciężkim stanie ojca. Ten ostatni zresztą, zda się, nie pamiętał również o córce; był coraz bardziej zamknięty w sobie, zasłuchany tylko w grę na lutni ulubionego niewolnika-niemowcy, pełniącego przy nim z poświęceniem wszelkie posługi.

Niepojęty pożar miłości, tkwiący w iskrach wzruszeń dziwnych, wstrząsających, przestraszył oboje dzieciaków - lecz jednocześnie parł je ku sobie. Jeno że Mesalina, może wcześniej zbudzonym instynktem zalotności pociągając, równocześnie odpychała towarzysza zabaw, a on słuchając jej nakazów, siedział niekiedy, jak trusia, splecione ręce złożony na poręczu marmurowej ławki. Tylko obejmował ją modlitewnym spojrzeniem - sam zdziwiony, że jest tak korny wobec małej swojej tyranki, a

nasłuchujący tajemnic, które działały się w jego chłopięcej duszy. Bywało jednak, że zapominali o powadze - bawili się w „chowanego” wśród gąszczów ogrodu, wdrapywali się na drzewa, szukając gniazd ptasich, naśladowali śpiewy słowicze, huścili się na gałęziach; słowem - swawolili, jak przystało parze dzieciaków. Kiedy indziej Lucjusz recytował jej z pamięci Eneidę lub Metamorfozy, a ona opowiadała mu to, czego nauczył ją ojciec, budząc w młodzieńcu podziw dla swojej wczesnej mądrości. Czasem spacerowali dumnie po ogrodzie, wzięwszy się pod ręce - wmawiając sobie, że są parą filozofów-perypatetyków w akademii Arystotelesa. Nie całowali się jednak, bo Mesalina mówiła, nauczona przez ciotkę Wibidię, że „to psuje cerę” - zresztą dodawała: „to boli”. Temperament krył się jeszcze pod powłoką niewinności.

## Rozdział XIX

### Ciotka Wibidia

Minął rok... Nastąpiły nowe wakacje Lucjusza, który w owym czasi studiował retorykę w szkole Pompejańskiej, sławą urosłej ponad szko stołeczne - wakacje, z równym utęsknieniem oczekiwane przez oboj młodych.

Matka bawiła teraz stale w domu. Ale zamknęła się podobnie, ja ojciec, w swoim pokoju. Była nerwowa - nie znosiła hałasów - każd szmer raził ją. Należało chodzić koło niej na palcach. Miała oc zaróżowione od łez. Mesalina nie mogła dopytać się ich powodu. Służ wygadała przed nią ów powód: wujek Lepidus, brat mamy, został ścięty na rozkaz Kaliguli. Zamieszany był w jakiś spisek. Mesalina niewiel zrozumieć mogła z bezładnych opowieści służby. Były w tym jaki tajemnice, których nie usiłowała rozwiązać. Apatyczna, daleka rodziny matki i od Rzymu, nie interesowała się familijnymi sprawa Wuj Lepidus nie obudził jej sympatii; pamiętała jego brzydki śmiech, g cierpiała; toteż los jego jej nie wzruszył. Żałowała tylko, że mama jest t smutna i rozstrojona śmiercią brata. W owym czasie

odwiedziła dom Mesali kilkakrotnie siostra Wibidia. Mesalina miała wielki szacunek dla owej dostojnej kobiety, którą czcił cały Rzym: - grzęznące w rozpuście miasto resztkami instynktu cnotliwego chyliło głowy przed świątobliwą przełożoną Westalek, dobrowolnie przebywającą w stanie dziewictwa, aby strzec u ołtarza Westy wiecznego ognia, zapewniającego szczęście wiernym małżeństwom. Była Wibidia służką innej wcale bogini, niżli Wenus - przecież bogini, która mogła gromem choroby ukarać nadmiar ofiar, składanych przez rozpustę jej konkurentce Wenerze. A stąd należało czcić rzadkość cnoty: wyrzeczenie się uciech miłości przez Westalki, okupujące swoim dziewictwem grzechy innych. Łagodziły one gniew potężnej bogini, reprezentującej w spodłałym Rzymie świętość domowego ogniska.

Mesalina nie rozumiejąca o tych rzeczach, przejęta była hołdem powszechnym dla siostry ojca, dostojnej matrony, przybywającej dowiedzieć się od czasu do czasu o zdrowie brata, szeleszczącej w przejściu ciemnymi, powłóczystymi szatami. Mesala słabo reagował na te wizyty - siostra, która zamknęła się w świątyni za młodu, była dlań czymś dalekim, prawie obcym. Zresztą chory już beznadziejnie, prawie nie rozmawiał z siostrą; ledwo silił się na uśmiech. A ona, widząc go, bezradnie rozwiódła ręce - i jej twarz piękna, jakoby ryta w marmurze, wyraziła rezygnację: poświęciła brata woli bogów. Z Domicją Lepidą prawie nie zamieniła słowa - były przeciwieństwem kapłaństwa i usposobienia.

Natomiast Wibidię zaciekała podczas tych wizyt córka brata. Przełękła się, spostrzegłszy apatyczność młodej dziewczynki, ongiś tak przedziwnie żywej. Uprowadziła ją w kąt ogrodu i pragnęła wypowiadać jej smutki. Niewiele dowiedziała się od bratanki. Ta mówiła: „Nie wiem, ciociu, co mi się stało... Tylko, że nic mnie nie bawi... Mam wrażenie, że słońce jest ciemniejsze... Zimno mi... Myślę, że kwiaty już nie tak pachną, jak dawniej, że w ogrodzie latają mniej barwne motyle... Wszystko posmutniało”.

Wibidia przemówiła do dziewczęcia ciepło. Dostojnej matronie wydało się, że córka

brata może ma pociąg do służby Weście. Sama Mesalina wyraziła się nawet, że chciałyby wejść w ślady czcigodnej ciotki. Wibidia zabrała dziewczkę do siebie na tydzień - matka nie sprzeciwiła się temu. Karmiła małą krewniaczkę pobożnymi naukami. Płynący z nich spokój i sama słodycz głosu mistrzyni kojąco oddziaływały na chorą duszyczkę. Wszelako ciotka nie chciała tamować bratance dróg doinnego szczęścia, niżli trudne służby Weście, tak niebezpieczne dla nie wytrzymujących ciężaru dziewictwa. Odesłała ją w końcu do domu, obiecując jednak przyjechać po nią. Próbowwała ją...

## Rozdział XX

### Tajemnice kuzynki Scintilli

Tak zmienioną zastał Lucjusz, przybywszy ponownie na wakacje. Mesalina mówiła teraz głosem przyciszonym, przez wrażliwość dzieciinną wzorowanym na ciotce. Twarz jej nabrała wyrazu nieruchomego - powagi, wyższej nad wiek. Oczy promieniały, gdy opowiadała o tym, że pomagała Westalkom oplatać w świątyni bluszczem posąg Westy przy głównym ołtarzu i brała udział, przyodziana w białą szatę, w pochodzie Westalek przez krużganki chramu na wzgórzu Eskwilińskim. On jeszcze pobożniej składał teraz ręce przed tą swoją „małą świętą”. Jednakże nie dopuszczał myśli, że ją utraci. Czczył nowy kaprys; ale czekał, że i ten przeminie.

Z pewnością minie! Przecież raz, gdy zbliżył się do niej pod gwałtownym porywem uczucia, podniosła usta ku jego ustom i jej bladość spłonęła dawnym rumieńcem, a oczy zaśmiały się figlarnie...

Lecz nazajutrz... Co się jej stało?

Miała łzy w oczach... Na wszelkie pytania odpowiadała tylko: „Ukąsiła mnie pszczoła”. Zakazała mu przychodzić przez dni parę. Był mimo woli posłuszny - bo nie wychodziła do ogrodu. Zresztą musiał być jakiś powód ważny. Zauważył w domu Mesali

ruch niezwykły. Słyszał, że przybyli do pani domu goście.

W istocie, przed kilku dniami przyjechała siostra Domicji Lepidy, Junia - wpadła na chwilę - przywiozła do domu Mesali córkę, Scintillę. Mesalinie powiedziano, że jej kuzynka jest chora, że potrzebuje świeżego powietrza, którego brakło jej w centrum stolicy. W istocie jej przyjaciółka była dziwnie zmieniona. Mesalinie zdawało się, że jest spuchnięta, że twarz ma postarzałą, oczy podkrążone sińcami. Nie pozostało w niej śladu dawnej żywotności, wesela. Wniesiono ją do domu, bo nie mogła chodzić. Słaby uśmiech, którym powitała Mesalinę, przeobraził się w płaczliwy grymas chorej.

Domicja Lepida zakazała Mesalinie wspominać komukolwiek z obcych, którzy zajrzeliby do domu, o pobycie Scintilli pod ich dachem. Więc znowu tajemnica?! Doprawdy, wielka i straszna tajemnica! Pojawiły się pielęgniarki, dwie stare baby, których twarze wydały się Mesalinie ohydne. Warzyły jakieś zioła w kuchni - miały w zawiniątkach dziwnego kształtu narzędzia. Mesalina dosłyszała szeptem wypowiedziane przez matkę zdanie: „Czy operacja się uda?!”... Więc ma być operacja?!

Scintilla zażądała, aby w noc przedtem spała w jej pokoju Mesalina. Ustąpiono żądaniu chorej. Baby kadziły w korytarzu, wymawiały zaklęcia nad ziołami, które były uwarzyły. Scintilla przez całą noc spowiadała się przed przyjaciółką.

I wtedy Mesalina doznała pierwszego w życiu strasznego wstrząsu. Jej oczy otwierały się szeroko grozą. Dowiedziała się tajemnic, których jej niewinność nie przeczuwała. Przyjaciółka, uświadomiona nazbyt wcześnie, otworzyła jej oczy. Słuchała opowieści kuzynki, nie odgadując wcale, że kiedyś legenda zwiąże tę „legendę” z jej losami i pomieszawszy dwie siostry jednoimienne Domicje - Junię i Lepidę, matki krewnych dziewczątek, przekaże wiekom tę powieść, jako przygodę dzieciństwa Mesaliny.



Oto tajemnica biednej Scintilli.

Matka Junia Domicja, pociągnięta kultem, który z Fenicji przekradł się drogą propagandy tajnej do Rzymu - poświęciła ją bogowi Baal-Phegorowi przybierającemu na gruncie łacińskim imię Phallusa. Czternastoletnie, naiwne dziewczę, na życzenie matki, ofiarowało swoją niewinność bożkowi wschodu na wielkim ołtarzu. To znaczy: wyrodnemu kapłanowi, który zahipnotyzował przesadną i występłą jej matkę, oddała z jej namowy kwiat dziewictwa. Scintilla nie winiła matki - stała pod groźną ręką boga, który zaciążył nad umysłem i wolą jej macierzy. Z nią razem chadzała do świątyni - bezwolne, zdziwione tym, co czynili z nią kapłani, cierpiące w imię obiecanej rozkoszy, która nie nadchodziła, biedne dziewczę w rezultacie miało zostać matką.

Kult był tajny - jeden z tych, których tolerancyjny wobec cudzych bogów Rzym zakazywał przecież w imię dobrych obyczajów; ale nie wskórał nic bezsilnymi karami, gdyż kult zakazany tym bardziej się rozwijał, z obawy przed karą w podziemiach zakładając swoje kapliczki.

Trzeba było zapobiec odkryciu zbrodni zgwałcenia małoletniej z wysokiego rodu; trzeba było też ukryć skandal, grożący imieniu rodziny i czci dziewczęcej. Stąd konieczność dyskretnej operacji, dla której Scintillę przywieziono do domu ciotki, gdzie łatwiej było ukryć chorobę i prze czekać skutki zabiegów bab-specjalistek.

Przy tej sposobności Scintilla, która tajne sprawy płci przejrzała rychlej od przyjaciółki, wyjaśniła jej ów wypadek, jakiego była ongiś świadkiem, a który wywołał burzę gniewu Domicji Lepidy.

Mesalina dowiedziała się o świętości hymenu - i o swoim nieszczęściu. Scintilla twierdziła, że przyjaciółce zakazana jest droga małżeństwa - gdyż mąż odeśle ją ojcu.

„Chyba zlituje się nad nią jakiś staruch”. A więc wujek Lepidus miał słuszność, kiedy śmiał

się tak wstrętnie!

Obie przyjaciółki przepłakały noc całą, litując się wzajem nad swoimi losami.

Zresztą Mesalina nie marzyła jeszcze o ślubach małżeńskich. A to, co jej opowiedziała przyjaciółka, raczej napelniało ją wstrętem do zmysłów i zgoła obawą przed mężczyznami, niż mogło pobudzić temperament Miłość - to było coś okropnego, Scintilla była okrutnie chora - miano „zabić w niej życie”, jak mówiła - wiedziała, że „zarazem jej życie ulecieć może”... Drżała w ramionach Mesaliny, której łzy mieszały się z jej łzami...

Wzięła przysięgę od przyjaciółki, że jeżeli umrze, ta będzie co roku odwiedzała jej grób. „Bo nie spalą mnie - mówiła - ale pogrzebią, gdyż jestem poświęcona trójcy babilońskiej, która zowie się: «Anu, Sel i Bel» Tak kapłan mówił”.

To był powód, że Mesalina nazajutrz, odepchnawszy miłego - jakże miłego Lucjusza, który wbrew zakazowi wtargnął przez parkan do ogrodu i znalazł ją w ogrodzie - pokryła sekret swój i tajemnic przyjaciółki skargą na żądło pszczoły.

Była zmieszana... Nagle urósł strach jej przed Lucjuszem. Możliwe w przewrocie duchowym tej nocy zrozumiała, że kocha. Ale teraz ogarną ją lęk przed okrucieństwem miłości, która w postaci śmierci stała na łóżem jej przyjaciółki. A z tym lękiem szedł w parze drugi: - wszakż nad nią samą zawisła jakaś hańba, której nie rozumie, a która stanęła ja tama, pomiędzy nią i miłością Lucjusza. Gdybyż wiedział o tym!

Kiedyś jednak bawili się w małżeństwo i ofiarował jej pierścionek Nosila go odtąd na łańcuszku, kryjąc dar jego pod szatą choćby to nawebył tylko żart. Nie śmiała teraz zabijać nadziei Lucjusza. A oto on zagadał, że z rozkazu stryja musi jechać do Aten celem ukończenia studiów i nie odjedzie, póki nie otrzyma jej słowa. Tedy w zakłopotaniu bolesnym dała mu odpowiedź warunkową: „Twoja, albo Westy!” A on poddał się temu orzeczeniu - Weście ustąpi ją, nikomu więcej!. Młody człowiek sądził, że Westa uwolni Mesalinę od

złożenia ciężkich ślubów, gdyż modlił się gorąco do bogini, obiecując, iż z ich domowego ogniska będzie radośniejsza, niż z dziewictwa swoich kapłanek. Napisał także pieśń do Wenus Genetildy, opiekunki dobrych małżeństw, aby przekonała Westę. iż Mesalina powinna być jego, Lucjusza, małżonką; obiecał nawet w końcu pieśni pierworodną córkę uczynić Westalką.

Nie wiedział, że Mesalina - wstrząśnięta opowieścią Scintilli postanowiła już mocno nic wychodzić za mąż: skoro nie może być żoną Lucjusza, złoży ślub Weście...

Lucjusz odjechał...

W rok potem powrócił... i napisał ów list fatalny...

## Rozdział XXI

Na cmentarzu

Łzy płyną z oczu cesarzowej Mesaliny...

Spadają grube krople, wilżąc list ukochanego...

Dlaczego ją wówczas tak obraził? Zranił jej dumę - już w dziewczęciu kobiecą - dumę krwi Barbatusa Mesali, której o podłość podejrzewać nie wolno! Czemu nie odgadł, że poza jej decyzją musi kryć się jakaś tajemnica, której wyjawić nie może, ale nie nikczemna, nie plamiąca jej - ciężarem spadająca na innych, których niecnoty nie mogła odsłonić nawet jemu... Zresztą czyż na listy takie, które miłość zmieniają w obowiązek pogardy, odpowiadać można? Zmusił ją do milczenia, miast zatrzymać, pchnął ją raczej w objęcia Klaudiusza, albo kazał samotnemu sercu uznać ratunek w związku, który mus losu jej narzucił...

Nie mogła mu nawet wyjaśnić, ile wówczas wycierpiała. Wszakże spadał na jej młodą duszę cios po ciosie...

9 - MesalinaPrzede wszystkim umarła Scintilla... „Operacja się udała”... tak mówiły

baby. Ale zabiła ją gnilną gorączką złośliwa Hekate. Furie mściły się za zabranie płodu.

Mesalina pamięta dzień pogrzebu przyjaciółki. Nie oddano jej ciała świętym ogniom stosu. Nie zsypano prochów do urny, aby zamknięte przechować pod błękitem nieba na podstawie z marmuru. Nie wezwano rzeźbiarza, aby wraził sobie jej rysy w pamięć i wykuł jej posąg z brązu dla strzeżenia urny na cmentarzu. Pochód odbył się w tajemnicy. Były przy tym tylko łkające niewolnice, dwie płaczki najęte, niemy wyzwolenc Mesali, który grób wykopał, ona i jej matka. Ale matki zmarłego dziewczęcia nie było. Czy chciała oszczędzić sobie bólu, albo wyrzutu? Czy też kapłan wschodni poświęconą zatrzymał z dala od nieczystości trupa - jak napomknęła Domicja Lepida? - wszystko jedno!... Mesalina bolała nad hańbą tego sekretnego pogrzebu, na którym nie było godnego krwi zmarłej zjazdu krewnych i przyjaciół - nawet własnej matki!

Cmentarz był daleki - w dolinie pod skłonem Eskwiliriskiego wzgórza, znała go - była tu raz jeden. Zaprowadził ją tu ojciec jeszcze w początkach swej choroby. Mówił, że uczynił to, aby ją wprawić w czytanie greckich napisów na grobowcach. Ale musiał to być pozór. Bo przecież dość było greckich ksiąg w domu. Wprawdzie litery były tu większe, łatwiejsze dla początkującej. Lecz kazał jej odczytywać po kilkakroć także napisy łacińskie. Treść ich polecał jej wrazić sobie w pamięć. Musiał być więc inny powód tego dalekiego i jedyne spaceru. Widziała, że ojciec kryje łzę przy czytaniu napisów na grobowcach, przy których właśnie zatrzymał ją przydłużej. Twierdził, że coraz mniej takich napisów będzie...

Mesalina, powracając z matką od grobu przyjaciółki, odczuwa ciężar w nóżkach.

Oslabiona jest bezsennością przeplakanej nocy i długą drogą, którą pieszo zrobiła o świtaniu, dążąc za tragami żałobnymi, niesionymi przez dwóch brunatnoskórych niewolników - Egipcjan. Jest jej zimno. Wichura jesienna kołysze wierzchołkami cyprysowego lasu, strąca drobne listki i szyszki na marmur pomników. Córka zatrzymuje co pewien czas matkę - zatrzymuje zwłaszcza przy tych grobowcach, na które zwracał jej kiedyś uwagę ojciec,

mówiąc: „coraz są rzadsze teraz”. Odczytuje w głos napisy, które łyzy skrywane budziły w oczach ojca. Czemu jej matka odwraca oczy - czy także płacze? - płoni się dziwnie, wyprzedza Mesalinę, napędza do pośpiechu: „chodźmy dalej...” Lecz Mesalina, chcąc zagłuszyć boleść wspomnień o przyjaciółce - boleść nie do zniesienia - tym uparciej czyta owe wybrane przez ojca napisy. Pragnie zrozumieć łzę ojca, niepojętą wówczas dla jej młodszych oczu, rumieniec matki, naszeptujący coś teraz instynktowi duszy dojrzalszej. Napisy brzmią wzruszającą słodyczą pamięci żywych o zmarłych.

Oto ten pod figurą matrony z gołębiem na ramieniu głosi:

„Mojej drogiej małżonce, z którą przeżyłem lat osiemnaście bez powodu do jednej skargi. Tęsknota moja przysięgła, że nigdy nie wstąpię w śluby ponowne”.

Mesalina łzę otarła, myśli o Sewerze i wzdycha.

Drugi napis, pod postacią uśpioną na marmurowym łożu, wspomina:

„Alia Potestas

Pierwsza wstawała z pościeli, ostatnia układała się na spoczynek, przywiódłszy wszystko w domu do porządku. Nigdy bez ważnej przyczyny nie wypuszczała wełny z pracowitej ręki”.

Jeszcze jeden - grecki:

„Tu spoczywa

Amygone, żona Marcjusza.

Była dobra i piękna. Pilna tkaczka. Gospodarna, dom miłująca, ochędźna, skromna, pobożna”.

Jest wprawdzie napis brzmiący inaczej.

- Mamo! Ojciec raz tylko roześmiał się wtedy... na cmentarzu! Bo to chyba dziwak jakiś wypisał na grobie... Nieprawdaż?

Rzuca za matką na wiatr słowa czytane:

„W dniu jej śmierci złożyłem dziękczynienie bogom i ludziom..”

Granitowy kamień - omszały i pęknięty. Żadnej figury.

Matka oddała się bez odpowiedzi. Jakby ucieka przed córką.

- Poczekaj mamó... to warto przeczytać!

Stoi przed sylwetką dziewczęcia. Dziewczę wykute w brązie. Ma skrzydła Psyche. W subtelnych palcach trzyma motyla, Mesalina czyta wzruszona:

„Jeszcze nie miała w pełni lat trzynastu, a już łączyła w sobie mądrość starości, godność kobiety, wdzięk paniński, niewinność dziecka. Jakże wieszała się ojcu na szyi! Jak czysty dawała uścisk przyjaciółom ojcowskim. Jakże kochała służbę i nauczycieli! Pilną i pojętną była w nauce. Jak rzadko zniosła ostatnią chorobę! Umarła, jako narzeczona, mając lat ledwo trzynaście”.

Mesalina wybucha płaczem. Myśli o sobie i o zmarłej Scintilli. Gdybyż im tak samo umrzeć wypadło i taki napis zyskać po śmierci! Wszystko inaczej...! A mogło być tak samo...

Płaczącą matka chwyta za rękę.

Lecz jeszcze u samych wrót jeden pomnik pociąga oczy Mesaliny. Kamień zapadł się ze starości w ziemię. Pomnik ciosany niezgrabnie - stary bardzo - legł w pyle i liściach powiędłych. Rysów nie rozróżnisz. Ale jeszcze głęboko wykute litery dają się odczytać, acz z móżołem. Napis jest długi - z barbaryzmami etruskimi. Brzmi:

„Po cóż chwalić będę twoje domowe cnoty, wstydlivość, uległość, łagodność, czułość dla wszystkich, pilność w robótkach, religijność bez przesądów, unikanie strojności w skromnej odzieży, przywiązanie do twoich i moich krewnych, cześć dla rodziców naszych, gdy wystarcza rzecz, że byłaś tym, czym winna być kobieta - miałaś bowiem niezliczone cnoty kobiet, a żadnej z niezliczonych wad kobiety”.

Mesalina wychodzi za wrota cmentarne. Jest wstrząśnięta stratą przyjaciółki, którą zabiło okrucieństwo Priapa. Jest wzruszona głosami cmentarza, zboląła, że nie sądzono jej zyskać błogosławieństwa Wenery. Nie śmie zwierzyć się matce z miłości do Sewera. Wstyd, czy zakaz matki powstrzymuje ją od poruszenia w rozmowie pamiętnego wypadku - krzywdy, doznanej od Glicery.

- Mamo! Pozwolisz mi pojechać jutro do ciotki Wibidii na czas dłuższy?

- Dobrze! - tępo rzuca matka.

Jest jakaś zmieniona. Otrząsa się dreszczem. Nie lubi śmierci, umarli napełniają ją zgrozą. Niewolnicy czekają u wrót cmentarza z lektyką. Wsiadły. Obie są zadumane, milczące...

## Rozdział XXII

### Surowość Westy

Mesalina spędza kilka miesięcy pod pieczęcią ciotki, która spostrzega teraz w zmienionej powołanie i sposobi ją naukami do obłóczyn. Dziewczę mieszka na wzgórzu Wiminalskim w jednej z cel wielkiego gmachu, odgradzonego wysokim murem od świata, tuż przy świątyni Westy. W celach tych żyją w surowej cnotce i ustawicznych modlitwach Westalki, ujęte w karby reguły - rzekłbyś: pierwowzór późniejszego klasztoru średniowiecza. Przechodzi czas przepisowej próby: oderwania się od uciech życia zamknięciem w obrębie dziewiczniaka i świątyni. Wyspowiadała się z miłości do Sewera i prosiła ciotkę o wyręczenie jej w napisaniu listu do Aten z zawiadomieniem, że poświęciła się strzeżeniu ognia na ołtarzu Westy, uznawszy to za swoje powołanie. Zwraca mu słowo i wolność szczęścia z inną.

Po czym czuje się sama wolna i szczęśliwa. Twarz jej nabiera wyrazu świętości.

Raduje się swoją czystością. Odepchnęła myśl o miłości. O ile posiada ambicję, marzy o tym, by zastąpić przełożoną Westalek, Wibidię. Myśl tę rzuciła ciotka. Dostojność rodu Mesali

zapewnia jej to dziedzictwo godności za zgodą imperatora, kolegium kapłańskiego i senatu.

Wibidia nie wątpi, że słowem swoim pozyska potrzebne zezwolenie ojca. Zgoda matki, jako znajdującej się w Rzymie zawsze pod „potestas maritima” (władzą męzowską) jest zbędna. Ważna jest tylko „patria potestas” - władza ojcowska. Ta nigdy nie sprzeciwia się woli Westy, powołującej natchnieniem swoje wybranki do ołtarza wiecznego dziewictwa...

Wtem szkopuł - okrutny cios dla Mesaliny.

Za trzy dni mają nastąpić oblóczyny. Wibidia uczy ją formuł odpowiedzi na formuły zapytań. Pada w cztery oczy pytanie:

- Czy przysięgasz, że przepaska hymenu jest nietknięta, jako dowód twego dziewictwa?

Mesalina blednie... drży:

- Nie!... nie mogę, cioteczko... ale... nie jestem winna.

Opowiada przypadek dzieciństwa.

Wibidia całuje ją w czoło.

- Przebacz, dziecko drogie... Obrane przez ciebie posłannictwo jest niemożliwe dla ciebie. Nawet ja na to nic nie poradzę.

Mesalina jest zboląła, oburzona.

- Jak to?! - niemal krzyczy. - Mam odpowiadać za krzywdę, którą mi uczyniono?!...

Jestem niewinna.

Wibidia namyśla się. Powiada: możliwy byłby tylko proces przed obliczem Kolegium Kapłanów. Potrzeba świadków, którzy zaprzysięgną, że byli obecni przy wypadku. Stare prawo, zastosowane tylko raz w dziejach świątyni za króla Numy, daje się wskrzesić, żąda ono co najmniej czterech świadków - trzech kobiet i jednego mężczyzny. Kto był przy tym



wypadku?

Usta Mesaliny drżą:

- Była matka...
- Matkę dopuszcza się do świadectwa wyjątkowo. Zwłaszcza, gdy chodzi o przyczynę zniweczenia zawiązki dziewictwa. Ale przypuśćmy... Złoży przysięgę troistą... pod grozą śmierci za krzywoprzysięstwo: wezwie bogi obłoczne i podziemne, i piorun na siebie w progach świątyni Jowisza Kapitolijskiego. Dobrze! Któż był więcej?
- Glicera, krzywdzicielka.
- Niewolnica? To będzie szkopał. Ale wyzwoli się ją, to się uda. Gdzie jest Glicera?
- Przepadła bez wieści.®
- Hm... któż trzeci?
- Scintilla... ale ona umarła! - szepce dziewczę zbladłymi ustami.
- Nikogo więcej?
- Jeszcze Lepidus...
- Ścięty! Kto poza tym?
- Nikogo więcej.
- A więc widzisz, mała, że... to niemożliwe.

Mesalina łka, tuli się do ramiona Wibidii:

- Cioteczko! Ty wiesz... ty mi wierzysz... Czy nie można zataić wypadku?...

Wibidia odstępkuje ze zgrozą:

- Dziecko!... istnieje prawo, że na skutek podejrzenia, rzuconego choćby lekkomyślnie, lub przez złośliwość (a to jest zawsze możliwe!) kolegium kapłańskie musi przedsięwziąć rewizję dziewictwa Westalki. Przypuśćmy, że to się zdarzy po mojej śmierci. Któż cię obroni, gdy wątpię, iżby mnie nawet mogło się to powieść?

- Przed czym obroni, ciociu?

- Westalkę, której hymen znaleziono w stanie naruszonym, grzebie się żywcem...

Zapomniałaś o tym!

- A gdybym zgodziła się na to ryzyko?

Wibidia obejmuje dziewczę - całuje. Ale powiada:

- Bacz, dziecko, że musiałabym podpisać starożytną formułę, jako przełożona

Westalek: „stwierdzam fiienaruszoność hymenu”. Żądasz kłamstwa ode mnie? Mesalino, nigdy w życiu nie splamiłam ust kłamstwem. Oddasz mnie potępieniu bóstw? Żądasz tego?

- Nie, ciociu!... nie mówmy już o tym.

Mesalina powraca nazajutrz do domu.

Teraz wybucha. Zwierza matce swoją rozpacz. Nie tai uczuć swoich do Sewera - ale wie, że nie może wyjść za niego. Miłość jest wymagająca nie mniej, niż Westa. Człowiek jest podejrzliwy z natury, jak bogini jest nieustępliwa z prawa: przesąd ludzki i boski jednako wietrzą hańbę... Lucjusz Sewerus ma prawo do jej dziewictwa - nie ma dla niej ratunku! Nie może zostać ani małżonką młodzieńca czcigodnego rodu z wyboru, jak marzyła dawniej, ani Westalką według pragnień ostatnich.

- Matko! Matko! Po co wydałaś mnie na świat?! Nie było cię nigdy w domu... Gdybyś czuwała nade mną lepiej...

To brzmi jak srogi wyrzut.

Domicja Lepida spuszcza głowę - garbi się pod ciężarem oskarżenia, które padło z ust córki - łka.

- Przebacz, mamó! - całuje ją Mesalina. - Ale musiałam ci to powiedzieć. Bo nic wiem, co mam teraz uczynić... Chyba w wodach Tybru szukać ratunku! Jakież jest los mój, jaki?!

Domicja Lepida powstaje. Błyska jej myśl.

Ma na myśli świeżego gościa w Rzymie - Szymona Czarnoksiężnika, o którego mocy cudownej mówiła jej siostra Junia Domicja...

Na tej drodze Mesalina spotka się z Klaudiuszem.

## Rozdział XXIII

### Przeszłość Szymona Maga

Kim był Szymon Czarnoksiężnik?

Historia zawyrokowała, że był oszustem. Zapewne! - świadczą

O tym fakty. W Rzymie podawał się za boga, śmiejąc się z naiwnych. Pogaństwo łącno przyjmowało nowych bogów. Bóstwem był człowiek - Cezar, jako że dzierżył rząd nad olbrzymimi połaciami ziemi, podobnie jak bogowie, zawsze włodarze tylko cząstek świata:

Neptun - bóg mórz

Pluton - bóg podziemi. Czemuż więc on, Szymon - wielki mag, acz człowiek, nie mógł ujść za boga powołaniem się na władztwo nad duszami umarłych? Był więc oszustem.

Ale to nie przeszkadzało temu Żydowi z Gittonu w Samarii być zarazem geniuszem. Tedy oszustem genialnym? Wcale nie! - czymś więcej. Może prototypem Cagliostro? - tak.

zapewne: posiadał bowiem oczy hipnotyzerskie, którymi pociągał ludzi; potrafił bowiem nakazać im sen, nawiać złudzenia, zmusić do ruchu, sparaliżować ruchy; leczył nawet

szczęśliwie różne wypadki - zapewne na tle nerwowym (któż wtedy rozróżniał choroby

funkcjonalne od anatomicznych?), nakładaniem rąk. Małżonka jego Helena, którą wydobyl z

Tyrskiego lupanaru, a podawał za wskrzeszoną przez siebie trojańską Helenę, była jego

bezwolnym medium, kłutym w oczach publiczności, odgadującym z zawiązanymi oczami

powierzone mu szeptem myśli widzów. Kto nie uznawał w nim boga, chętnie wierzył w

czarownika.

Ale stał na szczyblu jeszcze wyższym - był bodaj pierwszym w dziejach prototypem Swedenborga. Marzyciel i jasnowidz, sprawiający niezrozumiałe dla siebie samego cuda, uwierzył w siebie, jako wierzyli w cudotwórczość swoją kapłani egipscy, których niesłusznie ryczałtowo uznaje się za oszustów, gdy oni wpadali na odkrycia sił nieznanymi na długo przed nauką ścisłą. Ale dokłamywał cuda w potrzebie żądzą zaszczytów i bogactw, drwiąc z głupstwa wszystkich wier swego czasu. Doszukał się w Talmudzie szczątków wiedzy syryjskiej i babilońskiej, zapisanych przez pobożne nieuctwo bez zrozumienia; pracowitą myślą doszukiwał się zaginionych ogniw geniuszu kapłanów chaldejskich. Odtwarzał zegary wodne, rozkładał w tyglu materie chemiczne i składał z nich nowe syntezы.

Od martwych zapisków przechodził na zakryte oczom Judei przez litery i księgi drogi obserwacji natury, eksperymentu, sztuki plastycznej. Szukał wprawdzie zgodnie z czasem w gwiazdach tłumaczeń losów ludzkich, ale zaglądał też mimochodem do rachub Ptolomeusza. Bełkot logiki talmudycznej poprawiał ścisłością przepisów Arystotelesa - zbieracz wiedzy greckiej, acz zawsze jeszcze tylko alchemik i astrolog. Przecież marzyła mu się już technika latania w powietrzu naśladownictwem ruchu skrzydeł ptaka. Tylko, że Igarz i niecnota w charakterze - miał też kpiący z wiary, nakazywanej ciemnym, uśmiech rzymskiego augura. Lecz przeciętność płaskich augurów rzymskich o wiele prześcignął pilnością i odkrywczą inteligencją. Nic kosztowało go wprawdzie nic wmawiać ludziom, że „latał w powietrzu”. Byli tacy, co zapewniali szczerze, iż widzieli go w powietrzu na własne oczy, albowiem w długich wędrówkach po świecie zawitał do Indii i stamtąd przywiózł zręcznośćszukańczą sztuki fakirów - goił w mig rany, które sobie zadawał, połykał szkło i ogień, obiecywał nawet zakopać się żywcem i zmartwychwstać po trzech dniach.

Ciekawa jest jego przeszłość w ojczywej Palestynie.

Oto jeszcze jako młodzieniec, uleczył nałożeniem rąk leżącego sparaliżowanego syna

znamienitego Żyda, należącego do sekty Saduceuszów, do której przyznawała się cała arystokracja jerozolimska. Cudowna kuracja zapewniła mu sławę, ale o mało co go nie zgubiła. Podziwiano cud - choć nie było zwyczajem czynić cuda, jako że przystało to tylko Bogu, a i temu też tylko w czasach dawniejszych. Nadto lud podziwiał cudotwórcę, od którego domagał się uleczeń - i tu, wobec faktu uleczenia nawet uczeni w piśmie, władni nad umysłami, nie wazyli się wystąpić z zarzutem. Nic raził sam cud - ale zgorszenie wywołała pewna okoliczność: Szymon uleczył paralityka w sobotę! Pobożność gorliwców, tj. partii faryzeuszowskiej, dzierżącej ster nad umysłami w Jerozolimie - „ojczyźnie tyranii klcrykalnej”, według przepowiedni Szymona - oskarżyła go o znieważenie soboty. Prawo było wyraźne dla komentatorów. Pochodziło zresztą od samego Mojżesza to znaczy: od Jehowy. Człowiek, który zbierał drwa w sobotę, został skazany na śmierć przez prawodawcę dziesięciu przykazań. Ukamieniowano go, jak Wszechmocny rozkazał. Zażądano więc konsekwentnie ukamienowania Szymona. Udał się on wówczas po ratunek do ojca ocalonego przez siebie chłopca. I oto został ujęty przez strażę kapłańską w przedsionku domu bogacza. Na wezwanie Szymona: „Ratuj mnie! Zrobiłem to dla twego syna!” - dumny Saduceusz odparł chłodno: „Nie kazałem ci wyleczyć chłopca w sobotę. Mogłeś to uczynić przez sześć innych dni w tygodniu”. Albowiem magnat jerozolimski, acz nie tak fanatyczny, jak gorliwcy judaizmu, nie chciał wcale wchodzić w spory z Bogiem biblijnym, a tym bardziej przez politykę nie zamierzał narażać się opinii zawsze niebezpiecznej partii faryzejskiej, umiejącej lud podburzać przeciw bogaczom; nadto nie myślał narażać się dla człowieka z plebsu, jakim był jakiś Szymon.

Lekarz dostał się do więzienia.

Szczęściem dla niego przewodniczył w Synedrionie rabi Eleazar, wprawdzie nieodrodny uczeń rabiego Szammai i fanatyk, jak wszyscy zgoła „nauczeni w piśmie świętym

(Torze)”, jednak z usposobienia łagodny, gdy chodziło o krew „bliźniego”, tj. ściślej „Żyda” - a nadto prawnik zaciekły. Nie pozostało mu wprawdzie nigdy w myśli, abymozna było znieść choćby jedną literę Objawienia, gdyż Tora trwać będzie do skończenia świata; ale potrafił on zawsze wynaleźć komentarze talmudyczne, które łagodziły, a właściwie obchodziły okrutne przepisy karne pięcioksiągu Mojżeszowego. Jehowa bywał syty i owieczki judejs-kie ocalały się dzięki tym czcigodnym wykrętom Eleazara.

Więc przede wszystkim dowiódł on, że pomiędzy znieważeniem soboty przez starca, zbierającego drwa, i młodzieńca, który uleczył chorego, nie było analogii prawnej. Albowiem tamten, biorąc drwa w ręce, musiał je objąć zgiętymi palcami, a Szymon przeprowadzał „pasy”, czyli palców nie zginał. Jeden głos większości, która przyjęła ten komentarz - wbrew dowodom przeciwników, że zgięcie palców następowało przed i po każdym „pasie” z konieczności - ocalił Szymona.

Niezupełnie! Oskarżyciele, którzy chcieli nie tylko zadowolić prawo, ale przy sposobności wyrzucić pomstę na więźniu, który uratował członka znenawidzonego saducejskiego rodu - znaleźli zarzut cięższy. Zastraszyli groźbami kary Bożej ojca Szymona; a ten zeznał, że syn jego jest żarłok i pijanica, i że wyleczył syna Saduceusza Jehu wbrew woli swego ojca, który mu tego zakazał. W istocie Szymon miał znakomity apetyt i pił niepomierne ilości wina a zarazem okazał się nieposłusznym ojcu.

Prokuratorzy Synedrionu, tj. każdy uczony, który potrząsał gniewnie rękoma i rwał sobie włosy na głowie i brodzie - zażądali, aby Szymon został wyprowadzony na plac publiczny i ukamienowany przez własnych rodziców. Spodziewano się, że władze rzymskie nie sprzeciwią się wykonaniu wyroku, jako że rzecz dotyczyła kwestii religijnej i wyraźnego prawa Mojżesza. W istocie przedstawiciele Rzymu, zabiegający tylko

Opodatki od podbitych i nie życzący sobie zamieszek w sfanatyzowanym kraju,

kokietowali klikę kapłańską, która dzierżyła ster nad umysłami

Idawała instrukcje faryzejskiemu Synedrionowi; umyliby ręce, śmiejąc się z „gadek żydowskich”, jak to już nieraz się zdarzało.

Sprawa była niesłychanie zawiła. Czterdzieści siedem razy zacny Eleazar zakrzyczał już gwarną tłuszcę zawsze mówiących razem sędziów Synedrionu i preforsował odłożenie sprawy dla dalszego śledztwa, celem odszukania starych i stworzenia nowych komentarzy, a los Szymona wciąż wisiał na włosku pod groźbą prawa.

Nie udało się dowieść, że „zjadł i wypił mniej”, niż wskazywała spora miara talmudyczna, pragnąca utrudnić rodzicom kamienowanie synów za żarłoctwo i pijaństwo. Spełził na niczym dowód, że „kamienować muszą, podług prawa, oboje rodzice”, zaś Szymon „mą tylko ojca”, gdyż gorliwcy, przewidując ten zarzut talmudyczny, odnaleźli zaginioną matkę oskarżonego.

A przecież Eleazar ostatecznie wyszedł obronną ręką. Na ostatnim posiedzeniu, które ciągnęło się przez trzy doby, przeczytał wymagający do zacytowania tyle czasu traktat, który nawet najzagorzalszym przeciwnikom otworzył oczy. Komentarz Eleazara do prawa Mojżesza składał się z najsubtelniejszych wywodów prawnych:

- Powiedziane jest: „wyjdą oboje rodziców...”; ale ojciec Szymona kuleje, a więc nie wychodzi normalnie. Powiedziane jest: powiedzą: „oto syn nasz, żarłok i pijanica...” A zatem muszą go widzieć oboje rodzice - i widzieć całkiem. Ale ojciec Szymona ma bielmo na prawym oku i z prawej strony nie będzie go mógł zobaczyć. Powiedziane jest: „powiedzą” - ale widzieliście, że matka Szymona jest niemową. Jak ona powie: „oto syn nasz?!” On jest żarłok, jest pijanica! Ale on nie był „nieposłuszny”. Bo gdyby on ukradł u ojca i zjadł u ojca, gdyby ukradł u innych i zjadł u innych, gdyby ukradł u innych i zjadł w domu ojca, to nie byłby synem krnąbrnym. On potrzebowałby ukraść w domu ojca i zjeść u innych, żeby był

kamienowany. Tak samo: on uleczył wbrew zakazowi ojca za domem, więc nie był „synem nieposłusznym!”

Logika tej mowy była nieodparta. Sędziego Eleazara najnamiętniejsi przeciwnicy wynieśli w zachwycie na rękach. Oczyszczonego Szymona wypuszczono z ciemnicy. Tłum, który już go odstąpił, jako bezbożnika, po wyroku uniewinniającym obsypał go palmowymi liśćmi, ogłosił prorokiem.

Ale Szymon był zaciekle w stosunku do Faryzeuszów. Był zdanie, że nawet jego zbawca, stary Eleazar, mędrzec rabiniczny, najbardziej „nauczony w piśmie” jest „starym błaznem”, myślącym zbyt powoli, bo jego poszukiwanie prawne kosztowały oskarżonego dwa miesiące niewoli o suchym chlebie i wodzie.

Musiał jednak nastąpić w Szymonie pewien wstrząs moralny. Albo może postąpił tak przez złość: wstąpił bowiem do niepopularnej na wyżynach, ale już miłej biednemu ludowi sekty Esseńczyków, którzy może nie tyle odrzucali precz pismo, ile go nie znali - a sławili się skromnością i czystością obyczajów.

Dalsze dzieje Szymona Maga znane są już z historii początków chrystianizmu.

Nawrócony i ochrzczony przez apostoła Filipa zażądał, aby mu ten za pieniądze udzielił apostołskiego daru komunikowania Ducha Świętego. Tym czynem daje początek świętokupstwu, które od jego imienia zwie się symonią. Zgromił go Św. Piotr i wyłączył z grona wiernych.

Tym sposobem pokłócony z wszystkimi sektami w żydostwie udał się do Fenicji i Syrii, gdzie jął na własną rękę czynić cuda - przeniknął do Indii, gdzie ślad jego na długie lata ginie - aż wreszcie pojawia się w Rzymie pod koniec panowania Kaliguli.

Rozdział XXIV

Wróżba czarnoksiężnika



Kiedy Domicja Lepida udała się do Szymona Maga z córką, był on już bogaczem, zamieszkującym we wspaniałej willi Ketegusa na via Appia. Dostała mu się ta posiadłość w sposób niezwykle. Ketegus zasłyszał o tym, że nawet wyzwoleniec Narcyz, Grek, gardzący na ogół mądrością żydowską, temu Żydowi wyjątkowo się pokłonił i sprowadził go na dwór cesarza, aby ów dał próbki swej mocy okultystycznej. Przejęty tym Ketegus, udał się do Szymona z prośbą niezwykle - o wskrzeszenie córki, zmarłej przed rokiem. Szymon oświadczył, że gdyby ta umarła przed czterema dniami, to byłoby dlań drobnostką wskrzesić ją, gdyż „sztukę podobną widział przed laty w Betanii, wykonaną przez potężnego proroka nad niejakim Łazarzem”, ale budzenie zmarłych po roku wymaga wielkiej fatygi i przygotowań. Zażądał tedy prawa zamieszkania u Ketegusa. Gdy zaś ten zmarł wkrótce potem, pozostał w jego willi wraz z żoną Heleną na stałe, prawem kaduka czy też na mocy wyłudzonego wcześniej testamentu.

Otaczała go tu służba syryjska, okazująca mu cześć boską. Dostępu doń dobijali się znakomici Rzymianie, którym wspaniałomyślnie nieraz okazał przysługi lekarskie i wywróżył przyszłość za darmo. Za to rekomendowana przezeń gościom, jako „Helena Trojańska”, jego małżonka o przepaścistych oczach i pięknej bladej twarzy, okolonej złotymi lokami, dbała o dochody domu; jej noc miłosną goście opłacali na wagę złota. Nosila bajecznie cenne klejnoty. Stryj cesarski, Klaudiusz, zwabiony sławą „nowego Pitagorasa i Hi-pokratesa” - jak głosił znawca Narcyz - zwrócił się do Szymona z prośbą o wyleczenie go z niemocy płciowej. Był w owym czasie rozwiedziony już z trzecią żoną, którą oskarżał o to, że swoim nienasyceńiem stała się przyczyną jego choroby, a potem tak mu dokuczyła pretensjami i scenami małżeńskimi, iż zniewolony był odesłać ją do rodzicielskiego domu.

Szymon Mag podjął się kuracji metodą psychiczną. Wysłuchiwał stękań Klaudiusza, który wypowiadał mu swoje marzenia: „Ach! Chciałbym pojąć za żonę dziewicę, bo tylko

taka będzie wstydlivą, skromną, cierpliwą! Kocham czystość Diany w kobiecie, z drugiej strony... nie powinna być dziewicą... wobec mojego stanu. Gdyby dało się te trudności pogodzić!” - uśmiechał się głupio-tęsknie stryj cesarski.

- To się da zrobić! - rzekł pewnego dnia czarnoksiężnik. - Mam coś takiego dla księcia. Zobaczymy!

Poprzedniego dnia bowiem Domicja Lepida Młodsza zapowiedziała mu wizytę swojej siostry wraz z córką Walerią Mesaliną, opowiedziawszy przypadek małej i rozwianie się marzeń siostrzenicy o posłannictwie Westalki.

Mesalina przypomina sobie, jak przez mgłę tę pierwszą i jedyną wizytę u dziwnego człowieka o olbrzymim wypukłym czole, fali długich, ciemnych włosów, spadających na ramiona, odzianego w tunikę błękitną, haftowaną w złote i srebrne drakony.

Kiedy weszła z matką do triclinium, przeraziły ją posągi nieznaných bóstw egipskich i mongolskich - jakieś maskary pstro malowane, twarze ptasie i zwierzęce na kadłubach ludzkich, albo ludzkie o ptasich nogach, tułowiach hien i lampartów, potrójne głowy, szczerzące zęby pysków drapieżnych - ohyda i zgroza! Chciała się cofnąć, ale już ów człowiek podszedł do niej z miłym, zapraszającym uśmiechem i wpatrzył się w nią swymi głębokimi, czarnymi oczami, którymi naraz zagarnął jej wolę - kazał jej śmiać się, być wesołą. Wprowadził ją potem do sali, gdzie odbywała się uczta, było pełno gości - umieścił ją za stołem, przy jakimś starym człowieku, który nie podobał się jej z tymi pryszczami na twarzy i zwłaszcza dwoma zębami złotymi na przedzie, które ukazywały się, gdy brzuch trzął mu się od śmiechu.

Ale Mag pochylił się nad nią i szepnął jej:

- Bądź uprzejma dla niego... To bardzo miły człowiek... a jeżeli zechcesz, twój przysły mąż. I zaraz ten człowiek wydał się jej miły. A ona w istocie była wesoła i uprzejma,

jako jej gospodarz rozkazał... Trącała się kielichem ze swoim sąsiadem, śmiała się do rozpuku. W istocie, jaka zabawna myśl: ten człowiek ma być jej mężem!...

Nie pojmuje, dlaczego - chociaż było tam wielu innych gości - nie widziała prawie nikogo, lub widziała jakby przez mgłę wszystkich, prócz tego, który pochylał się ku niej i coś jej szeptał na ucho - nie rozumiała słów, ale wiedziała, że to jest bardzo zabawne, bo musiała się śmiać... Na jej oczach leżała niby przepaska - stół się kołysał - może za wiele piła...

Potem wraz z matką udała się do innej sali - okrągłej, ciemnej od czarnego stropu i ścian, pokrytych czarną materią; ale ciemność tę srebrzyły sztuczne światełka, błyskające przez otwory sufitu, niby gwiazdy i półksiężyce. Pośrodku stała wielka urna, z której wybłyskiwał jasny czerwony płomień i w dymach rozchodził się mdlący zapach kadzideł.

Mag dmuchnął jej w oczy - oprzytomniała... Słyszała, co do niej mówił. Brzmiało to dziwnie:

- Będiesz szczęśliwa... wesoła... Zasiądziesz na tronie... będziesz kochała wiele...

imię twoje przekazane będzie wiekom... ale umrzesz wcześniej, jako ukochana przez bogów!

Potem znów spojrzał jej w oczy przenikliwie i znowu przestała słyszeć... Czuła

jednak, że chwieje się na nogach... To pewnie od tej duszącej woni...

Pamięta, że matka wyrwała jej rękę z rąk Maga... coś krzyczała i Mag też podniósł

głos. Mesalina nie wie, co mówili ze sobą. Musiała omdleć, bo kiedy otworzyła oczy, stała nad nią matka, zbryzgując ją wodą. Czarnoksiężnik odszedł.

Obie z matką biegły przez pokoje. Nawinął się im w przejściu ów stary człowiek - jej sąsiad podczas uczy.

Potem obie znalazły się w lektyce. Domicja Lepida obejmowała ją namiętnie. Mówiła w oburzeniu:

- Ten człowiek mógł cię zabić, drogie dziecko! Ledwo docuciłam się ciebie!

Zesztywniałaś... Chciał wyrzucić na tobie przymus słowami.

- Jaki przymus, mammo?

- Ach!... żebyś wyszła za mąż za to stare, głupie bydlę...

- Za kogo?

- Za twego sąsiada... za to nic... Klaudiusza!

- Przecież to zabawne, mammo...

- To potworne! I zaraz ten człowiek wydał się jej miły. A ona w istocie była wesoła i uprzejma, jako jej gospodarz rozkazał... Trącała się kielichem ze swoim sąsiadem, śmiała się do rozpuku. W istocie, jaka zabawna myśl: ten człowiek ma być jej mężem!...

Nie pojmuje, dlaczego - chociaż było tam wielu innych gości - nie widziała prawie nikogo, lub widziała jakby przez mgłę wszystkich, prócz tego, który pochylał się ku niej i coś jej szeptał na ucho - nie rozumiała słów, ale wiedziała, że to jest bardzo zabawne, bo musiała się śmiać... Na jej oczach leżała niby przepaska - stół się kołysał - może za wiele piła...

Potem wraz z matką udała się do innej sali - okrągłej, ciemnej od czarnego stropu i ścian, pokrytych czarną materią; ale ciemność tę srebrzyły sztuczne światełka, błyskające przez otwory sufitu, niby gwiazdy i półksiężyce. Pośrodku stała wielka urna, z której wybłyskiwał jasny czerwony płomień i w dymach rozchodził się mdlący zapach kadzideł.

Mag dmuchnął jej w oczy - oprzytomniała... Słyszała, co do niej mówił. Brzmiało to dziwnie:

- Będiesz szczęśliwa... wesoła... Zasiądziesz na tronie... będziesz kochała wiele...

imię twoje przekazane będzie wiekom... ale umrzesz wcześniej, jako ukochana przez bogów!

Potem znów spojrzał jej w oczy przenikliwie i znowu przestała słyszeć... Czuła

jednak, że chwieje się na nogach... To pewnie od tej duszącej woni...

Pamięta, że matka wyrwała jej rękę z rąk Maga... coś krzyczała i Mag też podniósł

głos. Mesalina nie wie, co mówili ze sobą. Musiała omdleć, bo kiedy otworzyła oczy, stała

nad nią matka, zbryzgując ją wodą. Czarnoksiężnik odszedł.

Obie z matką biegly przez pokoje. Nawinał się im w przejściu ów stary człowiek - jej sąsiad podczas uczy.

Potem obie znalazły się w lektyce. Domicja Lepida obejmowała ją namiętnie. Mówiła w oburzeniu:

- Ten człowiek mógł cię zabić, drogie dziecko! Ledwo docuciłam się ciebie!

Zesztywniałaś... Chciał wyrzucić na tobie przymus słowami.

- Jaki przymus, mammo?

- Ach!... żebyś wyszła za mąż za to stare, głupie bydlę...

- Za kogo?

- Za twego sąsiada... za to nic... Klaudiusza!

- Przecież to zabawne, mammo...

- To potworne! I zachłysnęła się oburzeniem.

- To oszust... oszust! Powiem to siostrze. Gra wielkiego Maga, wróżbitę... a plecie same anduony. Śmiać się chce! Nasz Cezar jest młody, krzepki... może mieć kupę dziedziców. A on mi plecie, że ten niedołęga zużyty, który rozsypie się w proch, nim go na stosie położą... będzie Cezarem... Dlaczego? Bo mu na Forum kiedyś głupi orzeł siadł na ramieniu... Cezarem ma być to nic, któremu na żarty daje się urzędy... bo Cezar lubi swego wujka trefnisia!

- Czemu gniewasz się, mammo? Przecież ja za niego nie wyjdę za skarby świata... On jest śmieszny.

- Gniewam się, bo... za tę wróżbę z góry zapłaciłam brylantami wartości 500 talentów, który wyłudziła ode mnie za stołem jego Helena.

- Ta pani... co siedziała z daleka? Nic widziałam jej prawie. Och! jak boli mnie głowa...

- Widzisz! On cię zamroczył swoimi strasznymi oczami. Co za jama!... co za ohydna jama!... że też rozkaz cesarski nie każe wyszczuć psami z Rzymu tego oszusta... Będzie on miał jednak marny koniec” \*.

## Rozdział XXV

### Poseł Kaliguli

Tymczasem Klaudiusz, zachwycony pięknnością i weselem córki Mesali, podżegnięty nadto opowieściami o niej Szymona Maga, który wróżył mu przy niej uzdrowienie z choroby i „szczęście, jakiego wyobrazić sobie nie można” - uparł się, że „znalazł wreszcie to, czego szukał”. A gdy nazajutrz dowiedział się, że Mesalina przyszła na świat w 777 roku - tj. w dacie, składającej się z wziętej po trzykroć świętej cyfry egipskiej, siódemki, którą uważał za szczęśliwą dla siebie, posłał swatów do domu konsula.

\* Ta przepowiednia miała się sprawdzić nie mniej, niż wróżba Szymona, o ile wierzyć można kronikom. Albowiem legenda podaje, że Szymon Czarnoksiężnik, chcąc pokazać Rzymowi sztukę indyjską, kazał zagrzebać się i obiecał zmartwychwstać po trzech dniach. Ale „na skutek modłów św. Piotra - świętokupca nie ożył”, (przyp. aut.) Otrzymał w odpowiedzi stanowcze „veto” od ojca, który przy tej propozycji wyszedł ze stanu swego odrętwienia - tak go myśl o związku młodej córki z człowiekiem starym i lekceważonym przez świat cała zmierzała. Mesalina roześmiała się, słysząc od zaciętej w gniewie matki o staraniach Klaudiusza o jej rękę. Rodzicielka jej wyrzuciła po prostu za drzwi swatów, choć byli to dwaj dostojni młodzieńcy, którzy podjęli się owej misji dla farsy. Klaudiusz wylewał przed Magiem swoje żale. ten mówił: „Czekać! - ptaszyna nie uciekła”.

Dla Mesaliny cała owa przygoda miała jeden skutek dodatni. Po wizycie u Maga jakoś dziwnie poweselała i uspokoiła się. Jakby rozkaz: „bądź wesół” zaciążył nad jej wolą na dłużej. Uspokoiła się - nie myślała o przyszłości - zajęła się naraz namiętnie ogrodem:

pielegnowala kwiaty, jakby w ich barwy i wonie weszla cala jej dusza. Niemowa, sluzacy jej ojca, byly ogrodnik, znal sekrety dobywania z nich perfum - nauczyl ja ich wyrobu. Rzym kochal sie w perfumach - Mesalina, korzystajac ze wskazówek Syryjczyka, rozmyslala o tym, jak stwarzac roze nowych barw, kombinowac gatunki pachnacych kwiatow, rozszerzyc ich plantacje, a rownoczesnie w ogrodzie urzadzila sobie laboratorium, w ktorym pod jej przewodem dwie niewolnice wyrabialy perfumy jej pomyslu. W tej sztuce doszla pono do swietnych rezultatow - i ta sztuka rozslawila ja wzrod dam rzymskich i okrasila pozniej pierwsze lata jej nudnego pozycia z Klaudiuszem...

Albowiem wyszla za Klaudiusza...

Wyszla, bo musiala. Wbrew obrzydzeniu wlasnemu do pryszczatej twarzy

„smiesznego starucha”... Nie tylko za wolą matki, ale na jej blaganie. Nie tylko za zgoda ojca, ale z jego namowy! Szymon Mag przeslal jej wtedy perle z powinszowaniem...

Przewrot ten w domu Mesali dokonal sie pod groza losu - z nastepujacej przyczyny:

Oto pewnego dnia zjawil sie w domu konsula Mesali wyzwoleniec Narcz. U wrót stanely straze. Bez ogródek - nie bylo czasu na nic - oswiadczył wyslaniec Kaliguli, ze ma rozkaz aresztowania jego zony. Grozi jej proces publiczny. Sprawa jest gardlowa. Oto do rąk Cezara nowy zarzadca wíezienia przeslal zapieczętowany pakiet - pisane do Kaliguli przez wíeznia stanu przed kaźnią listy, które uprzedni zarzadca, niedawno zmarly, zatrzymal dyskretnie pod pieczęcią z adresem Cezara, nie wazac sie ich przeslac i nie pozostawilwszy zlecenia, co z nimi uczynic nalezy. Lepidus, zanim poszedl na scięcie, w zapamiętanu gniewu rzucal pismem obelgi Kaliguli, ze to on przykladem swoim rozpętal w Rzymie najsrozsze zbrodnie, bo i jego, Lepidusa, popchnal do kazirodczego stosunku z siostrą Lepidą. Wyrzucal mu hańbę swojej śmierci oraz karę, której oczekiwal za grobem od bogów podziemnych. Bylo w tym wiecej mściwości i trwogi, niz skruchy.

Oczywiście treść listu - dotąd znana tylko Cezarowi i wysłańcowi - wywołała okrutny gniew obrazonego majestatu. Domicję Lepidę czeka śmierć. Czyni się o tym z góry wiadomo byłemu konsulowi ze względu na dostojność jego imienia i dawne zasługi. Cezar wyraża mu współczucie, ale kara, nakazana przez prawo, musi być wykonana dla przebłagania bogów. Taka była misja.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy konsula. Stał, jak posąg spiżowy, na wprost zimno recytującego powody przybycia Narcyza.

Nie podarował spojrzenia obecnej przy rozmowie żonie, które z jękiem zwała mu się do stóp, błagając:

- Mężu! Przebacz... ratuj mnie!

Strach śmierci doprowadził ją do szału. Skowyczała, jak naciśnięte nogą szczenię.

Pełzała u nóg Narcyza, który wzruszał ramionami.

Mesala nie był zaskoczony ohydą odkrycia. Z dawna domyślał się wszystkiego:

Lepida nie wpuszczał na próg swego domu - gardził żoną... i milczał w niemocy.

Czegóż mógł spodziewać się po Domicjuszu Lepidusie - od tej krwi zatrutej rozpustą?

Mając lat 18, ten wyrodek ludzkości posiadał już wszystkie wady ówczesnej złotej młodzieży; w 20 roku życia mógł być wzorem brutalności, zuchwalstwa, ordynarności dla popisujących się tymi „zaletami” starych wojaków. Krążyły o nim opowieści na pozór fantastyczne, które były przecież oparte na faktach rzeczywistych. Zatłukł na śmierć wyzwolenca, który przy uczcie wymówił się od pochłonięcia tej olbrzymiej ilości wina, jaką on mu podług zakładu wypić rozkazał. Przejechał na Forum umyślnie chłopca, który nie usunął mu się dość szybko z drogi. Wybił oko człowiekowi z rycerskiego stanu, który w kłótni o jakiś drobiazg odpowiedział mu nie dość grzecznie. W sprawach pieniężnych był brudasem; wydrwił bankierów, od których zaciągał olbrzymie pożyczki, gdy żądali zwrotu



długów, zrujnował ich doszczętnie. W rozpuszcie szedł śladami Kaliguli, uprawiając cudzołóstwo i we wszelkich perwersjach poszukując przyprawy do przesyconych zmysłów.

10 - Mesalina Wrzała w nim krew zepsuta pradziada Domicjusza, którą dziedziczyła z nim siostra, matka Mesaliny. Charakterystyczną cechą tego rodu były włosy rude, które pradziad ów przypisywał pocałunkowi półbogów, Dioskurów. Lepidus był również rudy, jak jego brat Ahenobarbus, małżonek Agrypiny, który tę cechę przekazał przyszłemu cesarzowi Neronowi! Stąd też jasne włosy Domicji Lepidy, których złoty połysk pchnął siostrę swoją, a żonę konsula do zbrodni. Za spiski poniósł już śmierć od miecza kata. Toż samo należało się za kazirodztwo jego siostrze. Tak trzeba!

Twarz Mesali - wyżłobiona z dawna przez smutki - teraz była mroźna posępnością bezbrzeżną, przyjmującą cios z gotowością tych, co mówili po stoicku: „Cokolwiek zajść ma, niech uderzy we mnie!”

Jednakże rzucił uwagę:

- Cezar sam jest kazirodcą.

Ironicznie uśmiechnął się Narcyz:

- Panu konsulowi jest wiadomo, że Cezar jest bogiem. A bogowie dopuszczali się kazirodztwa.

- Więc nie ma ratunku?

Narcyz patrzył na dłoń Mesali, z której ciekła krew. Rozumiał, że starzec wpił paznokcie w mięsz ręki, by ból zataić - że wbrew jego spokojowi dławiła go hańba, która zawisła nad rodzowym nazwiskiem. Nie było posłowi tajne, że Mesala znał niecne życie żony, lecz nie uciekł się do rozwodu dla uniknięcia skandalu.

Kobieta obejmowała nogi męża.

Przez okno widział Narcyz w dali ogrodu biel tuniki, uwijającej się wśród kwiatów.

Namyślał się:

- Jest ratunek - ozwał się nagle, cedząc słowa. - Macie piękną i młodą córkę.

Słyszałem, że stryj Cezara kocha się w niej. Co jest zbrodnią dla zwykłych obywateli, może być przebaczone teściowej księcia krwi. Kazirodztwo w famili Cezara jest przywilejem, danym jej przez bogów.

Lekki uśmiech cynizmu krzywił jego wąskie wargi. Lecz słowa brzmiały powagą.

- Więc gdyby Klaudiusz się wstawił, to może... Wszystko zależy humoru Cezara.

Jeżeli zechce, sprawa da się zatuszować. Listy świadk' pożre ogień... Żywa dusza nie dowie się o nich, poza nami...

córka, Mesalina

Wrzała w nim krew zepsuta pradziada Domicjusza, którą dziedziczyła z nim siostra, matka Mesaliny... Charakterystyczną cechą tego rodu był włosy rude, które pradziad ów przypisywał pocałunkowi półbogów, Dioskurów. Lepidus był również rudy, jak jego brat Ahenobarbus, mąż Agrypiny, który tę cechę przekazał przyszłemu cesarzowi Neronowi! Stąd też jasne włosy Domicji Lepidy, których złoty połysk dziedziczyła córka, Mesalina...

)tóż ten człowiek pchnął siostrę swoją, a żonę konsula do zbrodni. Za spiski poniósł już śmierć od miecza kata. Toż samo należało się za kazirodztwo jego siostrze. Tak trzeba!

Twarz Mesali - wyłobiona z dawna przez smutki - teraz była mroźna posępnością bezbrzeżną, przyjmującą cios z gotowością tych, co mówili po stoicku: „Cokolwiek zajść ma, niech uderzy we mnie!”

Jednakże rzucił uwagę:

- Cezar sam jest kazirodcą.

Ironicznie uśmiechnął się Narcyz:

- Panu konsulowi jest wiadomo, że Cezar jest bogiem. A bogowie dopuszczali się

kazirodztwa.

- Więc nie ma ratunku?

Narczyz patrzył na dłoń Mesali, z której ciekła krew. Rozumiał, że starzec wpił paznokcie w miąższ ręki, by ból zataić - że wbrew jego spokojowi dławiała go hańba, która zawisała nad rodzowym nazwiskiem. Nie było posłowi tajne, że Mesala znał niecne życie żony, lecz nie uciekł się do rozwodu dla uniknięcia skandalu.

Kobieta obejmowała nogi męża.

Przez okno widział Narczyz w dali ogrodu biel tuniki, uwijającej się | wśród kwiatów.

Namyślał się:

- Jest ratunek - ozwał się nagle, cedząc słowa. - Macie piękną i młodą córkę.

Słyszałem, że stryj Cezara kocha się w niej. Co jest zbrodnią dla zwykłych obywateli, może być przebaczone teściowej i księcia krwi. Kazirodztwo w famili Cezara jest przywilejem, danym jej | przez bogów.

Lekki uśmiech cynizmu krzywił jego wąskie wargi. Lecz stował brzmiały powagą. ‘\*

- Więc gdyby Klaudiusz się wstawił, to może... Wszystko zależy humoru Cezara.

Jeżeli zechce, sprawa da się zatuszować. Listy świadka pożre ogień... Żywa dusza nie dowie się o nich, poza nami...- Czy żona moja będzie mogła udać się do księcia Klaudiusza?

- Ze mną tak!

Konsul mówił zimno:

- Czy łaskawy wysłaniec Cezara zechce poczekać przez chwilę na dostojną małżonkę moją, aż się przebierze i twarz obmyje z łez?

Wyraz: „dostojną” - wymówił wzgardliwie.

- Oczekiwać będę u furki ogrodowej przy lektyce, którą mamy z sobą na... usługi pani.

Narczyz odszedł.

Mesala wiedział, że ma prawo nakazać córce śluby podług swego wyboru. Ale nie chciał - nawet w tym wypadku - korzystać ze swojej przewagi ojcowskiej. Zwrócił się do żony:

- Padniesz córce do nóg... i będziesz błagała o ratunek dla siebie.

Schyliła głowę, klęcząca na posadzce.

- Mesalino! - zawołał przez okno.

Była tuż. Biegła właśnie, zaniepokojona ruchem, który powstał w domu - obecnością straży u wrót.

- Co się stało?!

Matka we łzach przyczołgała się do jej stóp.

Dziewczyna blada osłupiałymi oczyma patrzyła na ojca.

Co się stało, mammo?... Na Jowisza! - drżały jej wargi.

Konsul mówił równym głosem:

- Wuj Lepidus został ścięty. W rękach Cezara znalazł się list, który stwierdza... udział matki twojej w spisku. Grozi jej... to samo, co wujowi. Matka twoja błaga cię o ratunek.

Gdyby ratunek ten leżał w twoim ręku. to...

- Ależ mówcie, co mam zrobić?... Uczynię wszystko!

- Masz wyjść za stryja Cezara, Klaudiusza. Nie każę-ci, ale... życzę sobie tego.

Rozumiesz?

- Ojczy! Matko! O cóż pytacie?!... w każdej chwili... gotowa jestem...

Objęła matkę, płacząc:

- Biedna! Droga mammo!.

W godzinę potem Klaudiusz znajdował się na audiencji u Kaliguli. Błagał o

puszczenie w niepamięć winy Domicji Lepidy.

- Nie zawracaj mi głowy, stryжку! - srożył się Kaligula, bijąc palcem w szybę. Jestem zajęty w tej chwili wyborem nowego konsula. Patrzył w okno, gdzie przeprowadzano nowo zakupionego dla stajni cesarskiej arabskiego rumaka.

- Cezarze! Na miłość twoją dla mnie!

Kaligula śmiał się:

- Popatrz lepiej... co za wspaniały rumak!

- Cezarze! - prosił już płaczliwie stryj. - Tu chodzi o moje szczęście...

- Co-o?... Twoje szczęście?!

- Chcę ożenić się z córką Mesali. Mam słowo jej ojca. A przecież nie można zhańbić... naszej rodziny.

- Zapewne! Ale możesz się z nią nie ożenić.

- Muszę, kocham ją...

- Chi-chi-chi! Powiadam ci, stryjaszku! Idź spać! Nie mogę tego uczynić.

- Wszystko możesz Cezarze!

- Wszystko?... Nie! Nie wszystko jeszcze... Nie mogę tak samo zmienić praw bogów, karzących kazirodtwo w imię dobrych obyczajów moich poddanych, jak... nie mogę na przykład tego konia zrobić konsulem, choćbym chciał.

- Możesz, Cezarze!

Kaligula spojrział na stryja ze zdumieniem. Nagle roześmiał się.

- Wiesz co, Klaudiuszu, to doskonała myśl. Doprawdy rasa tego konia jest lepsza, niż niejednego rodu rzymskiego. I potrafi on tak mi kiwać głową, jak każdy konsul.

Objął stryja i zakrążył z nim po pokoju.

Za chwilę na stole cesarskim leżał podpisany przez Kaligulę rozkaz, mianujący konia -

konsulem.

Listy Lepida rzucono w ogień.

Mesalina została narzeczoną, a wkrótce potem żoną Klaudiusza.

Gdy odwiedziła ojca po ślubie, był konający...

Konsul Mesala zagłodził się...

Domicja Lepida, targnięta po zgonie męża wyrzutem sumienia, legła u stóp córki i w szale histerycznym wyznała, że ona jest winna tej śmierci...

- Nie kochałam go, jak na to zasługiwał! I uciekł... uciekł ode mnie! Ach, Mesalino, przebacz matce śmierć twojego czcigodnego ojca...

Mesalina musiała ją pocieszać, tak straszliwa była rozpacz wdowy popadła w jakąś ekstazę religijną. Modliła się nocami. Obnosiła swój

Patrzył w okno, gdzie przeprowadzano nowo zakupionego dla stajni cesarskiej arabskiego rumaka.

- Cezarze! Na miłość twoją dla mnie!

Kaligula śmiał się:

- Popatrz lepiej... co za wspaniały rumak!

- Cezarze! - prosił już płaczliwie stryj. - Tu chodzi o moje szczęście...

- Co-o? Twoje szczęście?!

- Chcę ożenić się z córką Mesali. Mam słowo jej ojca. A przecież nie można zhańbić... naszej rodziny.

- Zapewne! Ale możesz się z nią nie ożenić.

- Muszę, kocham ją...

- Chi-chi-chi! Powiadam ci, stryjasku! Idź spać! Nie mogę tego uczynić.

- Wszystko możesz Cezarze!

- Wszystko?... Nie! Nie wszystko jeszcze... Nie mogę tak samo zmienić praw bogów, karzących kazirodtwo w imię dobrych obyczajów moich poddanych, jak... nie mogę na przykład tego konia zrobić konsulem, choćbym chciał.

- Możesz, Cezarze!

Kaligula spojrział na stryja ze zdumieniem. Nagle roześmiał się.

- Wiesz co, Klaudiuszu, to doskonała myśl. Doprawdy rasa tego konia jest lepsza, niż niejednego rodu rzymskiego. I potrafi on tak mi kiwać głową, jak każdy konsul.

Objął stryja i zakrążył z nim po pokoju.

Za chwilę na stole cesarskim leżał podpisany przez Kaligulę rozkaz, mianujący konia - konsulem.

Listy Lepida rzucono w ogień.

Mesalina została narzeczoną, a wkrótce potem żoną Klaudiusza.

Gdy odwiedziła ojca po ślubie, był konający...

Konsul Mesala zagłodził się...

Domicja Lepida, targnięta po zgonie męża wyrzutem sumienia, legła u stóp córki i w szale histerycznym" wyznała, że ona jest winna tej śmierci...

- Nie kochałam go, jak na to zasługiwał! I uciekł... uciekł ode mnie! Ach, Mesalino, przebacz matce śmierć twojego czcigodnego ojca...

Mesalina musiała ją pocieszać, tak straszliwa była rozpacz wdowy popadła w jakąś ekstazę religijną. Modliła się nocami. Obnosiła swojsuknie żałobne po ulicach Rzymu, płacząc rzewnymi łzami przy spotkaniu ze znajomymi męża.

„Prawda!... Co to był za człowiek!”

W pół roku potem pocieszyła się, wyszedłszy za mąż za Galbę, bo ten najpiękniej mówił o wielkich cnotach umysłu i serca jej małżonka i był w istocie wzruszony cierpieniem

wdowy, która wydawała się jego naiwnym oczom spotwarzoną niewinnie.

Po niedługim pożyciu, znudzony jej ustawicznym wspomnianiem męża - on także uciekł od niej... do wieczności.

## Rozdział XXVI

### Seneka przeciw Scncecc

Myśl jej, wędrując w krainie pamiątek, gdy ręce sięgnęły przypadkiem po zwój papirusu, dawniej często oczami wilgotnymi czytany, później odłogiem spoczywający długo na dnie szkatuły - zaczepiła mimo woli o nazwisko jedyne człowieka, który wzruszył jej serce podobnie jak Sewerus, a nosił również imię Lucjusza.

Był to Lucjusz Anneusz Seneka.

Przypomniała człowieka, który usychał obecnie na dalekim wygnaniu, zesłany został z jej woli - i obarczał jej sumienie tajnym wyrzutem wbrew dumnie niewieściej, szepczącej, iż miała słusność. Było to tak:

Przybył z Hiszpanii, obcy na gruncie rzymskim adwokat, pomimo wybitnego talentu z trudnością dobijał się praktyki i ciężko zarabiał na życie lekcjami krasomówstwa. Nagle stał się modny w wielkim świecie. Matrony rzymskie uczęszczały na jego wykłady, pociągnięte na pozór teoriami głoszącymi zbytnicom, śladem stoika Zenona, wyrzeczenie się uciech świata, bardziej przecież ognistymi oczami Hiszpana. Zwrócił na siebie uwagę dziwactwem prostoty życia, prześcigającej oszczędność słuszną niezasobnych środków, poszukiwaniem samotności w wycieczkach w okolice Rzymu, stroniem od ludzi poza granicami konieczności nauczycielskiego zawodu, surowością zasad, widoczną w skromności odzieży, w całym zachowaniu: pijał wodę źródlaną miast wina. Nadewszystko sława jego urosła stąd, że dopuściła go obcowania z sobą dostojna Marcja, córka Aula Kremucjusza Korda. Ojciec jej skazany został przez Tyberiusza na śmierć za przypomnienie z uznaniem imion



republikanów, Marka Brutusa i Kajusa Kasjusza. Owdowiawszy, nie zdjęła szat żałobnych - a dotknięta świeżo utratą syna Metellusa, jedynej nadziei matczynej - po onych trzech katastrofach życiowych popadła w szal rozpacz; zerwawszy ze światem, tłukła głową o ściany zamkniętego domu. Rzym myślał, iż Seneka uleczył ją z szaleństwa, pisząc najpierw do nieznaomej listy pocieszające, później, zawezwany przez nią, kojąc jej cierpienia melodią głosu i mądrością głębokiej wiedzy.

Mesalina, przypominająca nieraz z boleścią śmierć ojca, który zagłodził się podobnie, jak ojciec Marcji, zapragnęła znaleźć pocieszyciela w nauczycielu nowej w Rzymie filozofii. Klaudiusz, ulegający wszystkim kaprysom małżonki, już noszącej naówczas płód jego w łonie, zaprosił na dwór znakomitego lekarza dusz, Senekę. Mesalina była zachwycona mędrcom, liczącym wówczas lat przeszło 35, pięknym i wymownym. Słuchała go z czcią, równocześnie doznając przyjemnych wzruszeń, podobnych do tych, jakich doświadczała, gdy Lucjusz Sewerus deklamował jej swoje wiersze. Nie tylko imiona - ci dwaj ludzie, tak różni, mieli także głosy podobne. W zaufaniu powierzyła Senece powieść swojej miłości dziecinnej, sekret pustki małżeństwa - i poprosiła o lek myśli na swoje tęsknoty. Filozof podjął z ochotą trud uleczenia dostojnej pacjentki. Rozmawiali ze sobą godzinami, a raczej on mówił - ona w upojeniu słuchała.

Niebawem spostrzegła w mistrzu swoim wielką zmianę. Zmiana ta polegała nie tylko na tym, że stoicka filozofia Seneki głoszona była już z większym umiarem i zasada wyrzeczeń brzmiała w jego ustach już niemal jako przepis nadania większej wartości rzadszym rozkoszom, jako mądra oszczędność użycia. Ale dostrzegła zarazem, że oczy cierpiętника błyszczą chciwie na widok złota, którym rzekomo, jako filozof, pogardzał: że strawa pałacowa smakuje mu niezmiernie, acz wstydliwie wybierał najlepsze kąski, że olśniewa go przepych dworski pomim przymusu lekceważenia zbytków, jaki na siebie

nałożył, że lubi przeciągać się na puchach i pożąda wygod, których nicość tak wymowni stwierdza argumentacją logiczną. Mimo woli przenikała ją myśl, i Seneka jest stoikiem z nakazu myśli, której skryty temperament ni dotrzymuje placu. Ten cierpiętnik filozofii budził jej ciekawość i litość, po części ją bawił. Jęła z figłów dolewać mu do wody coraz więcej wina. Wreszcie on sam wodę odsunął na rzecz pieniaącego się Falcrna, dowodząc, że filozof nie pożąda rozkoszy, gdy ich nie ma. ale nie odrzuca ich, gdy mu je sami bogowie dają, albowiem „prawdziwa mądrość stoicka polega na znoszeniu nie tylko zła, ale i dobra”...

Ta teoria rozwinęła się dalej. Oczy Hiszpana, dopuszczonego do poufałości przez cesarzową, znającego tajemnicę jej serca rozumiejącego ją lepiej, niż ona sama siebie - jęły się żarzyć, obejmowały ją namiętym spojrzeniem. Napomykał już ostrożnie o tym, że nicumiarkowanie w cnotie mścić się zwykło następnie nieumiarkem w rozpuście, że nie należy rozwijać w sercu nierozsądnej tęsknoty za cieniem, lecz godzi się raczej dawać folgę zmysłom godziwym zadowoleniem, że wszystko w życiu posiadać winno granice rozsądne - nawet wierność małżeńska. I oczy stoika wpijały się przy tym znacząco w twarz cesarzowej; głos melodyjny do nauk filozoficznych mieszał coraz częściej pochwały dla jej piękności; poważne przemówienie krasilo się coraz śmielszym dowcipem; aż dnia pewnego nieostrożna ręka sięgnęła do palców cesarzowej i zatrzymała ją mocno, po męsku, jakby czyniąc próbę otrzymania łask większych.

To dotknięcie sparzyło ją, zmieszało równocześnie oburzyło. Wyrwała rękę w milczeniu, ale oczy jej wyraziły zgorszenie. Cesarzowa walczyła w Mesalinie z kobietą. Seneka spłoszył kobietę za wcześnie cesarzowa na razie zwyciężyła; może drgnienie w łonie dziecięcia ostrzegło matkę przed grzechem niewierności małżeńskiej. Kobieta jednak nie ustąpiła zupełnie cesarzowej. Seneka został na dworze. Jednak dopuszczany był do rozmów rządziej - i zawsze, podczas późniejszych wykładów, obecnie z woli cesarzowej niewolnice w

odległym kącie komnaty cicho przygrywały na cytrze. Łakomy wbrew swojej filozofii Seneka pozostał w pałacu - jadł i pił nad miarę, spał dużo i nudził się. Speszony przez Mesalinę przybrał wyraz po dawnemu surowy i poważny. Ochłódł zresztą, zauważywszy... stan Mesaliny i wyraził to pewnego dnia powinszowaniem przyszłej matce... Niefortunnie przypomniał fakt natury, że „samce w rodzie zwierzęcym pięknie szanują samice brzemiennie”, a człowiek naśladuje ten uczciwy instynkt nie zawsze, chyba... odrazą, do której najbardziej skłonni są stoicy, jako że odraza przychodzi im łatwo. Była to najmniej zręczna z obron znakomitego adwokata, pragnącego uspokoić cesarzową, iż atak zapomnienia się z jego strony nie powtórzy się więcej. A kiedy tegoż wieczoru, podczas wizyty na dworze Agrypiny, nie mającej dosyć słów pochwały dla pięknych oczu Hiszpana, Mesalina zdybała oboje w gąszczu róż, przy czym nie mogła mieć wątpliwości, iż słyszała odgłos pocałunku - los stoika został zdecydowany. Odrazy względem starzejącej się, liczącej mnóstwo mężów i kochanków, krewnia-czki Cezara - nie było, albo też filozof zastosował teorię nieodrzućcia rozkoszy, które narzucali mu sami bogowie. W każdym razie Mesalina poczuła kolec zazdrości. Na ten raz przemówiła mocniej kobieta i wyręczyła się w zemście cesarzową. Nazajutrz Klaudiusz zdziwiony usłyszał z ust małżonki słowa, wyrzeczone w gniewie:

- Seneka jest mi zbędny. Zapomina się! Stoik, który marzy o łaskach Wenery... jest obrzydliwym komediantem! Mierzi mnie...

Klaudiusz porwał się od stołu:

- Ubliżył ci?... Skażę go na śmierć!

Tak dalekich konsekwencji swego gniewu bynajmniej nie życzyła sobie. Przełękła się...

- Ależ nie!... nie mnie! Po prostu prześladowe tuż pod oczami naszymi twoją bratanek Agrypinę.

- To potworne! Takie adwokaciątko z Kordoby dokąd sięga?! Gdybyż jeszcze

pochodził z Lyonu.\* Każę go uśmiercić.

- Nie trzeba. Wygnanie będzie karą dostateczną. Uczyni zań wielkiego człowieka.

Dwór psuje jego charakter i przyrodzone zdolności. Szkoda go!

I tak Seneka poszedł na wygnanie.

Mesalina wiedziała o tym, że, jakkolwiek mężnie przyjął swój los, trawi się tęsknotą.

Ale nadszedł połóg: przyszedł na świat następca tronu. Brytanik. Nie miała głowy do tego,

aby nie budząc podejrzeń, zmieni wyrok, który sama spowodowała, i rozdrażnienie

Klaudiusza przeob razić w łaskę.

Po jakimś czasie było już za późno. Kiedy usiłowała oddziaływać na Cezara przez

Narcyza, ten oświadczył jej, że niepodobna zmienić los Seneki, gdyż sprzeciwiałoby się to

interesowi państwa. Okazało się bowiem, że Agrypina wysłała siostrę Julię Liwille z pociechą

\* Klaudiusz urodził się w Lyonie (przyp. aut.). Była to najmniej zręczna z obron

znakomitego adwokata, pragnącego uspokoić cesarzową, iż atak zapomnienia się z jego

strony nie powtórzy się więcej. A kiedy tegoż wieczoru, podczas wizyty na dworze Agrypiny,

nie mającej dosyć słów pochwały dla pięknych oczu Hiszpana, Mesalina zdybała oboje w

gąszczu róż, przy czym nie mogła mieć wątpliwości, iż słyszała odgłos pocałunku - los stoika

został zdecydowany. Odrazy względem starzejącej się, liczącej mnóstwo mężów i

kochanków, krewnia-czki Cezara - nie było, albo też filozof zastosował teorię nieodrzucań

rozkoszy, które narzucali mu sami bogowie. W każdym razie Mesalina poczuła kolec

zazdrości. Na ten raz przemówiła mocniej kobieta i wyręczyła się w zemście cesarzową.

Nazajutrz Klaudiusz zdziwiony usłyszał z ust małżonki słowa, wyrzeczone w gniewie:

- Seneka jest mi zbędny. Zapomina się! Stoik, który marzy o łaskach Wenery... jest

obrzydliwym komediantem! Mierzi mnie...

Klaudiusz porwał się od stołu:

- Ublżył ci?... Skażę go na śmierć!

Tak dalekich konsekwencji swego gniewu bynajmniej nie życzyła sobie. Przełękła się...

- Ależ nie!... nie mnie! Po prostu prześladowe tuż pod oczami naszymi twoją bratanek Agrypinę.

- To potworne! Takie adwokaciątko z Kordoby dokąd sięga?! Gdybyż jeszcze pochodził z Lyonu.\* Każę go uśmiercić.

- Nie trzeba. Wygnanie będzie karą dostateczną. Uczyni zań wielkiego człowieka.

Dwór psuje jego charakter i przyrodzone zdolności. Szkoda go!

I tak Seneka poszedł na wygnanie.

Mesalina wiedziała o tym, że, jakkolwiek mężnie przyjął swój los trawi się tęsknotą.

Ale nadszedł połów: przyszedł na świat następca tronu Brytanik. Nie miała głowy do tego, aby nie budząc podejrzeń, zmieni wyrok, który sama spowodowała, i rozdrażnienie Klaudiusza przeobrazić w łaskę.

Po jakimś czasie było już za późno. Kiedy usiłowała oddziaływać na Cezara przez

Narcyza, ten oświadczył jej, że niepodobna zmienić los Seneki, gdyż sprzeciwiałoby się to interesowi państwa. Okazało się bowiem, że Agrypina wysłała siostrę Julię Liwillę z pociechą

\* Klaudiusz urodził się w Lyonie (przyp. aut.).zesańca - ta rozkochała się w nim -

próbowała go wyrwać z wygnania, wciągnąć do spisku przeciw Cezarowi, po powrocie do Rzymu nawiązała z nim korespondencję. W wyniku przejęcia listów obojga, obostrzono rygor dla wygnańca, pozostawiając go na skalistej wyspie dożywotnio - Julia Liwilla została osadzona w więzieniu.

- Na szczęście była chora, umarła. Oszczędziło to nam przykrości publicznego procesu

o zdradę państwa i skandalu w rodzinie cesarskiej! - wyjaśnił Narcyz.

Zagadkowe jego oczy ukryły przed dwudziestoletnią cesarzową okrutną prawdę. W interesie państwa Julię Liwillę zamorzono głodem.

Pozostała z licznej dziatwy brata Klaudiuszowego, Germanika, jedyna córka -

Agrypina. Ulękła się po tym wypadku gniewu Mesaliny, którą podejrzewała nie tylko o wpływ na wygnanie Seneki, co było słuszne, ale i o intrygi przeciw Liwilli, co było potwarzą.

Ukryła pod maską pokory względem Klaudiusza, który ją lubił, i pochlebstw względem Mesaliny, której nienawidziła - swoją złość i mściwość, oraz wysokie ambicje, na długie lata.

Miała jednak już wtedy grzeszki poza sobą, intrygi przeciw bratu, Kaliguli, które okupiła wyrokiem wygnania, odmienionym dopiero za ujęciem berła przez Klaudiusza. Zdjął ją

niepokój: oto za lada podejrzeniem, iż sroży się za śmierć Liwilli, że rozpuszcza wieści, uwłaczające cesarzowej, że gotowa jest ująć w ręce przerwane pasmo spisków - łaska

stryjowska zmieni się łącno w gniew i jej samej wypadnie podzielić los siostry. Przeto pospieszyła zamknąć się w oddalonym ustroniu wiejskim i wyczekiwać pory stosownej, aż

małoletni syn jej, Neron, dojrzeje; będzie wówczas właściwa pora podkopać się pod tron rywalki, co zajęła przy boku Klaudiusza miejsce, nęcące ambicję Agrypiny: usunąć tamtą,

poślubić słabowolnego Cezara i rozwinąć cały zasób dyplomatycznych zdolności dla zapewnienia tronu jedynakowi wbrew potomstwu Mesaliny!

Naiwna jeszcze i lekkomyślnie ufna cesarzowa, wśród cierpień nowego

macierzyństwa, a radości wydania na świat córki Oktawii, nie zainteresowała się myślami Agrypiny. Uwierzyła, że zmęczonej życiem awanturnicznym, głośnymi miłostkami i świeżą

utrata drugiego męża, Passienusa - bratance Cezarowej błysnęło światło filozofii Seneki, że ta w istocie zapragnęła spokoju i ciszy wiejskiej.

Natomiast matka Mesaliny, Domicja Lepida, która nienawidziła Agrypiny z całej

duszy (miała jej do zarzucenia wydarcie jej siostrze, Domicji młodszej, ukochanego przez tę męża, Passienusa), a równocześnie odgadywała ciche podkopy wiecznej intrygantki pod cesarzową, postanowiła ją mieć na oku dla bezpieczeństwa córki. Zamieszkała tedy nieopodal od eks-bratowej w tymże wiejskim zaciszu, a ilekroć tamta wyjeżdżała do Rzymu, żeby „zaczerpnąć na chwilę powietrza stolicy” - Domicja wysyłała za nią tajnych szpiegów, śledząc każdy jej krok. To zmusiło ambitną kobietę, czującą na sobie oczy Domicji, do większej ostrożności i włożenia podwójnej maski pokory wobec losów. Z czasem znudziła tą komedią nawet Domicję Lepidę, odwiedziwszy ją, jako sąsiadkę, podobnież opłakującą drugie wdowieństwo. Pani Domicja, zboleła po utracie Galby, którego zaślubiła ze szczerej miłości ostatkiem uciekających sil awanturczego serca - była ujęta ową kondolencyjną wizytą. Wypowiadały sobie wzajem wzruszenia ascezy, narzucającej się, jako pokuta po nadmiarze użycia uciech Wenery. Wszystko to teraz nicią żywych wspomnień przeszło przed oczami Mesaliny a smutek matki, zagrzebanej na wsi, niegdyś tak wesołej, dwukrotnie rażonej wdowieństwem: po związku niedobranym i po doborze szczęśliwym pouczył ją o zawodności szczęścia w życiu. O tym samym zdawał się mówić jak gdyby łzami zamglony wzrok Agrypiny, napotkanej dnia tego przy wejściu do cyrku - jej głos cichy i słodki, jakoby po wypaleniu się wszystkich ogni namiętności. Mesalina podejrzewała, że opłakuje ona w cichości wygnanie Seneki, pogodzona jednak z musiem wyroku w poczuciu jego winy przeciw Cezarowi. Te obce zawody zlewały się z jej własnym zawodem w małżeństwie, jakoby w jeden akord wieczystej niemożliwości szczęścia - czy to poprzez śluby, czy poza ślubami - niszczonego, bądź przez samowygasanie żarów Wenery w popiele. Uczuła żal nietkniętego ustami kielicha rozkoszy miłosnej we własnym losie i ból opróżnionej do dna czary upojeń w cudzych.

Klaudiusz-mążL. Myśl o nim była dla niej męką. Ujrzała go teraz oczami Sewera.

Tragedia dzisiejszego wieczora była potwierdzeniem wróżb nieszczęścia, jakie rzucił jej Lucjusz w dni przedślubne kształten ostrzeżenia tylko, że zaszedł był wtedy zbyt daleko: nie znając je tragedii, uczynił przypuszczenia, które uraziły jej dumę, nie pozwala zawrócić z drogi przeznaczeń, gdyby nawet mogła oprzeć się losowi

Starła się teraz myśleć o dzieciach. Ale i macierzyństwo dało je niewiele radości.

Oba połogi przyplącała gorączką i długim sił osłabię niem. Rozrzewnił ją wprawdzie kiedyś Klaudiusz swoją starczą rozpacz powodu jej ciężkiej choroby, gdy zawisała na tygodnie między życiem i śmiercią. Lecz żalność męża przeobraziła wnet radość jego z urodzenia się następcy na dziki gniew przeciw dziecku. Wypadło je usunąć sprzed oczu kapryśnika i wysłać do babki na wieś, gdzie już pozostało. A ona w swej apatii nie przeciwstawiała się woli męża. Zresztą zdaniem babki, potwierdzonym przez lekarzy, słabowite niemowlę potrzebowało wiejskiego powietrza.

Jeszcze gorzej złożyły się okoliczności po urodzeniu się córki. Wprawdzie tym razem słabość, acz ciężka, przeszła prędeej, lecz Klaudiusz, szalejąc z radości, równocześnie podjął nad rozwojem dzieciny badania - godne tylko chorego umysłu. Oglądał je nieustannie, niby badacz-anatom, sam je przewijał, dawał wskazówki karmiciel-ce, jak trzeba karmić dziecko, gimnastykował dziewczątko, prostując mu ręce i nogi, i huśtając nad głową. Czynił to tak forsownie, że Mesalina przeraziła się. iż eksperymenty pieszczoty ojcowskiej zabiją małeńką Oktawię. Wyjednała więc u lekarza opinię, że drugie dziecko musi również znaleźć się na wsi pod opieką babki. Klaudiusz dał przyzwolenie - po czym rychło zapomniał tak o córce, jak o synu. A i ona, rozleniwiona po chorobie, później zmuszona brać udział w licznych uroczystościach stołecznych, odwiedzała dzieci z rzadka - zdając się całkiem na opiekę nad nimi Domicji Lepidy.



Odzwyczaja się od dzieci, Ignących ku babce. Jej macierzyństwo ziało zatem pustką. Był to jeszcze jeden kolec w jej życiu który zwracał się w tej chwili ostrzem przeciw Klaudiuszowi, jako że ten pozbawił ją radości matki. Tak czy inaczej, dzieci, ledwo otwierające oczy na świat - stworzenia nierozumne - chociaż owoce jej łona, budziły tylko przypomnienie przeniesionych mąk, niezgłodzone wszakże następnym widzeniem rozkosznego dla oczu rodzicielki stałego rozwoju: nie stanowiły dla niej więzadeł z życiem! Ileż goryczy kryło się pod sztucznym weselem cesarzowej i małżonki! Uśmiech przymarzył jej do twarzy, gdyż sądziła, że należy on do roli, jaką jej w życiu grać wypadło. Naśladowała przezeń barwność kwiatów, z których treść wonną wyciskała przymusem wynalazczym, podobnie jak z siebie. W gruncie rzeczy i ta zabawka ją znudziła. Stała się uśmiechniętą apatią. Dianą żywą, służącą kadzidłom tłumu, jako jej konterfekt marmurowy; albo Galateą, śpiącą, którą dziś zbudził... rylec śmierci, każący piękną twarz Sewera na zakrwawionych piaskach areny!

## Rozdział XXVII

### Papirus

Papirus który trzymała w ręku, był listem Seneki, pisany do Marcji z Korsyki - właściwie jedną z licznych kopii, które za wolą adresatki krążyły cicho po Rzymie, aby zachwyty jej wdzięczności dla pocieszyciela pomnożyć zachwytem bezstronnych znawców stylu i wielbicieli mądrości wygnańca. List ten dałby się złożyć na książeczkę in octaw, licząc przeszło 1000 wierszy - tak jest obszerny - posiada polot myśli i czar stylu, stawiający go w rzędzie arcydzieł prozy klasycznej. Przeznaczona mu była nieśmiertelność. Ojcowie kościoła radzi byli na mocy tego listu odkrywać w Senece chrześcijanina i tworzyć legendy o oświeceniu autora Pocieszeń Marcji rzekomo przez św. Pawła. Legenda! - ważka tylko o tyle, że stwierdza ona fałsz popularnych sądów o rzekomym tchnięciu w świat rzymski wszystkich

świateł czułości i polotów ducha tylko przez powiewy z judejskiego wschodu, poprzez chrystianizm żydowski. Cud tego listu obala błędy naiwności dziejowej... Oczywiście są tu kapitalne różnice pomiędzy zachodem i wschodem, cytowaniem wzorów szlachtetnego życia i powoływaniem się na świętości wiary, rozsądkiem cichych przekonywań o marności ziemskiego bytu i upojeniem nagrody za ciernie wędrówki na padole - ale tu i tam są jednakże nadzieje na pozagrobowe niebo...

Mesalina, która poleciła, aby jej dostarczono ów odpis listu, mogła powinszować sobie, że odgadła, iż z Seneki uczyni wygnaniem wielkiego człowieka. Może list ten doszedł do nas właśnie poprzez jej cesarskie archiwum. Odczytując go nieraz, przychodziła do wniosku, że niesłusznie osądziła swego mistrza za komedianta. Człowiek, który tak pisał, mógł posiadać wielkie wady - a te po powrocie z wygnania, skupiając myślenie w pokorze losom, mogą wystąpić ponownie - ale autor *Pocieszeń* nie pomnący o sobie, aby cudze łzy osuszyć, nie był przecież kłamcą

Czytała ten list, stawiający przed adresatką wzory Rzymian i Rzymianek, potrafiących znosić mężnie wszelkie katastrofy życia - jako że są konieczne i nie dają odmienić się ani łzą słabości, ani krzykiem rozpacz

Znajdowała tu teraz nowe skarby, gdyż miała wrażenie, że ręka nieobojętna pociesza ją po wielkiej stracie: myślała o Sewerze i sobie, a Seneka pisał o Marcji i jej synu: „Czemuż nieustannie powracasz na cmentarz, na mogiłę twego syna? Tam jest zeń najgorsze - to, co go obciążało jedynie - kości i popiół, które były czymś tak zewnętrznym, jak jego szaty i skóra! On sam uleciał stąd nietykalny - nie pozostawił tu nic, bo przebywał na ziemi tylko przez czas krótki dla oczyszczenia się, zrzucenia z siebie wad ludzkich i śmiecia śmiertelności; podniósł się do sfer górnych i obraca się teraz wśród duchów błogosławionych, w świątyni związku Scypionów i Katonów...”

Dalej Seneka podsuwał Marcji obraz ojca i jego imieniem próbował zagłuszyć jej ból, a przezeń obiecywał umarłym niebo:

„Wyobraź sobie, że ojciec Twój przemawia do ciebie z wyżyn niebieskich. Usłysz, co powiada:

Czemuż, córko moja, zachowujesz tak długo żal? Dlaczego ślepa jesteś na prawdę o dobroci śmierci? Czyż wiesz, jakimi burzami groziłoby mu życie, gdyby pozostał dłużej na ziemi? Nie znasz królów, których szczęściem byłoby, gdyby zmarli nieco wcześniej?... Albo wodzów, których sławę zaćmiła przydługosc życia?... Albo szlachetnych, którym wypadło podstawić plecy pod cios miecza?

Przypomnij dziada, którego zgubiła tyrania. Pamiętaj, że ja ojciec twój, nie dałem nikomu władzy nad sobą - że wyrzekłem się jądła, ale dałem tym dowód, iż nie wyrzekam się tego, com napisał śmiało przeciw swawoli...

Nie żałuj nas! Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

Jesteśmy tu w krainie, gdzie nie ścierają się wściekle miecze, gdzie okręty nie topią siebie wzajem, gdzie nie ma ojcobójców, gdzie sądowe procesy nie zalewają co dzień Forum; gdzie nic nie dzieje się tajnie, gdzie wszystko otwarte jest oczom...

A gdy na ziemi bawiła mnie już lat kilkudziesięciu historia, która przechodziła przed moimi oczami za życia, to teraz mogę z mojej wyżyny oglądać sznur wielu czasów, które istniały i istnieć będą - widzieć państwa, które podnoszą się i padają, zgubę wielkich miast, które dzisiaj kwitną, i otwarcie nowych dróg morskich, które nie są dziś jeszcze nikomu z ziemian znane...

Niechże tobie, córo, ubolewająca nad jedną stratą - swojego syna - posłuży za kojący ranę balsam mądre zrozumienie konieczności, wiedza o tym, iż nic nie zostaje w miejscu, na którym stoi, że czas wszystko zepchnie i wszystko porwie za sobą... Będzie on igrał nie tylko

z ludźmi - boć są oni jeno częsteczką tego, co ulega przypadkom - ale całymi krajami i  
częstkami wszechświata. Bo wiele gór runie - i wiele skał się  
podniesie; wyschną morza, zmieniają się drogi potoków; nowe drogi powstaną dla  
współżycia narodów i zniszczą te, które służą związkowi obecnych. Czas wciągnie całe  
miasta w wielkie przepaści, rozkołysze je trzęsieniami ziemi, napęlni je duszącymi  
wyziewami z głębin podziemnych, pokryje potopami całą ziemię zaludnioną. A kiedy  
skończy się obrót ziemi - zabije wszystko żyjące na niej i ogniem niepojętym zniszczy i spali  
wszystko, co śmiertelne.

Kiedy zaś nastanie czas odnowy życia drogą zniszczeń - to wszystko wpadnie w ruinę  
własnym ciężeniem, gwiazdy zbiegną się z gwiazdami i w czas, gdy płynąć będzie masa  
wszechświata, w oceanie ognia spłonie wszystko, co teraz błyszczy w porządku. A my,  
błogosławione duchy, które osiągnęliśmy wieczność, będziemy tylko dodatkiem w  
straszliwej ruinie - i rozpadniemy się na drobne cząstki w onczas, gdy Bóstwo zechce znowu  
przerobić wszystko. Jakże szczęśliwy jest. Marcjo, twój syn, który to wszystko wie...”

Jeżeli dostojną Marcję czarował namiętny styl tego listu, pouczał dojrzałą o rezygnacji  
tym zestawieniem jednostkowej straty z powszechną boleścią życia, błyskał w ciągu  
dowodzeń nadziejami nieba pozagrobowego - to Mesalinę w jej obecnym nastroju koniec  
tego listu wstrząsnął przerażeniem... Pocieszenia w tej formie, wieszczące wieczność  
przemian przez wieczystość zniszczenia i odrodzenia, wyobraźnią gorącą malujące kres  
gwiazd i pożar słońca - nie wywarły wpływu zamierzonego przez autora. Może dawniej  
wysnuwała z nich moc pogodzenia się ze znikomo-ścią bytu. Teraz jednak, wstrząśnięta -  
ogłocona z nadziei, niby brzoza północna z liści w czas zimowy - jakoby stanęła nad  
przepaścią nicości, która pociągnęła ją zawrotem głowy...

Mesalina sięgnęła do pierścienia, który był cennym na dzień jej zaręczyn darem

Szymona Czarnoksiężnika - mieszczącym we wnętrzu perły jad - cennym w myśl twierdzenia darczyńcy, że „człowiek zawsze może znaleźć się w męce tak nieznośnej, iż musi szukać w śmierć ratunku, więc środek ocalenia zawsze winien mieć na zawołanie”.

Obrót perły w oprawie - według wskazówki pisemnej ofiarodawc klejnotu - pozwalała ją wyjąć i ujawniał drobny otwór, przez któr potężna trucizna wysączyć się miała i rozpuścić w płynie obojętnym

Mesalina rzuciła perłę na dno kielicha, w którym mieścił się napo sporządzony z pomarańczy i wina, przygotowany dla niej z nastanie nocy...podniesie; wyschną morza, zmienią się drogi potoków; nowe drogi powstaną dla współżycia narodów i zniszczą te, które służą związkowi obecnych. Czas wciągnie całe miasta w wielkie przepaści, rozkołysze je trzęsieniami ziemi, napełni je duszącymi wyziewami z głębin podziemnych, pokryje potopami całą ziemię zaludnioną. A kiedy skończy się obrót ziemi - zabije wszystko żyjące na niej i ogniem niepojętym zniszczy i spali wszystko, co śmiertelne.

Kiedy zaś nastanie czas odnowy życia drogą zniszczeń - to wszystko wpadnie w ruinę własnym ciężeniem, gwiazdy zbiegną się z gwiazdami i w czas, gdy płynąć będzie masa wszechświata, w oceanie ognia spłonie wszystko, co teraz błyszczy w porządku. A my, błogosławione duchy, które osiągnęliśmy wieczność, będziemy tylko dodatkiem w straszliwej ruinie - i rozpadniemy się na drobne cząstki wonczas, gdy Bóstwo zechce znowu przerobić wszystko. Jakże szczęśliwy jest, Marcjo, twój syn, który to wszystko wie...”

Jeżeli dostojną Marcję czarował namiętny styl tego listu, pouczał dojrzałą o rezygnacji tym zestawieniem jednostkowej straty z powszechną boleścią życia, błyskał w ciągu dowodzeń nadziejami nieba pozagrobowego - to Mesalinę w jej obecnym nastroju koniec tego listu wstrząsnął przerażeniem... Pocieszenia w tej formie, wieszczące wieczność przemian przez wieczystość zniszczenia i odrodzenia, wyobraźnią gorącą malujące kres

gwiazd i pożar słońca - nie wywarły wpływu zamierzonego przez autora. Może dawniej wysnuwała z nich moc pogodzenia się ze znikomo-ścią bytu. Teraz jednak, wstrząśnięta - ogołocona z nadziei, niby brzoza północna z liści w czas zimowy - jakoby stanęła nad przepaścią nicości, która pociągnęła ją zawrotem głowy...

Mesalina sięgnęła do pierścienia, który był cennym na dzień jej zaręczyn darem Szymona Czarnoksiężnika - mieszczącym we wnętrzu perły jad - cenny w myśl twierdzenia darczyńcy, że „człowiek zawsze może znaleźć się w męce tak nieznośnej, iż musi szukać w śmierci ratunku, więc środek ocalenia zawsze winien mieć na zawołanie”.

Obrót perły w oprawie - według wskazówki pisemnej ofiarodawc klejnotu - pozwalał ją wyjąć i ujawniał drobny otwór, przez któr potężna trucizna wysączyć się miała i rozpuścić w płynie obojętnym

Mesalina rzuciła perłę na dno kielicha, w którym mieścił się nap ‘ sporządzony z pomarańczy i wina, przygotowany dla niej z nastanie nocy...

Księga czwarta

Zbrodnie Cezarów

Rozdział XXVIII

Ea

Zamknęła oczy i złotą amforę podniosła do ust...

Po marmurze jej twarzy staczały się cicho dwie wielkie łzy... Gorzki uśmiech wykrzywił różowe wargi. Był w tym uśmiechu okrutny żal niezakosztowanych rozkoszy życia i wstręt bolesny przed grozą śmierci, po którą sięgnęła dla wyzwolenia z nieznośnych mąk duszy; był strach rozpieszczonego dziecka, któremu podają gorzkie lekarstwo.

Zamknięte oczy badały ciemną otchłań pozagrobową, w którą miała się stoczyć za chwilę. Ale tam, z podziemnych tajemnic Orkusa, wynurzał się olbrzymi cień, który ją wabił

ku sobie kościstą ręką; wywołały ją gorejące na wychudłej dobrowolnym głodem twarzy ojcowskiej oczy konsula Mesali; porywał ją wicher musu, któremu nie mogła się już oprzeć...

- Idę do ciebie, ojcze!

Wtem poczuła czyjeś mocne dotknięcie na kiści ręki, którą niosła z czarą ku ustom.

Jakieś palce obręczą ujęły tę kiść i odciągnęły ją przemożnie wstecz. Zdumiona otworzyła oczy, ujrzała najpierw brąz delikatnych palców, potem wpatrzone w nią z wyrazem litościwym ciemne źrenice na spalonej od żaru słonecznego twarzy, wyglądającej niby rzeźba z brązu.

Stała przed nią niewolnica Ea.

Wydawała się jakaś inna w tej chwili...

Mesalina widywała ją nieraz, przechodzącą krokiem bezszelestnym przez komnaty pałacowe. Wiedziała, że jest ona z wyboru Narcyza przełożoną nad jej niewolnicami i że pilnuje porządku na oddzialekobięcym pałacu. Mesalina niemal nie słyszała jej głosu.

Służebne mówiły o Ei szeptem: „stara” i wypełniały kornie jej milczące nakazy. Ea nie miała potrzeby mówić - rozumiano jej gesty - mogła uchodzić za niemą. Była skromna - nie narzucała się nigdy oczom Mesaliny - przy spotkaniu z nią przystawała ze czcią, pochylając głowę. Twarz jej była zawsze osłonięta jedwabną chustą, tkaną w ciemne kolory, ściągniętą wokół szyi, tak że oczy ledwo widoczne były w otworze fałd: powłóczysta biała szata otulała od szyi aż do sandałów wysoką jej postać. Zdawała się cieniem, sunącym przez pokoje - symbolem porządku. Mesalina nie miała potrzeby nigdy zaczepić jej uwagą, nakazem, lub prośbą, z którą łagodnie zwracała się do innych służebnic, zadziwiając je tym, że prosi, gdy mogła tylko rozkazać. „Stara”, wydawszy w godzinach rannych swoje zarządzenia, sprawdziwszy za dnia parokrotnie, czy je spełniono, oddalała się cicho pod wieczór do siebie - niemal zniknęła. Cezarowa miała wrażenie, iż taka jest misja tej kobiety - czuwać

niewidzialnie. Zajęta sobą, nie zaciekała się nigdy tą istotą, zda się, pozbawioną wszelkiej treści poza automatycznością swych obowiązków; może szanowała milczenie Ei. Zresztą nie było przyjęte na dworze, by niewolnice nagabywały cesarzową bez jej upoważnienia, chyba że zaszedł jakiś wypadek szczególnie, który zniewalał je donieść rzecz ważną, lub zapytać o rozkazy.

Ale na ten raz Ea, oddaliwszy służebne, sama - wbrew zwyczajowi - pozostała na straży snu cesarzowej w jej komnacie sypialnej. Było to tym dziwniejsze, że Mesalina wydalila tego wieczoru wszystkie niewolnice, oświadczywszy, iż chce pozostać sama.

Dlaczegoż więc Ea nie posłuchała rozkazu? Ukryła się w niszy wśród dwóch kolumn jaspisowych za wielkim posągami Diany, schylonej nad krawędzią olbrzymiej muszli alabastrowej, z której tryskała srebrem wód fontanna: jakby marmurowa bogini zamierzała zejść do kąpeli, gdzie co dni-o poranku pluskała się jej siostra - cesarzowa.

Wypelzła z kąta w chwili stanowczej, aby stanąć władczo pomiędzy brzegiem śmiertelnego pucharu i ustami żądnymi śmierci. Ośmieliła się ująć dłoń cesarzowej - zaszła dalej w śmiałości: albowiem sięgnęła p czarę i wzięwszy ją z rozluźnionych oszołomieniem palców Mesaliny wylała zawartość - zatrute wino - na krzew palmy, podnoszącej się z kadzi aż pod malowany strop atrium.

Teraz ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma oczekiwała wyrok cesarzowej za swoje zuchwalstwo. kobiecym pałacu. Mesalina niemal nie słyszała jej głosu. Służebne mówiły o Ei szeptem: „stara” i wypełniały kornie jej milczące nakazy. Ea nie miała potrzeby mówić - rozumiano jej gesty - mogła uchodzić za niemą. Była skromna - nie narzucała się nigdy oczom Mesaliny - przy spotkaniu z nią przystawała ze czcią, pochylając głowę. Twarz jej była zawsze osłonięta jedwabną chustą, tkaną w ciemne kolory, ściągniętą wokół szyi, tak że oczy ledwo widoczne były w otworze fałd: powłóczyta biała szata otulała od szyi aż do



sandałów wysoką jej postać. Zdawała się cieniem, sunącym przez pokoje - symbolem porządku. Mesalina nie miała potrzeby nigdy zaczepić jej uwagą, nakazem, lub prośbą, z którą łagodnie zwracała się do innych służebnic, zadziwiając je tym, że prosi, gdy mogła tylko rozkazać. „Stara”, wydawszy w godzinach rannych swoje zarządzenia, sprawdziwszy za dnia parokrotnie, czy je spełniono, oddalała się cicho pod wieczór do siebie - niemal znikła. Cezarowa miała wrażenie, iż taka jest misja tej kobiety - czuwać niewidzialnie. Zajęta sobą, nie zaciekawiała się nigdy tą istotą, zda się, pozbawioną wszelkiej treści poza automatycznością swych obowiązków; może szanowała milczenie Ei. Zresztą nie było przyjęte na dworze, by niewolnice nagabywały cesarzową bez jej upoważnienia, chyba że zaszedł jakiś wypadek szczególny, który zniewalał je donieść rzecz ważną, lub zapytać o rozkazy.

Ale na ten raz Ea, oddaliwszy służebne, sama - wbrew zwyczajowi - pozostała na straży snu cesarzowej w jej komnacie sypialnej. Było to tym dziwniejsze, że Mesalina wydalila tego wieczoru wszystkie niewolnice, oświadczywszy, iż chce pozostać sama. Dlaczegoż więc Ea nie posłuchała rozkazu? Ukryła się w niszy wśród dwóch kolumn jasno- białych za wielkim posągiem Diany, schylonej nad krawędzią olbrzymiej muszli alabastrowej, z której tryskała srebrem wód fontanna jakby marmurowa bogini zamierzała zejść do kąpieli, gdzie co dni o poranku pluskała się jej siostra - cesarzowa.

Wypęzła z kąta w chwili stanowczej, aby stanąć władczo pomiędzy brzegiem śmiertelnego pucharu i ustami żądnymi śmierci. Ośmieliła się ująć dłoń cesarzowej - zaszła dalej w śmiałości: albowiem sięgnęła po czarę i wzięwszy ją z rozluźnionych oszołomieniem palców Mesalin wylała zawartość - zatrute wino - na krzew palmy, podnoszącej się z kadzi aż pod malowany strop atrium.

Teraz ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma oczekiwała wyrok cesarzowej za swoje

zuchwalstwo. Mesalina rozluźniła palce - oddała czarę, jakby ta nagła interwencja zwolniła ją z okrutnego musu i przywracała jej pożądane zawsze prawo do życia. Ale nie chciała ujawnić rwącej się z dna duszy radości tego powrotu, a to wobec zuchwalstwa służebnej. Zmarszczyła brwi i zmuszając się niejako do gniewu, którego w niej nie było, ozwała się twardym akcentem:

- Jakim prawem zostałeś tutaj?
- Przebacz boska! Narcyz polecił mi czuwać nad cesarzową dzisiejszej nocy.
- Dlaczego?!
- Wiedział, że cesarzowa dziś cierpi...
- Skądże to?! - zachnęła się.
- Był w cyrku... przy wypadku. Wyczytał ból w twarzy cesarzowej. Obawiał się...

Chwila milczącego zdziwienia. Potem:

- Dobrze. Ale jakim prawem stajesz pomiędzy moją wolą a losem?

Ea przypadła do cesarzowej - całowała jej kolana i stopy:

- Nie gniewaj się. boska Augusto! Skoro chciałaś zniszczyć największą piękność na ziemi, skoro kształt, którym obdarzyła cię nieśmiertelna Wenus, abyś była jej potęgą, zamierzałaś w czas kwitnięcia rozsypać w proch, musiałam się wmieszać... Nie jest to twój los na dziś, skoro bogini natchnęła mnie taką odwagą...

Wyprostowała się nagle i głosem uroczystym rzekła:

- Nie z rozkazu Narcyza to uczyniłam! Powodował mną wyższy rozkaz. Bogini Mifisilet oznajmiła mi posłannictwo moje i twoje przeznaczenie, Boska!... Ea słuchała swojego bóstwa!
- Nie znam twego bóstwa. Przeznaczeniem moim jest cierpienie.
- Nie! Rozkosz - odparła mocno Ea.

Znowu chwila milczącego zdziwienia.

- Masz piękny głos, Eo... I oczy twoje pięknie się iskrzą. A mowa twoja zdradza szlachetność, obcą niewolnicy.

- Bo może nie jestem tym tylko, czym być się wydaję.

Wymówiła to z taką dumą, że Mesalina była głęboko poruszona i zdumiona.

- Skąd pochodzisz?

- Jeżeli tajemnica moja nie spotka się z niedowierzaniem twoich uszu, cesarzowo, Ea gotowa jest wyjawić ją na twój rozkaz...

- Mów!

Mesalina Kobieta podniosła ręce ku górze ruchem tak gwałtownym, że zawiązki na szyi pękły - białe peplum zsunęło się do stóp. Obnażyły się kształty ciała w przepasce purpurowej o frędzlach złocistych na biodrach: ukrywany skrzętnie dowód jakichś pretensji dostojności, nie pogodzonych z poniżeniem niewoli. Nie była wcale młoda, lecz jakoweś błogosławieństwo nieba oraz dbałość ćwiczeń fizycznych zachowały sprężystość jej smukłej postaci. W świetle płomyków, rozkołysanych wiatrem kryształowych amplach pod stropami i na marmurowych konsolach oraz w jaskrawej czerwieni zachodzącego słońca, które rzucało odbłask na salę poprzez otwór balkonu, zajmującego całą szerokość spodniego tarasu - wydawała się posągami, rzeźbionym w brązie. Nie brakło jej majestatu.

Głos dźwięcznym ze wzruszenia tonem, przechodzącym w przyśpiew tłumionej boleści nad jej losem obecnym:

- Mój ród pochodzi z kraju, który liczył już mnogie dynastie wówczas, gdy jeszcze wilczyca rzymska nie udzieliła mleka sutków swoich chciwym ustom Romulusa i Remusa, z kraju, gdzie ojciec Nil, płynący z wiecznie tajemniczych źródeł płodnym mułem zalewał rozkoszne niwy, szczęśliwe i wolne, zanim spadły na nie legiony Cezara Oktawiana; z kraju,

gdzie wśród palm na pustyni tajemniczym dźwiękiem posągu Memnona towarzyszą groźne pomruki królewskich lwów, z kraju, gdzie stały już świątynie o setkach kolumn, gdy Rzym posiadał same chaty drewniane, kryte słomą, gdzie kapłani nasi w chrampie Izydy badali tajemnice nieba, niedostępne i dziś wróżbiarzom Rzymu... Mój ród pochodzi z kraju, gdzie piramidy strzegą snu faraonów na całe tysiąclecia: a napis na grobowcu Tutmesa III, rozstawionego zwycięstwami nad ludami Azji i Afryki, nad wodzami Asyryjczyków i strzelców libijskich, władztwem nad wyspami Grecji i obrzeżami oceanu, nie zblednie wobec potęgi Rzymu i nie przeminie nawet wówczas, gdy minie ta potęga, o pani! Bo tak napisane jest w gwiazdach i księgach Sybilli rzymskiej, ukrytych lękliwie przez waszych augurów na Kapitolu.

Mesalina nie przerywała jej. Ten głos zachwytu, jakoby idący z ech dalekiej przeszłości, acz złowróźbny dla Rzymu, mimo woli porywał jej wrażliwą duszę. Ea mówiła dalej, parta musem objawienia spraw, które długo taiła w samotności swojego losu:

- Urodziłam się niewolnicą... acz wyzwolona była już moja babka. Słyszałam od matki, że piękność ongi udzieliła jej macierzy wstępu dołożnicy faraona Ptolemeusza Aulotosa i osuszała wdowie łzy jego po stracie królowej-połowicy przez szereg długich nocy. Szczęśliwa łaską faraona - babka moja była towarzyszką zabaw dziecinnych i ulubienicą córy faraona, wielkiej królowej Kleopatry, a jeden wąż ze świętej pary ukąsił śmiertelnie królową, drugi położył kres życiu babki mojej. Bowiem pozostała dobrowolnie na usługach królowej, spod Akcjum na triremie faraonowej udała się z nią razem do Aleksandrii, a nie chciała przeżyć córy faraona i roku, w którym wbito święty gwóźdź na Kapitolu, oznaczający początek wszechwładzy pogromcy Egiptu, Augusta. Obie jednako przedłożyły jad węża nad widok hańby ojczyzny i łaskę Rzymu!

Ale łono wyzwolenicy wydało na wodach oceanu owoc z posiewu faraona

Ptolemeusza, dziecię, które dostało się w ręce legionistów Cezara i wychowane zostało w niewoli na dolę niewolniczą. Tym owocem była matka moja!

Ea przyklękła, twarz zakrywszy rękoma. Wstrząsało nią ciche łkanie. Mesalina złożyła dłoń współczująco na jej rozpuszczonych włosach:

- Biedna!... Tedy w żyłach twoich płynie krew faraonów. Kiedy i gdzie urodziłaś się, Eo?

- Matka moja była niewolnicą małżonki namiestnika cesarowego, Piłata, w ziemi Palestyńskiej. Urodziłam się w Betlejem onego roku, gdy wielka nowa gwiazda zapaliła się na niebie, a po ziemi onej szły gadki, iż w mieście tym, w ubogiej stajence, przyszedł na świat Bóg, który położy kres wszelkiej niewoli. Onego roku Herod okrutny popadł w chorobę szału, drżąc o swoją koronę...

- Masz więc lat?

- Przeszło cztery dziesiątki, cesarzowo.

- Dużo przeszłaś w życiu swoim?

- Oho! - Ea odgarnęła włosy z twarzy i oczy jej zaświeciły złośliwie - dużo, dużo widziałam... Gdybym mogła opowiedzieć o rzeczach strasznych, które przeszły przed moimi żrenicami i skuły usta moje milczeniem tajemnicy...

- Mów... śmiało i szczerze! Upoważniam cię.

Rozdział XXIX

Pajęczycza

Ea przyklękła na marmurowej posadzce u stóp pani, sięgnawszy ręką po lutnię.

Wydobyła ze strun kilka tonów rozedrganych posępnym bólem - i rzekła, uśmiechając się chytrze:

- Widziałam starego lisa, kiedy ostatnie akty komedii swojej przed światem odgrywał.

Widziałam czulącą się doń pajęczycę, kiedy snuła czarne sieci swoje po wszystkich kątach tego pałacu.

- Któż był lisem? - spytała Mesalina jeszcze niepewna, czy dobrze odgadła zuchwałą przenośnię niewolnicy.

- A któżby inny - roześmiała się Ea, wyzbyta z obaw wylewem dawno tłumionej nienawiści - jeżeli nie sam Gajusz Cezar Oktawian August, imperator princeps, który niewolniczym senatorom, konsulom, trybunom ukradł wszystkie godności i wolności, i schował pod swą purpurową tunikę?!

- Więc pajęczycą... była Liwia?

- Tak jest... pierwszą Augustą, przez lat pięćdziesiąt rozstawiającą sieci wszystkiemu i wszystkim, aby najpierw syna swojego wepchnąć na tron, a potem utrzymać go na nim i w nagrodę obrzydzić siebie swemu posępnemu płodowi, Tyberiuszowi Neronowi<sup>4</sup> Cezarowi! - mówiła, smakując z zacieklą nienawiścią każde z tych imion następcy Augustowego, Tyberiusza. - „Matka ojczyzny!” - dodała, zatrzęsłszy się od śmiechu. - Tak ją senat przezwał językami pochlebów.

- August i Liwia pono kochali się mocno! - wtrąciła w zdumieniu Mesalina.

- Ba! Wino miłości zaszumiło z początku Augustowi w głowie, skoro przekroczył dla niej aż przez dwa rozwody. Odepchnął wraz małżonkę swoją, dostojną Skribonię i wprowadził pod dach swój cudzą, odebraną mężowi Klaudiuszowi Druzusowi z jego płodem w łonie. Ale wino to skwaśniało później na ocet. Mądrością Liwii utrzymywał się August. Krasomówczy na urząd przed innymi, wobec Liwii Augusty tak był czujny, że przygotowywał przemówienia do niej i odczytywał z woskowanych tabliczek, aby nie splątać się w nieostrożnym słowie. Dla świata byli do końca, jako dwa gołąbki; ale on tajnie drżał przed

nią, a ona igrała nim, jak kotka z myszą, a czekała niecierpliwie jego końca

Ea przyklęła na marmurowej posadzce u stóp pani, sięgnąwszy ręką po lutnię.

Wydobyła ze strun kilka tonów rozedrganych posępnym bólem - i rzekła, uśmiechając się chytrze:

- Widziałam starego lisa, kiedy ostatnie akty komedii swojej przed światem odgrywał.

Widziałam czulącą się doń pajęczycę, kiedy snuła czarne sieci swoje po wszystkich kątach tego pałacu.

- Któż był lisem? - spytała Mesalina jeszcze niepewna, czy dobrze odgadła zuchwałą przenośnię niewolnicy.

- A któżby inny - roześmiała się Ea, wyzbyta z obaw wylewem dawno tłumionej nienawiści - jeżeli nie sam Gajusz Cezar Oktawian August, imperator princeps, który niewolniczym senatorom, konsulom, trybunom ukradł wszystkie godności i wolności, i schował pod swą purpurową tunikę?!

- Więc pajęczycą... była Liwia?

- Tak jest... pierwszą Augustą, przez lat pięćdziesiąt rozstawiającą sieci wszystkiemu i wszystkim, aby najpierw syna swojego wepchnąć na tron, a potem utrzymać go na nim i w nagrodę obrzydzić siebie swemu posępnemu płodowi, Tyberiuszowi Neronowi4 Cezarowi! - mówiła, smakując z zacieklą nienawiścią każde z tych imion następcy Augus-towego, Tyberiusza. - „Matka ojczyzny!” - dodała, zatrzęsłszy się od śmiechu. - Tak ją senat przezwał językami pochlebów.

- August i Liwia pono kochali się mocno! - wtrąciła w zdumieniu Mesalina.

- Ba! Wino miłości zaszumiało z początku Augustowi w głowie, skoro przekroczył dla niej aż przez dwa rozwody. Odepchnął wraz małżonkę swoją, dostojną Skribonię i wprowadził pod dach swój cudzą, odebraną mężowi Klaudiuszowi Druzusowi z jego płodem

w łonie. Ale wino to skwaśniało później na ocet. Mądrością Liwii utrzymywał się August.

Krasomówczy na urząd przed innymi, wobec Liwii Augusty tak był czujny, że przygotowywał przemówienia do niej i odczytywał z woskowanych tabliczek, aby nie splątać się w nieostrożnym słowie. Dla świata byli do końca, jako dwa gołąbki; ale on tajnie drżał przed nią, a ona igrała nim, jak kotka z myszą, a czekała niecierpliwie jego końca.- Po cóż? Wszakże Cezar August usynowił pasierba.

- Tak, tak!... Ale dużo jeszcze sztuk musiała dokonać starucha, aby tron nie umknął się gagatkowi. Mam w głowie popisane wszystkie jej ofiary. Pierwszą ofiarą padł zięć Cezarowy, Marcellus. Obawiała się Liwia nasienia, które zaszcześcić mógł jedynaczce Augustowej, Julii.

- Słyszałam, że Marcellusa ukąsiła jadowita żmija.

- Ba, tak... ale żmija ta wypęzła z kosza owoców, który był darem dlań z rąk pieśczośliwych Augusty. Bodaj już wtedy marzyło się jej, że swego Tyberiusza ożeni z Julią. Ale August miał jeszcze wolę i czuł odrazę do starczej twarzy pasierba, dał córę swoją Waleriuszowi Agrypie. August miał wnuki męskie z krwi córki i tego Agrypy i każdemu z nich winien był raczej przypisać wieniec Cezarów prawem Juliuszowej krwi, aniżeli przybłędzie z krwi Klaudiuszowej, Tyberkowi. Lecz pajęczycza zdławiła rychło dwie pierworodne męskie, Kajusa i Lucjusza.

- Słyszałam te... plotki! - wzdrygnęła się Mesalina.

- Nie plotki! - zacięcie odparła Ea. - Cały Rzym o tym szepcze. Matka moja na łożu śmierci opowiadała mi o tym, wyliczając grzechy Cezarów, i poprzysięgła, że obu młodzieńców widziała w mękach konania. Byli krzepcy i piękni, mogli rachować na długie lata życia pod słońcem, zeszli jednak pod ziemię, bo jednemu naprzód, drugiemu wrychle potem wystąpiły na ciele plamy sine, które rzuca na skórę odwar liści z kuchni Lokusty.

- Trucicielka ta żyje dotąd.



- Poczyniała wówczas swój zawód na służbie Cezarowej. Nie uczyniono jej nic, bo przekupny lekarz Glaukus oznajmił, że powodem była zaraza, którą rzekomo sprawił niechlujny niewolnik. Niewolnika zrzucano ze skały Tarpejskiej, zadawszy mu wprzód tortury, na których przyznał się do swej choroby, jakoby dawniej ukrytej. Ale znaków jej nikt nigdy nie spostrzegł na jego ciele. A obaj wnukowie zachorowali, ten i ów za każdym razem po uczcie, sprawionej w domu Augusta rękami poczciwej babki.

- Zaraz?

- Nie!... Na tym polega kunszt Lokusty, że choroba ta się przez tygodnie, ale trawi z pewnością nieubłaganą, nie wydając winowajcy. Tak dwie muszki złote przepadły w pajęczynie Augusty.

- Został Agrypa Postumus...

- Tak! Został Agrypa Postumus. Tego widywałam na dworze jako młodzieniaszka, gdy sama byłam dzieckiem. Urodzony po śmierci ojca, ostatni z synów szlachetnej Julii, żył jeszcze wówczas, gdy zabiegom Augusty Liwii, marzącej o sprzężeniu krwi Juliuszów i Klaudiuszów, stało się zadość. Usynowiony pasierb Cezara, Tyberiusz pojął za żonę jego córkę. Żył ów wnuk jeszcze wówczas, gdy Julia, odtrącona przez Tyberiusza, dogasała na wygnaniu. Żył też wówczas jeszcze, gdy dziad jego umierał. Był piękny i silny, rzekłbyś młody Herkules!

- Mówiono w moim domu rodzicielskim, że był dzikusem.

- Tak powiadano... Ale dlaczego?... Bo zbrzydził sobie blask Cezarowego domu i obłudne pieszczoty babczyne, i ponurą twarz ojczyrna-następcy... Wolał prostą odzież ludu i kochał zajęcia rybaków... Po całych dniach łowił ryby w zatoce Neapolitańskiej... Wyśmiewał wprawdzie gesty królewskie dziada i pychę babki... mówił o mordach, którymi August torował sobie drogi do wszechwładzy. Ale to były słowa i słowa prawdziwe. A za słowa

swawoli fałszywy donos oskarżył go o rzekome spiski przeciw dziadowi i za namową Augusty zamknął Cezar ostatniego wnuka, krew własną, w murach ciemnicy na wyspie Planazji nieopodal Elby.

- Gdzie zginął z rąk pijanego dozorca!

- Nieprawda! - zatrzęsała się oburzeniem Ea. - Te rzeczy znam dobrze z ust Narcyza, który z onym dozorcą mówił i wywiedziało się rzeczy wtedy tajnych, później wiadomych wszystkim żyjącym podówczas w Rzymie. Przed śmiercią sumienie ruszyło dziada. Serce, przez pajęczycę próżno naginane ku niewolnie przybranemu synowi, którego oczy nigdy nie spojrzały wprost w oczy cesarskie ojczyma, zatęskniło naraz za obrzydzonym mu przez Augustę wnukiem. Więc tajemnie, choć już trzęsły go dreszcze śmiertelne, udał się na wyspę i wszedł do ciemnicy, by ujrzeć wnuka. Był wtedy wyzwoleniec Narcyz w orszaku Cezarowym, jako że miał zleconą sobie pieczę służebną nad chorym Cezarem. Opowiadał mi sam o spotkaniu dziada z wnukiem. Tak! Agrypa Pogrobowiec naprawdę był wówczas dziki: obrósł włosem, niestrzyżony w ciemnicy, rzucony na słomę. Ale drgało w nim pod maską dzikości serce nad miarę poczciwe. Łzy radości puściły mu się z oczu. „Przychodzisz wyzwolić mnie, dziadku! - zakrzyknął. - Spotwarzyli mnie przed tobą. Zrozumiałeś to... i puścisz mnie wolno!” I objął kolana dziadowe. A ów zawstydził się, bo mu Liwia jeszcze nie wydarła rumieńca z twarzy, i zwałił się do stóp klęczącego, i we łzach pokajał się swojego okrucieństwa.- Na Jowisza!... To okropne!

- Okropne!... Okropniejsze jednak to, że dziad nie ważył się wypuścić wnuka z ciemnicy, tylko polecił zdjąć mu kajdany. Bał się, że jawnością i śpiesznością postępowania obudzi czujność Liwii i pomiesza sobie plany powrócenia łask i tronu prawemu następcy. Więc prosił wnuka o cierpliwość i powrócił do Rzymu, aby przedsięwziąć kroki ku naprawie. Tylko że plany swoje zwierzył jednemu przyjacielowi, który towarzyszył mu na wyspę. Ten

plotkarz, czy fałszywiec - Fabiusz Maksimus, udał się do żony... A żona z drogocenną wiadomością pomknęła do Liwii-przyjaciółki. Stąd zamieszanie okrutne. Bo już z onej podróży powrócił August w ostatniej niemocy i leżał zaraz w potach przedzgonnych w łożu, nim wydał słowo rozkazu na rzecz wnuka. Ledwo zaś oczy zasły mu bielmem po owych słowach pamiętnych do otaczających łoża konania dworaków: „Czy dobrze odegrałem rolę swoją, przyjaciele?” kiedy już małżonka śle po syna-ulubieńca, by rychło przybywał wziąć władzę w ręce. A innymi drogami spieszy na wyspę Planazję wysłany morderca, setnik Sallustiusz Krispus.

Przerwała... ciężko łykała powietrze, jakby jej tchu zbrakło w piersi i, brzęknąwszy znowu w lutnię, jakby dobywając z niej ton pogrzebny, kończyła:

- Zwarł się z orężnym bezbronny Pogrobowiec, i zadał mu wiele trudu, nim posiekany legł od miecza na więziennej słomie. Później Augusta fałszowała dokument, którym dziad rzekomo wnuka-spiskowca skazał na śmierć.

Nastało milczenie... I znowu Ea podjęła opowieść:

- Wzburzyły się potem wielkie połacie państwa. Szedł przez ziemię Italskie z mieczem mściciela niewolnik Klemens, przybrawszy imię zamordowanego pana i tym imieniem strach rzucił na pałac Cezara. Ale przez nasłanego zdrajcę nowy jedynowładca zwabił go w potrzask. Mężny Klemens oddał gardło pod miecz. Hiena połknęła pierwszą ofiarę.

- Hiena?!

- Tak... nowy Cezar, Tyberiusz, co nowe zapoczątkował mordy!

- Różni różnie mówili o nim...

- Różni różnie... Spędziłam długie lata w domu Tyberiuszowym znowu jako

niewolnica milcząca, nie wydająca nigdy gestem, przyuczona do pokory, ani drgnieniem osłoniętej twarzy, wstrząsu duszy, tak kłamliwa, jak... Narcyz... który nauczył mnie sztuki

chowania tajemnic... I znowu widziałam wiele!- Nowe mordy?

- Tak jest! Różni różnie mówili o Tyberiuszu... Zdawał się za młodu człowiekiem, nim spadła maska i ukazały się zęby hieny. Ludzką łzę uronił, gdy mu Cezar August rozkazał zerwać śluby z ukochaną Wipsanią i gwoli życzeniom Augusty pojąć niemilą mu, starzejącą się Julię. Pomnę, cztery dni głodził się, wyprasząc od Augusta wyjazd na wyspę Rodos, aby mógł zejść z oczu swawolącej z weselszą młodzieżą żonie; boć ta nie mogła nawyknąć do jego oczu, powleczonych posępnością wiecznej zagadki. Później Cezar, już tron zajmujący, mimo mądrości swojej dał się podejść, jak dzieciuch, ministrowi Sejanowi, za jedynego przyjaciela obierając potwora, który całe życie kopał pod nim przepaści. Ale też za swój zawód wywarł tysiąc pomst na sojusznikach Sejana i na własnych powinowatych, podczas gdy sam, na wyspie Capri, stary brudny kozioł tonął w uciechach, porywając rodzicom młodź szlachecką, dziewczątka i chłopięta, dla orgii starczej rozpusty. Mściwy zbrodniarz w długie lata panowania, zaciekły tropiciel obrazy majestatu na obcych i swoich.

- Stój! Mów kolejno, od twych powieści mać mi się w głowie... Czyżbyś winiła Tyberiusza o śmierć bratanka, szlachetnego Germanika? Wszakże Tyberiusz z woli Augusta usynowił go i sam chciał mieć za następcę, wbrew własnej krwi, wbrew miłości dla swego syna z Wipsanii, Druzusa. Czy nie tak?

- Nie winię, boska cesarzowo, o tę krew Tyberiusza! Ale on był po wsze czasy niechętny usynowieniu i zazdrościł mu chwały wojennej, którą ów syn jego prześcignął. I mniemać wolno, że jeśli on sam nie zaczął się w puszczech syryjskich na rycerskiego bratanka, to dlatego, że mógł spokojnie zdać się na zapobiegliwość matczyną. Rzym wie o tym, czego nie chcesz wiedzieć, boska Mesalino, daleka od posłuchów w czystości swego serca, że... Germanik, syn przedwcześnie zmarłego Kajusa Druzusa, drugiego Liwii syna, padł ofiarą jej intryg na rzecz Tyberiuszowego płodu, Druzusa II.

- Ofiarą własnej babki?

- Kot pożera własne dzieci. Pajęczycza w ludzkim ciele, zaprawiona w truciu wnuków męzowskich, sięgnęła po życie własnego wnuka. Był bowiem niemiły jej i szlachectwem własnym, i opornością zmarłego ojca. Drażniła ją przewaga matki jego, Antonii, w sercu ludu. Nie podobał się też krwią babki swej Oktawii. a przede wszystkim niemiły był...Zatrzymała się.

- Przede wszystkim? - nagabywała Mesalina.

- Cezarowo! - rzekła wzruszona Ea. - Tyś jedyna niezwykła wśród kobiet, noszących fiolety żony Cezara, bo nie znasz pychy władzy i nie dobijasz się wjazdu rydwanem na Kapitol; ale kryjesz się, jak skromny fiołek kryje woń swoją i barwy w gąszczu traw!... Nie taką była Liwia. walczącą o sławę pierwszej kobiety w Rzymie z Antonią. Nie taka była nawet skromniejsza od tamtej Skribonia, bo i ona, jako babka wnuków z krwi Augusta, domagała się pierwszeństwa hołdów dla siebie na dworze. Ani taka była, stająca do walki z tamtymi, czcigodna Antonia; czuła się bowiem matką następcy książęcego, Germanika. Nie taka była Julia, Cezarowa jedynaczka! I wreszcie nie taka była małżonka Germanika, krew z krwi Augustowej, córa Julii, przedumna i dostojna Agrypina I. Powiła mu dziewięcioro dzieci i marzyła o koronie cesarskiej dla najstarszego z trzech synów w następstwie po Germaniku, dla tych planów żony babce niemiłym.

Bo, jako Julii krew Klaudiuszów, płynąca w żyłach syna Liwii, zdać się musiała niższa, niżli krew, co tętniła w żyłach Juliusza Cezara i Augusta Oktawiana, tak Agrypinie wydawało się, iż może sięgać po pierwsze w Rzymie honory, jako matka Nerona, Druzusa, Kaliguli, spadkobierców książęcego małżonka, Germanika. Bój stąd uparty kobiet powstał na dworze, poszedł milion intryg i podkopów pod cudzą cześć, a skarg przed Cezarem! Owóż Liwia, urażona dumą Agrypiny, przedłożyła jednego z wnuków ponad drugiego, ponad syna

Druzusowego, Germanika, umiłowala w uporze oschłego serca syna z krwi ulubionego z dawna Tyberiusza... Stąd skutki! Tyberiusz śle na ciężkie boje Germanika, a ona, Liwia, wymaga, by śladem jego i żony jechał w roli namiestnika zwojowanych krajów kłótniwy Pizon z małżonką Placencją, nieprzyjazną z dawna Agrypinie. A tak dnia pewnego krzepki jak dąb, Germanik, rzucony jest w mękach na łoże i popada w szal od jądów, podanych mu w pucharze przez Placencję na ucztę Pizona, gdzie niby to święcono uroczystość pogodzenia się obu par małżeńskich!

- Nie było mnie na świecie, gdy prochy Germanika przywieziono do Rzymu, ale ojciec opowiadał, że cała ziemia Italska okryła się żałobą.

- Cała! I nie tylko Italska... Płakały nawet ziemie Azji i Afryki, bo on był naprawdę dostojny, nie krzywdziciel złośliwy obcych ludów! Liczyłam wtedy dziewiętnastą wiosnę... Pomnę Agrypinę, która przybyła z urną, mieszczącą prochy małżonka, do Rzymu z twarzą Nemezydy, zamierzając oskarżyć Liwię o potworność tej zbrodni. Nie śmiał Tyberiusz spotkać pochodu żałobnego, acz Rzym cały wyległ na spotkanie tych prochów i onej nieszczęśliwej wdowy, z jej żałobą mieszając żałobę stolicy. Tylko że lekarze atniochijscy nie wazyli się znaleźć plam trucizny na zwłokach - i rozkaz imperatora zalecił oddać je dla niepoznaki szybko ogniom stosu! Więc wdowa musiała zawrzeć ból i pomstę w sercu. A w myśl zaleceń konającego męża raczej myśleć musiała o bezpieczeństwie własnym i dzieciak, niżli głosić prawdę, której trwoga powszechna chciała dosłyszeć. Ujawnienie tej prawdy groziło śmiercią skarżącej i dziatkom. A tak tylko głuche szepty mówiły o winowajczyni...

- Która celu swego nie dopięła! - zaśmiała się mimo woli Mesalina.

- Nie dopięła!... Losy zadrwiły z jej zabiegów. Krew Klaudiuszów podniosła się przeciw krwi Klaudiuszów. Liwilla, córka zmarłego Kajusa Druzusa I, Tyberiuszowego brata, nikczemna siostra szlachetnego Germanika, znęcona przez Sejana w cudzołóstwo idzie

ślądami tygrysimi babki: bierze na siebie rolę trucicielki i z namowy kochanka kładzie kres życiu małżonka a kuzyna, Tyberiuszowego syna, Druzusa II. Marzący o tronie Sejan zdążył jeszcze potem uprzętać z dróg próżnej swojej ambicji dwóch Germanikowych synów; jątrzył obu przeciw sobie i przeciw dziadowi; obu oskarżył zdradnie o spiski przed trybunałem nieubłaganego Cezara, który wszędzie wietrzył one, a ślepy był na zdrady Sejana. Ginie więc młodzieńczy Neron pod ręką kata. Przy śmiechu Tyberiusza, znęcającego się nad krwią własną, pochodzącą od brata, umiera w ciemnicy, skazany na śmierć głodową młodociany Druzus III, żując przez dni dziewięć zgniłą słomę ze swego barłogu.

Nie stało już staruchy Liwii; ale Tyberiusz pełni dalej dzieło mordercze macierzy.

Odkrywa wreszcie zdradę przyjaciela Sejana. A gdy ten zapłacił ją słusznie, w jednym dniu ze szczytów władzy padając sponiewieranym trupem na schody Gemońskie, Cezar mści się własnej ślepoty na całym świecie. Dobrze, iż zbrodnie zasłużoną śmiercią płaci trucicielka męża Liwilla! Ale czemuż winy ojca płacić ma dziecina Sejana, dziewczeczka tkliwym głosem prosząca: „ukarżcie przewinę różgami, jeżeli czymś zawiniła!” Kat przed wykonaniem wyroku zgwałcił dziecko, iżby nie mówiono, że Rzym karał śmiercią dziewice!

- Co za zgroza! - szepnęła bladymi ustami Mesalina.

Ea, jakby porywana furią, wysypywała dalej wiadomości, które - zda się - całymi latami zbierała nieubłaganą pamięcią, a systematyzowała nienawiścią do rodu Cezarów, swych panów i władców pozbawionego przez Augusta wolności Egiptu. Zaciskając ręce, mówiła:

- Giną z kolei od miecza, trucizny lub głodu młodsze latorośle Germanika... Aż

wreszcie ginie sama matka Agrypina I, już poniżona i poniżająca się, przy siwych włosach narzucająca się Cezarowi na małżonkę, z woli Tyberiusza wygnanka na wyspie Pandatarii i wolą własną zagłodzona na śmierć. Boć wydało się jej ponad siły znieść pustkę wygnania i

hańbę bicza, którym smagnął jej ciało królewskie dozorca.

Mord idzie wszystkimi ulicami wciągniętego w spory trzech pokoleń Juliuszów i

Klaudiuszów Rzymu, idzie pchany cieniem starczej ręki od Capri. Aż wreszcie pretorianin

Makro poduszkami dławi gardło nie chcącemu umierać blisko osiemdziesięcioletniemu

Cezarowi-mordercy i tron zajmuje jedyny ocalały z prawnuków Augusta, Kajus Kaligula,

który połączył w sobie choroby dwóch krwi, Juliuszowej i Klaudiuszo-wej.

- Zamilcz! - krzyknęła nagle cesarzowa. - Daj odetchnąć...

Powstała. Chwiała się na nogach. Szepnęła:

- Tu ślisko od krwi w tym pałacu!.. I mąci mi się od jej wyziewów w głowie...

Rozdział XXX

Cień Owidiusza

Wyszła na balkon...

Ale tu uderzył jej oczy wynurzający się z cieniów nocy, która tymczasem zapadła,

ogromny fronton sąsiedniego Tyberiuszowego domu, który wionął na nią całą grozą,

wskrzeszoną wspominkami niewolnicy. I zarazem zamarzył się jej trup Kaliguli, wleczony

przez pretorian po tarasie, który rozścielał się u jej stóp pod balkonem - trup, przez którego

przekroczył tak niespodzianie do władzy, uniesiony na tarczach przez morderców, jej

małżonek, a wraz z nim wstąpiła na stopnie tronu ona, Mesalina!

Przejmował ją jakiś strach... Okrutny rachunek niewolnicy zdawał się nie mieć

końca... Wpatrzyła się w gwiazdy na ciemnym niebie, jakby chciała dociec z nich tajemnicy

swego losu i losu Cezara, który miał w żyłach tę samą dwoistą krew - zatrutą spodleniem

krew Juliuszów i Klaudiuszów... a nadto dociec chciała losu syna i córki, dwojga dzieci

swoich, które były tejże krwi dziedzicami... Ileż jeszcze ofiar spotka śmierć gwałtowna -

miecz i trucizna?... Może wszystkich ich czworo, obleczonych dziś w purpurę... Może i



pozostałe resztki z tej krwi mieszanej?... Żyła jeszcze Agrypina II, siostra Kaliguli i syn jej, Neron, rówieśnik Brytanika... Resztę - to całe mnóstwo żywotów ludzkich: dziadów, ojców, wnucząt i prawnuków - pochłonęła przeważnie śmierć gwałtowna w ciągu niespełna półwiecza... Urwała się po najmłodszych nić rodowa - Neron i Brytanik, pacholeta drobne, stanowili jedyne młode męskie pokolenie. Czy i tu krew porwie się na krew własną?

Zadrżała... Gwiazdy nie chciały odpowiedzieć. Zdawały się, wbrew wierze wróżbitów, krążyć po niebie, pozostawiając ziemię jej szaleńcom, ludzkimi nie ciekawiąc się losami.

Tymczasem Ea, przysiadłszy na posadzce atrium, wygrywała na lutni, melodię smutną, nucąc w takt jej półgłosem pieśń melancholijną, w nieznanym Mesalinie dialekcie etiopskim, a którego śpiewającą nauczyła ongiś matka.

Mesalina nie mogła ścierpieć swej samotności. Powróciła do sali i siadła, przytuliwszy rozpalone czoło dla ochłody do marmurowych stóp Diany. Naraz przerwała grającej:

- Opowiadaj dalej, Eo...

- O czym każesz mówić, boska?

- Czy znałaś Julię?

- Którą? Były dwie...

- Julię-wygnankę.

- Obie skończyły na wygnaniu - matka i córka.

- Ale tak nazywano Julię II, wnuczkę Augusta.

- Tak jest... gdyż spędziła z wyroku dziada lat dwadzieścia na wyspie Trimatus za karę swawoli miłosnej. Nie! Tej nie znałam...

- A więc znałaś Julię I?

- Córę Augusta?

Zatrzymała się i znów dobyła z harfy kilka jęków żalonych...

- Dlaczego zamilkłaś?

- Bo pytanie twoje, boska, zaczepia jakby hakiem nigdy nie zabliźnionej rany mojej duszy. Czy znałam Julię?!... O, tak!... Z rąk dobrotliwych Piłatowej żony, opiekunki mojej, zgasłej przedwcześnie, wędrowałam czas długi, kupne dziecię niewolnicze przez ręce matron-piekielnic. Kłuły mnie szpilkami i parzyły żelazkiem gorącym, jeśli uchybiłam ich kaprysom niezręcznością przy trefieniu włosów, lub nieodgadnięciem koloru żądanej szaty. Aż dostałam się wreszcie z rąk handlarza w ręce wspaniałomyślnej Julii. Upodobała mnie sobie i ja kochałam słodzące moją niewolę jej oczy duże, czarne, piękne... Izys znak mądrości położyła na jej czole... Była dumna zaprawdę... bo jej ród na to pozwalał; a nie było powodu, iżby chylić się miała przed parweniuszką Liwią, która pragnęła widzieć wszystkie karki zgięte przed sobą i przed jej gagatkiem z Klaudiuszów. Ale ta duma nie zgasła nigdy wesela oczu Julii... Na posepniejącym z biegiem lat dworze Augusta już mówiono szeptem, stąpano na palcach; nuda dworska uwiła sobie gniazdo, sztywność etykiety zabijała radość uczt, dławiała uciechę igrzysk, wyprawianych na pokaz rzekomego szczęścia ludu. Ona była wówczas jedynym szczerym weselem...

- Była rozwiązła!

- Miała kochanków, cesarzowo. Ale racz zważyć... czternastolatkę oddano w zamęcie pięknemu Marcellusowi, który młodą krew rozpalił. Ledwie Hymen dał jej szczęście, już tajemnicza choroba dusi męża, a z tym zgonem rodzi się cień podejrzeń, iż działały tu ręce macochy, odpędzony jednak przekonywaniami ślepego ojca. Potem przychodzi mąż drugi, otwiera się płodne łono Julii i sypie pięciorgiem owoców... Więc pięciokrotne męki rodzicielki... Waleriusz Agrypa, wódz wielki, przecież wciąż w dalekich trudach rycerskich: cknęło się sercu kobiety i jej krwi zaniepokojonej... Zewsząd szli kusiciele, niby ćmy, biegnące na światło powabów nadziemskich... Przyszły zgony niespodziane synów... gorzkie

zawody snutyh marzeń... Wartka krew Cezariańska nie koła się dojrzwaniem... przeciwnie, przybywało jej ogni... Szczęściem Julii była jej przyrodzona lekkomyślność. Oszalałaby z rozpaczy i nudy, gdyby łaska Wenus nie obdarzyła jej darem bogatej miłości. W niej szukała zapomnienia... -

- Pięknie tłumaczysz to, Eo.

- Czyż lepsza od niej była sucha Liwia, iż bodaj gziła się w wieku późnym tajnie, aby wynagrodzić sobie zdrady małżonka, na które mądrze zamykała oczy?... Liwia udawała wcieloną cnotę... Julia szła otwarcie na podbój serc... Ojciec stawiał jej macochę za wzór, żądał szanowności z jaką Liwia otaczała się siwowłosymi patrycjuszami. Wyśmiała go córka dowcipem: „I ja zestarzeję się wraz z mymi młodomitowarzyszami!”... Tym ułagodziła go... Zresztą długo była oczkiem w jego głowie: nie mógł się oprzeć August czarom wesela córki na przekorę surowości macoszej. Zresztą wierzył w wesele, nie podejrzewał rozpusty zmysłów.

Ale pajęczycza wiedziała wszystko... Miała poczet szpiegów na swoje usługi...

Prowadziła w cichości rejestr grzechów pasierbicy. Jednak milczała długo przed Cezarem, nie wydawała Julii do czasu... planowo. Wśród tej wojny domowej kobiet na dworze, w ustawicznym zmaganiu się krwi Juliuszowej i Klaudiańskiej ona pajęczycza lękała się ujrzeć płody Agrypiny, lub Julii na tronie; uprzątneła je zbójczo. Nie było jej dość tego, iż August przysposobił jej pieśczocho za syna, nie było dość, iż jej zamysłem układa August związki drugiego pasierba, przez rozwiedzioną Liwię wniesionego mu w dom, z Antonią, siostrzenicą swoją z Oktawii, nie było dość, że z tego związku zakwitła latorośl, Germanik. Było jej w głowie jedno: związać wybrańca Tyberiusza z Julią i usunąć na pewno od tronu możliwe potomki z krwi cór Julii... Przeto burzyło ją to, że August, jeszcze nieopętany do cna przez nią, zerwał związki Agrypy z Marcellą, córą Oktawii, matki posłusznej rachubom dynastii, że

dał dzielnego męża ukochanej córce Julii, a przezeń Priap ubłogosławił płodnością łono jedynaczki.

Nie mierzyły tedy „cnotliwej” Augusty, która chlubiła się iż na męską nagość pogląda z wyżyn swej uczciwości małżeńskiej, jak na posągi, nie mierzyło, iż Julia osławia się poza domem ojcowym fryjerstwami. Tę rzekomo skazoną mnogimi dowodami rozpusty nie wahała się raić swemu synkowi, pieścuchowi, wbrew tegoż głupim odrazom i wbrew zagniewaniom Julii na jego oziębłość, boć on jedyny nie poddał się jej powabom, zaślepiony w żoninym, jagnięcym poddaniu się jego kaprysom. Suszyła więc głowę Augustowi, gdy już śmierć zabrała Agrypę, suszyła tak długo, aż rozdarł związki brzemiennej w tę porę od Tyberiusza Wipsanii i nie uszanował brzemiennej pogrobowym płodem z Agrypy córny własnej, Julii; ale tych dwoje, nie cierpiących się, związał hymenem, w rachubach politycznych już serca mając za cyfry!

Ale czyż Julii sępić się we dwójkę z tą chorobą wątrobianą - z odludkiem żółtacznym, „Tyberkiem?” Być musiało: odwróciła się odeń, poszukała wesela u młodych, jako że Wenus obdarzyła ją wieczystą młodością, niby Helenę Trojańską, odbarzyła potrzebą miłości ponad pospolitość żab, niewiast o krwi chłodnej, jak wody mórz północnych!... Tyberiusz uciekł na Rodos... nie było już co myśleć o tym, by Julia wydała owoc z krwi istic Cezarowej zmieszanej z Klaudiańską.

A wtedy dopiero tajona Liwii zaciekłość przeciwko Julii wybucha! I przedstawia się małżonkowi rejestr grzechów, sępiących czoło ojcowskie, wyrzeka się na skandale, zamierza się Julię uprzętnąć na wygnanie, a z tym wygnaniem wraz wykląć gniewem dziadowym krew własną we wnukach i prawnukach, aby krwi Tyberiuszowej oczyścić tor na tron dziedziczny! Tą drogą, podszeptem macoszym, poszła Julia na wygnanie, torując przykładem swym jednaką drogę wygnaćczą podobnej do matki igraszkami Amora córce jednoimiennej,

ukaranej za myśl uwolnienia rodzicy i brata z niewoli.

Na wyspie Pandatarii z dostojną wygnanką, córą Cezara spędziłam rok cały, ja, jeszcze zbyt mało rozumiejące dziecię, ale już rozwierające szeroko oczy na zmienność losów, na niepewność bogactw i władzy, na zmianę szklanych sukni w łańchman tuniki... Dziecię zasłuchane zdumieniem w przekleństwa córki na szacherki ojca i macochy, grających ludźmi, jak kośćmi. A wydało się Liwii, że nie wolno skałom wybrzeża i falom morskim, i piaskom gorącym, i głuchemu niebu słuchać owych klątw: albo ulękła się, iż usłyszą je uszy rybaków. Tedy srożyła się nadal i srożyła ojca, aż zesłał obrzydzoną mu krew własną na nowe wygnanie, w najdalszy punkt Italii, południowe Reggio, gdzie miano już zamknąć onę do późnego dnia kresu w murach wieży przy cytadeli. Tam czuwały nad nią straże wojskowe, iżby żaden jęk nieszczęśliwej nie przeniknął przez mury skargą do świata!... Iżby nikt nie zamarzył jej zwolnić, jak to wprzód mówiono o Andadiuszu i Piladesie... Zapadła więc w przepaść bez dna...

- A ty, Eo?

Znowu palce Ei dobiły ton żaloszny z harfy. Przez chwilę trwała cisza, wśród której słyszeć było plusk fontanny. Złowrogo zajrzała przez balkon czerwień wschodzącego za dalekimi cyprysami księżycy. Wreszcie Ea zdławionym głosem zdobyła się na odpowiedź.

- Jeszcze w drodze na Pandatarię ulitowało się serce szlachetnej Julii nad dzieckiem-niewolnicą, słodzącą niewolę córce Cezarowej. Nie chciała, aby przeznaczone jej przez srogość ojcowską mury zamknęły młodość moją na zawsze. Zamykano bowiem niewolników z więźniami stanu, jednako broniąc im, jako i tym ostatnim, wyjścia i zetknięcia się ze światem. Bała się nadto, że po jej śmierci, jako bywały przykłady, zostanie zgładzona, iżbym nie była nigdy świadkiem przeciw jej dostojnym katom. Uprosiła kapitana okrętu, aby mnie zabrał i zawiózł w tajemnicy na brzegi Czarnego Morza do Tomi. gdzie usychał od lat długich

na wygnaniu największy z poetów Rzymu, Owidiusz. Przy nim pełniła służbę niewolnica, matka moja, której naówczas prawie nie znałam. Albowiem rozłączono nas, kiedy sekwestrator państwowy rozprzedawał niewolników Owidiusza, w którego domu znalazłam się, odszukana na krótko przed wygnaniem przez matkę, ongi służebną z dzieckiem u piersi w Piłatowym domu.

Tedy kapitan, litując się doli dziecka, dał słowo Julii, iż dostawi mnie do rąk matki, jako że okręt jego płynął do Tomi po transport miedzi i sławne konie tamtejszych okolic. A tak spotkałam matkę moją po długich latach i usłyszałam od niej tajemnicę mego pochodzenia... i wiele, wiele rzeczy innych, które piękny starzec śpiewał w pieśniach ostatnich, a nie uznał niegodnymi dla nich posłuchu niewolnicy, matki mojej. Pozwalał mi czasem siadywać przy sobie na brzegu morza i pieszczotą ojcowską nieraz wygładził rozwiane wichrem moje włosy. A ja w smutnych oczach samotnika-starca uczyłam się czytać tęsknotę innego wygnania, cichszego niż Julii... i niepojęte jeszcze dziecku wyroki nieba. Od niego uczyłam się myśleć i wysławiać, aż po trzech latach zamknął oczy na wieki... tam również zawarła powieki matka moja, w trzy dni nieledwie po śmierci dobrego pana, a w żalu za nim. I mogiłę jej usypano w pobliżu grobowca, pod którym, według obyczaju tej ziemi, legły zwłoki poety. Mogiła niewolnicy, w której nikt nie zgadywał krwi faraona, była tak samo bezimienna, jak nie ciosany kamień bez napisu, który przytłoczył śmiertelne szczątki pieśniarza miłości na piaszczystym wybrzeżu morskim, iżby duch jego nie wyszedł z popiołów i nie skarżył się na przemoc Cezarów... Ale Morze Czarne szumi jego skargami... Umilkła, znowu powiódłszy palcami po strunach harfy, która roz-jęczała się w takt jej myślom...

Mesalina milczała także...

Wrażliwa z natury, ale na długo usypiona jej dusza, obudziła się dzisiaj okrutnym

wstrząśnięciem w cyrku - zdruzgotaniem snów, którymi pieściła się melancholijnie, zapomniawszy, że zniszczeniu się ich sama położyła kres, wychodząc za Klaudiusza. Dla niej zawsze, aż po dzień dzisiejszy, żył w dali miłowany Sewerus; przebaczyła mu wzgardę, a wierzyła dziecinnie, że ujrzy go kiedyś znowu i zyska odeń przebaczenie. A oto dziś ujrzała dymiące jego trzewia; ujrzała zastygły już nazawsze wyraz pogardy w martwiejących oczach. Przeto zamknawszy oczy rozpaczą bezbrzeżną, poszła na spotkanie śmierci...

I oto ocaliła ją ręka Ei! Teraz zaś straszliwy przegląd zbrodni Cezarów, jaki czyniła przed nią niewolnica, jak gdyby rozwijając w jej oczach ciemnoczerwony zwój papirusu - na chwilę odciągnął jej pamięć od rany serca. To, o czym mówiła tamta, było tak wielkie w potęgze zniszczenia, wiszącej nad całym jej światem, że Mesalina nie mogła myśleć, porywana krwawym potokiem wspomnień Ei, o swoim małym „ja”. To wszystko było nieomal nowością dla niej... Zbyt młoda, potem zbyt zamknięta w sobie, odgradzona przez ciotkę-Westalkę od życia, odłamana i później odeń na dworze Klaudiusza, ledwo to i owo zasłyszała z tego rejestru zbrodni, nie była dość ciekawa, by zaglądać w krwawą kałużę kroniki dziejowej a już rodzinnej dla niej. Zresztą z trwogi do ziemi przypadły Rzym, zastraszone tysiącami donosów i oskarżeń o obrazę majestatu, procesów, kończących się wyrokami śmierci - ledwo ważył się szeptać o tych sprawach ciemnych. Wolał radować się, pić, żreć do upadłego, igrzyskami się bawić, w łaźniach rozprawiać o bojach gladiatorów, cudzołożyć, składać ofiary Wenerze i Bakchowi, niż mówić o rzeczach niebezpiecznych. Jenoszy po kątach szepty, czasem wyrwał się ironiczny gwizd satyry, trafił się krzyk oburzenia, rychło przez siepaczy Cezarowych stłumiony. Ale niewiele stąd doszło do uszu dziewczęcia; później nic do uszu cesarzowej. Zagłuszył ją potok pochlebstw - i dzieckiem zostawała na tronie.

Aż tu naraz lawiną oskarżeń z ust wymownej niewolnicy - której mądrość płynęła

może z krwi chytrych Ptolomeuszów, a krasomówstwo z objawień Owidiuszowych - spadła na nią wiadomość wszystkich onych tajnych rzeczy. A to, co przeczuwała wstrętem mądrego instynktu ku osobie Klaudiusza, to, czemu sama nie chciała wierzyć w zaślepieniu swojej czystości - to wszystko nabrało teraz potwornych kształtów i jaskrawych kolorów; musiało być wysłuchane po otwarciu jej oczu przez złośliwość zbrodni, popełnionej na Sewerze; rozwierało je szerzej jeszcze natężeniem boleści. Łaknęła jej sama, by zagłuszyć owo wspomnienie z cyrku.

Zmienny prąd powieści, płynący z niewyczerpanych krynic mściwej pamięci Ei, uderzył jeszcze inaczej jej serce. Oto powiało na nią nagle zarem od wspomnień wesela Julii, owej kobiety, która wytoczyła bój etykiecie dworu i przypląciła to okrutnym wygnaniem. I wzruszył ją tkliwie dźwięk imienia Owidiusza; wymawiał je ongiś z czcią nabożną

12 - Mesalinaojciec, mówiąc o poecie Metamorfoz. Mesalina знаła to dzieło tylko w urywkach. Oczy jej ledwo zatrzymały się niegdyś na kartach Sztuki kochania (Ars amandi), tej innej księgi Owidiusza, rychło usuniętej z jej rąk przez zapobiegliwą ciotką Wibidię.

Zresztą ona sama nie rwała się do tych pieśni, które wdzięk łączyły ze swawolą rzeczy zbyt nieosłoniętych! Pamiętała, że śmiałe wiersze poety rzuciły płomień rumieńców na jej twarz, zbudziły niepokój pragnień, których ulękła się - jako cofnęła się, kiedy raz Sewerus ogarnął ją śmielszym objęciem. Uczucie niezwyklej rozkoszy było podówczas tak natężone, że napełniło ją męką pomieszania i wstydu.

I oto teraz, dziwnym przypadkiem; padł z ust Ei dźwięk imienia twórcy Sztuki kochania! I to w chwili, gdy zimne zwłoki tego, co w niej budził wzruszenia podobne do rytmów Ars amandi spoczęły w kostnicy cyrkowych podziemi. Przesądna, jak wszystkie Rzymianki, upatrywała w tym jakiś znak mistycznej woli, mieszający tę dziwną zagadkę swojego losu... Bo znak widomie zwracał się ku niej, jak widomie powieść Ei o krwi Julio-



Klaudiańskiej odslaniała przed nią ciemną przepaść rozbeł-kotanej duszy jej cesarskiego małżonka.

- Jednakże August kochał córkę! - rzuciła po niewoli, aby wyrwać się męce tęsknoty, narastającej wśród dłużącego się milczenia.

Ea, brzdąkając na strunach, jakby oczekiwała tego znaku. Coś paliło się w jej chytrych oczach. Był jakiś upór planowej myśli w przedziwnym porządku jej opowiadań. Jakoby zakradła się w serce imperatorowej stopniowaniem kolorów swojej ciemnej opowieści, obnażając najpierw rzeczy jedne, wysuwając z kolei inne, pewna jakiegoś celu, ku któremu stąpała myślą świadomą skrytych pobudek i życzeń jej woli.

- A jakże!... Kochał! - podjęła z lekkim chichotem ironii. - Powiadano, że August miał dwa dni straszliwe w życiu, gdy komediant stał się człowiekiem. Raz, kiedy bił głową o marmury ścian pałacowych z wołaniem: „Warusie! Oddaj mi moje legiony”, wzywając próżno tysięcy poległych w krwawych trzęsawiskach puszczy teutoburskich. I po raz drugi, w roku swojej śmierci, gdy rwał siwe włosy i łamał ręce, otrzymawszy wieść żałobną o zgonie wyklętej córki...

Sumienie musiało ruszyć rozpustnika, który nie sromął się, będąc leciwym, zażegnać dogasające płomienie zmysłów swoim lubieżnym dotykaniem nagości dziewczątek, sprowadzanych przez Aleksandryjskiego Żyda-handlarza tajnymi drzwiami do Augustowego domu. Ruszyło sumienie rozpustnika, iż bezprawnie pokarał rozpustę swojej córki, wobec której srodze zawinił, a wiedział, że wyklęta nie wyda ludom na żer jego czci...

Mesalina natężyła słuch. Jakąś złowrogą tajemnicą powiało od tej szyderczej zapowiedzi.

- Co powiadasz, Eo? - wyszeptała, dobywając tchu.

- Powiadam to, że sekret wygnania Owidiusza, niewiadomy Rzymowi. przeczuwany

przez nielicznych, zagłuchły w przerażonym szepcie tych, którym śmierć położyła pieczęć na ustach, ten sekret znajomy był matce mojej. Zwierzony był jej przy skonaniu przez poetę, podany Narcyzowi przez nią ze spuścizną pieśni zmarłego, podsłuchany przez moje zaciekawione uszy niewinnego dziewczęcia.

To było tak...

Słyszałam matkę, jak recytowała ostatnie pismo poety w jego śmiertelnej komnacie przed Narcyzem, nie wiedząca o zleceniach, z którymi przybył, jako wysłaniec Tyberiusza. Byłam żądna wiedzy owych rzeczy tajnych, które były powodem śmierci czcigodnego starca; nocą zabrałam śpiącemu Narcyzowi tabliczki poety... Odczytałam przy smolnym łuczywie owo pismo, nauczyłam się na pamięć, ryje się ono ciemnymi zgłoskami w mej pamięci, i słowa te zaginę tylko z moją śmiercią... Pałace słowa heksametrów spowiednych śpiewaka Metamorfoz!

Ea uderzyła w struny i ściszym głosem w takt dźwięków jęła skandować:

Byłaś mi, Julio, jak jabłko czerwone dojrzałe i wonne... Miąsz rozcięty przywabia! me usta uczone pieszczotą... Śmiały poeta - zakradłem się, strażę kupiwszy, przez wrota Augustowego pałacu, znęcony tą wonią kuszącą i słodką... Byłobyś moje, o jabłko!... Bo żadne, choćby zawisło Wolą Jowisza na szczycie najwyższym ogrodów Hespera, Rzec by nie mogło poecie, co zwabiał pieśniami Syreny: „Odstąp!”...

Śmieszny zuchwalstwem wierszorób! On wkracza przez okno, Żądny owocu... Cóż widzi?... O zgrozo! Pień tej jabłoni. Która soczyste jabłko, jedyne, zrodziła - wali się na nie Burzą namiętą, korzeniem z ziemi czcigodnej wyrwany. Rąk gałęzi bezwstydnie swój własny owoc pokrywszy. Gniotąc go korą omszałą, wytartą przez wichry lubieżne. Starczo trzęsąc koroną, ciężarem tęnym zwyciężył!... Któż uwierzy, że ujrzeć zwałoną jabłoń na owoc. Stanąć w milczącej grozie i ledwo syknąć z przerażeń -Grzechem jest?! - Choćby

milczał o nim dyskretnie poeta. Choćby nie wzywał piorunów Jowisza na świadki zgorszenia

- Widzieć było już zbrodnią!... Tej samej chwili poeta Będzie zdany pokornym swawoli Murzynom-rzezańcom, Nocą w podróży się znajdzie... i jeden moment widzenia Płacić będzie przez lata bezkresne łzami wygnania!... Nigdy już Rzymu nie ujrzy, w róż wieńcu na swój Kapitol Nigdy nie wstąpi... Nie ujrzą ojczyzny źrenice, tęsknotą Wyzarte... Wargi uschnięte skarżyć się będą bez echa Falom obcego morza, szemrzącym również bezsilnym Biciem o skały... Dwie skargi, tłukące o kamień. Niezrozumiałe sobie wzajemnie!... O pieśni moja ostatnia. Czyż się rozprysniesz, jak piana na pustym wybrzeżu skalnym? Czy też dojdzie ta skarga - jedyna! - do uszu potomnych, Aby szczepić gniew na tyrany, ich zbrodnie, swawole, Porwać ludy do zemsty! - za znieprawioną tę ziemię. Głosem Muzy powołać do mieczów i zerwać kajdany?!...

## Rozdział XXXI

„Los rzucony”

Ea zamilkła.

Błada z przerażenia Mesalina spytała:

- I Julia wybaczyła to ojcu?

- Julia nigdy nie wspomniała o tym... Julia kochała Rzym i potęgę ojca... Nie chciała nią wstrząsnąć wygnanka przez odkrycie ohydy...

- A ty?...

- Ja? Niewolnica milcząca!

- Narcyz?

- Wyzwoleniec w łaskach Tyberiusza dawniej, jak dziś Klaudiuszo-wych...

- O jakim to jego zleceniu mówiłaś?

- Che! Che! - zaśmiała się Ea. - Gdy Tyberiusz otrzymał święty pierścień Romy na

znak władztwa nad ziemią, równającego Cezara z bogami, śle zaraz, z podszeptu Liwii-

Odyseusza w spódnicy, wiernego Narcyza, do Tomi. Bo przyszła wieść przez tajnych szpiegów od MoCzarnego, że poeta kona. Przybył więc do nas, zaprawiony w pilnowaniu mordów cesarskich, Narcyz, przybył z tajnymi rozkazami. Należało zabrać spuściznę poety, aby coś nie dostało się do Rzymu skrytymi drogami przez kogoś z lichej liczby sług:

głuchoniemy starzec Armeńczyk i matka moja... i ja, przydana skrycie przez Julię wieszczowi jej zezwoleniem. Narcyz miał doczekać się ostatniego tchnienia konającego, a potem... zabić wszystkie sługi.

- Czy być może?!

- Tak jest, jako Luna świeci teraz na niebie! - podniosła Ea dwa palce znakiem przysięgi.

- Cóż Narcyz?

- Przybył, gdy oczy już zaszyły bielmem poecie. Armeńczyk Neander przepadł nazajutrz. Już nie ujrzałam go więcej. Ale w oczach Narcyza czytałam, że wie, co się stało. Usta jego śmiały się, gdy mówił dwuznacznie: „żywot niemowy nie był nikomu potrzebny”. Zasię matka moja chorowała śmiertelnie; nie była więc niebezpieczna.

- A ty?

- Narcyz zadał sierocie gwałt i darował życie. Darował nie z litości, lecz z chuci.

Wyzwoleniec uczynił mnie swoją niewolnicą. Nie miałam nikogo... tedy korna byłam jemu. Zawierzyłam jego mocy i oczarowaniu, które miał nade mną. Zresztą obrzędami później pojął mnie za żonę. On to nauczył mnie milczeć na dworze. Nikt nigdy nie dowiedział się o moich służbach u Owidiusza. Poza tym kryłam się długo na Zatybrzu, gdzie umieścił mnie Narcyz, aby o moich służbach u Julii wszyscy zapomnieli.

Mesalina była zdumiona.

- Tyś żoną Narcyza?

- Tak jest... żoną, której nie wolno przyznać się do godności żony. Raczej sługą jego rozkazów... pomocnicą ślepą i małżonką wierną, dopóki zdradami jawnymi nie nauczył mnie zdrad tajnych... on, który urósł rozkazami nad wszystkich i pomiatanej ufa za cenę wspólnych tajemnic!

- Lecz Tyberiusz? Tak podejrzliwy, jak zawierzyć mógł Narcyzowi?

- Zaufał, bo Narcyz był jego uchem we wszelakich przespiegach i ręką pomocną na Capri po śmierci Sejana. Narcyz był wypróbowany w wierności i przedtem. Przywiózł Cezarowi pod pieczęciami wszystko, co Owidiusz napisał na obczyźnie. A nigdy słowem nie wydał, jako zna treść dokumentów. Narcyz giął się, czekając swojej godziny, w służbie Cezarów obrastając złotym pierzem. Mnie to trzeba było strzec się bardziej milczeniem, iżby głupim słowem nie wydać raczej Narcyza innym, niż siebie Narcyzowi. Narcyz ufa mnie i mojej skromności. Mniema, że jest mym dobroczyńcą, że rozumiem sama, iż nie jestem dlań jawnie godną małżonką.

Mówiąc to, szczerzyła zęby uśmiechem.

- Więc nikt nigdy nie dociekał tajemnicy Owidiusza?

- Cezar spalił spuściznę poety. Był zaciekły w nienawiści dla „rytmoroba”. Lecz mnie coś kiedyś puścił z ust o kazirodnym ojczymie, bo Kaligula...

Zatrzymała się. Jakby coś plugawego zmierziło ją i nie chciało przejść przez skrzywione wzdardą usta.

- Bo Kaligula? - domagała się wyjaśnienia cesarzowa.

- Kaligula po pijanemu szczycił się kiedyś, jako że wie z ust stryjecznego dziada, iż nie jest z krwi Waleriusza Agrypy, lecz „posiada podwójne dziedzictwo krwi z rodu Juliuszowego”.

- Chłubił się tym?!

- A czemu nie? - roześmiała się szyderczo Ea. - Czy ten, co nie sromął się brać w sprośne objęcia jeszcze pacholęciem szesnastoletnim godne siostrzyce, dwunastolatkę Agrypinę i mało starsze od niej Druzyllę i Julię, a baraszkował z nimi i później w obecności rozchichotanej żony, Klaudii Silany, miał gorszyć się kazirodztwem pradziada?! On, który mniemał, że stoi ponad bogami!

Mesalina wyciągnęła ręce, kładąc je na ustach Ei... Miała wrażenie, że dokoła niej w Augustowym pałacu zatańczyły na splamionej krwi posadzce czerwone widma i koźle postaci satyrów... Piekielny chichot lubieżnego wesela zgryźliwym akordem z jękami pomordowanych brzmiał jej w uszach, huczał pod czaszką.

- Nie mogę! Nie mogę słuchać więcej! - krzyknęła, chyląc się, jakoby bliska omdlenia.

Lecz okrzyk wściekły Ei zmusił ją znów do słuchania:

- Ten pies zasiekł mi córkę! - zawołała i teraz Mesalina dojrzała j w jej oczach taką głębię nienawiści, że aż dreszcze zatrzęsły nią widomie. [

- Co mówisz?

- Mówię, że miałam córkę od Narcyza. Mówię, że Kaligula I spostrzegł ją kiedyś na kruzganku. Mówię, że piękna niewolnica wpadła! mu w oczy. Mówię, że kazał zawlec ją do swojej sypialni za włosy. I Mówię, że Narcyz nie sprzeciwił się panu! Mówię, że dziecko, jedyne! dziecko moje, więź milczących moich tajemnic z Narcyzem, mała Leal złąkla się sępa Cezara i pod gwałtem podrapała mu twarz. A za to zasieczono ją różgami!

- Cóż Narcyz?

- Milczał!

- A ty?

- Bezwolnej nakazał małżonek milczenie. Wskazał mi zegar wodny babiloński i rzekł:

„Jeszcze godzina moja nie nadeszła... Czy pilno ci spaść ze skały Tarpejskiej? Albo chcesz widzieć głowę moją, ściętą toporem? Nie! A więc milczmy!”... I ojciec zgwałconej, milczący i układny, rósł w łaskach Kaliguli i... zbierał złoto. A potem...

Porwał ją śmiech dziki, niesamowity, dławiący... aż ciemna jej twarz zczerwieniała i oczy wyszły z orbit. Zachłysnęła się tym śmiechem.

- Cóż potem? - nastawała Mesalina.

- Pewnego dnia wyzwoleniec pomyślał, że już jego godzina nastąpiła. Trzeba wyznać, że posiadał kształty Greka i mądrość, którą już w nim był odgadł Tyberiusz, i słodki dar mowy, którym poszedł w górę na dworze, i bodaj sztukę czarownika, której nabył od Szymona Maga, cudotwórcy z Betanii, dopuszczony przezeń do jego tajemnic. Więc sądził, iż wolno mu sięgnąć do koralowych ust pięknej Druzylli.

- Kaligula go nie ściał?!

- Nie!... Ukarzał gorzej... Narcyz ujęty przez dwóch niewolników z rozkazu Kaja

Kaliguli został... rzezańcem... Oto jest tajemnica Narcyza! Cesarzowo, nie wydaj mnie -

szepnęła z nagłą trwogą - iż wiesz o tym, co sposepniło odtąd Narcyza i nadało obrzydłość rozlanego tłuszczu jego twarzy i obmierzłą nikczemność jego ruchom. Nikt prócz mnie jednej nie wie o hańbie pozbawionego męskości... Narcyz owych dwóch niewolników, zanim zdołali pochwalić się swoim czynem, zdławił tegoż wieczora w korytarzu pałacowym własnymi rękami.

- A Kaligula?

- Kaligula zapomniał tegoż wieczora, co był rozkazał. Ale Narcyz pamiętał! Nazajutrz rzekł do Cherei: „Błaznie! Długoż będziesz cierpieł błazna nad sobą?” I obrażony kpina

Cezara żołdak usłuchał... A nie zaszły dwa słońca, jak Kaligula leżał na pałacowym tarasie,

jak gdyby zdeptany we własnej krwi pies!

Ea zalała się cichym śmiechem...

Mesalina powstała bez słów.

Zdawało się jej, że teraz zrozumiała wszystko i że wszystko równocześnie przestała rozumieć.« w V-

mEmSBM

złękła się sępa Cezara i pod gwałtem podrapała mu twarz. A za to zasieczono ją różgami!

- Cóż Narcyz?

- Milczał!

- A ty?

- Bezwolnej nakazał małżonek milczenie. Wskazał mi zegar wodny babiloński i rzekł:

„Jeszcze godzina moja nie nadeszła... Czy pilno ci spaść ze skały Tarpejskiej? Albo chcesz widzieć głowę moją, ściętą toporem? Nie! A więc milczmy!”... I ojciec zgwałconej, milczący i układny, rósł w łaskach Kaliguli i... zbierał złoto. A potem...

Porwał ją śmiech dziki, niesamowity, dławiący... aż ciemna jej twarz zczerwieniała i oczy wyszły z orbit. Zachłysnęła się tym śmiechem.

- Cóż potem? - nastawała Mesalina.

- Pewnego dnia wyzwoleniec pomyślał, że już jego godzina nastawała. Trzeba wyznać, że posiadał kształty Greka i mądrość, którą już w nim był odgadł Tyberiusz, i słodki dar mowy, którym poszedł w górę na dworze, i bodaj sztukę czarownika, której nabył od Szymona Maga, cudotwórcy z Betanii, dopuszczony przezeń do jego tajemnic. Więc sądził, iż wolno mu sięgnąć do koralowych ust pięknej Druzylli.

- Kaligula go nie ściał?!



- Nie!... Ukarął gorzej... Narcyz ujęty przez dwóch niewolników z rozkazu Kaja

Kaliguli został... rzezańcem... Oto jest tajemnica Narcyza! Cesarzowo, nie wydaj mnie -

szeptnęła z nagłą trwogą - iż wiesz o tym, co sposepniło odtąd Narcyza i nadało obrzydłość

rozlanego tłuszczu jego twarzy i obmierzłą nikczemność jego ruchom. Nikt prócz mnie jednej

nie wie o hańbie pozbawionego męskości... Narcyz owych dwóch niewolników, zanim zdołali

pochwalić się swoim czynem, zdławił tegoż wieczora w korytarzu pałacowym własnymi

rękami.

- A Kaligula?

- Kaligula zapomniał tegoż wieczora, co był rozkazał. Ale Narcyz pamiętał! Nazajutrz

rzekł do Cherei: „Błaźnie! Długoż będziesz cierpieć błaźna nad sobą?” I obrażony kpina

Cezara żołdak usłuchał... A nie zaszły dwa słońca, jak Kaligula leżał na pałacowym tarasie,

jak gdyby zdeptany we własnej krwi pies!

Ea zalała się cichym śmiechem...

Mesalina powstała bez słów.

Zdawało się jej, że teraz zrozumiała wszystko i że wszystko równocześnie przestała

rozumieć. Dusila ją bardziej ciężkość odkrywczych wrażeń, niżli parność nocy...

Wyszła na taras, żeby zaczerpnąć nieco tchu...

Stała tam długo, rozdygotana - czując bicie pulsu w skroniach - już niezdolna myśleć.

Coś nowego, mściwego, buntowniczego podniosło się w jej piersi.

Stała długo - ślepo patrząc na dalekie wzgórza, na których, jak rak gnijący, rozciągał

się wielki Rzym, zanurzony w mrokach nocy...

Wszelako tu i ówdzie wyblyskiwały jakieś wędrujące światełka - i wzrok cesarzowej

mimo woli gonił za nimi, póki nie znikwały w ciemni krętych uliczek i w gąszczach oliwnych

ogrodów...

Wtem poczuła lekkie dotknięcie spodu szat swoich. Ea wyszła za nią na taras.

Pochyliła się do jej stóp i ucałowała kraj jej sukni.

- Czego chcesz, Eo?

- Czy boska Mesalina widzi te świetliki wędrujące?

- Tak jest... Cóż znaczą?

- To lud święci dzisiaj, na przekór niemocy zakazów cenzorskich swoje prastare, radosne święto... wielką noc letnią Priapa i Wenus Libidinis.

Rumieniec wybił na twarzy Mesaliny. Zasłyszała coś przypadkiem o orgiach, których dopuszczano się takiej nocy. Ea tłumaczyła:

- Lud spieszy ze wszystkich krańców siedmiopagórkowego Rzymu z pochodniami na Forum, aby otoczyć korowodem tanecznym starodawny posąg bogini wesela zmysłów i uwieńczyć go girlandami kwiatów...

- Motłoch!

- Wybacz, cesarzowo, tej świętej nocy niejedna dama wysokiego rodu odszukuje podwoje kapliczek, ukrytych przy świątyniach, aby otulona zawojem, nie zdradzającym jej twarzy, udzieliła łask miłości nieznanym. Jedyne kapłanom obowiązane są tajnie przychodzące ukazać twarz i wyjawić nazwisko u wejścia do sali uciech wspólnych, iżby zdradzie zapobiegł wyznany udział własny w misteriach. Zresztą śmielsze obnażać zwykły swoje ciało wraz z twarzą nawet, jeżeli wśród obecnych znajduje się mąż niekórej. Albowiem błogosławieństwo bogini i udział w nim poświęconego małżonka zyskują zdradzającej wybaczenie na tę jedną noc ze strony... zdradzającego małżonka. Jest to prawo pięknej równości mężczyzny i kobiety, cesarzowo!

Na twarzy Mesaliny gorzały rumieńce. Wprawdzie wzdygała się przedtem - (tu była jednakiego zdania z Eą) - na potworno” kazirodztwa, które z dawna stało pod klątwą bogów i

uważane był w Rzymie za grzech najwyższy, jako że zakaz odnośny nie obowiązywał jeno bóstw nieśmiertelnych... Wszelako w umyśle młodej kobiety podczas opowieści niewolnicy o tej zbrodni, krzewiącej się na dworze Augusta i Kaliguli - utajonej przy pierwszym, niemal jawnej za samowoli drugiego - pojawiła się mimowolnie myśl o potędze szału miłości, skoro przekraczał on nawet prawa, ustalone przez bogów! Teraz moc szaleńcza zmysłów ukazywała się jej oczom także w obrazie, roztoczonym przed nią przez aprobatę Ei i przez czar gwiazdnej nocy. Pomyślała znowu - jak pomyślała już wcześniej tego wieczoru, gdy zamierzała przytknąć czarę śmierci do ust - o swoich zaledwo dwudziestu latach, niesytych miłości. Pomyślała o tej karykaturze uciech zmysłowych, jaką dała jej łożnica małżeńska - o gorzkim smaku, który do wina miłości przymieszają niedołęstwo Klaudiusza i ohyda wstrętnej twarzy starca. Czemuż obmierzłe stało się dla niej to, w czym inni - błogosławieni przez Wenerę - upatrywali szczęście najwyższe?!...

I ponownie drgnieniem bolesnym przeszło jej serce wspomnienie o tym jedynym, który burzył wprzód jej sen dziewczęcy, potem niepokoił sny niewieście przecuciem rozkoszy - a który został wykreślony dzisiaj tak okrutnie z życia wolą Klaudiusza, jakby to sam małżonek chciał jej rzec: „Nie masz dla siebie łask Amora! Jam zabił o nich twoje marzenie ostatnie!”

I pierś jej podniosła się westchnieniem. Był w nim równocześnie żal bezbrzeżny i gniew okrutny, a bezsilny... Przyspieszone tętno krwi zdradziło się purpurą rumieńca na tak bladej zazwyczaj jej twarzyczce.

Ea obserwowała ją bacznie spod oka - i uśmiechała się skrycie. Mesalina wyczuła to spojrzenie.

I w zadąsaniu rzuciła niewolnicy pytanie, które brzmiało jak wyrzut:

- Czemu rozpowiadasz mi o tym wszystkim, Eo?... Jak śmiesz?!

Egipcjanka zrozumiała gniew pani. Ale nie ulękła się. Skłaniając głowę, rzekła:

- Jestem posłuszna bogini Mifisilet.

- Powiedziałaś ci: nie znam tego bóstwa!...

- Są Rzymianki, co je znają i czczą na równi z Wenerą-Afrodytą, urodzoną z piany mórz i z Astarte Babilonu, bo acz różnoimienna władą równą z tamtymi potęgą.

- Cesarzowa Rzymu nie jest prostą Rzymianką!

- Stoi wyżej... więc musi mieć więcej praw od prostych Rzymianek. A równa piękności bogini, musi mieć równe z boginią prawo do miłości. Cesarzowa Rzymu nie jest najpośledniejszą z niewiast, którą małżonek smaga biczem za zdradę, którą prawo, stworzone dla maluczkich karze wygnaniem za niewierność... więzi, lub morduje cudzołożną. Na cóż to zda się purpura cesarska i stanowisko pierwszej kobiety w Rzymie, jeśli Mesalina nie ma prawa miłować i być miłowaną wedle swego wyboru?

- Na to, aby stać się wzorem!

- Nieszczęścia?

Mesalina uśmiechnęła się smętnie:

- Może... Skoro dzieli je Cezar z małżonką wspólnymi przysięgami wierności wobec bóstwa Hymenu; winnam być wzorem cnoty małżeńskiej.

- A więc... wzorem śmieszności! - wyjaśniła dobitnie. - Przebacz zuchwałe słowo wielbiącej cię niewolnicy. Bo nawet cnota nie powinna graniczyć ze śmiesznością.

Mesalina była tak zdumiona, że rozwarła usta, ale nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Czuła, że w słowach niewolnicy kryje się jakaś zagadka. Oczekiwała jej rozwiązania. Ea wskazała palcem gmach, sąsiadujący z pałacem Augusta.

- Cezar Klaudiusz dzisiejszej nocy śpi w domu Tyberiusza.

- Co to znaczy?... - zmarszczyła brwi Mesalina.

- To znaczy, że kochający małżonek dziwnymi sposobami leczy niemoc miłości i dokonuje niezwykłych prób, aby stać się godnym miłości żony.

- Nie rozumiem!

- Jest przy nim lekarz Teofanes, Grek, przybyły z rozwiązłej Antiochii.

- Lekarz!

- Dom Tyberiusza daje wzory godne wyspy Capri. A Grek Teofanes posiada odpowiednie metody leczenia. W nocy zabiegów dla ożywienia krwi cesarskiej sprowadza się chłopięta i dziewczeczki. Bite są do krwi, aby pobudzić uśpione zmysły starca. Nie każ, cesarzowo, opowiadać mnie kobiecie zdrowej i prostej wszystkie nikczemności lubieżne, którymi chory starzec pobudza krew uśpioną w nadziei powrotu sił dla łożnicy małżeńskiej, albo już dla tych rozkoszy, których dać nie może czystość małżonki. Powiadał mi o tym Narcyz... głucho szepcą o tym dopuszczone do tajemnic sługi.

Niema, z rękami skurczonymi na piersi, z grotami gniewu w błyszczących oczach, słuchała zgorszona Mesalina wyjawień Ei. Zdawało się, że palcami gotowa jest rozszarpać własne łono.- Eo! Każę cię wysmagać różgami na śmierć, jeżeli kłamiesz! - rzekła głucho.

- Wiem o tym... i zasłużyłabym na karę śmierci, gdyby każde ze słów moich nie było świętą prawdą.

Uklękła - położyła ręce na głowie:

- Niechaj zgniję w ohydny lochu!... Niech spieczonych warg nie zwilży mi kropla wody!... Niech głód szarpie mi wnętrzności przez długie dni konania!... Niechaj oczy nie ujrzą nigdy złocistych promieni najwyższego z bóstw Ra... jeżeli skłamałam!

Wstała po tym zaklęciu i zniżonym głosem spytała:

- Czy boska Mesalina pamięta, że pewnej nocy wiatr z otwartych okien domu

Tyberiusza doniósł do jej uszu jakoweś kwilenie? A nazajutrz na pytanie Cezarowej, co to

było, odparto: „Kocięta”. Tak jest! Krzyk dręczonych dzieci, nieukojanya, choćby nagradzało się je słodyczami, podobny bywa do jęku kociąt. Ale nazajutrz Cezar oświadczył małżonce, że... w domu Tyberiusza nakazał zrobić remont, gdyż przenosi swoją sypialnię; chce mieć większy spokój dla naukowych prac w czasie nocy. Uczony! To znaczyło przejść na wschodnią stronę, gdzie mury są grubsze i dalsze od okien sypialni małżeńskiej! Był przy tym Narcyz. Cezar uśmiechał się do niego... mówił: „Koty hałasują w ogrodzie, cesarzowej też burzą sen”. Potem coś mu szepnął... Nieprawdaż?

Mesalina zakryła oczy:

- Zamilcz!... Wierzę ci...

I była krótka chwila ciszy, wśród której żałośnie skarżyła się szemrząca w pobliskim atrium fontanna.

Po czym Mesalina oderwała ręce od twarzy i nagle rzuciła nieswoim głosem:

- Eo! Czy ta złocona klatka nie otwiera się dla cesarzowej, chcącej wziąć udział w święcie ludu rzymskiego?

- Cesarzowa jest niewolnicą pałacu, ale zwykła niewolnica wyjść może nocą, o ile zna „hasło” wejścia i wyjścia, albo ma zaoszczędzone złoto dla strażnika, lub słodki dlań uśmiech, pamiątkę wspólnej pieczy.

- Znasz hasło?

- Znam... jako przełożona niewolnic, będąca ongiś w łaskach stojącego dzisiaj na warcie u tylnej furty setnika Artabanusa.

- Czy przepuści cesarzową?

- Samą nie!... Z rozkazu Cezara zapłaciłby za to głową, gdyby rzecz się odkryła.- A w twoim towarzystwie?

- Tak... pod zawojem, jako towarzyszkę-niewolnicę, za opłatą złotego pieniążka. Nie

wałyby się przypuścić, że pod zasłoną wyjdzie Cezarowa, a nie dziewczyna służebna, pożądana dyskretnej rozkoszy w noc święta Priapa i Wenery.

- Doskonale, EoL. Czy wiesz, gdzie... jest lupanar? Najgorszy, najgorszy!

- W Rzymie tego nie brak.

- Wybornie, Eo!... Prowadź mnie tam!

## Rozdział XXXII

### Na Forum

Dwie zakapturzone postacie oddalały się od pałacu...

Drogę wskazywała Ea. Obie milczały. Mesalina bowiem zapadła widocznie w zadumę

- nie odpowiadała na pytania niewolnicy co do wyboru drogi - rzuciła ledwo: „Prowadź, którą chcesz”. Niewolnica szanowała jej milczenie.

Wypadło im przedzierać się przez wąskie uliczki, gdzie stłoczyła się w chałupach drewnianych uboższa ludność miejska. Neron spalił z czasem całą tę dzielnicę, pragnąc zbudować tu nowy Rzym, przy tym winę podpalenia przerzucił zgrabnie na chrześcijan, jako podejrzanych naów-czas o „nienawiść dla rodu ludzkiego”. Wnioskowano o tym z apokaliptycznych wróżb chrześcijańskich, prorokujących w stylu Izajaszowym zagładę „grzesznemu Rzymowi” - „Bestii o siedmiu rogach”.

Gdzieś ominęli zamkniętą na łańcuchy sieć ulic, w której osiedlili się Żydzi. Stworzyli oni tu sobie - dzięki onym łańcuchom, a za przyzwoleniem Cezara Klaudiusza - filię swojej ojczyzny, drogocenne odrębnością getto, jako że nie mogli „ani jeść, ani pić, ani modlić się z innymi”, zasadniczo „nieczystymi ludami”. Uważali to za rozkoszny przywilej, wyjednany im przez Heroda Agrypę u Cezara, że wolno im było obwieść swoje brudne domostwa, tj. rytualnie „czyste” gniazdo, łańcuchami, nadającej całej dzielnicy żydowskiej magiczną modą „ejru-wu” pozór jednego domu w oczach zawsze zadowolającego się pozorami Jehowy. Był to

bowiem wieczór piątkowy: więc owe łańcuchy umożliwiły ludności żydowskiej poruszanie się w obrębie całej dzielnicy nazajutrz przy sobocie od mieszkań do bożnic, bez tej łaski nieba, zawieszanej rękami „szabesgojów”, każdy pobożny byłby skazany na zamknięcie pod swoim dachem.

Ludność ta - oderwana od ziemi rodzinnej, gdzie nie była w stanie pracą na roli nastarczyć dziesięcin świątyni, związana już z Rzymem obrotnością swoich interesów handlowych - gotowa była nawet półgęb-kie (byle kapłani nie słyszeli!) błogosławić „łagodnego Cezara Klaudiusza, niby nowego Kojrosa”, bowiem dał jej możliwość przebywania w obcym mieście, niby u siebie, zwłaszcza, że i policja edylów nie zaglądała tutaj - przez obojętność, lub zbędność, w każdym razie - na mocy tegoż przywileju. Ludność była tu cicha, jeżeli nie liczyć okropnie wrzaskliwych śpiewów, obrachowanych na pewniejsze dojście do nieba. Zaniepokoiły one Mesalinę, nim Ea wyjaśniła jej rzecz nader prosto: „Żydzi się modlą”. I złośliwie dodała: „Mają bóstwo głuche”.

W głębi jednej z uliczek mignęły im światełka szabasowe, palące się nieprzerwanym sznurem we wszystkich okienkach. Zarazem powonienie cesarzowej uderzyła roznosząca się daleko woń taniej oliwy. Cofnęła się z obrzydzeniem.

- Jak oni to znoszą?

- Przyzwyczaili się - odparła Ea - i nie czują swoich złych zapachów. Ale i tam, dokąd idziemy, oliwa też śmierdzi. Wprawdzie nie tak mocno... trochę droższa.

W każdym słowie Egipcjanki czuć było wzgardę dla Żydów i odrębność...

zhellenizowanego wężu, przedkładającego ordynarną woń kwiatów ogrodowych ponad woń świąteczną szabasówek, nawet w tej chwili, gdy... znajdowała się niewątpliwie na złej drodze.

Zresztą ci, zamknięci w getcie - nie dbali o sądy poganki. Dziś święcili radośnie

święto podwójne. Albowiem przed błysnięciem pierwszej gwiazdki kilka ich tysięcy zdążyło



odprowadzić rabina Menachema na przystań i każdy zdołał dotknąć jednym palcem bądź szaty „świętego”, bądź liny, którą uwiązany był do brzegu okręt, mający unieść go do Palestyny. Było to dla nich szczęście nad szczęściami! Widzieli w Rzymie na własne oczy rabina, co miał zaiste prawo rzucić głosom nieba, gdy chciały wmieszać się w dyskusję talmudyczną, ów słynny okrzyk: „Wy tam na górze - sza! Tora nam jest dana, nie wam - i jej komentowanie jest naszą, a nie waszą sprawą”!

Wreszcie z dala buchnęły wielkie światła - płonęły mnogie pochodnie smolne. W uszy cesarzowej i Ei wpadł gwar wesoły tysięcy głosów.

Zbliżały się do Forum.

Tej nocy kipiało tu życie.

Miasto szalało z uciechy...

Z tubylcami mieszały się przybysze z wszystkich krajów - oczywiście z wyjątkiem

Żydów, którzy nie brali udziału w tym święcie rozpusty, pamiętni kar Sodomy i Gomory.

Rzym był już w owym czasie skoncentrowanym w jednym mieście światem, gospodą stu obcych narodów. Bodaj rozbrzmiewające już wtedy skargi satyryków, że „wśród masy cudzoziemców, swoich trzeba szukać z latarnią” - niebyły dalekimi od prawdy.

Spotykali się tu prócz przedstawicieli wszystkich krajów kultury ówczesnej i

barbarzyńcy: rolnik, który przybył od stóp Bałkanów, wykarmiony mlekiem kobyli sarmata, rosły Beduin z pustyni, Negr z kędzierzawą głową od dalekich zakrętów Nilu. Widziało się tu Kapadocyjczyków, Germanów, Nubidów, Egipcjan... Widziało się niewiasty wszystkich ludów - strjone darami przygodnych kochanków, oraz nagością polujące na żądze męską...

Szał wesela ogarniał tłumy!

Mesalina czuła się ogłuszona tym gwarem, oślepiąca tymi światłami, oszołomiona tą mieszaniną barw i języków...

Naraz zatrzymała Eę za rękę. Przystanąły obie, nasłuchując.

Od wzgórza Kapitolijskiego dochodził jakiś gwar: gromkie śmiechy, ponad którymi wybijał się stale jakiś głos śpiewny, rytmiczny, chwilami piskliwy, niby dziecka, chwilami zrywający się aż do krzyku. Głos ten wydał się Mesalinie dziwnie znajomy. Lecz odległość nie pozwalała jej I zorientować się, kto i o czym w noc tę rozprawiał.

- Idźmy tam! - rzekła. I

Jeły wspinać się wąską ścieżką ku górze. Niebawem ujrzały na podniesieniu w przysionku świątyni Jowisza Kapitolijskiego sylwetkę wiotką. Ktoś przemawiał, nie hamując gestów, trzęsąc rękami, bijąc się w piersi. U podnóża stopni marmurowych, na szczycie których stał mówca, skupiła się gromadka ludzi, która szybko urastała w ciżbę. Gdyi podeszły bliżej, Mesalina ku wielkiemu zdziwieniu rozpoznała w mówią-1 cym Jonatana. I

Wiatr rozwiewał mu podół białej szaty, przewiązanej w pasiel ukazując chłopięce nogi, w nerwowych podrygach. Fantastyczny zawójo barwnych kolorach zsunął się z głowy na szyję, obnażając chudą twarz, na której natchnieniem paliły się oczy. Długie włosy pierścieniami opadły na kark, poruszając się w takt z niespokojnymi ruchami mówcy.

Co dało moc semickiemu młodzieńcowi, którego rysy obce rozpoznano natychmiast, a bieglej si odgadli w nim przybysza z Palestyny - pozostać w pogańskim Rzymie, wdrzeć się między kolumny cudzej świątyni, przemówić publicznie do tłumu nieznanomego, który zdziwił się, zaciekawił z początku, następnie wyśmiał go i zasypał drwinami?

Jonatan czuł się w tej chwili prorokiem - apostołem, od Boga zesłanym dla oświecenia Rzymian o swojej prawdzie. Jeżeli bowiem z głębokich krynic swej pamięci czerpał cytyty, mówił słowami Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela - był przecież nie mniej pewny, niż tamci, że wyraża nie tylko myśli, ale powtarza same wyrazy Jehowy; był też nie mniej od tamtych rozgorączkowany i podniosły, a nierzadko ciemny w swoim patosie, jak oni.

Jonatan

Grzmiał na przemian to po grecku, to po łacinie; chwilami uciekał się do tekstów hebrajskich, jako formy świętej, pierwotnej, którą tuż urywkami tłumaczył:

„Przystąpcie narodowie ku słuchaniu! A wy ludzie pilnie uważajcie! Niech słucha ziemia i jej pełność, i okrąg, i wszystko, co na ziemi się rodzi!

Bo rozgniewanie Pańskie zlewa się na wszystkie narody, a popędliwość jego na wszystko wojsko ich, wytraci je, jako przeklęte, a poda je na zabicie! I będą wyrzuceni precz pobici z nich, a z trupów ich smród wyjdzie, zaś krew ich z gór potokami popłynie!”

- Zdrowo przeklina ten jego pan! - zauważył jakiś rzeźnik, zwracając się do towarzyszeki.

- Pst! Słuchać - nakazał milczenie sąsiad, poczynający retor.

Mówca miotał pioruny: „Bo mówi wiekuisty Pan! Miejcie uszy ku słuchaniu jego słów, iżby grom jego nieposłusznych nie porwał!”

- Kto to jest jego pan? - spytała jakaś starsza kobieta.

- Żydowski Jupiter! - z dumą wyjaśnił wyrostek, usługujący w łaźniach publicznych.

-”Albowiem z Syjonu wynijdzie zakon, a słowo Pańskie z Jeruzalem!”

- Trochę hardo poczyna sobie - zauważył głośno pisarz sądowy. - Mamy swoje tablice praw. Nie sięgać nam do żydowskich!...

Jonatan nie słyszał tej uwagi.

-”Oto pan jedzie na obłoku letnim i przeciągnie do Rzymu, a poruszą się bałwany rzymskie...” - trawestował mówca zwrot Izajaszowego proroctwa, przekładając Egipt na Rzym gwoli swojej misji.

- Hej, ty, gadaj to swoim! - darł się na całe gardło szynkarz.

Na ten raz Jonatan dosłyszał. Jakby uznając obowiązek wy tłumaczenia się, iż zwrócił się do obcych, nie do Żydów - sięgnął po komentarz do Ezechiela, malujący Samarię i Jerozolimę w barwach dostatecznie ciemnych, aby usprawiedliwiona była próba szukania słuchaczy w imię Jehowy na ten raz gdzie indziej poza ludem wybranym. Wparłszy oczy w przerywającego, prawil żałośnie:

„Synu człowieczy! Były dwie niewieście, córki jednej macierzy. Te płodziły nierząd w Egipcie - powiadam, nierząd płodziły w młodości: tam omacane są piersi ich i zgniecione piersi ich panieństwa...”

Młody gladiator, stojący w pierwszym rzędzie, uszczypnął swoją towarzyszkę. Ta wybuchnęła śmiechem - zarażając wesołością dalsze rzędy. Jonatan nie widział nic; nic nie słyszał. Żrenice oczu, zwróconych w górę, znikły jakby w omdleniu. Powieki były wpół zamknięte. Kołysał się w melancholijnym rytmie.

„Imiona nierządnic są: starszej Ahola, obie siostry Aholiba... Sama-ria-Ahola, Aholiba-Jeruzalem.

Płodziły wszeteczeństwo. nierządu pilnowały z miłośnikami... Ahola splugawiła się wszystkimi plugawymi bałwanami najprzedniejszych synów Asyryjskich... Omacali piersi jej panieństwa... Wylali wszeteczeństwo swe na nią... Odkryli jej nagość i zabili ją mieczem i osławioną jest między niewiastami!”

Głos od tonu żałosnego, przy tym streszczeniu niecnotliwych dziejów ludu Izraela w metaforze prorockiej, przyszedł mimo woli w dźwię radosny triumfu, z powodu spełnienia się kary bożej na dziesięci, „Bo mówi wiekuisty Pan! Miejcie uszy ku słuchaniu jego słów, iżby grom jego nieposłusznych nie porwał!”

- Kto to jest jego pan? - spytała jakaś starsza kobieta.

- Żydowski Jupiter! - z dumą wyjaśnił wyrostek, usługujący w łaźniach publicznych.

-”Albowiem z Syjonu wynijdzie zakon, a słowo Pańskie z Jeruzalem!”

- Trochę hardo poczyną sobie - zauważył głośno pisarz sądowy. - Mamy swoje tablice praw. Nie sięgać nam do żydowskich!...

Jonatan nie słyszał tej uwagi.

-”Oto pan jedzie na obłoku letnim i przeciągnie do Rzymu, a poruszą się bałwany rzymskie...” - trawestował mówca zwrot Izajaszowego proroctwa, przekładając Egipt na Rzym gwoli swojej misji.

- Hej, ty, gadaj to swoim! - darł się na całe gardło szynkarz.

Na ten raz Jonatan dosłyszał. Jakby uznając obowiązek wytłumaczenia się, iż zwrócił się do obcych, nie do Żydów - sięgnął po komentarz do Ezechiela, malujący Samarię i Jerozolimę w barwach dostatecznie ciemnych, aby usprawiedliwiona była próba szukania słuchaczy w imię Jehowy na ten raz gdzie indziej poza ludem wybranym. Wparłszy oczy w przerywającego, prawił żałośnie:

„Synu człowieczy! Były dwie niewieście, córki jednej macierzy. Te płodziły nierząd w Egipcie - powiadam, nierząd płodziły w młodości: tam omacane są piersi ich i zgniecione piersi ich panieństwa...”

Młody gladiator, stojący w pierwszym rzędzie, uszczypnął swoją towarzyszkę. Ta wybuchnęła śmiechem - zarażając wesołością dalsze rzędy. Jonatan nie widział nic; nic nie słyszał. Żrenice oczu, zwróconych w górę, znikły jakby w omdleniu. Powieki były w pół zamknięte. Kołysał się w melancholijnym rytmie.

„Imiona nierządnic są: starszej Ahola, obie siostry Aholiba... Sama-ria-Ahola, Aholiba-Jeruzalem.

Płodziły wszetecznerstwo, nierządu pilnowały z miłośnikami... Ahola splugawiła się wszystkimi plugawymi bałwanami najprzedniejszych synów Asyryjskich... Omacali piersi jej

panieństwa... Wylali wszeteczerstwo swe na nią... Odkryli jej nagość i zabili ją mieczem i osławioną jes między niewiastami!”

Głos od tonu żałosnego, przy tym streszczeniu niecotliwych dziejów ludu Izraela w metaforze prorockiej, przyszedł mimo woli w dźwię radosny triumfu, z powodu spełnienia się kary bożej na dziesięcioplemionach, które zaraziły się pogaństwem i znikły bez śladu w dziejach. Z kolei mówca śladem proroka opisał podobny nierząd z Babilonem pokolenia Judy i stolicy judzkiego ludu Jerozolimy. Ta ostatnia, Jerozolima, którą prorok porównał ze słynną nierządnicą Aholą:

„Splugawiła się jednak, jako siostra... A do swoich wszeteczeństw przydała, iż widząc męże, wymalowane na ścianie, obrazy Chaldejczyków, malowane farbami (tu mówca wstrząsnął się ze zgrozy) zapalała miłością do nich; i weszli synowie Babilońscy do komory jej nierządu i splugawili się z nią i zmazali wszeteczerstwem swoim... Odkryli nagość jej i macali piersi jej Egipcjanie”.

- Tośmy już słyszeli! - ziewnął retor, chowając tabliczkę, na której zapisywał wzory stylu wschodniego; jał przeciskać się przez tłum, przesycony prorocत्वami.

- Nie przeszkadzać! - wołał rzeźnik, mlaskając językiem. - Zdrowo gada!

„I pobudził Pan zalotniki Babilońskie przeciw niej!”

Twarz Jonatana opromieniła się teraz... Z oczu szły jakieś blaski szczęśliwe na tłum.

Mówił o pokoleniu Beniamina, o mieście Betlejem, w którym się urodził. Mówił ze słodyczą w głosie:

„Ale ty, o Betlejem! Mimo żeś najmniejszy między tysiącami Judzkimi, z Ciebie mi jednak wynijdzie ten, który będzie panującym w Izraelu... Oto idą dni, których wzbudzę latorośl sprawiedliwą Dawidowi.

Przetoż wam Pan sam znak da. Oto panna pocnie i porodzi syna, a nazwie imię jego

Immanuel”...

Kilka kobiet przecisnęło się bliżej ku kolumnie, której mówca szukał jakby omdlałą w upojeniu ręką. Porozumiały się z sobą westchnieniem: „Jaki on ma śliczny głos!”

Ale Jonatan, jakby uląkł się jakiejś tajemnicy - jakby sam sobie zakazał tej rzewności głosu; bo naraz wpadł znowu w ton posępny i gniewny. I trudno było słuchaczom śledzić za tokiem jego myśli; tak biegły one skokami, tak w jaskrawości bezładnych barw nie dawały się uchwycić słuchaczom aryjskim, nawykłym do ścisłości określeń, porządku logicznego, spokoju i powagi swoich mówców - wyćwiczonych w szkole ateńskich retorów.

„Wszyscy obłudni są i złośliwi, a każde usta mówią sprośność. Nie odwróciła się jeszcze zapalczywość Pana od Judy, ale ręka Jego będzie jeszcze wyciągniona...”

13 - Mesalina Tu nastąpiła wizja bestii Danielowej:

„Bestia czwarta... bardzo straszna... zęby jej żelazne - paznokcie miedziane: pożera wszystko - nogami depta; ma rogów dziesięć na głowie - a na tym, który wyrósł po spadnięciu trzech - oczy i usta, wielkie rzeczy mówiące”.

- Co on powiedział? - spytała Mesalina.

- Oczy i usta na rogu! - odparła Ea ze wzruszeniem ramion.

- Nic podobnego nie widziałam.

„I będę narodowie, jako wypalone wapno: jako ciernie ogniem spalone!” - niemal krzyczał Jonatan, wymachując groźnie.

Tu jakby znowu chciał Rzymowi rzucić nadzieję, iż może uniknąć złego losu, o ile wsłucha się w to, co „mówi wiekuisty Pan”, bowiem, zmieniając w tekście nazwy Egipcjan i Asyrian, powiedział:

„Dnia onego będzie gościniec z Palestyny do Rzymu i będą chodzić Rzymianie do Jeruzalem, a syny Judy do Rzymu i będą służyć Panu wspólnie...”

I onego dnia Izrael stanie jako trzeci między Egipcjanem i Asyryjczykiem - kończył już w zgodzie z tekstem - i będzie błogosławieństwo pośrodku ziemi!”

Znowu oczy uniosły się w górę - natchnione patrzyły w gwiazdy na ciemnym niebie - może zresztą nie widziały ich nadal - zapatrzone były w głąb siebie - tylko zdało się, że ścigają kędyś daleko jakowąś wizję. Przy tym głos zniżył się znowu do słodkiego szeptu:

„Pan sądził będzie narody!... I przekują miecze swe na lemiesz, a włócznie swe na sierpy... Nie podniesie naród przeciw narodowi miecza, ani ćwiczyć się będzie do bitwy”.

Stary żołnierz, który w 39 roku obowiązkowej służby przybył tego wieczora na urlop do Rzymu, a miał rok jeszcze przesłużyć w błotach Germanii, gdzie nabawił się malarii i zyskał dziesięć ran źle zagojonych - parsknął śmiechem na całe gardło:

- Ot, bajdurzy cielątko!

Jonatan nie widział nic i nikogo przed sobą. Oczy mu zaszły mgłą. Pęd słów unosił go:

„I będzie mieszkał wilk z barankiem, a lampart z kozłębem będzie leżał; także cielę i szczenię lwie, i karmne bydła pospołu będą, a małe dziecię rządzić je będzie. Krowa i niedźwiedzica społem paść się będzie, płód ich leżeć pospołu, lew jak wół trawę jeść będzie...

A niemowlę przy piersi igrać będzie nad jamą zmijową...”

Na te słowa, uzupełniające myśl o pacyfizmie, która pobudziła żołnierza do kolek śmiechu, powstał już rechot ogólny - tak potężny i niewstrzymany, że nawet Jonatan, uczeń proroka, usłyszał i zrozumiał, iż jest przedmiotem naigrawania się.

Oczy jego zaiskrzyły się błyskawicami, a roztrzęsione usta rzuciły na głowy tłumu gniewnym odporem swoją najgłębszą pewność:

„Żywię Pan, który wywiódł i sprowadził nasienie domu Izraelskiego z ziemi północnej i ze wszystkich ziem, do których je rozegnał...”

A dopiero teraz - jakby wszystko, co rzekł, było tylko wstępem, jakby w tym



bezładzie słów tała się myśl, którą zamierzył był tego wieczora objawić obcym, jakby poza tą falą cytatów, dobywanych gorącym natchnieniem z najskrytszych zakamarków pamięci, czaiła się myśl niepopularna; wymagająca ostrożnych przygotowań, teraz już możliwa dla słuchaczy do przyjęcia, lub dojrzała musem wypowiedzenia, Jonatan całym wysiłkiem płuc zakrzyknął:

- Rzymie! Rozwal swoje bałwany!

I na to mnóstwo sposobów, którymi prorocy, którymi Biblia cała przemawia bezustannie - niby treścią jedyną - przeciw malowidłom i posągom, burzy się przeciw kadzeniu i ofiarom na ołtarzach przed wizerunkami bogów, utworzonymi ręką ludzką, jał młody semita pouczać - nie bez drwiny, której świetne stylowe wzory znalazł w prorokach - iż wszystkie owe „wszeteczności i nierządy”, zdziałane przez religijność sztuki pogańskiej winny ulec natychmiastowemu zniszczeniu podług nauki Wandalów wschodu, którzy na zachodzie znaleźli z czasem naśladowców gorliwych.

„Tedy zarzucicie okrycie srebrnych swoich bałwanów rytych i odzienia złotych swoich bałwanów odlewnych, rozproszycie je, jako plugastwo niewiasty, przyrodzoną niemoc cierpiącej, a rzecze im: Precz stąd!”

A równocześnie obrazowo pouczał słuchaczy o wielkości swojego Boga, który „nawiedzi mieczem swoim, srogim, wielkim i mocnym - Lewiatana, węża długiego, i Lewiatana, węża skręconego; a zabije smoka, który jest w morzu!”

Ale słuchacze jakoś nie odczuwali grozy tych obrazów słownych Pisma Świętego - porywała ich pusta wesołość, właściwa „barbarzyńcom” wobec człowieka „kultury wschodniej”. A jeżeli jedni odeszli znudzeni, to na zmianę zjawiali się drudzy, ciekawi, co też ów przedziwnie wytrzymały mówca objawia tłumom bez rachuby na grosze, którymi nie brzydzili się wcale pouczający na ulicach sofisci greccy. A ten Żyd mówił za darmo... to był

też kawałek cudu dla Rzymu!Księga piąta

Baranek i Tygrys

Rozdział XXXIV

Kroton

Przez rozkołysany śmiechem tłum przeciska się jakiś człowiek. Prowadzi na smyczy młodego tygrysa - wspaniały okaz z puszczy libijskiej. Świecą drapieżne ślepia, rozglądając się mądrze. Dreszcz nerwowy biega po lśniącej skórze żółtej, ściągając czarne pręgi. Zwierzę jest niezadowolone, znalazłszy się w tłoku ludzkim. Pomrukuje groźnie.

Już posłyszano głuchy pomruk; spostrzeżono niebezpiecznego gościa, niezwykłego na Forum. Tłumy rozstępują się z szacunkiem. Zresztą cześć okazuje się nie tylko zwierzęciu, ale i jego panu. Szmer chwalby rozszedł się wśród ciżby - podawano sobie z ust do ust imię dumnego przybysza, torującego pięścią drogę swemu „kociątku”. Niebawem szmer urósł w gwar. Słysząc głosy:

- Vivat niezwyciężony Kroton!

Na chwilę uwaga odwrócona jest od przemawiającego Żyda, który nie ustaje w namiętym podnieceniu prorokowali - potrzasa rękoma - włos zwichrzył - od żałośnie śpiewnych intonacji przechodzi do chrypliwego krzyku klątw.

Zapaśnik Kroton był przed trzema laty w Rzymie - położył wówczas wszystkich przeciwników. Nie bacząc na zapowiedź świetnej kariery w stolicy, przyrodzony wagabunda udał się na myśliwską wyprawę do Afryki, opalał wspaniały swój tors na słońcu, płał w morzu, jak wieloryb młody, ćwiczył mięśnie we wszelakich sportach, zyskał następnie sławę w cyrkach Aleksandrii i greckiego pobraża, i już z głośnym imieniem przybywał do Rzymu. Przeciwnie wiatry zatrzymały okręt w podróży ponad przewidziany termin przyjazdu. Kroton, zły nasiebie i na wszystkich za spóźnienie swoje na igrzyska dzisiejsze, wprost z przystani z

wiernym tygrysiątkiem zjawił się na Forum. Był dumny z niezwyklego towarzysza z którym wędrował wszędzie, jak ongiś Andronikus z owym lwem, który poznał pana swego na arenie i ocalił skazanemu na śmierć życie.

Kroton przystanął przypadkiem obok Mesaliny, ta z podziwem spojrzała na posągową postać niezwyklego atlety. Nie było bowiem nic w nim owej przesady w napęcznieniu mięśni, jaką szczylicili się inni atleci. Przeciwnie, przy widocznej sile, o której głośiła sława, posiadał elastyczność pięknie ukształtowanych członków. Gibki, smukły, z piersią wydatną, z prężnymi rękami i toczonymi nogami - prawie nagi, gdyby nie barwny zawój tyryjski, przerzucony niedbale przez ramię i bogato tkana przepaska wokół bioder, zdawał się zeszyłym z cokołu posągiem mistrzowskiego dłuta. Kiedy niemal otarł się o nią gołym ramieniem, Mesalina odczuła mimo woli miły dreszcz z powodu bliskości tego pięknego ciała. Odsunęła się jednak, nienawykła do takich zbliżeń z człowiekiem gminu.

Kroton rękę przyłożył do ucha, aby uchwycić lepiej słowa, spadające z platformy, lekkim wyniesieniem wysuniętej przed frontową ścianą zamkniętego o tej godzinie Kapitolu.

- Co on mówi? - spytał sąsiada.

Ów, jak świadczyła tunika i rysy twarzy, był Grekiem. Z zawodu rzeźbiarz, przybyły do Rzymu w poszukiwaniu pracy i zarobku od magnatów, zawsze żądnych widzenia siebie w konterfekcie plastycznym, nieco filozof - jak ogół jego rodaków - inteligentów, Nikanoros, odpowiedział atlecie trochę nazbyt zawiłą, jak na pojęcie tamtego, formułką.

- Ot, bajdurzy młód Żydek. Wydaje mu się, że znalazł Nieznanego Boga w nowej postaci, w wietrze słów.

- Nie rozumiem.

- Ja także... Ale tu nie ma nic do zrozumienia, prócz najzabawniejszej pychy, jaką może zarazić się umysł ludzki, chcąc sięgnąć palcem do nieba. Ot, sam posłuchaj...

Śmiał się. Inni wtórowali mu. Niektórzy naśladowali podrygi mówcy. Prostoduszny lud italski był skory do śmiechu. Łamana łacina i kulejąca greczyzna, której młodzieniec żydowski używał na przemian, aby przekonać słuchaczy, a którą na dobitkę szpikował cytatami hebrajskimi i aramejskim językiem Talmudu - oryginalna mieszanina słów bawiła prostaków, nie mniej niż przypadkową w tłumie młodzież szlachecką, świetnie władającą modnym greckim językiem, tubylców, zarówno jak i obcych, którzy wędrowali z wszystkich brzegów Śródziemnego Morza do stolicy świata, skoncentrowanego w cesarstwie.

Jonatan mówił, zaśluchany w myśli Izajasza, starając się oddać je najściślej według swojej pamięci, jako objawienia samego Boga:

„Kto tworzy boga, kto bałwana leje - nie zda się na nic...”

Nastąpiło wyjaśnienie, jak łatwo jest wykonać boga ręką ludzką:

„Kowal kleszczami robi przy węglu i młotem...

Cieśla mierzy sznurem farbowanym i cyrklem...

Rąbie się cedry, cyprysy i dęby... z drzewa robi się boga...

Używając ognia do tej roboty, nie waży się, że służy do stworzenia boga ten sam ogień, przy którym chleb się piecze...”

„Azali to nie jest oszustwo?” - zapytywał Jonatan, zdziwiony, że tej rzeczy tak

„prostej” nie mogli zrozumieć przez długie wieki... Żydzi, wciąż wpadający w

bałwochwalstwo i wiodący spory z Mojżeszem i prorokiem w obronie swoich złotych cielców

i „Królowej nieba” - przekonany, że swoją logiką i wymową przekona o tym na pewno

Rzymian...

Naraz huknął ponad tłum głos potężny. Groźna pięść wzniosła się ku górze.

To zakrzyknął z szerokiej piersi Kroton:

- Czego śmiejecie się osły?! Czy nie rozumiecie, że ten żydowski chłystek chce

odebrać wam waszych bogów?! Czy Rzym jest głuchy, czy ogłupiał do cna, że nie każe wyrwać języka z ust zuchwałemu bluźniercy?!

Śmiech ścichł... Jakoby zimny dreszcz powiał po tłumie.

Jonatan zmieszał się tylko na moment. Dobył naraz całego głosu i wstrząsnąwszy dumnie długimi włosami odrzucił:

- Tyś sam bluźnierca przeciw Jedynemu! Twoje bogi diabłami są jeżeli istnieją!

- Na Jowisza, nie ścierpię tego! - wrzasnął Kroton.

- Twojego Jowisza nie ma. Jest gliną! - odkrzykiwał Jonatan zaciekle, przytupując nogami.

- To ateista!

Tłum zakołysał się, jakby Kroton zdarł mu łuski z oczu. Oskarżenie o atcizm było zarzutem najstraszniejszej zbrodni w pojęciu tego pobożnego tłumu mieszczuchów, którzy kochali i czcili swoje bóstwa. Dopuszczali oni tolerancyjnie najazd na Rzym wszystkich obcych bóstw - wierzyli bowiem, że tamte kierują losami cudzoziemskich ludów i po-świecnie władającą modnym greckim językiem, tubylców, zarówno jak i obcych, którzy wędrowali z wszystkich brzegów Śródziemnego Morza do stolicy świata, skoncentrowanego w cesarstwie.

Jonatan mówił, zasluchany w myśli Izajasza, starając się oddać je najściślej według swojej pamięci, jako objawienia samego Boga:

„Kto tworzy boga, kto bałwana leje - nie zda się na nic...”

Nastąpiło wyjaśnienie, jak łatwo jest wykonać boga ręką ludzką:

„Kowal kleszczami robi przy węglu i młotem...

Cieśla mierzy sznurem farbowanym i cyrklem...

Rąbie się cedry, cyprysy i dęby... z drzewa robi się boga...

Używając ognia do tej roboty, nie waży się, że służy do stworzenia boga ten sam

ogień, przy którym chleb się piecze...”

„Azali to nie jest oszustwo?” - zapytywał Jonatan, zdziwiony, że tej rzeczy tak

„prostej” nie mogli zrozumieć przez długie wieki... Żydzi, wciąż wpadający w

bałwochwalstwo i wiodący spory z Mojżeszem i prorokiem w obronie swoich złotych cielców

i „Królowej nieba” - przekonany, że swoją logiką i wymową przekona o tym na pewno

Rzymian...

Naraz huknął ponad tłum głos potężny. Groźna pięść wzniosła się ku górze.

To zakrzyknął z szerokiej piersi Kroton:

- Czego śmiejecie się osły?! Czy nie rozumiecie, że ten żydowski chłystek chce odebrać wam waszych bogów?! Czy Rzym jest głuchy, czy ogłupiał do cna, że nie każe wyrwać języka z ust zuchwałemu bluźniercy?!

Śmiech ścichł... Jakoby zimny dreszcz powiał po tłumie.

Jonatan zmieszał się tylko na moment. Dobył naraz całego głosu i wstrząsnąwszy

dumnie długimi włosami odrzucił:

- Tyś sam bluźnierca przeciw Jedynemu! Twoje bogi diabłami są jeżeli istnieją!

- Na Jowisza, nie ścierpię tego! - wrzasnął Kroton.

- Twojego Jowisza nie ma. Jest glina! - odkrzykiwał Jonatan zaciekle, przytupując nogami.

- To ateista!

Tłum zakołysał się, jakby Kroton zdarł mu łuski z oczu. Oskarżenie o atcizrn było

zarzutem najstraszniejszej zbrodni w pojęciu tego pobożnego tłumu mieszczuchów, którzy

kochali i czcili swoje bóstwa. Dopuszczali oni tolerancyjnie najazd na Rzym wszystkich

obcych bóstw - wierzyli bowiem, że tamte kierują losami cudzoziemskich ludów i po-krewne

są rzymskim bogom pod innymi tylko nazwami i postaciami. Ale wzdrygali się na zarzut

ateizmu...

Jeszcze na chwilę przed odezwaniem się Krotona, cny ludek bawił się cudaczną łaciną Żydka. niby ucieszną krotochwilą. nie wnikając w jej sens. Teraz z głuchym pomrukiem oburzenia zakołysał się, cofał od Kapitolu, jakby na stopniach jego stał ktoś, kto chciał pomieszać szyki gwiazd i porządek ziemi i zaraźliwym trądem powiać na słuchaczy.

- Precz z ateistą! Zrzucić go z Tarpejskiej skały! - wyrwał się głos jakiś i natychmiast echem rozszedł się wśród ciżby.

- Głupcy! - krzyczał Jonatan. - Zechce Bóg mój, a jak Eliasz podniesie mnie z dna przepaści na złotym wozie! Zechce Bóg mój, a wrzuconego w morze wybawi mnie z ciemni żołądka wieloryba, jak wybawił Jonasza! Zechce Bóg mój, a z jamy lwiej dobędzie mnie nietkniętego, jak Daniela!

Teraz znowy śmiechy zmieszały się z wrzawą piekielną, chociaż Jonatan, w porywie natchnienia i napięciu wszystkich sił duszy, w owej groźnej chwili znalazł w sobie moc wypowiedzenia się nie tylko gładko, lecz już w poprawnej łacinie.

- Poczekaj mi tu, synu sobaczy! - zahuczał teraz Kroton, odsuwając tych, co już falą ściśniętych pięści i zaczerwienionych twarzy rzucili się ku stopniom Kapitolu, gotowi rozerwać śmiałka. - Jeśli ten pyszałek chwali się, że ujdzie pazurom zwierząt, to...

Śmiał się teraz i on z innymi, szczerząc okrutnie dwa rzędy białych krzepkich zębów.

- Kotku, cap!

I nim zorientował się, tygrys nad głowami ludzkimi śmignął skokiem potężnym na wskazaną mu ofiarę. Tłum cofnął się przerażony.

Jonatan z jękiem zwałił się na marmurowe tafle. Tygrys położył na leżącym mocne łapy i z rozziwem paszczy ukazał białe kły... Wysunięty czerwony język toczył ślinę. Oczy zwierzęcia patrzyły w stronę pana. jakby oczekując dalszego rozkazu.

- Uwaga! - mówił szyderczo Kroton - teraz pokażę wam sztukę. Mój tygrys jest uczony. Przy słowie: „cap!” daje pierwsze ostrzeżenie ofierze. Wystarczy mi krzyknąć: „Fortiter” - obłąpi skazanego, jak matka dziecinę. Jeżeli krzykną: „A or ws!” koniec... Poszarpie kłami, jak nic.

- Daj spokój! - ozwał się Nikanoros. - Jestem rzeźbiarzem i robię nie tylko ludzi, ale i bogi. Gdyby ten młodzik mógł zniszczyć w ludziach artyzm i rozsądek zepsułby mi interes. Wszelako ja pierwszy wstawiam się za nim.

- Nie! nie! Ukarz go! - krzyczano dokoła do Krotona.

- Ukarzę imieniem Jowisza! - wyprostował się dumnie atleta. - Ale nikt nie powie, że Kroton nakazał pocziwemu kocięciu chleptać krew ludzką, nie dawszy możności winnemu opamiętać się. Hej, ty! - zwrócił się do nieszczęśliwego. - będę liczył do dziesięciu. Daję ci czas do namysłu. Jeżeli, zanim doliczę, nie zawołasz: „Jowisz jest Bogiem!”, posłużysz za kąsek dla mego tygrysa.

- Brawo, sprawiedliwy Krotonie! - radował się tłum, chociaż nie brakło w nim także zachęcających: „Co za ceremonie?! Mów: mortus\”

- Nie! Jak rzekłem - stwierdził wolę swoją Kroton. - Fortiter, Amorku!

Tygrys szarpnął ramię Jonatana - obrócił go twarzą ku widowni - objął łapami - czekał.

Twarz Jonatana była śmiertelnie blada. Zęby lekko szczękały. Usta dyszały ciężko. Z jakimś zdumieniem patrzył na krew, która ciurkiem płynęła z ramienia, brocząc na poszarpaną odzież. Zimny pot rosł czoło. Widoczna była trwoga - ale była to bodaj... trwoga okazania trwogi.

Wśród martwej ciszy, która zapanowała na Forum - Kroton jął rachować.

Podeszły ku tylnym szeregom straże, patrolem obchodzące nocą Forum. Zapytywały



się. o co chodzi. Szeptem rzeczone im. że chodzi o Żyda-ateistę. Miały bodaj obowiązek  
wmieszania się i dostawienia winowajcy pretorowi, ale zbyt pociągnęło je widowisko. Mord  
na ulicach Rzymu nie był rzadkością. Sami żołnierze strażujący wyręczali nieraz  
sprawiedliwość, jeśli nie chodziło o rodowego Rzymianina, lub obcą znakomitość, a  
pośledniego mieszczucha - zwłaszcza o przybłędę z obcych krajów; a już skoro chodziło o  
członka pogardzanego wówczas przez wszystkie narody wielkiego imperium żydowskiego  
ludu (który sprawiał rządowi rzymskiemu nieustanny kłopot hałaśliwymi buntami, tak w  
Palestynie, jak i we wszystkich koloniach) - dozór policyjny nie miał skrupułów! Któż tam  
tego rodzaju krzywd będzie na pretorianach dochodził? Więc wmieszali się w tłum i  
oczekiwali końca rozprawy, przyjętej zgodnie „wyrokiem ludu”.

Kroton rachował:

- Raz... dwa... trzy...

Cisza była śmiertelna.-...osiem... dziewięć... dziesięć!

Bezkrwiste wargi młodego Żyda poruszyły się. 1 odbity od murów Kapitolu spadł  
głos drżący, ale jawnie mówiący:

- Jehowa jest Bogiem jedynym - Adonai!

- Amorek! mor...

Jakaś dłoń drobna legła na ustach Krotona. Pod nią zgłuchł początek słowa, które  
miało być znakiem spełnienia się losów młodzieńca; wspiął się już nad nim w niecierpliwym  
oczekiwaniu krwiożerczy a korny zwierz.

Kroton zdumiał się. Żelaznym uściskiem usunął małą dłoń z ust. Oszołomiony  
zapytywał milczeniem roziskrzonych oczu, kto śmiał stanąć tamą na drodze jego woli.

Kobieta!... Dama w czarnej masce...

Słodki głos mówił:

- Ja proszę... dać mu spokój. Przecież to obłąkany. Któż oddaje życie za widmo, jeżeli nie wariat!

Mesalina do owej chwili zachowywała się biernie. Wszystko, co widziała dokoła, było dla niej tak nowe. Szał młodzieńca, który swoje przekonania pragnął narzucić ludziom obcym plemiennie, względem których - jej zdaniem - winien być raczej obojętny, jeśli nie wrogi wzajemnie; potem spór jego z tym tłumem - tak zmiennym, od chichotu wesela przerzucającym się we wściekłość krwi żądną; dalej, wmieszanie się pięknego atlety w dyskusję religijną, gdy mniemała, iż zajmować go mogą tylko walki zapaśnicze, wreszcie widok tygrysa, który tłumiał w sobie wolą pana pragnienie krwi, posłuszny głosowi człowieka - wszystko to zaciekawiało niezmiernie. Czy wyczekiwała ostatniego momentu, aby przeszkodzić tragicznemu kresowi interesującej krwawej igraszki? Czy może dopiero w ostatniej chwili drgnęło jej serce litością dla młodego chłopca żydowskiego?... Delikatnością rysów zwrócił jej uwagę już dziś rankiem - wprowadził jako coś dalekiego, niezmiernie dalekiego od niej... Czy może teraz właśnie ten upór duszy, niezrozumiały dla niej w obliczu srogiej śmierci, zdarł z niej twardą łuskę obojętności?... - Dość. żc nagle sama nie przewidując co czyni, co powie - poważyła się dłonią swoją zatrzymać słowo wyroczne na ustach gladiatora.

- Hm... - mrucał tamten - wariaci, moja pani, bywają niebezpieczni. A ten za dużo gada... Może ludziom we łbach łącno przewrócić.

- Jednak godne jest wielkiego siłacza znęcać się nad dzieckiem?... Przecież to dzieciak, który nie wie, co mówi! - prosiła. Kilku młodych ludzi poparło mówiącą. Natomiast kobiety, zwłaszcza starsze i zajadlejsze, szemrały: „Co się tu wtrąca dama? Lud postanowił!” Przepuszczano, że ta, co się wmieszała, była damą arystokratyczną. Boć inaczej nie nosiłaby maski; miałaby twarz odsłoniętą, jak wszystkie zwyczajne mieszczki. Ulica krzywiła

się nieraz na damy, które mieszały się do uciech tłumu, kryjąc oblicza...

Rozumiał i Kroton, że obrończyni Jonatana była damą. Upewniały go o tym głos, poruszający się w tonach subtelnych i sposób wyrażania myśli. Wprawdzie gladiator miewał już szczęście, że łask jego dopraszały się światowe kobiety, że omdlewały z rozkoszy w jego krzepkim objęciu. Ale to zdarzało się w Aleksandrii. Tu prośbą zaszczyliła go rzymska matrona. Coś więcej! Był z lekka zakłopotany tą interwencją.

- Przecież chciałem, żeby się opamiętał... i odszczekał. Obraził Jowisza!

- Na co Jowiszowi „odszczekanie”? Jowisz ma gromy. Gdyby chciał, sam by się obronił.

- Doskonale mówi! - pochwalił Grek.

Kroton poskrobał się w głowę. Mierzył Mesalinę od stóp do głów.

- Prośba za prośbą! - rzekł z figlarnym zuchwalstwem. - Nie odmawia się tylko kobietom pięknym. A więc, jeżeli obrończyni zachce dowieść, iż nie jest starą pokraką...

Zrzuc szaty, litościwa damo!

Śmiech przeszedł po tłumie, rozkołysawszy głowy, niby wiatr, chylący kłosa w przejściu po łanie.

- Dobrze! Dobrze! - zawył tłum radośnie.

- A jeżeli tego nie uczynię?

- Powiem Amorkowi słówko, na które czeka.

Tygrys mruczał.

Mesalinę ten ryk podzegał. Była dumna z piękna swego ciała - a w nastroju, w jakim przybyła na Forum, nie miała zastrzeżeń wstydu. Nie namyślała się. Odrzuciła peplum na ręce stojącej obok Ei... I stanęła wobec tłumu naga - krasą bogini dostojna.

- Me Hercule - krzyknął Grek - ależ to Afrodyta wyszła z morskiej piany!

Przednie szeregi odstały w podziwie niemal nabożnym. Tylne naciskały

zaciekawione, wyciągnawszy szyje. Tłum rzymski był wrażliwy na piękno ciała.

Naśladownictwo rzeźbiarzy Grecji, zresztą uprawiane w Rzymie głównie przez tychże

Greków, wyrobiło w tłumie, oglądającym w świątyniach i na ulicach przepiękne posągi, smak

i smakoszostwo. Klaskano, wykrzykiwano dokoła:

- Ależ ładna! Skusiłaby samego Wulkana, jak Prozerpina. Pilnij się, pani, bo Jowisz zdybie cię w postaci byka, jak nową Europę!

- Odwołaj tygrysa!

- Nie jeszcze! Nie spełniłaś warunku. Pokaż twarz.

Sięgał ku masce. Mesalina podniosła ręce obronnie, uprzedzając gest zuchwały.

Pokazać twarz - znaczyłoby zostać poznana. Co rzeczono by, ujrzawszy małżonkę Cezara w godzinie nocnej wśród gminu na Forum?!

- Nie! Nie! - zatrzęsła się.

- A zatem...

Kroton zrozumiał, że nieznajoma obawia się zdradzić twarz, posiadając przygodnych znajomych w tłumie. Gorejące pożądaniem wargi pochylił nad uszkiem Mesaliny.

- Pójdiesz ze mną... I mnie tylko pokażesz twarz. Dobrze?

- Dobrze! - odparła szeptem na szept.

- I oddasz mi... wszystko!

- Wszystko! - odparła, jak echo na jego ton, brzmiący rozkazem gwałtownej namiętności.

Roześmiał się szczęśliwie:

- Daruję życie temu obłąkanemu malcowi! - krzyknął. - Śmierć ustępuje, gdy miłość

się zjawia! - zacytował wiersz, wyczytany na świątyni Afrodyty w Knidos. - Hej, Amorku, do

nogi!

Tygrys warknął - ale posłuszny woli pana jednym susem ponad głowami obecnych, znalazł się przy Krotonie.

- Szczęśliwiec! - wołał tłum za swoim ulubieńcem, który, mocno objąwszy czarownicę zdobycz - jak gdyby porwał ją gwałtem - oddalał się spiesznie i dumnie, pociągając za sobą na smyczy tygrysiątko.

Nikt już nie interesował się Jonatanem. Ten, wyrwawszy się z opresji, siadł na stopniach marmurowych Kapitolu i kołysząc się monotonną modlitwą, dziękował swemu Jehowie za cudowne ocalenie.

fKsięga szósta

Lupanar i filozofia

Rozdział XXXV

W drodze

Jedną ręką prowadząc tygrysa na smyczy, drugą objąwszy Mesalinę, Kroton szedł, śmiejąc się na całe gardło. Śmiech ten odbijał się głucho o mury starej dzielnicy miejskiej, w którą zapuszczali się coraz bardziej. Zapóźnieni przechodnie, którzy powracali z rozpustnej wycieczki w te zaułki, przeważnie podpici, usuwali się im z drogi, rozróżniwszy w po-mroce ich czworonogiego towarzysza.

Ea stąpała za nimi w odległości paru kroków. Odwracała się czasem, dostrzegając, że w pewnym oddaleniu kroczy jakiś cień nieodstępny. Ale wówczas cień ów zatrzymywał się w niepewności, jakby zamierzał się cofnąć.

Mesalina nie miała w tej chwili woli. Los, który ją ciągnął w tę przepaść - ciągnął chęcią odwetu za krew ukochaną, przelaną niewinnie, za sponiewieranie wszystkich jej marzeń, pchnął tutaj pragnieniem mściwego wyszydzenia wyżyn, na których się znalazła, parł

złośliwą myślą o zrównaniu fizycznego brudu lupanaru z przepychem skażonej przez Cezara złocistej, małżeńskiej łóżnicy, może parł też zrywającym się nieświadomie z dna duszy zewem krwi zagłuszonego na długo temperamentu, związał ją wreszcie słowem przyrzeczenia rozkoszy w zapłacie za wyżebraną litość dla bliźniej, acz obcej istoty - ten los wcielił się dla niej w pięknego atletę, który górował teraz nad nią, niby samiec borów przedwiecznych, biorący gwałtem wylęklą samicę.

- Musisz pogodzić się z tym, moja mała, że nie prowadzę cię do pierwszorzędnego locum. Ale zważ, że na okręcie wyssano mnie do cna, a przed nowymi widowiskami, które, licho wie, kiedy nastąpią, nie jestem zasobny w asy. Ledwo trochę miedzi brząka mi w sakwach. Nie biorę cię do żadnej gospody, bo za najem drą bezbożnie. Myślę, że ci to nawet dogodzi, boć chyba nie jesteś rejestrowana... co?

- Nie jestem! - wybąkała cicho...

- Ba, rozumiem!... - zaśmiał się. - Otóż, gdyby cię w takiej gospodzie przyłapano, dostałabyś się w rejestry, musiałabyś zapłacić karę i... pan małżonek twój, cha! cha! cha! zrobiłby duże oczy. Bo chyba jesteś mężatką... co, prawda?

- Jestem! - rzuciła gniewnie.

- Zgadłem zatem... Jesteś matroną! Bezpieczniej będzie tedy dla ciebie zajść do lupanaru w gościnę... znam tu jeden taki domeczek... staruchy Enotei. Przypuszczam, że ta czarownica jeszcze siedzi na swoich śmieciach i tuczy się ciałem swoich dziewczątek. Nie jest to dom arystokratyczny, ale powtarzam ci, na to dziś mnie nie stać; a wyrabiać sobie kredyt w drogich domach z pomocą mego kociątka znaczyłoby to wywoływać hałasy i ściągać policję. Słowem, musisz wybaczyć, że trochę powonienie twoje ucierpi. Olej w domku Enotei źle pachnie i lampy czadzą...

- Wszystko mi jedno... Obrzydły mi perfumy...

- Jednakże zaduch dla twoich delikatnych nozdrzy... - mruknął. - Uprzedzam cię

jeszcze, że tapczan trzciniowy, lub puhinar nie będą pierwszorzędnej czystości...

- Zamknę oczy... Brud ten nie jest najgorszy.

Nie zrozumiał, co myślała. Roześmiał się:

- Oho! Jesteś bywała. Masz słuszość: dla tego, co zamierzamy robić, wszystko jedno, jakim jest posłanie, byleby Wenera raczyła nam pobłogosławić.

Otulił ją gorącym ramieniem i po prostu unosił.

Doznawała lęku, ale to zbliżenie ciepłej i krzepkiej dłoni męskiej nie było jej przykre.

Mrugały nad nią tajemnicze gwiazdy. Spojrzała w górę i rzekła w duchu:

- Czyż nie unosi was, światełka, ślepy los biegiem zawrotnym, jak i mnie? A gaśnicie nieraz, gwiazdki, jak i ja, spadając w mrok przepastny... Niech się dzieje, co chce! Igraj ze mną, jako wiatr. Erosie!

Kroton wskazał ręką przed siebie i zawołał, buchnąwszy wesołym śmiechem...- Oho, już niedaleko! Widzisz te czerwone światełka? Prawda, że piękny kształt mają...

Była przez chwilę oszołomiona. Jakieś odległe wspomnienie targnęło nią boleśnie, jakby symbolem grozy jej losu...

Ujrzała przed sobą wtłoczony w sieć uliczek rynek, zapełniony mnóstwem ludzi. Bił stamtąd gwar... Jakoby przez mgłę czerwoną, dojrzała przed niektórymi domami na owym placu siedzące na wysokich krzesłach nagie kobiety, wokół których skupiali się mężczyźni... inne kobiety tańczyły, wykrzykując po pijanemu, wykonywały ruchy lubieżne... Mężczyźni klaskali i śmiali się...

Przed pewnymi domami płonęły czerwonym blaskiem latarnie w kształcie phallusów - znaki uprawianego procederu, lub garnki, oświetlone wewnątrz.

Właśnie taki szyld nad domem narożnym wpadł jej w oczy - przypomniał dzieciństwo,

sprośny żart Glicery, oraz zawód, który zeń wionął na jej miłość rozbitą, na sny dziewicze o służbach Westalki.

Ujrzała w tym szyldzie teraz swoje przeznaczenie.

I już sama pociągnęła Krotona:

- Idźmy tam!... prędeż!

- Oho! Podobasz mi się, moja mała!

## Rozdział XXXVI

### Rak

Rak prostytucji toczył Rzym pogański.

Istniały tu dwie obszerne klasy prostytutek podobnie jak w Atenach. Jedne uprawiały swoje „horyzontalne rzemiosło” w domach publicznych, lupanarach - były „legalne”. Inne poczytywały się i poczytywane były za rodzaj wyższy - kurtyzany wolne; a liczba ich była nader wielka. Zdarzało się, że w ich szeregi wstępowały tajnie kobiety zamężne, nieraz za pozwoleniem mężów, celem zwiększenia dochodów rodzinnych.

Bywały okresy, kiedy młodzież rzymska pragnęła najwybitniejsze z tego rodzaju podnieść na wyżynę ateńskich i korynckich heter pod mianem „przyjaciółek” (amica). Ale nigdy Rzymianom nie powiodło się odnaleźć w tej sferze kobiet równych heterom Grecji, tj. łączących z pięknem ciała wysoką kulturę intelektualną, na wzór Diotymy, o której tak pięknie pisał Platon, lub znakomitszej nad nią, po wszystkie czasy sławnej przyjaciółki filozofów i artystów, miłośnicy genialnego wodza narodu Peryklesa, która była jego natchnieniem, Aspazji. Zaćmiła ona pięknnością i podniosłością umysłu cnotliwe w zamknięciu gyneceum, ale nudne i bezimienne na wieki, żony Greków. Nie doścignęły też nigdy jej poziomu sławne pięknnością, oczytaniem, znajomością sztuki hetery Rzymu Odrodzenia, późniejsze o blisko dwadzieścia wieków. Nie słyhać też było w tej sferze o



podniesionej z błota słowem Miłości Rozgrzeszającej i skrucłą własną - grzesznicą w stylu wschodnim, Marii Magdaleny...

Nazbyt zmysłowi, zbyt dumni ze swojej mocy politycznej, nie chcieli na ogół

Rzymianie czynić z heter towarzyszek swej pracy: i nie mogliby tego uczynić z materiału kobiet, nie odznaczających się mądrością i wykształceniem. Zmysłowa natura Rzymian uznawała w heterach tylko towarzyski orgii, zadość czyniące instynktom zwierzęcym; nazywano czułym określeniem: „cielicatae” i „pretiosae” te, które oddawały się tylko bogaczom i słynęły ze zbytku strojów i mieszkań.

Lud prosty posiadał kategorię nierządnic niższej rangi (prostibulae), rozpadającą się na mnóstwo gatunków, pod różnymi nazwami, zależnie od tego, czy odwiedzały piekarnie, szynki, czy uwijały się na placach publicznych i na skrzyżowaniach ulic, czy zdobywały szukały w lasach okolicznych, lub nawet na cmentarzach. Obszerną poza nimi klasę stanowiły młode Italianki i cudzoziemki, oczekujące klientów w domu, nawołujące mężczyzn z okien, lub zapraszające ich z rogów ulic. Wyznaczały one za swoje usługi mniejszą lub wyższą cenę. stosownie do zamożności tych, którym służyły - wolnych obywateli, wyzwolenców i niewolników. Nie podlegały żadnym ograniczeniom, oprócz rejestracji i podatku podług taksy, zwanej meretricium.

Tancerki i flecistki stanowiły osobną, średnią pomiędzy tamtymi, klasę, wzorowaną na znakomitych greckich auletrydach. Policja rzymska nie stawiała tamy ich dodatkowemu rzemiosłu. Prawie wszystkie przybywały ze Wschodu - z Grecji, Azji, Egiptu i zdobywały w Rzymie sławę doświadczonych w tajnikach rozkoszy. Sprzedawały się drogo, podnosząc w ten sposób swoje zarobki ze znajomości sztuki muzycznej; zapraszane bywały przez bogaczy pod koniec uczt, przybierający charakter orgii. Z czasem Kadyks zachodni jął dostarczać tych Hiszpanek, odnaleźć w tej sferze kobiet równych heterom Grecji, tj. łączących z pięknem ciała

wysoką kulturę intelektualną, na wzór Diotymy, o której tak pięknie pisał Platon, lub znakomitszej nad nią, po wszystkie czasy sławnej przyjaciółki filozofów i artystów, miłośnicy genialnego wodza narodu Peryklesa, która była jego natchnieniem, Aspazji. Zaćmiła ona pięknnością i podniosłością umysłu cnotliwe w zamknięciu gyneceum, ale nudne i bezimienne na wieki, żony Greków. Nie doścignęły też nigdy jej poziomu sławne pięknnością, odczytaniem, znajomością sztuki hetery Rzymu Odrodzenia, późniejsze o blisko dwadzieścia wieków. Nie słysząc też było w tej sferze o podniesionej z błota słowem Miłości Rozgrzeszającej i skrucłą własną - grzesznicą w stylu wschodnim, Marii Magdaleny...

Nazbyt zmysłowi, zbyt dumni ze swojej mocy politycznej, nie chcieli na ogół Rzymianie czynić z heter towarzyszek swej pracy: i nie mogliby tego uczynić z materiału kobiet, nie odznaczających się mądrością i wykształceniem. Zmysłowa natura Rzymian uznawała w heterach tylko towarzyszkę orgii, zadość czyniącą instynktom zwierzęcym; nazywano czułym określeniem: „delicatae” i „pretiosae” te, które oddawały się tylko bogaczom i słynęły ze zbytku strojów i mieszkań.

Lud prosty posiadał kategorię nierządnic niższej rangi (prostibulae), rozpadającą się na mnóstwo gatunków, pod różnymi nazwami, zależnie od tego, czy odwiedzały piekarnie, szynki, czy uwijały się na placach publicznych i na skrzyżowaniach ulic, czy zdobywszy szukały w lasach okolicznych, lub nawet na cmentarzach. Obszerną poza nimi klasę stanowiły młode Italianki i cudzoziemki, oczekujące klientów w domu, nawołujące mężczyzn z okien, lub zapraszające ich z rogów ulic. Wyznaczały one za swoje usługi mniejszą lub wyższą cenę, stosownie do zamożności tych, którym służyły - wolnych obywateli, wyzwolenców i niewolników. Nie podlegały żadnym ograniczeniom, oprócz rejestracji i podatku podług taksy, zwanej meretricium.

Tancerki i flicystki stanowiły osobną, średnią pomiędzy tamtymi, klasę, wzorowaną na

znakomitych greckich auletrydach. Policja rzymska nie stawiała tamy ich dodatkowemu rzemiosłu. Prawie wszystkie przybywały ze Wschodu - z Grecji, Azji, Egiptu i zdobywały w Rzymie sławę doświadczonych w tajnikach rozkoszy. Sprzedawały się drogo, podnosząc w ten sposób swoje zarobki ze znajomości sztuki muzycznej; zapraszane bywały przez bogaczy pod koniec uczt, przybierający charakter orgii. Z czasem Kadyks zachodni jął dostarczać tych Hiszpanek, których sam widok pobudzał zmysły widzów. Owe tancerki, flecistki, harfiarki bezwstydem mimiki podczas swoich produkcji naśladowały sceny miłosne. Wśród tych cudzoziemek znalazły się szlachetniejsze wdziękiem, które osiągnęły zaszczyt rozkochania w sobie poetów: Horacego, Owidiusza, Katullusa, Propercjusza, Tybulla, nawet poważny Cynceron bywał stałym gościem jednej z nich, Cytery.

Rak prostytucji toczył Rzym - nie mniej, niż współczesne wielkie stolicy: Paryż, Londyn, Wiedeń, Berlin, tylko z większą przymieszką blasku, lub na odwrót - z większą jawnością szpetoty, acz nie brak tej jawnej szpetoty i nowym stolicom europejskim w naszej epoce, choć maska obłudy stała się bardziej obowiązująca dla potrzeb i szafów Wenery. Kurtyzanki najwyższej rangi, *bonae meretrices*, nadawały ton Rzymowi Cezarów, były prawodawczyniami mody, pociągały arystokratów, rujnowały starców, rozpustą degenerowały fizycznie i umysłowo młodzież. Widywało się je wieczorami w krzyczących jaskrawością barw szatach, konkurujących ze sobą w zalotności, równe zuchwalstwem przepychu Atenkom, rozwalone lubieżnie w lektykach, unoszone po drodze świętej przez szeregi krzepkich Murzynów. Z jakąż gracją igrały wachlarzami! Z jakim wdziękiem sprawdzały w nieodłącznym zwierciadélku metalowym porządek fryzury, odbłask złotego diademu w jasnych włosach, szminki ust i brwi. Były wśród nich i amazonki, świetnie kierujące końmi i mułami, okrytymi bogatą materią. Spacerującym pieszo towarzyszyli z przodu i z tyłu niewolnicy, posłuszni na każde skinienie. Jako i dziś nie podlegały one

rejestracji. Sprzedawały się też za cenę bajeczną, gdyż prawo - licentia stupri - obowiązywało taksą tylko nędzarki prostytutki. Zresztą wabiły mężczyzn dyskretnie grą oczu, prawie niewidocznym ruchem główki, ust, palców - wszelako pantomimą wymowną, naśladowaną chętnie przez mniej ordynarne koleżanki z tłumu.

Dla prostytutki ludowej - boć i Rzym potrafił się wstydzić, jak nasza współczesność - przeznaczano pewne zakątki miasta, wiadome policji, gdzie mieściły się domy publiczne, sankcjonowane przez władzę. Potrafiono już określać prawem liczbę dopuszczalną mieszkanek lupanaru. co nie przeszkadzało wolnym, nie rejestrowanym prostytutkom osiedlać się w hotelach, winiarniach, piekarniach, u cyrulików; w gospodach znajdowały też chwilowy przytułek przygodne parki miłosne, lub udawali się tu na tajne schadzki cudzołóży i cudzołożnice. Najordynarniejsze i najtańsze domy publiczne oczywiście kryły się na krańcach miasta, np. gdzieś pod mostem Celijskim w pobliżu koszar; ale ku wygodzie nie brakło tanich też dokoła Wielkiego Cyrku. W centrum miasta, w pobliżu Świątyni Pokoju mieściły się domy „arystokratyczniej-sze”. Jednakże i tu gnieździły się siedliska rozpusty dla mniej zamożnych sfer miejskich, oczywiście nie tak nędzne, jak te, które Tertulian przezywał „konsystorzami społecznej rozpusty”. Składały się z szeregu ciemnych ciup, wypełnionych przez ludzi nagich płci obojga.

Rak rozpusty toczył Rzym...

## Rozdział XXXVII

### Enotea

Przedsionek był dość obszerny, ale słabo oświetlony czadzącymi lampkami, umocowanymi pod niską powalą w różnych miejscach ścian, pozbawionych okien. Dym z tych lamp osadzał się tak gęstymi warstwami w przeciągu wielu lat, że pierwotne malowidła treści bezwstydnego na suficie i ścianach, nie odnawiane nigdy, straciły swoją wymowę. W

przedsionku na razie nikogo z gości, prócz Mesaliny, Krotona i Ei nie było.

Stara Greczynka nie zwróciła z początku osobliwej uwagi na Mesalinę. Ta bowiem oparła się o mur w mrocznym kącie, oszołomiona, wylękniona z początku nowością przykrych wrażeń, ale już stojąca pod nie do cofnięcia wolą, którą starożytni - choćby szła z głębi własnych postanowień duszy indywidualnej - przypisywać zwykli siłom wyższym, Fatum, bóstwom; może o tyle słusznie, że te postanowienia, jak w obecnym wypadku, mimo przejścia przez pryzmat świadomości, tryskały z podświadomych źródeł instynktu, wspólnego ludziom i zwierzętom.

Natomiast Enotea wybuchnęła radością na widok Krotona:

- O, jakże cieszę się, sławo szermierzy, żeś zawitał znowu do nas! Wtedy wraz z twoją wizytą podniosła się renoma mego zakładu. Wielkie damy Rzymu ubiegały się o łóżko, na którym spędziłeś kilka chwil. Sprzedałam je dobrze twojej wielbicielce. Sprzedałam nawet tym ptasim

14 - Mesaliną główkom kilka takich, aż edyl mnie zatrzymał i wtrącił za tę niewinną spekulację na pół roku do więzienia.

Ach! Krotonie, Krotonie, ile cierpi się od tych przebrzydłych edylów, którzy pilnują moralności, jakby ją wzięli w pacht, a słudzy ich mają pretensje, żebym im moje dziewczęta oddawała darmo. To się nazywa sprawiedliwość! Bieduje się okrutnie przy tej wściekłej prawodawczej, która nie ogląda się na to, co się dzieje na dworze, a miesza się w sprawy domów publicznych, jak gdyby z nich płaciło się podatki za cnotę i miało się tutaj zachowywać, jak w świątyni Westy. Zarzuciłam nawet na długo czcigodne moje rzemiosło i zajęłam się pracą akuszerki: uwalniałam szlachetne damy od ciężaru, który mógłby zepsuć im linie brzucha brzydkimi fałdami. Ale i tu władze wtrąciły się bezczelnie. Prawodawca rzymski okazuje dbałość o to, co nie narodzone, chyba po to, aby było więcej głów do

skoszenia na wojnach i ścięcia mieczem katów. Wprawdzie kilka matron zmarło mi w ręku, ale cóżem ja, biedna, temu winna? Ziola warzyło się przy należytych modlitwach, przekłuć dokonywałam żelaznym haczykiem, który poświęcił mi sam kapłan Eskulapa, czyż odpowiadam za wolę bogów?! Wróciłam tedy do starego procederu. Ale zarabia się teraz miedziaki. Ach! Ta konkurencja... konkurencja! Przy tym ma się męża-pijaka...

Kroton znosił cierpliwie paplaninę starej, w nadziei, że to ułatwi mu targ, gdyż wiedział z doświadczenia, iż za udzielenie gościny „obcej”, zwłaszcza damie, starucha zedrze zeń opłatę wbrew taksie, jako że tego rodzaju usługa nie tylko nie wchodziła w jej obowiązki, lecz przeciwnie - narażała ją przed policją. Trwało to jednak przydługo - więc przerwał jej:

- Zamilcz!... Przyszedłem nie sam...

Dopiero teraz stara jakoby spostrzegła obcą. Nie po raz pierwszy szukały u niej chwilowego przytułku damy w masce. Zwróciła się ku nieznajomej - składając ukłony, rozpluwając się w pochlebstwach, trzepiąc fałszywie słodkim głosem.

- A, matronusia raczyła zaszczyścić mój domek? Jestem wdzięczna... gotowa do usług... zawsze... zawsze... Z pewnością jakaś ślicznotka, którą utrapił mąż-niedołęga, albo okrutnik. Ach! Te prawa małżeńskie... te prawa małżeńskie?! Żeby jeden mężczyzna brał na własność żyw kobietę! Cezarowie na wszystko pozwalają sobie, innym żyć nie dają.. Jakże to znosi wielki Jowisz? Jak zezwala na to Wenera?! Matronusi' przyszła pod maseczką, rozumiem! rozumiem!... Ale jeżeli zechce simożna zdjąć... Nic nie szkodzi... Ani ja, ani mój Korwus, pary z ust nie puścimy. I klientela dobrana, pierwszorzędna... Dyskrecja!... Nigdy nie było żadnego skandalu pod dachem Enotei, ni plotek w towarzystwie... Tu przysięga się sekretnie na ten znak, co wisi przed sienią mego domku!

Zaśmiała się i zatrzepała znowu:

- Proszę darować, że nie będą u nas do usług ancillae ornatrices, ani aquarioli, ani

bacario, ani villicus\*. Ja i mąż musimy wszystkich zastąpić... Bieda, paniusiu, bieda!... Edyl mnie ucisnął... nawet bufetu nie pozwala trzymać. Co robić? Nie możemy konkurować z eleganckimi domami sąsiadów... Za to czystość... czystość i pełna dyskrecja. Nie spotka tu pani tych chuchraków do niczego, ze sfer towarzyskich; odwiedzają domy sąsiednie. Nasz klient solidny... zdrow na psa urok... prima gatunek mężczyzny... Ot, jak ten kolos, którego pani sobie obrała... Winszuję!

Kroton przerwał:

- Przestańże pleść, trocino! Gadaj, masz pokój wolny?... I wiele żądasz?

- Ależ nie zedrę! Wiesz sam, kochanku... Syp na rączkę co masz... Bo z tobą,

Herkulesku, trza z góry... Wiem! wiem! Zakredytować ci, a zapomnisz!

Atleta sypnął jej na łapę garść miedziaków.

- Jeszcze! Jeszcze! Nie skapże tak. Matronusia tego warta. A i ja narażam kark!

- Starczy! - ryknął. - Spiesz!

- Bene! Bene! - Starczy!... Jeno uprzedzam: jeśli twoja dama tu dla zarobku z mojej

płacy nie ustąpię... Inna rzecz ze swoimi. Tam podział sumienny... według taksy. Ale obcej

musisz dać sam... jeżeli jej przyjemność nie wystarcza. Co innego, gdyby matroncia zostać

chciała u mnie... nie na raz z jednym... Albo przyjść częściej. Wtedy chętnie na procent...

podług umowy rzetelnej... A jakże! Uczciwością trzyma się każdy interes...

Mesalina nie słuchała tej paplaniny. Uwagę jej pochłoniął tygrys, łaszac się do niej.

Sam Kroton uderzony był, że jego towarzyszką zyskała trudną łaskę jego kociątka.

\* Służba publicznego domu: Ancillu ormairix pełniła usługi ubierania i rozbierania

kobiet, strojenia, pudrowania, różowania. Aquario!i przynosili wino i chłodzące napoje.

Bacario podawał wody dla higienicznych obmyć. Yillicus był kasjerem, (przyp. aut.)- Masz

szczęście - rzekł do niej. - Nie każdemu kociak mój da się pogłaskać.

Mesalina miała wrażenie, że tu, w tej budzie, Rzym w postaci tygrysa słał się do jej stóp.

Ea zniecierpliwiła się:

- Czyń swoje, babciu! Dajże spokój tym dwojgu, skoro zapłacono ci. A potem i my pogadamy ze sobą. Cały mój zarobek odstąpię ci.

- A! to mi się podoba! - cmoknęła stara. - Korwus! Rusz się, bydlę... Usłuż państwu...

Daj pokój na górze... Najlepszy, dla znakomitych gości...

Kopnęła nogą człowieka, śpiącego na trzciniowym pościeliu w kącie. Krępe, zwinne, jak żbik, indywiduum porwało się z miejsca - zaklęło:

- Choroba! - po czym zaraz: - Służę!

Poprowadził Mesalinę i Krotona przez korytarz, na który wychodziło mnóstwo drzwi.

Wisiały na nich tabliczki z napisami: „nuda” lub „ocupata” \*, a obok wypisana była taksa płać za usługi Wenery.

## Rozdział XXXVIII

### Metamorfoza

U drzwi zamkniętych legł tygrys...

Stanowił straż pełną dyskrecji, bo zamknął ślepią... Zresztą poziewał. To, co zająć miało, nudziło go. Było rzeczą ludzką, arcyłudzką, a zarazem zwierzęco powszednią.

Mesalina nie zdążyła jeszcze rozejrzeć się w tej ciupie, ocenić, że ten „najlepszy” numer był brudny; ledwo pseudoczysty z uwagi na lepszą klientelę, której nie godziło się odstraszać. Nie zdążyła zorientować się, bo już ręka Krotona sięgnęła do jej twarzy, zerwała maskę - huknął jej w uszy wesoły śmiech i krzyk radosny:

- Ależ masz ładną gębę!

Po czym potężne łapy dźwignęły ją w górę, jak piórko... Uniosły... Rzuciły na łożo...



Uczuła się ciśnięta, jakoby w głąb morza... Pociemniał

\* „Wolne” lub „zajęte”, (przyp. aut.) jej w oczach... Zapulsowały skronie... Serce biło lękiem i oczekiwaniem rzeczy niepojętych... Jakoby zatracala świadomość - bo coś runęło na nią, niby waląca się fala morska podczas kąpieli... Nazbyt cierpliwy był dotąd Kroton, pozwalając wypaplać się starej, iżby w tej chwili chciał jeszcze tracić czas na zaloty. Zresztą może w ogóle nie uznawał sztuki długich zalecanek, nie tylko w tej sytuacji, ale w ogóle w stosunku z płcią niewieścią. Był zdania, że kobiety zbyt się drożą w rzeczach prostych i wymagają za wiele ceregieli tam, gdzie winny z nakazu natury współdziałać męskiej woli. Przy tym był dumny z siebie, ze swego zdrowia, ze swojej potęgi, godnej jego Jowisza w postaci byka...

Ona zaś się poddała tej brutalnej namiętności, oszołomiona, zdziwiona nowością wrażeń, których, acz była mężatką, nie zaznała. Cezar był wstrętnym dręczycielem. Piękny atleta pozwolił jej zapomnieć, iż była Cezarową... W obojgu mówił instynkt elementarny, który niszczy różnicę rang, stanowisk światowych, psychiki... Może tak samo się dzieje, gdy wybucha pożar na okręcie i lęk miota ludźmi, pędząc ich ku zbawczej szalupie: jeno wyjątkowi ustąpią wtedy miejsca innym, wolą być zdeptani, niżli deptać. Albo dzieje się podobnie, gdy długi głód złamie rozbitków na wyspie i ocaleni ujrzą pierwszy kęs chleba; trzeba czuwać nad nimi, bo gotowi są rzucić się na jadło w zapamiętaniu - rzadko który nie traci wówczas oblicza ludzkiego i może się powściągnąć.

Mesalina była wygłodzona...

To, co w nadużyciu jest powszednią zabawką - co w rozpuście bywa próżnym poszukiwaniem przeminionej rozkoszy - co w małżeństwie dla rozplodcy jest ledwo przyjemnym, uczciwie spełnionym obowiązkiem, a niekochającej żonie bywa wstydem, bólem, przykrością, nudą, poświęceniem - co delikatnej miłości jest wstydliwą tajemnicą,

wiecznie dziwiącą niespodzianką, przerażeniem rozkosznym upadku duszy w przepaść  
zmysłów - co nosi tysiąc masek, narzuconych przez obłudę społeczną, i kryje się pod piękną  
zasłoną, nakazaną przez szlachectwo kultury miłości - co mądrość poetów w zgodzie z  
mądrością nauki - tamta we wzlocie ekstazy, ta w tajnikach źródeł życia - nazwie jednak  
misterium - tu... tu było misterium!

Dla niej! - nie dla Krotona.

On był po prostu samcem...

Ona jeszcze nie była samicą...

Bo z głębi jej łona - poprzez ciężkość oddechu i naprężenie nerwów - pod tą wściekłą  
falą biorącej ją na własność chwilową namiętności - jakiś krzyk wydierał się z jej duszy:-

Lucjusz! Lucjusz!

A w tej pomyłce - lub w chęci błędu - w tym wołaniu rozpaczy poprzez rozkosz - w  
tej niezgodzie na bezindywidualność aktu - poprzez tę okrutną fizyczność - w tym wezwaniu  
funkcji życia do cieniów śmierci - drżała dusza kobieca.

- Lucjusz! Lucjusz!

- Milcz! - krzyknął groźny głos tuż nad jej uchem - nie lubię, kiedy się gada w takiej  
chwili!

- Luc...

- Cicho!... nie jestem Lucjusz.

- Lucju...

- Milcz!... Jestem Kroton! Rozumiesz?

Uczuła nagle bolesne uderzenie pięścią między oczy... Na chwilę straciła  
przytomność...

A gdy powróciła do świadomości - już uczuła się podwładną woli mężczyzny, który ją

posiadł... Imię „Lucjusz” spadło gdzieś w przepaść duszy - zgłuchło, zagasło... Wiedziała, że Kroton jest jej panem... I była rada, że... uwolnił ją od jej męki - od zmory, od wspomnień o Lucjuszu, które wiązały się boleśnie z pamięcią o Klaudiuszu... Nie jest cesarzową - nie ma przeszłości - tu w lupanarze, wbrew Cezarowi, wbrew wszystkim mocom losu, należy do człowieka, który ją... bije. Bo ona jest jego rzeczą - i chce być rzeczą! Albowiem rzecz nie myśli i nie cierpi...

Teraz była samicą!

Rodziła się Mesalina!

Aż samiec znudził się...

Tak!... On pierwszy... Lub tylko on sam!

Atleta dbały o siebie... - mężczyzna krzepki, ale szanujący swoje zdrowie - zwierzę męski nasycony - przygodny kochanek, odrzucający wzdorliwie już zbędną zabawkę!

Wreszcie ten, co opłacił godzinę w lupanarze i prawa swoje skonsumował. Więc odchodzi...

- Zostań jeszcze!
- Oszalałaś!
- Chwilkę jeszcze!
- Nienasycona jesteś! Chcesz zrujnować moje zdrowie. Szermierz umie się oszczędzać...
- Odchodzisz? Uściśnij!... Jesteś piękny!
- Nie!... Nie zostanę... jesteś niebezpieczna... Dość, dość!

Wyciągnęła ręce ku niemu...

Ale nie ruszył się ku niej.

- Instatiata!\* - mruknął...

Za chwilę on i tygrys zniknęli za drzwiami...

Zamiotła się gniewnie na pościeli...

Nie rozumiała, co się z nią dzieje... Jad rozkoszy wniknął w jej ciało... poruszył wszystkie fibry... teraz udręczał ją nienasyconym pragnieniem...

Co to było?...

Czy wzburzyła się w niej krew zepsuta Domicjuszów? Może tkwiła w niej dawno choroba, kryjąc się pod wszelkimi maskami cnoty? Czy nie przed tą chorobą chciała zbiec do czystości Westalki? A teraz... to zetknięcie się! Iskra namiętności brutalna padła na nią - zapaliła wszystko... obudziła śpiącą chorobę - nienasyconość żądz! \*\*

## Rozdział XXXIX

Petroniusz

Enotea zapukała...

Nie czekając odpowiedzi, weszła.

Znalazła Mesalinę z zaciśniętymi pięściami - z głową wtłoczoną między poduszki - kryjącą łzy. Wyrwało się jej:

- Dlaczego ten człowiek odszedł?

- Matronusiu! - zapiszczała stara.

- Co takiego? - zwróciła się ku niej cesarzowa.

- Tu jest bardzo sympatyczny młodzik... Elegant. Bardzo porządny człowiek...

obywatel. Mogę go wpuścić?

Mesalina patrzyła na nią oczami rozwartymi zdziwieniem.

- Co takiego?!

- Dobrze zapłaci!

- Cha! Cha! Cha!

\* Nienasycona, (przyp. aut.)

\*\* Et lassata viris nondum sal im a recessit - brzmi wiersz Juwenalisa o Mesalinie

(przyp. aut.) Ale nie ruszył się ku niej.

- Instatiata!\* - mruknął...

Za chwilę on i tygrys zniknęli za drzwiami...

Zamiotła się gniewnie na pościeli...

Nie rozumiała, co się z nią dzieje... Jad rozkoszy wniknął w jej ciało... poruszył wszystkie fibry... teraz udęczał ją nienasyconym pragnieniem...

Co to było?...

Czy wzburzyła się w niej krew zepsuta Domicjuszów? Może tkwiła w niej dawno choroba, kryjąc się pod wszelkimi maskami cnoty? Czy nie przed tą chorobą chciała zbiec do czystości Westalki? A teraz... to zetknięcie się! Iskra namiętności brutalna padła na nią - zapaliła wszystko... obudziła śpiącą chorobę - nienasyconość żądz! \*\*

Enotea zapukała...

Nie czekając odpowiedzi, weszła.

Znalazła Mesalinę z zaciśniętymi pięściami - z głową wtłoczoną między poduszki - kryjącą łzy. Wyrwało się jej:

- Dlaczego ten człowiek odszedł?

- Matronusiu! - zapiszczała stara.

- Co takiego? - zwróciła się ku niej cesarzowa.

- Tu jest bardzo sympatyczny młodzik... Elegant. Bardzo porządny człowiek...

obywatel. Mogę go wpuścić?

Mesalina patrzyła na nią oczami rozwartymi zdziwieniem.

- Co takiego?!

- Dobrze zapłaci!

- Cha! Cha! Cha!

\* Nienasycona, (przyp. aut.)

\*\* Et lassata viris nondum satiata recessit - brzmi wiersz Juwenalisa o Mesalinie

(przyp. aut.)- Może się matroncia nie bać. Jużem go rozpytała. Jest obcy w stolicy. Na pewno nie zna matronci. Nie potrzeba nawet kłaść maski. Wpuszczę go, dobrze? - skamlała.

- Wpuść!

Powstała z łoża. Nie włożyła maski. Niechaj dzieje się, co chce!

Ten, który wszedł, spodobał się jej od razu.

Oddał jej ukłon pełny szacunku. Może w tym ukłonie tkwiła ironia poniżenia się do poniżonej - może narów uprzejmości dla wszystkich zgoła - może hołd dla piękna, które oślepiło go... Wziął ją za obie ręce - i wpatrzył się z zachwytem w jej zielone oczy, jakby patrzył w zwierciadlaną głęb jeziora.

- Szukam cię od godziny, moja ty uliczna Wenero.

- Mnie?! Skąd znasz mnie?

- Gdyś zrzuciła szaty na Forum, miałem wrażenie, że atlas twojej skóry jest rozżarzoną białością. Iskra od niej wpadła mi przez oczy w serce i kazała mi cię szukać.

- Jednakże nie poszedłeś za mną zaraz?

- Nie!... Wziął cię bowiem ten atleta, który miał na domiar tygrysa ku pomocy.

Młodość moja odbiłaby cię chętnie innemu, ale jestem mędrcom, malutka! - uśmiechnął się. -

A prawdziwa mądrość ustępuje sile. Myślałem, że iskra przepali się, ale żgała mnie tęsknotą.

Zwiedziłem wszystkie zaułki Veneris Obscurae, napotkałem wreszcie tego, który miał, niestety, prawo pierwszeństwa, tęsknota moja poprosiła go o wskazanie ciebie w tym labiryncie rozkoszy.

- Było tyle innych kobiet, aby cię ukoić.

- Ach! Nie mów mi o nich... Gdybym był Cezarem, kazałbym ćwiczyć kobiety, które nagością swoją obrażają oczy. Są one nie mniej nudne, niż matrony!

- Nie rozumiem...

- To jest jednak proste!... Jedne dokuczają rozpustą, inne urzędową cnotą. Gdybym był Cezarem, kazałbym ćwiczyć także kobiety cnotliwe, które, jeżeli są piękne, grzeszą przeciw Wenerze, obnażając się jedynie przed mężami, nieraz posiadającymi jeszcze mniej smaku, niż ma go ordynarny plebs!

Bawił ją niezmiernie. Miał oczy niezwykle, rzadkie u południowca, błękitne, przy bujnej czerni włosów, co stanowiło kontrast przedziwny. Zdawał się mieszańcem krwi jakiegoś wodza Germanów z najdostojniejszą krwią Italów. Rysy twarzy ściągłe, subtelne, wprawiałyby w zachwytrzeźbiarza, poszukującego wzorów dla Apollina. Ruchy zdradzały więcej niż arystokryzmu pochodzenia, raczej jakiś smak przyrodzony: układ togi, sposób zarzucenia jej przez ramię, wszystko to uderzało wdziękiem swoistym, wydawało się i wynikiem długich studiów przed lustrem, i wyborem trafnej intuicji. Nade wszystko zaś dziwił błędzący ustawicznie w kątach świeżych, cienkich ust sardoniczny uśmiech, tak nie licujący z twarzą, której nie tknęła jeszcze brzytwa, bo dotąd wiek młodociany nie dobył z niej ani jednego włosa - znamienia męskości.

- Oho! - rzekła. - Widzę, żeś okrutny. Oćwiczyłbyś świat cały?

- To znaczy: nikogo! Bo skoro cały świat godzien byłby oćwiczenia, a wszystkich oćwiczyć niepodobna, to darowałbym karę wszystkim... Żartowałem!

- Rozumujesz mądrze w żartach. Wolno wiedzieć, ile masz lat?

- Wolno!... Osiemnaście.

- A nazywasz się?

- To jest zbędne dla tego, co chcemy tu razem czynić.

- Nie spieszysz się z tym jednakże.

- Bo czekam, aż stara przyniesie wino. Człowiek, który zamierza być bydlęciem, musi wprzód się nieco oszołomić... Zresztą sam wykwinł rozkoszy wymaga przygotowań... Nie masz chyba nic przeciw temu, że traktuję cię, jak... damę?

Porwał ją śmiech:

- Jesteś przemiły! To mi pochlebia.

Stara wniosła wino. Czekwała.

- Odejdź! - rzucił rozkazująco.

Pokazała palcem na rozwartą dłoń drugiej ręki.

- Potem!

Nie ruszyła się z miejsca.

Zmarszczył brwi.

- Psujesz mi złudzenie!

Ujęła się pod boki. Wrzeszczała ordynarnie:

- Znamy takich paniczów, co to okradają nawet prostytutki! Albo gotówka, albo zaraz fora ze dwora!

Zagryzł wargi - podniósł pięść, jakby ją chciał uderzyć. Ale opanował się. Sięgnął do sakiewki. Mrużył oczy:

- Przepraszam cię, dostojna pani. Nie znałem obyczajów twego lupanaru - cedził z uśmiechem.- U mnie z góry: za wino i pokój... i jej - wskazała Mesalinę - należy się za czas... To wyniesie...

Nie dał jej dokończyć:

- Razem... za wszystko!

Rzucił w powietrze parę grubych sztuk złota.



Pochwyciła je zgrabnie. Jej twarz ohydna rozpromieniła się chciwym uśmiechem.

Zginała się w wielokrotnym ukłonie:

- Przepraszam - bełkotała - ale... my tu nie możemy inaczej... Plebs płaci uczciwie...

ale arystokratyczna młodź obdziera nieraz... przychodzą bez grosza. A procesować się z nimi

u edylów, to wymiotą na łeb, na szyję. Takie nasze rzemiosło!... Nie ma sprawiedliwości w

Rzymie!

Tupnął nogą. Wskazał jej drzwi:

- Wynoś się, stara suko!

Cofnęła się, zgięta w ukłonie.

Młody człowiek rozlewał drżącą nerwowo ręką wino w kielichy. Śnać był wzburzony.

Czynił przecież wysiłek, aby rozpogodzić się znowu uśmiechem. Mruknął jakby na

usprawiedliwienie:

- Nie znałem obyczajów twojego lupanaru.

- Jak się nazywasz? - powtórzyła pytanie, które pozostawił bez odpowiedzi.

- Pij!

- Chcę wiedzieć wprzód imię twoje.

- Chcesz?... To dumnie! - zdziwił się.

- Nie wypiję, póki nie powiesz.

Wparł w nią oczy.

- Gardzisz prostytutkami... a chadzasz do nich!

Namyślał się przez chwilę.

- Petroniusz! No, teraz trąćmy się kielichami... I chodź tu bliżej.

Wyciągnął ręce ku niej - wziął na kolana.

Objęła go za szyję - pieszczotą rozwichrzyła mu włosy.

Pili, mieszając śmiech ze śmiechem.

- Czemu nie powiedziałaś imienia swego od razu? Brzydziłeś się mną, nieprawdaż?

- Kto brzydzi się piękną kobietą?! Półgłówek! Wolę ciebie, niż te skromnisie, które miary nie znają w ceregielach przy sprawach tak prostych. Przesadzają w cnocie! Posiada ona zapewne cel dostojny, zaprawia rozkosz słodczą przewycięzonego oporu kobiety. Ale nie powinna wykaczać z granic, poza którymi babskość zabiera powadzemęskiej czas potrzebny do czynów, lub studiów fantazji. Kobiety są nieznośne, gdy ulegają zbyt późno...

Mówił to wszystko z dużą dozą popisywania się, z tą kokieteryą, która jest właściwa młodości genialnej, przeczuwającej już swoje prawo do zagórowania w świecie, a nie posiadającej jeszcze umiaru, który nie każe trwonić skarbów ducha przed wszystkimi zgoła. Lubował się zanadto w pięknie swych słów i bogactwie swoich paradoksalnych myśli, aby zastanawiać się, przed kim i gdzie mówi.

Czyż bowiem nie należy być krasomówczym zawsze? I nie jest rozkoszą - ubrać myśl subtelną w dźwięczne słowo, choćby padło niezrozumiane. „Jest to rodzaj ćwiczenia, przyda mi się na później!” - myślał.

Przy całym swoim zarozumieniu zachwycił ją. Wiało odeń urokiem wiosny. Toteż wpiła się w jego usta chciwymi wargami, wołając: „Błuźnisz cnocie, dzieciaku! Zamknę ci usta pocałunkiem”. I naraz przestało istnieć dla niej „wczoraj” - nawet „dziś”. Była chwila oszałamiającej nowości - zatrata własnego „ja” w swobodzie zmysłów. Kroton szczeł, jak cień. Był tylko Petroniusz! \*

Nie wiedziała, kiedy ją podniósł na łoże, kiedy zatoneła w jego mocnym objęciu, poddana męskiej woli i swemu pragnieniu niepodzielnie.

- Czemuś nie wymienił swego nazwiska od razu? - uparła się przy tym pytaniu w chwili wspólnego odpoczynku.

- Bo jest to imię, należące również do mego ojca, czciwego starca, trochę zdziwaczałego na roli, w oddali od stolicy. On nie szastałby go z prostytutkami! Zresztą wiedz, że ja też nie jestem amatorem lupanarów. A jeżeliś ty mnie tu ściągnęła, to dlatego, że... jest w tobie coś wyjątkowego... Nie umiem rzec, co... Ale coś jest! Wartaś lepszego losu, na Wenerę! ‘

- Mój Petroniuszu!

- Nie nazywaj mnie tak! - rzucił nieco ostro.

- Oho! Czemu?... Tak mocno gardzisz prostytutką, że chcesz być pieszczony

bezimiennie! - śmiała się do rozpuku, rozbawiona jego pomyłką i figłem własnym, który z błędu czynił rzeczywistość.

- Nie! nie!... Nie gardzę. Ale to imię... Et! Nie zrozumiesz tego. Nie powinno być wymawiane zbyt łatwo.

Oderwał się myślą od niej - od tego łoża nikczemnego - przeniósł się wspomnieniem do domu - do dzieła, które rozpoczął był w latachszesnastu, którego kreślony strasznie rękopis zostawił w skrytce, w swoim pokoju. Miało bowiem wyjść w świat dopiero w lat wiele później, gdy dojrzeje do stopnia arcydzieła, przejdzie stylem mistrzów epoki, może przyćmi nowością tonów muzy Wergila, Horacego, Owidiusza. Ucztą Trymalchiona, przerabianą ciągle, mglistą jeszcze w zamyśle, jeszcze wyczekującą doświadczeń wieku dojrzałego, poznania obyczajów wielu krajów i ludów w rozległym imperium, bliskości autora z dworem i wzorów satyrycznych z błazeństw Nerona - genialny młodzieniec zamierzał „rzucić imię swoje na szlak pamięci nieskończonych wieków!” Tedy dodał:

- Szanujmy imię, któremu za ciasno jest w lupanarze. Wszakże i ja nie spytałem o twoje.

- Imię prostytutki? - roześmiała się. - Niegodne pamięci...

- Kto wie?... Może i godne. Któż bo godności rozdaje? - zauważył z ironią, czy też przez uprzejmość. - Ale są chwile, kiedy... nie ma imion, rang, tytułów... kiedy jesteśmy tylko ludźmi, tj. zwierzętami, równymi sobie wzajem. Jesteś „rozkoszna”, oto imię twoje!

- A twoje... arbiter elegantiarum!

- Wiesz?... To myśl! Wprawdzie na to miano prędzej zasłużyłby mój stryj prokonsul.

Ale że on jest moim ideałem, zatem... jesteś mądra, nie tylko rozkoszna... Znasz się na ludziach!

- I ty, mój mędrco, jesteś rozkoszny...

- Milczmy teraz, bo...

Z okiem utkwionym w ordynarnie malowany sufit leżał Petroniusz obok Mesaliny, która rozmiotła się na pościeli z powiekami przymkniętymi, jakby wypoczywająca omdleniem rozkoszy. On śledził odrapany i zakurzony bohomas na suficie, przedstawiający podług zamysłu jakiegoś rzymskiego partacza „zabawy Flory”: była to cała wystawa nagości kobiecej i męskiej w przeludnionym cyrku, napacyfikowana niedołącznie, bez perspektywy, ale odpowiednio do taniości roboty.

Petroniusz roześmiał się.

- Z czego się śmiejesz?

- Z Katona.

- Co za Katon? - udała nieświadomość.

- Moralista, kochanie! Surowy, jak mój ojczulek. Nie! Surowszy. Spójrz na te „loreales” na suficie! Igrzyska na cześć bogini sadów, nieprzystojne w naturze, ale mniej bezczelne, niż malarz, które je tak spaskudził. Zamknął oczy i nagle jął mówić, jakby do siebie:

- Rzym, jeszcze pasterski i skromny, lubował się już w tej nowince, zaniezionej do nas

od Sabinów. Późniejsza republika nie brzydziła się nimi... Podczas tego święta kurtyzany, poprzedzane przez trębaczy, wchodziły na arenę. Odrzucały bogate szaty... pokazywały ludowi wszystko z siebie, co dało się pokazać. Bo zostawiały na ciele tylko naszyjniki i bransolety. Biegały, tańczyły, skakały, walczyły ze sobą, wykonywały gesty lubieżne, które do oklasków i namiętnych okrzyków pobudzały widzów, jednako mężczyzn i kobiety... Potem wpadała na arenę gromada nagich młodzieńców i rozpoczynały się orgie, które mogłyby przynieść honor... bydlętom.

- Ale co ma z tym wspólnego... Katon?

- Ach, tak! Mówiłem o Katonie... Otóż to wspólnego, że... kiedyś, naiwny, przyszedł na początek igrzysk w mniemaniu, że zdoła zapobiec bezwstydom. Trąby zamilkły... arena opustoszała. Lecz tłum, acz poważał siwe włosy wielkiego starca, dał mu szemranie poznać, że psuje zabawę. Katon pojął, że jest... najnieprzyzwoitszy ze wszystkich, togą zakrył oblicze i wyszedł. Po czym dano sygnał do uciech...

Mówił to wszystko, dobierając starannie wyrazów, z potocznością pilnego ucznia retorów.

- Dużo umiesz!

- Czytam wiele, aby zrozumieć wszystko, lub... wszystko ujrzeć niezrozumialszym!

- Mówisz dziwnie.

Zamyślił się...

Naraz ożywił się:

- Widzisz!... Powiedziałaś, że gardzę prostytutką. Co za nonsens! Gardzić prostytutką?

Kto w Rzymie posiada do tego prawo?!... prostytutka jest zasadą wieczną istnienia społeczeństw ludzkich... Będzie zawsze... Zawsze była!... Gdybyś czytała stare kroniki, wiedziałabyś...

Roześmiał się na całe gardło:

- Twój lupanar jest Rzymem w miniaturze, bo... cały Rzym jest wilczyńcem! Słuchaj!

Wilczyca, która wykarmiła Romulusa, była po prostu nierządnicą, popularną na brzegach Tybru. Zwała się Akka Laurentia. Na jej cześć urządzono po jej zgonie święta lupercales.

Senat zakazał tych świąt sprośności, starał się zatrzeć pamięć o nierządnicy... Przeto stworzono legendę o wilczycy... ale nierządnica lupa wyłazi wciąż spod maski... I nie dziw! Rzym, przyjmawszy spadek po nierządnicy Florze, z którą ożenił się najbogatszy z patrycjuszów, Terucjusz, nosi we krwi klątwę jej złota!

Nagle głos jego spoważniał. Zauważył:

- Zresztą należy rozróżniać... Distingue, mała! Kto wie!... może ta dawna święta prostytutka, którą przejęliśmy ongiś od czcicieli egipskiej Izydy... kiedy dziewczęta ofiarowywały dar swej niewinności cudzoziemcom za pieniądze, składany przez nich bogom lokalnym w ofierze, była czymś szanownym, bo łączyła się z ekstazą nabożności, z wiarą w służbę bóstwom, z uprzejmością dla obcych gości, z ich czcią dla bogów ziemi, do której przybyli... A dzisiejsza prostytutka....Ach! Jest to rzemiosło, które znajduje się w upadku... i coraz bardziej podleć będzie. Przyszłość prostytutki widzę w kolorach bardzo ciemnych... i cnoty także! - dodał.

Usta jego krzywiły się szyderczo, ale oczy, dziwnie melancholijne, nie brały udziału w tym uśmiechu...

Powstał z łoża.

- Jak to?... Odchodzisz! Już?

Roześmiał się:

- Jesteś miła, że mnie zatrzymujesz... Ale znajdziesz dość tych, co mnie zastąpią.

- Nie chcę... chcę ciebie!

- Ba! Nie spodziewałem się w lupanarze wiecznej tragedii zbliżenia się mężczyzny z kobietą.

- Jakiej tragedii?

- Zapamiętaj sobie mój wiersz:

Nigdy mąż się nie zejdzie z niewiastą... Bo ona - oporna, Kiedy żądza go trawi... Gdy on jest u kresu rozkoszy, W niej się źródło pragnień otwiera... A taka niezgodność Męskich odechceń i zachowań niewieścich jest bogów pomyłką...

- To okrutne!... Więc odchodzisz?

- Muszę... Czym świt, odjeżdżam. Mój stary jest pedantem ni mniejszym niż Katon...

Winienem stanąć jutro przed nim w Tus kulanum po długiej wyprawie z twarzą wyspaną.

Gdyby spostrze sińce pod moimi oczami i odgadł, gdzie spędziłem noc w Rzymie miałbym się z pyszna!

- Są jeszcze tacy ojcowie?

- Na głębokiej prowincji, kochanie!

Rozdział XL

Liziska

Wtem do drzwi zakołatano gwałtownie.

Petroniusz zerwał się. Mesalina, struchlawszy, usiadła na łożu.

- Co tam? - krzyknął.

Spoza drzwi ozwał się skrzeczący głos Enotei:

- Pan Mnester niecierpliwi się... Czeka pana.

- Powiedz mu, że zaraz będą gotów! - rzekł, uchyliwszy z lekka drzwi.

Jał układać fałdy togi.

- Kto to? - spytała Mesalina.

- Przyjaciel mój, aktor Mnester, z którym zaznajomiłem się w drodze. Przybywa z

Miletu na gościnne występy w Rzymie. Geniusz, cudowny człowiek, który olśni stolicę...

Ulubieniec kobiet!

Nie zdążyła odpowiedzieć. Do pokoju wpadł mężczyzna w średnim wieku w

błyszczącej srebrnymi naszywkami tunice, z przepaską złotą we fryzowanych kędziorach, o

twarzy wymalowanej, uśmiechniętej, nosie greckim, błyszczących weselem pięknych i

sprytnych oczach. Miał pierścienie na palcach, bransolety na kształtnych nogach,

szmaragdowe zapinki na sandałach. Wniósł ze sobą zapach doskonałych perfum.

- Na Herkulesa! Guzdrzesz się za długo, Petroniuszku.

I zwrócił się ku osłupiałej tym najściem Mesalinie:

- Przepraszam dostojną służebnicę Wenery... Sądzę, że nie przeszkodziłem. Za długo

bawił tu Petroniusz...

Sięgnęła ku poduszce, szukając maski w przerażeniu niepomma, gdzie ją położyła.

Słynny aktor grecki - wiedziała o tym - miał na zaproszenie Klaudiusza stawić się u dworu.

Gdybyż ją poznał!

Ale los szczęśliwy niespodzianie wybawił ją z kłopotu.

Aktor naraz klasnął w ręce i jał śmiać się wesoło:

- Lizisko! - zawołał. - Na Apollina, ona!... I żywa we własnej osobie! Złożę barana ze

złożonymi rogami na ofiarę Wenerze w podzięcie, żeś tak wybornie okpiła te barany z Miletu!

Ot, gdzieś się schowała w Rzymie!

Mesalina uśmiechnęła się, nic nie rozumiejąc, ale zgadując, że niebezpieczeństwo

cudem minęło. Aktor zwrócił się do zdumionego tym oryginalnym powitaniem Petroniusza i

śmiejąc się ciągle, trzepał:

- Wyobraź sobie, Petroniuszu, co za kawał urządziła Miletowi ta ładna dziewczka! Całe



miasto oplakuje umarłą, a ona tu gzi się w lupanarze Enotei. Przypatrz się jej dobrze...

Mówią, że jest kubek w kubek podobna do naszej Augusty. Nie widziałem Mesaliny, ale sądząc z jej wizerunków, na Hekate! Figiel czarownic chyba spłodził takie podobieństwo!

Więc nie utopiłaś się?... Więc wysłańcy Narcyza nie zadźgali cię?... Cha! cha! cha!

- Jak widzisz, żyję! - rzekła Mesalina, już opanowawszy sytuację, tak szczęśliwie układającą się dla niej.

- No! no! Słuchaj Petroniuszu, to po prostu mit, z którego Ajschylos zrobiłby tragedię, a Arystofanes farsę. Bacz, co za dziwy... Liziska zdobywa sławę podobieństwa do cesarzowej. Wenera vulgivaga ma rysy Diany na tronie. Rzymianie, przybywający do Miletu, tłoczą się do lupanaru oglądać cud sobowtóra. Miejscowi porównują posągi z żywym obrazem. Idzie szept o tym... staje się coraz głośniejszy. Poeta Sewerus, ongiś sąsiad Mesalów, przybywa do Miletu obejrzyć cud. Lizisko! - zwrócił się aktor do cesarzowej - stajesz się najbardziej pożądaną z kobiet lupanarów cesarstwa... nieprawdaż? Twoja gospodyni robi na tobie świetne interesy... Ty nie dbasz o denary... Wyobraź sobie - zwrócił się znów do Petroniusza - ta mała zakochuje się na zabój w Sewerze. Poeta jest jej codziennym gościem (Eurypidesie! wrogu kobiet, jakąż dramę stworzyłbyś na ten temat!) i nie bierze jej... płaci wstęp... wpatruje się w nią, ale nie tyka jej. Każe jej milczeć, nie psuć mu złudzenia. Jest dla niego Mesaliną. Chłopak jest ładny... Liziska cierpi, nie wolno jej rzec słowa... Pewnego dnia daje policzek Sewerowi i ucieka z lupanaru... Gdzie jest? Co się z nią stało?! Gospodyni szuka, klienci tracą głowę... Chodzą pogłoski, że utopiła się, jak Safo... Inni, podając się za bardziej wtajemniczonych, twierdzą uparcie, że siepacze z Rzymu wysłańcy Narcyza, zgorszonego skandalem... dawno czyhający na sposobność, pochwycili ją gdzieś w ślepej uliczce, zakłuli i utopili w zatoce.. CapistP. A ona sobie tu prosperuje... Cha! cha! cha!

Przysiadł. Petroniusz milczał, wpatrując się teraz z podwójną ciekawośćią w przepiękną twarz zmieszanej kobiety. Mesalina pożerała oczą ślicznego aktora, który ocalał jej eskapadę nocną, maskę czyniąc zbyt dużą. Kiwając głową, poruszając się z żywą gestykulacją, która wskazywał w nim wytrawnego aktora, przyzwyczajonego wciąż grać, tak w życiu jak i na scenie - zwrócił się do niej. Aktor zwrócił się do zdumionego tym oryginalnym powitaniem Petroniusza i śmiejąc się ciągle, trzepał:

- Wyobraź sobie, Petroniuszu, co za kawał urządziła Miletowi ta ładna dziewczka! Całe miasto oplakuje umarłą, a ona tu gzi się w lupanarze Enotei. Przypatrz się jej dobrze... Mówią, że jest kubek w kubek podobna do naszej Augusty. Nie widziałem Mesaliny, ale sądząc z jej wizerunków, na Hekate! Figiel czarownic chyba spłodził takie podobieństwo! Więc nie utopiłaś się?... Więc wysłańcy Narcyza nie zadźgali cię?... Cha! cha! cha!

- Jak widzisz, żyję! - rzekła Mesalina, już opanowawszy sytuację, tak szczęśliwie układającą się dla niej.

- No! no! Słuchaj Petroniuszu, to po prostu mit, z którego Ajschylos zrobiłby tragedię, a Arystofanes farsę. Bacz, co za dziwy... Liziska zdobywa sławę podobieństwa do cesarzowej. Wenera vulgivaga ma rysy Diany na tronie. Rzymianie, przybywający do Miletu, tłoczą się do lupanaru oglądać cud sobowtóra. Miejscowi porównują posągi z żywym obrazem. Idzie szept o tym... staje się coraz głośniejszy. Poeta Sewerus, ongiś sąsiad Mesalów, przybywa do Miletu obejrzeć cud. Lizisko! - zwrócił się aktor do cesarzowej - stajesz się najbardziej pożądaną z kobiet lupanarów cesarstwa... nieprawdaż? Twoja gospodyni robi na tobie świetne interesy... Ty nie dbasz o denary... Wyobraź sobie - zwrócił się znów do Petroniusza - ta mała zakochuje się na zabój w Sewerze. Poeta jest jej codziennym gościem (Eurypidesie! wrogu kobiet, jakąż dramę stworzyłbyś na ten temat!) i

nie bierze jej... płaci wstęp... wpatruje się w nią, ale nie tyka jej. Każe jej milczeć, nie psuć mu złudzenia. Jest dla niego Mesaliną. Chłopak jest ładny... Liziska cierpi nie wolno jej rzecz słowa... Pewnego dnia daje policzek Sewerowi i uciek z lupanaru... Gdzie jest? Co się z nią stało?! Gospodyni szuka, klienci tracą głowę... Chodzą pogłoski, że utopiła się, jak Safo... Inni, podając się za bardziej wtajemniczonych, twierdzą uparcie, że siepacze z Rzymu wysłańcy Narcyza, zgorzonego skandalem... dawno czyhający na sposobność, pochwycili ją gdzieś w ślepej uliczce, zakłuli i utopili w zatoce.. CapistP. A ona sobie tu prosperuje... Cha! cha! cha!

Przysiadł. Petroniusz milczał, wpatrując się teraz z podwójną ciekawością w przepiękną twarz zmieszanej kobiety. Mesalina pożerała oczami ślicznego aktora, który ocalał jej eskapadę nocną, maskę czyniąc zbyt

Kiwając głową, poruszając się z żywą gestykulacją, która wskazywała w nim wytrawnego aktora, przyzwyczajonego wciąż grać, tak w życiu jak i na scenie - zwrócił się do niej.- Pamiętasz wiersz, Lizisko, który Sewerus napisał do ciebie? Cały Milet śpiewał to... oczywiście cichaczem, aby pieśń nie doszła do uszu policji.

I nie czekając odpowiedzi, stanął pośrodku pokoju, a położywszy jedną dłoń na sercu, drugą rozpostartą wznosiłszy ku górze, jął deklamować:

Dlaczego twoja twarz, Z lupanaru Lizisko, Smutnej duszy mej jest bliską Mesaliny darczym wspomnieniem?!...

Skąd jej rysy masz - Jesteś nią, czy jej cieniem?!...

Mesalina, czy Liziska?! - Dziwna myśl mi błyska, Gdy poglądam w twoje lico.

Czarująca nierządniczo!...

Że od martwej tyś jest żywsza - Jesteś czystsza i prawdziwsza!...

Skąd szłaś sprośny, bezustanny, Mógłby lica mieć Dyjanny?!...

Czy nie przeto dźiać się mogą te dziwa.

Że, Lizisko - mógłbym na to przysiąc - Choć lubieżnych rąk tysiąc

Do nierządu cię zmusza - Jesteś w brudzie jednako cnotliwa, Jako tamta... w objęciach  
Klaudiusza!

O, Lizisko, Lizisko...

Tron i burdel są blisko!

- Co, doskonale?! - zwrócił się do Petroniusza.

Mesalina blada patrzyła na Mnesterę gorejącymi oczami. Wzbierał w niej gniew na  
okrucieństwo prawdy, którą zgadł zmarły.

Czy to nie on piekielną zemstą pośmiertną wskazywał jej drogę? W tej chwili  
nienawidziła jego pamięć - a wraz gotowa była być jej posłuszna przez ironię swego losu...

Czyż nie jego śmierć otworzyła jej oczy i pchnęła w zaduch i brud tego lupanaru?!

- Świetna pieśń! - zauważył Petroniusz. - Lizisko, gdy mnie mój stary puści do

Rzymu, będę tu znowu. Zostaw swój adres Enotei. A teraz pora na mnie! Wyjeżdżam o  
świcie. Odprowadzisz mnie na przystań, Mnesterze?

Położyła rękę na ramieniu Mnesterę.

15 - Mesalina

- Nie!... Ty ze mną zostaniesz!

- O, Lizisko!... zapomniałaś o moich zwyczajach. Powiedziałem ci raz i na zawsze:  
jesteśmy przyjaciółmi i nic więcej. Jestem syt... miałem swoją zabawę w sąsiedztwie...

Dłoń jej opadła... Była zdziwiona odmową - i gniewna. Nim opanowała się, zanim  
zdążyła otworzyć usta - już obaj byli za drzwiami.

Łkając, padła na łożo.

Gdy podniosła głowę, ujrzała naprzeciw siebie Enotę.

Stara rozparła się w krzesło, rozstawiwszy nogi i obracając na potężnym brzuszku

grube paluchy młynkiem. Uśmiechała się ohydnie.

- Kazano zostawić panin adres. Hej, zapisać? - spytała.

- Nie! - zachnęła się cesarzowa.

Zerwała się z łoża... chciała odejść. Ręka starej przyparła ją do sąsiedniego miejsca przy stole.

- Nie? To nie!... Ale interesik możemy zrobić. Przecież paniusia nie ma dość na dziś.

- Jaki interes?

- Prosty... Paniusia ma ciało ładne, kuszące... Lubownicy się znajdą. Jedna trzecia dla paniusi, reszta dla mnie za lokal. Chyba sprawiedliwie?... Podług taksy edylów, przysięgam na... Westę! - roześmiała się, szczerząc krzywe zęby. - Zgoda?

I z ust Mesaliny w jakimś złym śmiechu padło:

- Zgoda! Zgoda!... Cóż mam czynić?

- A nic... z mymi pensjonarkami zasiąść przed domem na jednym z wysokich krzesel...

Nago! Maskę na ulicy może paniusia nosić. Żeby nie każdy poznał... jeżeli są jakoweś obawy.

A tu w pokoju... można zdjąć, lub nie... do woli. Zależy od tego, komu chce się pani dać poznać. Goście moi nie skandaliści... spokojni... Uszanują maskę. Im twarzy nie trzeba.

Zresztą to zwyczaj przyjęty, jeżeli bierze się zamaskowaną. Tylko nie za długo ich trzymać.

Kwadransik! I niech się nie spijają! Na wypadek awantury mój mąż jest blisko... Śmiałkowi, co zdziera maskę, kości połamię. Taki jest u nas porządek...

Mesalina włożyła maskę. Wychodziła, jak skazana przez los.

- Ale... ale... - zatrzymała ją w progu stara. - Jeszcze jedno dla porządku... może być kontrola... Jakie imię mam napisać na tabliczce?

- Na jakiej tabliczce?

- O, pani to naprawdę pierwszozna? Tabliczka wisi na drzwiach każdego pokoju...

Więc jak?- Liziska!

Na drzwiach pokoju Mesaliny zawis! na tę noc napis: Liziska.

Zapuśćmy zasłonę na schyłek tej szalonej nocy.

Ani jej szczegóły, wchodzące w zakres fizjologii, nie kwalifikują się do opisu w epoce naszej, która przecież służy tylko... duchowi, usunąwszy w kąt wstydlivosti gwoli dwudziestowiekowej tradycji nieusuwalne narowy ciała, ani w istocie rzeczy ordynarna powszedniość ich nie kusi smaku powieściopisarza i przyzwoitości (domyślnej) czytelnika. Stąd ograniczamy się do tego, co tłumaczy niezwykłość tajemnicy historycznej: gościnę monarchini potężnego państwa w zakamarkach lupanaru - sprężyny duchowe tego upadku z wyżyny tronu w błoto, cierpienie duszy i szaleństwo krwi. A może raczej zarzucamy na sprawy nizinne ciała zbyt gęstą zasłonę idei filozoficznych, niżli wyzyskujemy materiał przykrewj sensacji poza koniecznością psychologiczną.

Miejmy na względzie, że nowsi badacze gubią się w domysłach, co może być w tej sprawie prawdą istotną. Jedni sądzą, że rozpusta Mesaliny na dworze i podobieństwo do niej nierządnicj Liziski z Miletu dały plotkarstwu pochop do przeniesienia cesarzowej aż na teren lupanaru. Inni są zdania, że wobec wiary w fakty odnośne kronikarzy, bliższych swemu czasowi, niepodobna rzeczy całej zaprzeczyć, jako zgoła niemożliwości; szaleństwo na tronie, które Kaliguli pozwoliło konia ogłosić konsulem mocą dekretu, Neronowi podpalić Rzym i zamordować matkę, żonę, szwagra, mistrza swego Senekę przy milczeniu współczesnych i arenę cyrkową zdobić „świecznikami chrześcijaństwa” - to olbrzymie szaleństwo epoki, urągające elementarzowi uczuć etycznych i zdrowemu rozsądkowi, nie wyklucza chyba odwiedzin lupanaru przez kaprys cesarzowej. Nie był on obcy innym matronom tegoż czasu - tak dalekim od wzorów bądź preczystej Lukrecji, wbijającej nóż w swoje łono, zgwałcone

przez królewskiego syna, bądź dostojnej matki Grak-chów, republikańskiej Kornelii.

Chodzi o to, że fakty prawdziwe przesada złościwości lub zgorszenia ubarwiła i pomnożyła wyobraźnią! „Nie należy sądzić - mówi jeden z badaczy współczesnych - aby mogło być prawdą, że cesarzowa rzymska bywała stale w lupanarach, występując tam pod imieniem sobowtóra, nierządnic Liziski”. Częstość bowiem wypadków tego rodzaju ani daje się pogodzić z rozpieszczonym smakiem, z możliwością swawoli zmysłów w złoconych komnatach pałacu cesarskiego z wybrańcami męskości; ani nie dałaby się ukryć oczom choćby najgłupszegoz Cezarów, zwłaszcza wobec intryg dworskich i donosicielskich instynktów wrogów, których wśród pokrzywdzonych wówczas nie mogło zabraknąć. Rzecz musiałaby się rychło wykryć i jakaś ręka karząca wywlokłaby cesarzową zohydżającą tron, za włosy z lupanaru.

Wszelako kaprys znudzenia, ciekawość różnic, przekora wobec godności własnej, jednorazowa potrzeba zbadania smaku rozpusty na nizinie wobec przesyty na górze, lub jakiś krok rozpacz kobiecej - to było możliwe! A tę możliwość - czy może mus fatalny - wytłumaczyliśmy powyżej splotem faktów w stylu epoki.

Tedy ukazaliśmy prawdę tej jedynej nocy, której lupanar był anatomicznym stołem, gdzie zmartwiała dusza wśród uciech ciała pozwoliła się pokrajać ku zgrozie pamięci potomnych, rzucających jej za to przez wieków dwadzieścia sromiący tytuł: „cesarzowej nierządniczy” (Augusta meretix).

Więc zajęła miejsce u ściany kamiennej pod metalowym dachem, z którego kapała u dwóch rogów smoła skwierczących pochodni - miejsce równe innym towarzyszkom, stałym brankom tego domu rozpusty. Nagie, krzykliwe, wabiące przechodniów ochryplymi głosami, pijane, nie szczędzące gestów bezwstydných dla zachęty, były one na tym podium wystawą mięsa ludzkiego, oddanego na żer pierwszemu, kto sięgnął po kąsek za garść asów. Nie raziły

one Mesaliny, gdyż przed wyjściem nachleptawszy się alkoholu dla brawury, była nie mniej pijana, niż one. Ze względu na jej maskę, dowodzącą, że była bodaj czymś lepszym, ale raczyła zniżyć się towarzysko do nich - kamratki zachowywały się względem niej przyjaźnie, obejmując ją, całując, rade oddać jej swoich przygodnych miłośników.

Mogła wybierać, jako niezależna od gospodyni, przygodna mieszkanka domu - lecz przy oczach zaćmionych napitkiem i przy zajadłej chęci najwyższego poniżenia bynajmniej nie wybierała.

W szal tej nocy wplotła się dla niej nuta zabawy, która rozkołysała ją ordynarnym śmiechem, zaraźliwym w tej kompanii dziewczek, podzielonym przez rechot klienteli: zarabiała pieniądze - zgarniała swoje asy - chwilami targowała się z gospodynią, zdumioną tym wzrastającym szybko obyciem się z nową sytuacją; ciułała grosze za sprzedaż swego cesarskiego ciała na wieczną rzeczy pamiątkę, jakby zamierzała je kiedyś rzucić w twarz Klaudiuszowi. A przy tym wszystkim czuła się darczynią tych ludzi z nizin - robotników, którzy wymknęli się na chwilę wesela spod nadzoru okrutnych panów; na tym barłogu w zmętniałej myślijeszczce zachowywała poczucie, iż jest pełną łaski monarchinią, dającą z dobrej woli rozkosz swoim maluczkim poddanym, acz nie domyślali się, że przeskoczyła olbrzymią przepaść socjalną, aby oddać się im w krótkie uściski. Tylko czujny instynkt samozachowawczy powstrzymywał ją nawet wśród oparów winnych od wyznania przed nimi, kim jest. Ale ze śmiechem na pytanie, czemu kryje twarz maską, odpowiadała: „Bogini zesłała do was! Korzystajcie z chwili łaskowości Olimpu!” I wybuch śmiechu, a krzepkie objęcie były odpowiedzią na to oświadczenie. W końcu rozbawiona odrzuciła maskę. Któż mógł odgadnąć, że pieszczotę bierze od cesarzowej Rzymu?

- Jestem Liziska z Miletu! Liziska!

I pierś jej przeżyła się rozkoszą, a rozrzucone na pościeli omdlałością ramiona



podrygiwały w pijanym śmiechu, podczas gdy palce zaciskały się zemstą. Zemstą za wzgardę Sewera! - zemstą za niewolę cesarską, za nudę i wstręt dzielonego z Klaudiuszem łoża! - za ucieczkę niepojętą aktora Mnesterera! - za zbrodnie Rzymu - za wszystko, wszystko!

Jej cela była stale zajęta.

Wziął ją żołdak Flakkus, który wybierał się z jutrzejszym świtem do niespokojnej Armenii i klął ku jej uciezce Cezara „gnającego wojsko na wszystkie krańce świata, jakby Rzym nie pożarł dosyć ziem, z których korzystali bogacze!” Temu, że skarżył się na małość żołdu, który odejmuje mu możność korzystania z radości Wenery - zwróciła z naddatkiem to, co zapłacił za nią Enotei. Brał ją tracz o zgrubiałych rękach, zapewniających po pijanemu, że kiedyś przepiłuje gardło swemu panu, chociaż wie, iż za ten czyn odpowie śmiercią nie sam, lecz wraz z całą setką niewolników domu, według surowych praw rzymskich. Wpijał się w pierś jej pocałowaniem strudzony malarz stropów świątynnych, śmierzdzący wszelkimi olejnymi farbami świata i przeklinający bogów, których chramy ozdobił. Szorstko rzucił ją na posłanie i w zapamiętaniu chuci ugryzł w ramię nadzorcy kopalni, który szczycił się że tegoż dnia dał trzysta razy niewolnikom, a wie, iż jutro ta hałastrą kamieniem rozwali mu czerep. Nieomal nie zdusił jej w uścisku wyklepywacz naczyń miedzianych. Służący rzeźbiarza poznał się na jej pięknie - długo nie śmiał jej wziąć - całował palce jej stóp, wołał, że „nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety i że wszystkie modelki jego pana winny by lizać proch, strząśnięty z jej sandałów!”

Nie mówiła wiele sama - język jej się plątał - mowa przechodziła w bełkot - chwilami traciła dech - chwilami klęła, naśladując towarzyski sprzed domu, lub ucząc się przekleństw od swoich niezwykłych zalotników. Nie rozpytywała ich wiele - oni sami na krótkim wstępie poznania, lub przy pożegnaniu krótkim, chlepnąwszy łyk wina na miejscu, lub już gdzieś w domu sąsiednim podpici - czuli potrzebę wypowiedzenia się przed chwilową współniczką

uciech, która bliskością oddania się była dla samotnych przyjazną i dyskretną powiernicą. Zrzucali tu mękę pożądania w nasyceniu i zatajone bóle i troski w spowiedzi wśród uciech, gdyż brak granicy ciał niszczył przegrodę między duszami.

Nędza, kupująca za grosz ciało, układała się przyjaźnie z nędzą, sprzedającą je w tym domu! Żądza męska jednoczyła się z prostytutką, niby ze swoją dobrodziejką. Jakiś wygładzacz tkanin chlusnął jej wprawdzie na pożegnanie w twarz wzgardliwym słowem, wrzeszcząc, że „oszukał najlepszą żonę i pozbawił dzieci na jutro chleba dla marnej rozkoszy ze ścierką” - lecz i tę wzgardę przyjęła z poddaniem się, jako należną za srom. Poprzez mgłę alkoholu owej dzikiej nocy tłoczyło się ku niej okrutne objawienie ciężarów życia i mizernych jego zadowoleń - i chłonęła w siebie nowość tych rzeczy, rozdzielonych przepaścią od szczytów jej położenia, zdumiona, ciekawa - wszelako ani mogąca ująć świadomością nawału przelotnych wrażeń, ani trzymać ich doświadczeniem pouczającym w zaćmionej pamięci...

Ilu ich było? Dziesięciu, dwudziestu, mniej czy więcej - nie liczyła, nie chciała liczyć. Czyż nie wszystko jedno? Byli pragnący, którzy - jacykolwiek byli - odchodzili nasyceni i otwierali w niej źródła pragnień podświadomych, gdyż tej nocy chciała być tylko ciałem... Znużyła ją własna dusza, która przed wejściem w te progi była jedną raną. Krew tej rany zamazywała błotem, jakby mułem leczniczym Lety - rzeki zapomnienia!

Po stu latach satyryk w jednym wierszu złośliwym heksametrem chorobę tej nocy określi:

„A opuszczona przez męża, nienasycona odeszła...” Jednak ciało niewieście - mimo roli biernej z nakazu natury - nuży się wysiłkiem rozpusty...

Już bladł czerwony symbol latarń w nadchodzącym brzasku - rynek opustoszał - dziewczki Enotei poszły spać; Mesalina bezwładna leżała na pulwinarze, półprzytomna po nocy

grzechu...

## Rozdział XLI

### Szukanie Boga

Ea zapukała do drzwi izby Mesaliny.

- Kto tam?

- To ja, Ea... Czas wracać!

- Noc zbiegła?

Niezupełnie... Ale gwiazdy znikły... Jeno czekać brzasku...

- Zostaw mi chwilę jeszcze. Pragnę odpocząć. Poczekaj przed domem.

Ea wyszła na próg. W istocie gwiazd nie było. Przedzierał się na wschodnim niebie szary świt. W uliczce było cicho. Tradycja tego święta nakazywała pochować się w domach wraz ze zniknięciem gwiazd i wyrazić wdzięczność Wenerze rozpamiętywaniem uciech nocy, lub marzeniami odpoczynkowego snu. Egipcjanka wyprężyła oddechem rozkoszy ramiona, dziękując trójcy bóstw: Ozyrysowi, Izydzie i Horuso-wi, że jeszcze w latach czterdziestu posiadała gibkość ciała i żądzę miłości, a nocy ubiegłej nie zbrakło jej szczęścia...

Wtem usłyszała monotonne nucenie w pobliżu. Jakiś kłębek ruchomy tuż pod ścianą kołysał się głową i ramionami naprzód i w tył, z prawa na lewo, podwinawszy nogi pod siebie. Zbliżyła się i w szarości poranka rozpoznała Jonatana.

- Ty co tu robisz?

Wpierał w nią oczy. Potem spytał:

- Tyś niewiasta, która była z tą, co ocaliła mnie z paszczy dzikiego zwierza.

Nieprawdaż?

- Tak jest. Więc co?

- Twoja pani jest tu, w tym domu?

- Może.

- Wiem... szedłem śladem człowieka z tygrysem. Widziałem, jak wszedł z nią.

Widziałem, jak wyszedł. Wszedł z nią, wyszedł bez niej. Więc czekam tu nie opodal noc całą.

Powstał i rzekł uroczyście:

- Mam jej coś ważnego do powiedzenia.

- Chcesz podziękować jej za życie?

- Nie! Chcę ocalić jej duszę, jak ona ocaliła me ciało.- Obejdzie się!

- Ona jest teraz sama?

- Sama.

- To idź, powiedz jej, że Jonatan, syn arcykapłana Jerozolimskiego i Racheli z

Betlejem chce z nią mówić.

Było w jego tonie coś, co do prośby mieszało rozkaz.

Ea zdziwiła się, że niejako musi zawrócić i donieść pani o życzeniu młodego Żyda.

Mesalina spytała:

- Czy on tu jako gość? - wydeła wzgardliwie usta.

- Nie... Zdaje się, nie!

- Spodziewam się! Ale zapłać gospodyni za niego - rzuciła Ei garść asów, śmiejąc się..

- I wpuść go do mnie.

Nałożyła maskę.

Wszedł śmiało. Ledwo lekki wstrząs na widok półobnażonej, leżącej w pozie

swobodnej, zdradził jego zgorszenie. Spuścił oczy. Mesalina oczekiwała w zaciekawieniu, co

powie.

- Zdejmij maskę!

- Dlaczego?

- Bo wiem, kim jesteś.

- Ty wiesz?!

- Tak, jesteś ta, co ocaliła mnie dwakroć.

Porwała się z łoża. Zdumiona skoczyła ku niemu:

- Jak zgadłeś?!

- Dwa razy Pan ukazał mi twoją rękę, złożoną na sercu, gdy przywracałaś mi dech

życia. Ręka za stołem Cezara i ręka na Forum jednaką ulgą legła na piersiach twoich. Wiem przeto, kim jesteś...

Zdumienie jej rosło. Ten młodzieniec semicki zaimponował jej nieomylnością swego

instynktu. Zdjęła maskę posłusznie. Nie rozumiała, czemu nie lęka się zdemaskowania

przezeń. Bo w braku obawy było coś więcej, niż poczucie, że winien był jej dwukrotną

wdzięczność za ratunek życia. Coś w nim ciekawiło ją niezmiernie. Dwakroć uznała go za

chorego; ale w jego chorobie wyczuwała jakąś wyższość. Wszystkie religie spoglądają na

opętanych bądź z podziwem, bądź z trwogą - w każdym razie z szacunkiem, jako na coś

niesamowitego, co bywa nieraz narzędziem bóstw, lub demonów. Ta wiara udzieliła się jej

także.

- Usiądź - rzekła cicho. - Chciałabym wiedzieć, po coś tu przyszedł? Siadła naprzeciw

niego i wpatrywała się w jego twarz bladą, oświetloną czerwonym połyskiem amplicy,

zwisającej nad stołem. Ponownie musiała przyznać w duchu, że ma piękne, natchnione oczy.

- Zostałem w Rzymie... dla ciebie!

Mówił jej „ty”, bez dodatku nawet: „domina” (pani), co w roli którą wzięła na siebie,

oczywiście jej nie raziło, acz wiedział, kim była. Czuła wszelako, że w jego ustach owo „ty”

brzmi jakąś wyższością. Bawiło ją to w tej chwili, lecz także dziwiło, niby jakowaś tajemnica.

- Zostałeś dla mnie?!

- Tak jest... dla ciebie i tobie podobnych. Bo wypełniły cię czasy... bo Ojciec kazał mi iść do was i głosić wam Jego imię, a nauczać was o prawdzie.

- Twój ojciec?! Rabi Menachem?! Kazał ci nas uczyć? O prawdzie?!... Cha! cha! cha!

Ty jesteś nieuleczalnie chory, kochanku.

Błada twarz Jonatana pokraśniała rumieńcem. Zawstydzony spuścił oczy. Jakoś

gorzko skrzywiły się wargi i głos zabrzmiał okrutną boleścią, kiedy odparł:

- Nie! Nie ojciec rabi Menachem. On już nic nie rozumie z nadmiaru wielkiej

mądrości i nauki. On jest ślepy... I oni wszyscy, którzy go słuchają, zaniewidzieli - dodał

ciszej i z bólem jeszcze urosłym - oni już nic nie rozumieją. Mówią imię Pana, mówią je

groźnie i tym imieniem przeklinają odstępców; inni mówią je, dygocąc w strachu. Więc

pokłóciłem się z ojcem swoim i uciekłem z przystani, gdy modlili się w ciemnym kącie

okrętu... Skoczyłem do wody... przebyłem wpływ przestrzeń sporą do brzegu. Jeden z

waszych żołnierzy nauczył mnie przepływać szerokość Jordanu pod Betlejem... Opuściłem

ich i już do nich nie wrócę... choć chciałbym!... chciał! Bo to moi... Krew moja... rodzona...

ojcowska... bratnia... Wybrana i wyklęta!

Głos łamał mu się... przybierał tony łkania. To znów pięści jego biły triumfalnie po

stole - wykrzykiwał z jakąś zaciętością:

- Uciekłem! Uciekłem! Kazał mi tak Ojciec!

Mesalina słuchała, coraz mocniej zdziwiona - coraz pewniejsza, iż rozmawia z

szaleńcem, ale też coraz bardziej zaciekawiona oryginalną treścią jego szaleństwa i po prostu

nieznaną jej mocą namiętności - jakowejś burzy uczuć: mieszaniną żalu, rozplywającego się

we łzach i gniewu, wyrażającego się żywą gestykulacją - rozpacz i radości w jednym tchu, w

jednym zdaniu...- Więc jakież to ojciec? - spytała.

- Ojciec nieba i ziemi.

- A! Ojciec bogów i ludzi? Rozumiem! I my tak mówimy.

- Nie! Nie!... Nie rozumiesz... Ojciec ludzi... aniołów i diabłów. Ale nie bogów! Bóg jest tylko jeden.

- Więc ty wierzysz w Boga? - chciała się upewnić.

- Czy można nie wierzyć w Niego, którego chwałę rozgłaszają niebiosy, który mówił do proroków i ukazał się w krzaku ognistym na górze Horeb prawodawcy Izraela?! - wzdrygnął się zdziwieniem. - Bogiem jest Adonai!

Pocierała subtelnie palcami czoło. Jakże pragnęła porozumieć się z nim!

- Adonai?... Słuchaj!... To brzmi jak Atena. Więc może masz na myśli naszą boginię mądrości grecką?

- Nie! Nie! Bóg nie jest kobietą!... On jest Panem, chlebem ziemi, wszystkim nieba!... Pan! Pan!

- Poczekaj! Rozumiem: Bóg twój jest chlebem, panis.. dawcą chleba. Grecy mają podobnego bożka pól, nazywa się on „Pan”, wszystko! Ale skoro Bogiem twoim jest wszystko, to jest On i gliną ziemi... i błotem... chlebem i winem... tobą i mną... obłokiem i kałem...

- Nie! nie! Stworzyciel stoi nad wszystkim. Adonai! Adonai!

- Stój!... Wiem już... Macie wiarę wspólną z Germanami, którzy wierzą również w Odyna.

- Nie! Nie!

- Więc chodzi o misteria kultu Adonisa, o legendę brzegów Śródziemnego Morza?

- Nie! Nie! Ani Atena, ani Odyn, ani Adonis... ale Adonai. Jedyny!

- Wszelako imiona te są jednakie?

- Mój Bóg posiada inne jeszcze imię, ale niewymawialne pod grozą piorunu, ledwo

dające oznaczyć się na papierze dwoma przecinkami, uwielbione milczeniem ust pobożnych.

- Bóg twój za nazwanie swego imienia grozi piorunem?

- Piorunem klątwy! Zakazał je wymawiać.

- Twój Bóg jest straszny. Nie jest Ojcem, skoro dzieciom nie pozwolił wymieniać swego imienia.

- Nie pozwala! Iżby nie nadużyli go dla swoich złych spraw.

- To można czynić, wypisując je sto razy znaczkami, o których mówisz, albo można zwać go Adonai, a głosić tym imieniem ohydę i brednie.

Teraz on jej nie rozumiał.

- Kto weń wierzy, nie może błędzić ani w myślach, ani w słowach, ani w czynach.

Komu on się objawia, ten jest wybranym, świętym!

- A tobie się objawił?

- Memu ludowi, Izraelowi!... Nam, nam, wybranym... nikomu więcej.

Jakowaś fala gniewu zakotłosała nią. Zapomniała, że ma go za obłąkańca, gdyż w tym obłąkaniu spostrzegła metodę napastliwej myśli. I po raz pierwszy oczy jej zabłądziły w kąt, gdzie Kroton zostawił na ławie biczyk z grubej skóry wołowej, którego używał na oswojonego tygrysa od przypadku, gdy ten wykraczał przeciw swojej pokorze tresury narowami przyrodzonej wścieklizny! Tak bardzo chciało się jej obić tego delikatnego wyrostka z cichych dolin Betlejem.

Właściwie gniewał ją nie on, ale ten jego surowy Bóg.

- Jak to?! - krzyczała niemal. - Powiadasz, że twój Bóg jest Stwórcą świata! Jakimże prawem objawił się on tylko jednemu ludowi... a innym stworzonym przez się nie?!

Ona pyta o „prawo” Boga! Jakby wybór nie zależał od gustu Stworzyciela! Jonatan litował się nad jej ciasnotą.



- O, poganko! Poganko! - kiwał głową.

- Co za takie zasługi nadzwyczajne mieliście przed nim wy, iż was obrał?!

- Zawarł z nami przymierze... z przodkiem naszym, Abrahamem.

- Za co?... Co on mu dał?! Co wy mu dajecie?!

- Częstkę naszego ciała!

Przypomniała to, o czym mówił Menachem na audiencji. Skrzywiła się wzgardliwie i buchnęła takim śmiechem, że ściany lupanaru wstrząsnęły się, jak mury Jerycha.

- Ach, za to?! Bóg wasz ma dziwne upodobania. Nasi lekarze wymagają tego tylko od chorych specyficznie. Coś mi o tym mówiła niańka Glicera. Ale wtedy nie mogłam jej rozumieć.

- Byliśmy w niewoli... Dlatego zlitował się nad niewolnikami i objawił się nam - tłumaczył Jonatan.

- Lepiej by uczynił, objawiając się panom - rzekła z poczuciem wyższości swojej pozycji socjalnej. - Mogliby z nim po filozofować, podczas gdy niewolnicy zwykli wierzyć na słowo.

- Nie! Nie! Uwierzyliśmy nie na słowo. On musiał wprzód pokazać cuda... zrobił je!-

Et, wszyscy bogowie robią cuda! - odparła z lekceważeniem. - Nie tylko twój Bóg. To jest ich rzemiosło!

- Ależ!... On zrobił cud, jakiego żaden inny nie robi. Cud który opowiemy całemu światu.

- Jakiż cud?!

- On postawił morze!... I wywiódł nas z niewoli egipskiej. Suchą nogą! Rozumiesz? Suchą nogą ze środka wód!

- Nie byłam przy tym, jednak nie przeczę. Pytam jeno, co to nas obchodzić może? To

dla was uczynił! Czyżbyś po to został w Rzymie, aby nam to opowiadać? Opowiadaj o tym swoim na wschodzie.

- Nie! Nie! To muszą wszystkie ludy usłyszeć... i paść przed Nim twarzą w proch.

Znowu gniew rzucił rumieniec na jej lica.

- Głupiś! - krzyknęła. - Nie wiesz sam, czego chcesz. Twierdzisz, że twój Bóg czynił cuda dla was, że twój lud jest wybrany, święty, że ci, którym się objawił, pełni są mądrości i cnót. A potem porzucasz swego rodzzonego ojca, uciekasz od swoich... i przychodzisz na nasze Forum... i szukasz mnie, aby pouczać o czymś, co mnie wcale nie dotyczy.

Okrutny smutek wyjrzał z oczu Jonatana. Jakby zgięła go boleść niezmierna. Głos jego stał się drżący, trwożny...

- Ach! Bo byliśmy niewdzięczni... Błogosławił nas, a teraz przeklina... Bo grzeszymy przeciw Niemu przez długie wieki... A za to On karze nas niewolą... gromi... prześladowuje... Odrzucił nas od swego oblicza... Komuż powiem tam, co goreje w duszy, skoro zawarły się uszy moich na głos proroków?!

Naraz powstał. Głos jego stał się znów potężny, uroczysty, jakim był na Forum.

- Przez Izajasza powiedział nam:

„Biada narodowi grzesznemu, ludowi obciążonemu nieprawością, nasieniu złośliwych, synom skażonym!”

- Przez Izajasza wyrzucał nam:

„Czemuż popełniacie tym więcej przestępstw, im więcej was biją? Cała głowa wasza jest chora, a serce wasze jest mdłe... Rana i siność... i rany zagniłe!”

- Przez Izajasza obwieścił nam:

„Ziemię waszą spustoszą - miasta popalą obcy! Jeruzalem - córka Syjonu będzie miastem zburzonym”. Było tyle rzewności i bólu w jego głosie, że Mesalinę zdjął żal nad

członkiem narodu, który - według słów proroka - miał „głowę chorą”.

Jonatan zawodził dalej:

- Przez Jeremiasza powiedział nam:

„Słuchajcież teraz, ludu głupi, który nie masz serca, który, oczy mając, nie widzisz - uszy mając, nie słyszysz - masz serce zacięte i odporne...”

- I bacz... dziesięć pokoleń już Pan wytracił, a nad resztką ręka Jego jest wciąż „groźnie wyciągniona”.

Współczuła mu, widząc łzy, ćmiące jego piękne, błękitne oczy.

- Słuchaj, biedny chłopczyno... Ten Bóg wasz jest okrutny... groźny... ziejący

kłátwami... Opuścił was... Czemuż nie czynicie jako inne narody ziemi? Skoro Bóg je opuszcza, skoro w ich porażce przez ludy mocniejsze sam jest widomie porażony, opuszczają go również. Jest to naturalne wobec Boga, który pogubił błyskawice... i niezdolny jest do dalszej opieki nad ludem, co go czcił!

Popatrzył na nią zgorszony:

- Jak można to zrobić... skoro On jest Jedyny?!

- Et, pleciesz!... Są inni bogowie.

- Glina, drzewo i kamień, które łącno zniszczyć można młotkiem i toporem.

Znowu zachnęła się gniewnie:

- A Jego świątyni nie można zburzyć? Jest również z kamienia.

- Jest Arka Przymierza!

- A ta... z czego jest?

- Z drzewa.

- Więc też daje się spalić.

- Zostaną zwitki Zakonu.

- Papier, który podrzeć można.

- Zostanie Słowo!

- Które wiatr rozniesie, a ludzie źle powtórzą!

Nie odpowiadał. Był głęboko zamyślony.

Mesalina podjęła w dalszym ciągu nic tej dziwnej dyskusji - dziwnej ze względu na czas, dziwnej ze względu na miejsce... Albo może i niedziwnej?... Bo ów czas był zmierzchem jej bogów, a do walki z nimi występował biblijny „lud sporu” - Izrael. Co do miejsca zasię - to nie masz takiego, na którym nie godziłoby się upomnieć o chwałę Bożą, skoro ta winna zapełnić każdy zakątek ziemi. I czyż nie na każdym miejscu należy toczyć spór o prawdę, gdy tamą do niej stają tysiączne błędy, a szuka jej rozpacz duszy i niemoc myśli ludzkiej?!

- Powiadasz, że Bóg twój jest jedyny i wszechmocny, a dajesz mu ku pomocy anioły i przydzielasz ku oporowi demony... Napełniasz moc Boga nie inaczej, niż my to czynimy...

Wysłuchaj mnie!

Sięgnęła myślą do nauk swego ojca, do dzieł, które czytała:

- Jak możesz, ślepcze, nie widzieć mnogich bóstw tam, gdzie walczą z sobą wszystkie żywioły? Burza łamie lasy, niszczy zasiewy pól... wulkan lawą pluje pod niebo... powódź zalewa lądy. Niebo, morze, ziemia... wszystko jest w sporze wiecznym... A wśród ludzi podobnie: mądrość walczy z mrokiem, zbrodnia z miłością... Gdzież jedność?

Pokiwał głową przekornie:

- Szatan... szatan sprzeciwia się Panu!

- A więc jest ktoś drugi, równie potężny, jak On, skoro mu się sprzeciwia! - triumfowała.

- Nie! Słabszy, który zwyciężony będzie w złym swoim przez dobroć Bożą.

- Czemuż słabszy, skoro nie został stworzony przez niego?

- Nie! On go stworzył.

- Bóg stworzył szatana?... Twój dobry Bóg?... Co ty pleciesz, chora głowo?!

- Stworzył Bóg anioły... Lecz niektóre w pysze zbuntowały się. I stracił je w przepaści piekieł... One to są szatanami... i mściwe kuszą ulubieńca Boga, człowieka... walczą o jego duszę.

- Ulubieńca?! - wzruszyła ramionami. - Nie wyglądasz mi na ulubieńca... ani ty, ani twój lud. Ale jakóż wiesz, że Bóg zwyciężyć musi w tej walce? Nie zlekły się grozy twego strasznego Boga owe spadłe anioły, skoro podniosły bunt i nie ustają w sprzeciwie... nie mogą wygrać boju... zwłaszcza z pomocą ludzi, tak łącznie poddających się pokusie?...

- Zwycięży je miłość!

Roześmiała się:

- Nie widzę jej w piorunach twego Boga, przed którym kurczysz się ze strachu! Który wyobcował dla ciebie inne narody, a twój naród przeklina głosem swoich proroków... Jesteś zabawny, Jonatanie, synu Menachema! Radzę ci: wróć do Palestyny. Tu w Rzymie nikogo nie nawrócisz na swoją dziecianną wiarę. Jakaś światłość opromieniła nagle twarz młodego Żyda.

- Powiem ci tajemnicę, wielką tajemnicę, której sam się boję... Jeszcze sam nic nie wiem... Ale może... może już jest wcielona ta prawda Izraela, która was oświeci!

- Jaka prawda? - Czego się boisz?

- Boję się, że jestem chory... że zbluźnię Jedynemu... A jednak...

Ściszył głos do ledwo dosłyszalnego szeptu:

- Mesjasz... zapowiedziany przez proroka Izajasza Mesjasz... może już przyszedł... Był na ziemi!

- Nie rozumiem!

Odpowiedział jej uroczyście słowami Izajasza:

„Ale wynijdzie różdżka ze pnia Isai... latorostka z korzenia jego wyroście... Odpocznie na niej Duch Pański”... Syn człowieczy... Syn Boży... latorośl z domu Dawida.

Patrzyła zdumiona.

- Był na ziemi?... Gdzież jest teraz?

- Był!... Ukrzyżowany przez waszych żołnierzy... Ale z powodu skargi nań naszych arcykapłanów Kaifasza i Annasza. Albowiem pytany, azali jest Synem Bożym, nie zaprzeczył. Tedy milczeniem ust swych zbluźnił był, jak szydzili nasi, przeciw Jedynemu i Niecielesnemu... Uległ karze Zakonu, jako że podał się tym sposobem za Syna Bożego, a Bogiem będąc, rzekomo jawił się w ciele.

Zakrył twarz rękami. Przez palce przeciekały łzy... Ciągnął:

- Ale odtąd, od owej chwili, lat dziesięć temu przeszło! Gdym, dziecię jeszcze małe, widział jego mękę na Golgocie... wśród nagłej ciszy, która legła na tłum patrzący, gdym słyszał stuk młota na gwoździach, wbijanych w żywe ciało... (i ani jęku! ani jęku!) od owej chwili w skrytości mego ducha pokłóciłem się z ojcem moim! On chciał...

- A Piłat wasz umył ręce... A wasi żołnierze wbijali gwoździe przezeń w krzyż!... A mój lud, który Go przedtem uwielbił i palmowymi gałązkami usłał mu drogę do świątyni, teraz, gniewny, iż On nie potrafił się mocą własną wyzwolić z rąk biczujących go sprawców, gniewny i na to, że nie sprowadził On Królestwa Niebieskiego na ujarzmioną ziemię Judzką, jako zapowiedział, mój lud zdradził go i krzyczał do Piłata: „Oddaj nam Barabasa zbója... a tamtego ukrzyżuj! ukrzyżuj!”... Zdradził go!... I wyparł się, jak wyparł się go trzykroć, nim kur zapał w noc zdrady, jego ulubiony uczeń, Piotr!- Dziwne rzeczy mówisz... Jesteś naprawdę chory... Jakże to Bóg dał się ukrzyżować?... A gdzież moc Jego była?

- Uczynił tak, albowiem oddał się na ofiarę za grzechy świata, jako przynosimy

baranki za grzechy nasze według Zakonu Mojżeszowego... Oddał się dla zbawienia ludzkości, iżby wstrząsnąć narody przerażeniem, że zabijając braci-ludzi, mogą sądem błędnym samej Niewinności zadać męki! Postąpił tak, albowiem tak zapowiedziane było przed siedmiu wiekami przez największego z proroków, Izajasza, iż ma być wzgardzon i niepoznany do czasu:

„Najwzgardziwszy był... najpodlejszy z ludzi... mąż boleści a świadom swej niemocy... Zakrył twarz swoją... Najwzgardziwszy był, skąd mieliśmy go za nic...\*

Zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych... Każn pokoju jest na nim, a sinością jego jesteście uzdrowieni...

Wszyscyśmy, jako owce, zblądzieli... a Pan włożył nań nieprawość wszystkich nas...

Uciśniony jest... jako baranek, wzgardzony był, jak owca, którą strzygą... A oniemiał i nie otworzył ust.

Takeć podobało się Panu zetrzeć go i niemocą utracić, aby położył ofiarą za grzech duszę swą...

Zaiste On niemoce nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił - a wszyscyśmy mniemali, że jest zraniony i ubity od Boga...

Ponieważ wylał na śmieć duszę swoją, a z przestępcami będąc, za przestępcę się modlił”...

Mesalina zdumiewała się coraz bardziej... Ulegała wrażeniu, że młodzieniec przechodził jakąś mękę straszliwą, a ona zmuszona jest brać w niej udział... Opierała się z całej siły urokowi, wiejącemu z jego promieniejącej cierpieniem twarzy, z tych słów uroczystych, w których upatrywała dalszy ciąg obłędu, stwierdzonego przez nią w początku rozmowy. „Co się dzieje w nieszczęsnej głowie tego wizjonera?” - myślała.

- Jednak umarł! - rzekła głucho w głos...

- Nie! Nie! - wstrząsnął głową. - On wszedł do nieba.

I uśmiechnął się radośnie.

- Więc tego się boisz?

- Nie! Boję się tego, że Jedyne nie jest jeden, bo może być dwoisty, że Bóg ma syna, że Ojciec może wydać Syna na męki, że Bóg może cierpieć, że Niewidzialny może być w ciele... więc może być upostaciowań w obrazie lub rzeźbie... A to wszystko jest bluźnierstwo...- Jednak w to wierzysz!

- Ja?... Ja?... Nie wiem! - przelął się. - Ja tylko myślę czasem, że Bóg jest

Wszechmocny, więc jeżeli chce, to może się rozdzielić i może przejść nawet w ciało... i cierpieć.

- A więc w to wierzysz?... Po co?!

- Jak to... po co? - zdziwił się. - Po to, że skoro On, zmarły nie umarł, to i my tu wszyscy ziemscy nie umrzemy i każdy z nas może, nie grzesząc, kochając, jak On kochał, oddając duszę za innych wejść do nieba. Więc nie ma śmierci!

- Bardzo chcesz wierzyć w to?

- Kto chciałby umrzeć na wieki? - spytał głucho.

- Ach! to prawda, śmierć jest gorzka - rzekła.

Ale zaraz otrząsnęła się i rzuciła:

- Nie chcę twego boga Adonaia! Jest groźny... Nie chciałabym, aby mnie sądził swoją złością w innym świecie.

- A może właśnie dlatego, mieniając twardość Zakonu, zesłał tego Drugiego z Siebie, żeby pokazać, iż jest... Dobrocią, Miłością...

- Hm... dla takiej grzesznicy, jak ja? Nie widzisz, gdzie jestem?

- Widzę! - odparł cicho. - I dla takiej, jak ty... Po to tu przyszedłem, żeby powiedzieć



ci Jego słowa do nierządnic: „Wybaczone ci jest, boś wiele kochała... idź i nie grzesz więcej!”

Miotają ją dwa sprzeczne uczucia: z jednej strony - jakaś chęć poddania się słodczy jego głosu, wizji nieba, które roztaczał przed nią, urokowi świętości, którym ją rozgrzeszał; z drugiej strony trwał opór przeciw wyższości, którą rozgrzeszaniem zamierzał przybrać nad nią - wprawdzie tu nie Cezarową, jeno służką lupanaru - ten wyrostek semicki! Miotają ją gniew na bajki wschodnie, jakimi chciał ją łudzić - wypływała uparcie nade wszystko wzdarda Rzymianki dla rasy, którą wszyscy zgoda wokół niej, mali i wielcy, prostacy i filozofowie, uznawali jednak za niższą od Ariów.

Tę wzdardę - może nie mniejszą na jawie ze strony poganki względem „obrzezańca”, niżli owa skryta pogardą ze strony obrzezanego dla „kobiety”, podwójnie nieczystej, bo i niewiernością i krwią od bałwochwalców pochodną - tę wzdardę łamał przecież widok jego oczu, prześlicznych, czarownych w zapale, niby dwa żyjące płomienie, przełamywała ją i litość... Albowiem nagle - gdy w majestatycznym ruchu rozgrzeszenia wznosił rękę i poszarpany przez tygrysa rękaw tuniki usunął się i obnażył jego ramię - spostrzegła, że na przegubie, gdzie znaczne były zadrapania, występuje wśród zaschłych ran świeża krew.

16 - Mesalina- Daj!... Opatrzę cię! - rzekła.

Szybkim ruchem oderwała z szat swych kawałek materii i przewiązała mu ramię... Ale wyczuła, że ta ręka poddała się jej z oporem - że drży, usunąć się stara spod jej czulej opieki.

Podniosła głowę i spojrzała Jonatanowi w oczy.

- Co ci się stało?... Boli cię?

- Nie! Ale boję się ciebie.

Cóż działo się w duszy Jonatana?... Byłże to jeszcze dreszcz wstrętu Żyda wobec poganki?...

Ale wszak porzucił „zbląkane owce Izraela” - i do piej zwrócił się ze swoimi

naukami... Więc może było to obrzydzenie niewinności młodzieńczej wobec nierządniczy?

Lecz przecież sam ją rozgrzeszył słowem miłości. Czemuż więc miałby się nią brzydzić?... A

może to było prastare uparte uczucie semickie; dotknął bowiem - po raz pierwszy (w tym

zgroza najwyższa!) - „nieczystego stworzenia” - kobiety: obawa, która może jest

przewrotnością ukrytego pociągu - dreszczem tajnej pokusy.

Coś zirytowało, podrażniło ją...

- Dlaczego się mnie boisz?!

- Nie wiem... Puść mnie!

Tym mocniej przytrzymała go za ramię.

- Nie puszczę cię! Masz piękne oczy, dwie pochodnie!

Oburącz objęła jego wiotką postać.

- Nie poznałeś nigdy kobiety, prawda?

- Nigdy! - potwierdził stłumionym głosem.

- Chcesz? Dam ci rozkosz!

Zamknął oczy - chwiał się... Pociągnęła go ku łóżu... Poddawał się - czuł jej dech

gorący na twarzy... i sam dyszał ciężko...

Nagle rozwarł przerażeniem oczy...

- Co ty robisz?! Ja... nie chcę!

- Chcesz... Chcesz! Nie kłam! Daj mi usta.

Wówczas krzyknął - wyrwał się jej - był groźny:

- Nierządniczo! Nierządniczo!... Nie waż się mnie tknąć!

Co się z nią stało?!

Zakryła twarz zawstydzona, purpurowa rumieńcami.

A on krzyczał w zapamiętaniu:

- Precz z twymi plugawymi rękami!... Z obrzydliwością warg twoich!... Ze sromotą  
twoich piersi!

Wtedy przypomniała coś: tam w kącie leży bicz Krotona. Skoczyła -porwała bicz... I  
na głowę, twarz, plecy Jonatana spadł naraz grad razów... Tworzyły się sinokrwawe pręgi.

- Baranku!... Baranie!... Tygrysiatko!

Stał wyprostowany - oniemiały - z triumfującym uśmiechem przyjmował z rąk  
rozwścieczonej ciosy. Oczyma zdał się mówić:

- Bij!... Bij jeszcze!

Z jego twarzy tryskała już krew... A oczy śmiały się - jakby z owej męki brał rozkosz.

Mesalina jednak na widok krwi i towarzyszącego jej upływowi uśmiechu  
oprzytomniała. Albo może poczuła swą bezsilność wobec tej przedziwnej pokory, z której  
wiała bezbrzeżna wzdarda dla piękna jej ciała, dla rozkoszy, którą ofiarować mu zamierzała.

Jakże ten przybysz ze wschodu śmiał ją odrzucić?!

Gotowa była plunąć mu w twarz, aby obelgą odpłacić zelżywość, ale nie mogła - ślina  
zaschła jej w gardle. Dusił ją wstyd i gniew.

Wypuściła bicz... Odepchnąwszy Jonatana, stojącego jej na drodze ku drzwiom,  
niemal runęła z pokoju... Z krzykiem biegła przez korytarz.

I usłyszeli ten krzyk przeciągły znajdujący się w pobliżu gospodyni domu publicznego  
i godny jej małżonek.

- Eo! Idziemy! Idziemy!

Jakoby wichur uniósł obie. Mesalina narzuciła kaptur na głowę.

- Co się stało? - zapytała Enotea Jonatana, który wyszedł wolno z ciupy,  
pokrwawiony, z pręgami na twarzy.

- Nic! - rzucił śmiechem szyderczym. - Cesarzowa Mesalina obija Żyda w lupanarze.

Nic więcej!

I poszedł...

Godni małżonkowie spojrzeli po sobie:

- Czy on zwariował? - spytał Korwus.

- A może nie? - szepnęła Enotea. - Zapomniała maskę. Gdy przebiegła, widziałam jej twarz... Podobna jest do... cesarzowej. A gdyby to była ona?

Weszła do ciupy.

- Spójrz no!... Na masce jest „M” i orzełek cesarski. To była ona!

- Milcz! - krzyknął mąż. - Jeżeli pilno ci stracić głowę, to pleć o tym... Mnie mojej głowy żal... Daj maskę! Trzeba ją spalić.

Jonatan szedł ulicą wyprostowany i dumny.

Ale w głowie mu się kręciło... Ręką wspierał się o mur... Gdzieś na skrzyżowaniu ulic zabrakło mu oparcia... Zachwiał się i upadł na bruk...

Zemdlał!Księga siódma

Metamorfozy

Rozdział XLII

Jeszcze kartka z przeszłości

Pierwszy rok małżeństwa spędziła Mesalina poza stolicą, gdzieś w ustroniu górskim

Etrurii. Powiózł swój skarb Klaudiusz do tego oryginalnego o starej kulturze kraju, gdyż zaufany w swoim zmyśle badawczym, poszukiwał tam wykopalisk, mających dać podstawę

jego domysłom o pochodzeniu rzymskich początków z Etrurii, której lud wydawał mu się

bodaj najstarszym ze wszystkich, przybyłym w zamierzchłej epoce z Azji Środkowej.

W tych fantazjach tkwiło może jakieś ziarnko słuszności - np. owa wędrówka z Azji na równi

z Pelazgami, oparta bodaj o jakąś wskazówkę znakomitego dziejopisa Liwiusza - ale najpewniej dla Klaudiusza natchnieniem do tych wycieczek naukowych była chęć podniesienia własnego Sabirskiego rodu, biorącego źródło w Etrurii. Jaką wartość miały studia uczonego Klaudiusza, zorientować się dziś trudno, gdyż cała olbrzymia jego produkcja - 40 przeszło tomów, z których większość poświęcona była umiłowanej Etrurii i spisywana w ciągu trzynastu lat panowania - zaginęła bez śladu. Wydaje się jednak, że wyszła spod ręki maniaka i nie musiała mieć żadnej wartości, skoro, pomijając nawet wpływ kataklizmów, nie pozostało nic z niej w oryginale, bądź w cytatach u wielkich pisarzy Rzymu w rodzaju Pliniusza, którego dzieła zachowały się nawet pomimo olbrzymiej katastrofy: wybuchu wulkanu, gdy ten ognistymi popiołami zasypał okręt obserwatora, grzebiąc jego życie, lecz nie niszcząc przedzgonnych zapisków.

Ten rok pierwszy małżeństwa był dla Mesaliny rokiem żałoby po ojcu. Przebyła go w jakimś odrętwieniu - nieomal bezmyślnie, radaz posłania na zielonym zboczu górskim, ze świeżego powiewu łagodnych wiatrów italskiej północy, z wędrówki obłocznych baranków po rozpiętym nad jej głową błękitie nieba. Uśmiechała się smętnie do Klaudiusza, który, oczarowany jej krasą, czystością rysów Diany i powolnością jego kaprysom, był w istocie dla niej dobry i czuły. Oddawała mu się z posłuszeństwem, winnym nakazowi boga Hymenu, swoją obojętnością podtrzymując w nim żar miłości - szczęśliwa, że nie był nazbyt wymagający, jako że lekarze ostrzegli go przed możliwością nowego wyczerpania sił przy nadużyciu. Ale sekret jego miłości tkwił w tym, że - jak przepowiedział mu Szymon Mag - związek z Mesaliną przywróci mu możność fizyczną kochania. Radość miodowych miesięcy, umiarkowanie, zdrowotność górskiego klimatu Etrurii - wszystko to przywróciło Klaudiuszowi zdrowie. Czuł się odmłodzony, spokojniejszy duchowo; nie popadał już w owe wybuchy gniewu, które charakterystyczne były dla rodu Julio-Klaudiańskiego, wydzierały się

nawet spod maski równowagi Augusta, kaziły mroźną twarz Tyberiusza, szły nadto z bocznych wpływów namiętnej krwi Antoniusza i zmieniły Kaligulę w szaleńca.

Jeżeli Klaudiusz rad był, że „nowe szczęście” nie zaznane dotąd w pożyciu z innymi żonami, czy licznymi kochankami stanu kawaler-stwa - przywróciło mu siły do pracy umysłowej i zachwianą przez drwiny dworu, krewnych i znajomych, dumę i zaufanie do swojej mądrości - to z drugiej strony Mesalina była rada, iż jej małżonek spędza niemal czas cały w nowo odkrytych grobowcach Etrurii, gdzieś pod namiotem wśród urn i garnków glinianych, znoszonych mu przez górali z okolic, albo też w ciszy gabinetu przy swoich rękopisach. Wytworzył się między nimi stosunek, wiążący starego opiekuna-krew-niaka z potulną pupilką. Mesalina dla Klaudiusza nie posiadała duchowego wnętrza: lubił patrzeć na nią w czas wytchnienia, jak patrzy się na posąg. Jeżeli przez kaprys zażądał, aby oczekiwała jego powrotu w oznaczonym miejscu, lub udała się z nim na wycieczkę - nie opierała się jego woli, odwiedzała z nim grobowce, podziwiała urny, których rysunek on pochwalał, potakiwała mu, gdy znajdował, że ta lub owa urna jest brzydka - czarowała go zgodnością poglądów, pod którymi nie domyślał się obojętności i lenistwa do sprzeciwu. Wystarczało jednak, aby rzekła: „wolałabym dziś poleżeć”, albo: „nie czuję się dobrze dla wycieczki” - a zatroskany o nią ustępował natychmiast. Byli na pozór małżeństwem wzorowym: Mesalina zerwała myślą z przeszłością, rada, że jej burze przeszły nad nią bez śladu. Właściwie śladem była owa choroba duszy: łagodna apatia, nie żałująca niczego i niczego nie wyczekująca od życia.

Powrót do stolicy oszołomił ją. Wir Rzymu, który niemal po raz pierwszy oglądała w centrum ruchu - dawniej zagrzebana w willi na cichym wzgórzu Watykańskim, lub w zamknięciu domu ciotki Westalki na Eskwilinie - nie porwał jej, gdyż go się ulękała. Przedłożyła ogród na przedmieściu przy domu, do którego Klaudiusz na jej życzenie

się sprowadził. Nie pokwapiła się składać wizyty u dworu, gdzie szalał Kaligula; pozostawiła Klaudiuszowi obowiązek bywania na przyjęciach oficjalnych u cesarza i wolność zwiedzania igrzysk - sama w samotności oddana różom, fiołkom, anemonom - swoim ulubionym kwiatom.

Nagle przyszedł wielki przewrót, który oszołomił ją bardziej niż wszystko, co zaszło dotąd w jej życiu. Przyszedł w chwili, gdy zgiełk zapanował w Rzymie po zabójstwie Kaliguli, kiedy Klaudiusz, zda się, zaginął na dwie doby - i mniemała, że został w czasie rozruchów zabity: ani ta śmierć przypuszczalna nie trapiła jej zbytnio, ani uradowała się z odzyskanej domniemanej wolności - po prostu czekała, aż rzeczy tak, czy owak się wyjaśnią. Potem, wielce zdziwiona, usłyszała, że idą jakieś przetargi między senatem a wojskiem w sprawie powołania Klaudiusza na tron Cezarów.

Matka przybyła do niej z Kampanii z tą wstrząsającą wiadomością. Mesalina zdziwiła się niezmiernie, nie chciała uwierzyć wieściom. Rozumiała bowiem doskonale, że Klaudiusz jest głupi, mimo swojej uczoności: może nawet potakiwała mu zawsze, nie chcąc rozdrażniać „głuptasa”, którego zdania były tak dziwne, a gusty tak zmienne...

Więc tylko otworzyła szeroko oczy, podczas gdy matka śmiała się z głupoty Rzymian do rozpuku, ale zarazem szczęśliwa na myśl, iż córkę tak dobrze wydała za męża.

- Jednakże ten oszust to przewidział - mówiła - i nie darmo na Forum orzeł siadł Klaudiuszowi na ramieniu!

Mesalina nasłuchiwała bicia nowego życia pod sercem - i zapytywała siebie, czy naprawdę nosi w łonie swoim następcę tronu.

I oto naraz zjeżdża goniec od Klaudiusza. Przybył na ponózku ukwieconego wozu, na którym stała wyniesiona wysoko krytymi purpurową materią stopniami lektyka, lśniąca okuciami ze złota i srebra. Wóz był zaprzężony w dziesięć par białych rumaków.

Towarzyszył muorszak z pięciuset doborowych pretorianów w pełnej zbroi na wspaniałych koniach. Poseł przywiózł rozkaz od cesarza do cesarzowej:

- Cezar oczekuje na cesarską małżonkę u wrót pałacu Augusta.

Owej chwili ogarnęła ją wielka radość.

Nie był to triumf dumy, gdyż nigdy nie wdzierła się myślą na wyżyny życia. Nie posiadała ani wówczas, ani przez długie lata potem, ambicji władzy w ścisłym tego słowa znaczeniu. Była to raczej uciecha dziecka, które piastunka podrzuca w górę.

Ale w dniu tym jakoby przebudziła się z długiego snu. Po raz pierwszy ujrzała Rzym świadomym okiem - poczuwszy się na niedostępnej nad nim wyżynie...

Była z początku oczarowana, upojona tą wyżyną, jakkolwiek nie miała w sobie żadnych pokus wyzyskania swej władzy - uczynienia z niej jakiegokolwiek użytku w złym czy dobrym celu. Jeno zawisała obecnie ponad Rzymem, niby igrający obłok. Czowała się odtąd podziwiana, jak bóstwo, kiedy przejeżdżała w dni uroczystych świąt przez ulice miasta, albo brała bierny udział czy to w przyjęciach dworskich w pałacu Augusta, czy też przy ceremoniach w chramach; Cezar bowiem, z racji swego górującego stanowiska „princepsa” był równocześnie najwyższym kapłanem - pontifeksem. Mniemała, że szlachta, wojsko, magistratura i lud - wszystko jest jednako szczęśliwe, oglądając ją na wysokościach. Słyszała przecież wokół siebie »zept pochwalny, równający małżonkę Cezara z boginią. Rzeźbiarze ryli jej posągi w brązie i marmurze, malarze upamiętniali jej rysy - bogacze dobijali się o posiadanie jej wizerunków w swoich perystylach i atriach.

W istocie miała prawo czuć się dumna - i czuła się nią bez pychy, iż panuje Rzymowi.

Czyż nie śpiewali już wówczas poeci o stolicy, że „dźwiga w sobie miasta na miastach, że gdyby jej wysokie gmachy rozpostrzeć na płaszczyźnie ziemi, to ściany wypełniłyby całą szerokość Italii od Tyrreńskiego morza aż do Adriatyku?”



Ten Rzym, którego granitowe i marmurowe budowle, bazyliki i pałace, zdawały się krzykiem triumfu, strzelającym w niebo - ten Rzym, który rozrzucał na placach i ulicach cudowne posągi bogów, pomniki sławnych mężów i pięknych kobiet, kolumnady o przedziwnej architekturze, obeliski, arkady z porfiru, freski, złote dachy, srebrne wodotryski - był jej domem.

Panował tu ruch nieustanny, gwar głosów, brząających najrozmaitszymi językami, wir ludzi różnych barw, ras, plemion i wiar. Od-powiadało to znaczeniu stolicy, która już wówczas uchodziła za „gospodę narodów” - bite drogi wiązały ją wzdłuż całego półwyspu aż po jego kraniec, przeskakiwały na Sycylię, szły jej brzegiem północnym od Messyny do Palermo, i napełniały się karawanami kupców, przybywających na okrętach z Afryki.

Appijska droga, poczynająca się u wrót stolicy - upiększana ciągle nowymi budowlami - była cudem świata, a o trwałości jej budowy świadczą czasy dzisiejsze.

Bazaltowe jej kwadraty, gładko polerowane, jakoby zrastały się w błyszczącą posadzkę szerokości przeszło 6,5 metra. Budowa każdej rzymskiej mili tej drogi kosztowała 100.000 sestercji.

Na szlakach, wiodących do Rzymu ze wszystkich stron, znajdowali się wysłańcy ludów północy, narodów z wybrzeży Hellespontu i wysp Grecji, sponad Eufratu, z Syrii i Palestyny. Egipt słał na wyżywienie Rzymu olbrzymie zapasy zboża do jego olbrzymich spichrzów. Azja, Grecja, Hiszpania, pobraża Afryki przerzucały doń przez morze swoje przysmaki, wina, towary kolonialne, barwne tkaniny, tworzyły ten przepych, któremu w rozrzutności przyszłość nie dorównała nigdy.

Czasem zdawało się Rzymowi, że przestał być sobą - był w miniaturze całym państwem; zalany został przez obcokrajowców. Satyrycy jego narzekali, że zapełnia go „szarańcza z całego świata”.

Nie było dziwne, iż panującym nad tą zbytkowną stolicą, z której rozkazy szły do tyłu ziem i ludów na odległe granice, zawierające w sobie, zda się, cały świat podówczas znany - mogło zawrócić się w głowie; wydawali się sobie równymi bogom.

Kaligula uczynił próbę: zwrócił się do Jowisza na Kapitolu z propozycją: „Podnieś ty mnie, albo ja ciebie!” Ale posąg i Cezar zostali nieruchomi na jednym poziomie - był to dowód równości obu dla szaleńca i jego dworaków.

Mesalina doznała również zawrotu głowy...

Jednakże nie trwało to zbyt długo. Naraz uczuła się zmęczona. W tym wirze i gwarze, blasku i szale - ogarnęły ją znużenie i pustka.

Nie miała duszy bliskiej. Ci, co leżeli przed nią w prochu i oddawali jej pokłony, nudzili ją. Przepaść pomiędzy nią a pozostałymi ludźmi nie pozwalała na zbliżenie się przyjazne. Klaudiusz - najbliższy, jako małżonek - był najdalszym przez kontrast lat, przez swoje dziwactwa, manię, głupotę.

Wypadało mu oddać sprawiedliwość pod jednym względem: pragnął on podnieść Rzym, dać państwu urzędnika wspaniałe, wzorowe drogi porty, wsławić imię swoje u potomności. Znalazł ku temu celowi szereg ludzi zdolnych pośród Greków-wyzwolericów.

Posiadali oni

zmysł administracyjny, smak wykwinny, umiejętność dobierania

utalentowanych architektów, nawet wielkie ambicje - porywali się niekiedy na dzieła wprost fantastyczne dla owego czasu, jak przelanie wód jeziora Fucyńs-kiego przez kanały podziemne do morza, celem zyskania gruntów uprawnych. To, czego ówczesna technika dokonała, nawet przy próbach nieudanych w pełni, budzić może i dzisiaj słuszny podziw u potomnych.

Wśród pomocników, których Cezar swymi łaskami pobudził do wielkich czynów, acz

w gruncie rzeczy sam ich nie rozumiał, pierwsze miejsce zajmowali - sekretarz gabinetu cesarskiego Narcyz, intendent finansów Pallas, oraz trzej piastujący wielorakie a wysokie urzędy: Kallistus, Polibiusz i Possides.

Niestety! Olbrzymią wadą tych ludzi było, że przedkładając wielkie projekty Cezarowi, częstokroć pożyteczne dla państwa, nieraz przydatne tylko pysze stolicy i wygodzie kliki kapitalistów - przede wszystkim własne mieli na widoku korzyści. Na dostawach do przedsiębiorstw rozbudowy, przy wyborze przedsiębiorców, nie mniej od nich żądni zysku - porobili oni wprost fantastyczne majątki. Kallistus, niegdyś niewolnik, przez Kaligulę wyzwolony, w pałacu swoim, przyćmiewającym cuda bajek arabskich, miał salę jadalną

Otrzydziestu kolumnach ze wschodniego alabastru, stoły z cytrusu

lkości słoniowej, łaźnię o posadzce wyłożonej szklaną mozaiką, ze ścianami, obitymi złotymi i srebrnymi inkrustacjami, przetykanymi perłami i drogimi kamieniami.

Boleśnie pomyśleć, że temu rozrzutnemu bogactwu na szczytach odpowiadała okrutnym kontrastem nędza nizin: byli w Rzymie ludzie mieszkający w ledwie oświetlonych i wilgotnych norach podziemnych, do których schodziło się po dwustu drewnianych schodkach; znajdowało się tu naówczas ognisko wygasłe, słomę miast pościeli, dzieci w łachmanach, kęs suchego chleba, cebulę i garść groszowych warzyw - jako jedyny pokarm całej licznej rodziny.

Kto wie? Może w pewnej mierze przesył owym zbytkiem, który oślepił oczy, wygodą rozleniwiał, ale raził lśniącą pustką i potrzebom duszy nie dawał pokarmu - ten przesył, poza innymi przyczynami, był pobudką dla Mesaliny ku poszukiwaniu perwersyjnej rozkoszy; zapragnęła przez kontrast wytarzać się przez jedną noc na brudnej pościeli ordynarnego lupanaru z ludźmi najpodlejszych nizin... Tak czy inaczej - wiemy już o tym, że wyżyny, do

których sięgnęła, szczęścia jej nie dały; że próżni duchowej nie zapełniła rozkosz macierzyństwa; że zamknięcie się w złoconych komnatach i wspaniałych ogrodach przed rozgwarem dworu, który ją męczył - powiało na nią nudą. Wiemy, że częstokroć popadała w senność i apatię, niby nawrotem do podobnych nastrojów swego smutnego dzieciństwa.

Wiemy, że ostatecznie w dniu tragicznego przedstawienia w cyrku i po bezlitosnym otwarciu jej oczu przez Egipcjanę - wszystko skończyło się krachem.

A po szalonej nocy lupanaru - znów nastąpiła reakcja, i to fatalniejsza od poprzednich.

Było to jakieś głuche, drzemiące we śnie duszy obrzydzenie do siebie i do wszystkich, jakby znalazła się wraz z otoczeniem w błotnej topieli. Był to zdwojony jeszcze wstręt do

Klaudiusza, który na szczęście, nie narzucał jej w tym czasie swojej osoby; zajmowały go narady z ludźmi dla niej obcymi tak chłodną swoją powagą, jak i egoizmem własnych interesów. Wreszcie było to zmęczenie fizyczne. A nade wszystko nuda - nuda - nuda...

Jedynym szczęściem w niedoli było dla niej to, że wrażenia szałów „dzikiej nocy” zacierały się szybko we mgle, która ciężko spowiła jej znużoną duszę.

Była wciąż senna... Nie darmo Ea porównywała ją w duchu do posągu śpiącej Galatei.

## Rozdział XLIII

### Lekarz Wettinus Walens

Stan ducha cesarzowej zwrócił wreszcie uwagę Klaudiusza, a raczej uwagę jego na zmianę w usposobieniu Mesaliny zwrócił baczny Narcyz. Albowiem sam Cezar, jak prawdziwy „uczony” - nie spostrzegał nic prócz swoich myśli, gdy zainteresował się jakąś sprawą naukową, a raczej, kiedy poddał się nowej manii. Na razie zajęty był reformą łacińskiego abecadła.

Powziął bowiem od swego doradcy literackiego, Polibiusza, wiadomość o tym, że

Greki Kadmus stał się krzewicielem abecadła, przejętego od Fenicjan, którzy sztukę pisma

odziedziczyli po Egipcjanach, żeKekrops Atericzek zreformował ów alfabet, Palamedes Argijczyk zmienił szesnaście jego kształtów, a następnie Simonides, Demaratus, Ewandra - wszystko Grecy - poczynili zmiany dla przystosowania znaków greckich do mowy łacińskiej. Zachciało mu się na tym szlaku położyć swoje imię rzymskie; dodał więc trzy głoski nowe, które edyktami wprowadzono do ogłaszania uchwał ludowych i ryto je na spizach. Czas późniejszy owe „wynałazki” Klaudiusza, jako zbędne, zgładził.

Narczyz wpadł mu kiedyś w jego wywód o odpowiedzialności nowych liter dla „dźwięków, które słyszy tylko czułe ucho, a które nie powinny zginąć” - słowa:

- A cesarzowa?

- Co, cesarzowa? - nie zrozumiał.

- Jest czułym dźwiękiem, który też nie powinien zginąć.

- Nie rozumiem.

- Cezarze! Boska Mesalina jest chora... Pobladła... nierada jest mówić, podnieść się z łoża... unika ludzi... nie śmieje się... Cesarzowa powoli ginie!

Wtedy Cezar spostrzegł fakty i zaniepokoił się.

Uradzono za natchnieniem Narczyza wezwać słynącego z wiedzy i cudownych uleceń na wybrzeżu kalabryjskim Wettinusa Walensa. Liczył on wówczas lat siedemdziesiąt i po życiu niespokojnym, pełnym przygód, spędzonym w podróżach po zachodzie i wschodzie, gdzie szukał niestrudzenie źródeł wiedzy lekarskiej - dokonywał dni swoich w dobrach rodowych, wielbiony przez ludność wiejską, która nadała mu miano „cudotwórcy”. Był jednak przedziwnie krzepki i przy zamiłowaniu do paradoksów posiadał umysł trzeźwy i jasny, nie bacząc na wiek posunięty i życie niewstrzeżliwe; składał w życiu ofiary

Wenerze do zbytku, jadał niepomiarne wiele i na starość hołdował Bachusowi. Przyniósł na świat po ojcu, który zmarł w wieku nader sędziwym, organizm żelazny i utrzymał zdrowie

codzienną kąpielą w chłodzie jezior i świeżym powietrzu wyżyn górskich.

Rzymu nienawdził, jakkolwiek nie mierzyła go jego rozwiązłość, był bowiem cynikiem nie lada. Ale z Rzymem wiązało się dlań tragiczne wspomnienie z lat młodych, gdy jeszcze dech cynizmu nie padł na jego duszę. Sam parweniusz, ożenił się z kobietą wysokiego rodu, której niezwykła uroda, oraz niespodzianka szczęścia tak oszołomiły idealistę, że nadmiar wzruszenia pierwszych nocy poślubnych oddalił go, miast przybliżyć do niej, jako małżonka. Sarnia Hostilia zemściła się na mężu. Uprzedzając przykład osławionej Wistilii z pretorskiego rodu, zgłosiła się do edylów z prośbą

Opozwolenie na nierząd. Nie istniało wówczas prawo, wydane znacznie później z okazji podobnego postępku Wistilii za Tyberiusza (rok 19 nowej ery), które głosiło, że „kobieta, mająca dziada, albo ojca, lub męża szlachcica, nie ma się parać rzemiosłem wszetecznym” i samo wyznanie zamiaru wejścia na tę drogę, jako „hańbę, podług poglądu przodków”, karało dożywotnim wygnaniem. Wettinus Walens skorzystał z innego prawa - z władzy męzowskiej (potestas maritima) - zabił żonę! Nie podlegał karze za ten uczynek: przeciwnie, stał się bożyszczem nie tylko mężczyzn, lecz i kobiet. Ale sława ta przestraszyła go -

I w gruncie rzeczy żałował swego czynu: prześladowała go wizja zabitej, którą kochał - i uciekł z Rzymu. Lata, studia, podróże zatarły z czasem widmo; przywróciły mu spokój.

Opowiadano, że w Jaffie ożenił się po raz wtóry z niejaką Rebeką, córką Żydówki i gwałciciela, żołnierza rzymskiego, powszechnie pogardzaną sierotą, i znalazł przy niej szczęście wraz z odzyskaną wiarą w swoją męskość. Ta druga żona zaginęła w sposób tajemniczy - Wettinus poszukiwał jej długo, rozpaczał; wreszcie rozpacz zagłuszył, ugrzązłszy w rozpuście. Żył, jak pasza.

Ten niezwykły człowiek, niestrudzony fizycznie i umysłowo, równocześnie zapalił się

do studiów medycznych; i można rzec, iż posiadał całą wiedzę owych czasów, a - co trudniejsze - całą niewiedzę; albowiem terapia ówczesna była splotem grubych przesądów, z których krytyczny Wettinus starał się wyłuskać zdrowe ziarna; anatomizował on już trupy i wierzył w eksperyment, wyprzedzając o całe wieki przyszłość nauki lekarskiej.

Temu krzepkiemu człowiekowi, którego twarz charakterystycznie brzydką rozjaśniał pełny powabu uśmiech, skarbiący mu serca - sądzone było wyrwać Mesalinę z jej apatii. Stawiwszy się u dworu z nakazu cesarskiego, na pierwszym kroku zaszczycony przez kancelarię cesarską nominacją na przybocznego lekarza cesarzowej z prawem i obowiązkiem zamieszkania na dworze aż do wyzdrowienia wysokiej pacjentki - zażądał przede wszystkim prawa audiencji w cztery oczy, ilekroć uzna tego potrzebę, i bezwarunkowego posłuszeństwa swoim przepisom. Po czym przystąpił do kuracji, która polegała w całości na wpływie psychicznym. Rozgłos jego sławy, oryginalność postaci, swobodny ton i żywość myśli - wszystko to sprawiło wrażenie na Mesalinie. A już pierwsza rozmowa z lekarzem wyrwała ją z odrętwienia.

Rozpoczął ją następującym oświadczeniem:

- Wettinus Walens, niesłusznie podejrzewany o czynienie cudów zgłasza swoje usługi Auguście, z prośbą, aby mu pomogła uleczyć siebie.

- Ja... mam pomóc sławnemu lekarzowi? - zwróciła zdziwione oczy na niego.

- Tak jest... bez pomocy pacjenta lekarz nie jest w stanie nic uczynić. Chory powstaje z łoża choroby, gdy chce, i umiera, kiedy chce.

- To dziwne. Umiera tylu ludzi, chcących żyć.

- Nie! Umierają, bo nie umieją chcieć. Boją się śmierci, obawa zabija nadzieję życia; zaś nadzieja jest jego pragnieniem i ona krzepi nas. Ludzie skaczą w przepaść ze strachu przed upadkiem. Matki szaleją po stracie dziecka, albowiem chcą oszaleć, aby uciec od bólu

świadomości poniesionej straty...

- A starcy?

- Starcy umierają z potrzeby snu wiecznego...

- Słyszałam jednak, że czynisz cuda, doktorze!

- Żadnych! O ile ludzie wmawiają sobie, że są chorzy, wmawiam im zdrowie. O ile wierzą mnie więcej, niż siebie, wyzdrowieją, dziękują mi i przynoszą koguta w ofierze kamiennemu Eskulapowi, który tyleż wie o tajemnicach natury, co ja, sługa boskiej Augusty.

- Jakże to, sławny Wettinusie, a twoja wiedza?!

- Jest nader skromna. Wszystko, co jest wartościowe w medycynie, mieści się w nauce greckiej. Ale nawet największy ze znawców chorób ciała, Hipokrates, jeszcze myli się i czeka, aż błędy jej będą sprostowane.

- Ale przecież posiadasz tajemnice wiedzy egipskiej i wschodniej.

- Poza znajomością ziół, których moc leczniczą wskazało doświadczenie kapłanom Egiptu i mędrcom indyjskim, nie masz w tej wiedzy wschodniej zdrowego ziarna do rozkwitu na przyszłość... Znalazłem ledwo błędne ogniki, iskierki prastarej wiedzy syryjskiej i chaldejskiej, utopione dzisiaj w bagnach bezpłodnych rozumowań tępego rabinizmu żydowskiego. Szlak wiedzy prawdziwej pójdzie od Grecji, o ile myśl ludzka nie zboczy w kierunku bredni wschodnich, aby stężeć w obłądnie.

- Więc jakże to zamierzasz leczyć mnie, doktorze, bez wiedzy i bez cudów?- Już zacząłem... bo oczy twoje błyszczą i uśmiechasz się...

W istocie roześmiała się.

- Tak prędko leczysz mnie... niczym! A gdzież pomoc moja?

- W tym, że raczysz mnie słuchać, pani.

- Opowiedz mi coś zajmującego, Wettinusie...



Jął opowiadać o dziwach różnych krajów, o obyczajach rozmaitych narodów, o kobietach i stosunku do nich surowego egoizmu męskiego, który pozostawił sobie swobodę uciech płciowych, a z kobiety uczynił rzecz - własność, zabawkę swojej rozkoszy... Nieco igrał z myślą słuchaczki, zmuszał ją do zastanowienia się. Albowiem jednym tchem tłumaczył konieczność społecznego instytutu i moralnego zdrowia, oparte na różnicach fizjologicznych obu płci, na prawach spadku dzieci po pewnym ojcu, a jednocześnie to swawolnym żartem, to wyrozumiałością dla potrzeb naturalnych, obalał własne twierdzenia. Słowem, zajął ją, pouczył, zabawił, oderwał od jej smutku.

Podczas jednej z następnych rozmów - gdy Wettinus dał się polubić pacjentce i sam ją polubił, skąd zyskał ton w stosunku do niej poufalszy - kiedy nadto przeniknął, iż Mesalinę toczy robak jakiejś tajemnicy - kiedy z radością zauważył, że jego słuchaczka posiada umysł otwarty i śmiały, a nie krępuje go w wypowiedaniu paradoksalnych poglądów - padły ze stron obu następujące słowa:

- Na chorobę mej nudy nie ma lekarstwa, doktorze!

- Owszem, jest...

- Jakież?

- Inna choroba... miłość.

- Zapominasz, Wettinusie, że jestem małżonką Cezara.

- Nie przeczę temu. Ale z punktu widzenia natury jest to sprawa poboczna. Dla natury istnieją tylko potrzeby organizmu i różnice temperamentów. Nie pyta ona o tytuły, nazwiska, rangi, stan cywilny.

i tym podobne drobiazgi.

- Śmiejesz się, doktorze!... Swawolisz!

Wówczas bolesne skrzywienie przeszło po jego twarzy. Dodał ciszej z powagą:

- Kiedyś patrzyłem na to inaczej. Zabiłem człowieka, istotę chorą... Żal nauczył mnie już na zawsze wyrozumiałości.

- Słyszałam o tym... Mówisz o hańbie, którą okryła cię niegodna małżonka...

nieprawdaż?- Nie! Mówię o chorej, której hańbę niesłusznie wziąłem za swoją, nie potrafiąc widzieć hańby własnej. Żona moja po prostu chciała wejść do cechu, z którym ja bywałem nieraz w najlepszych stosunkach. Miast rozejść się z nią i pozwolić jej iść swoją drogą, więziłem ją przy sobie, nie zrozumiałem jej zemsty i przypisałem sobie prawo ukarania jej śmiercią. A właściwie - rzeź, znowu popadając w śmiech - i tu i tam nie było hańby... to wszystko wymysł ludzki.

- Drwiesz z praw!

- Nie! Z prawodawców... Drwię ze starej surowości Rzymian, która uznawała prawo pocałunku tylko między małżonkami i poważnie dyskutowała nad tym, czy można pozwolić na pocałunek narzeczonym, aż raczyła go dozwolić. Drwię zwłaszcza z edyktu Tyberiusza, który zakazał obcym pocałunku, a sam... co czynił?!... Wstyd mówić o tym...

Machnął ręką.

- Wettinusię! Czy nie przesłyszałam się: nazwałś miłość chorobą?

- Tak jest! Bo zdradza objawy choroby; przyspieszoną pulsację serca, gorączkę krwi, trawiącą bezsenność, niemożność spokojnej pracy, natręctwo wizji osoby ukochanej i...

obłądną myśl, że rozkoszy można napić się tylko z jednego źródła. Zazdrość jest szaleństwem, godnym zwierzęcia, nie człowieka. Despotyzm żony, czy męża, gdy oburzają się na normalność zdrady współmałżonka są to wszystko rzeczy potworne, szpecące naturę człowieka.

- Doktorze! Uprawiasz rozpustę.

- Nie! Człowiek winien znać swoją miarę. Rozpusta poczyna się tam, gdzie jest

granica zdrowego użycia.

- Złapałam cię, Wettinusie, na błędzie logicznym. Uważasz miłość za chorobę, a mówisz o zdrowym użyciu.

- Cesarzowo! Trochę sprzeczności nie zawadzi, gdy mówi się o sprawach zawiłych, w których natura i społeczność, instynkty zmysłowe i nakazy moralne biorą się za łby. Zresztą...

- Co zresztą? Nie kończysz myśli.

- Ot, jak stoją sprawy, cesarzowo. Posłuchaj mnie uważnie... Bogowie, o ile coś podobnego nie jest fikcją naszą i nie daje się zastąpić słowem: „niepojęte dla nas siły natury”, chęć rozwoju życia... Po co im to potrzebne? Nie wiem... Ja, gdybym był twórcą, pożałowałbym swego trudu i zniszczył życie, jako realność, zbyt powoli rozwijającą się w czasie, co nie przystoi doskonałości od razu pomyślanej przez Bóstwo idei twórczej. Ale tak już jest!... I musimy tej woli bogów poddać się pokorze. Otóż owe ślepe siły zagwarantowały sobie pewność życia, obdarzywszy stworzenia żyjące pragnieniem rozkoszy. Wenus dała mężczyźnie, siewcy życia, napady żądzy, kobiecie zaś bierność gleby, przyjmującej ziarno siewne, pragnienie otwarcia łona... Bogowie myślą o celu; nam zaś kazali myśleć o przyjemności: jest to może nieprzyzwoite, ale... ładne. Nie krytykuję tego. Tak jest!... Godzę się z tym i sprzeciw instynktowi uważam za... bezbożność. Cha! cha! cha! Śmiał się, zadowolony ze swawoli swoich paradoksów.

Mesalina też się śmiała...

## Rozdział XLIV

### Rady lekarza

Ten sposób traktowania spraw stosunku płci, mimo pozorów igraszki, był ze strony

Wettinusa trafnym puszczeniem w ruch sprężyn psychologii celem przeniknięcia tajemnicy,

którą przed nim - jak wyczuł dobrze - kryła cesarzowa, powodowana obawą potępienia lub

niedyskrecji.

Dopiął swego. Niezadługo Mesalina otworzyła duszę przed nim, jak przed najlepszym przyjacielem i znalazła w sobie odwagę powierzenia mu sekretu swojej szalonej nocy.

Wtedy spoważniał - ale nie zrzekł się swoich paradoksów. Wyrozumiałość lekarza i duszoznawcy okrył cynizmem, który wynikał z obserwacji czasu i był złośliwym protestem pod formą szyderczej aprobaty.

- Potępiasz mnie, Wettinusię? - spytała.

- Niechże mnie Eros strzeże od tego, boska Mesalino! - odparł. - Potępiac cię? Za co?!

Rozważmy rzecz kolejno... Przede wszystkim, czy odpowiadasz, cesarzowo, za burzliwą krew swojej rodziny?!

- Mój ojciec był człowiekiem skromnym, umiarkowanym, czystym.

- Toteż byłaś aż za długo, cesarzowo, wierną małżonką Klaudiusza. Ale zdradził się w twoim kroku, poza wybuchem gniewu i rozpaczem wpływ namiętnej krwi, którą dziedziczysz po matce.

- Pomiń przykre rzeczy, doktorze!- Rozumiem... Ale chcę mówić o twoim dziadzie, boska Augusto, i w ogóle o rodzinie rudobrodych Domicjuszów.

- Cóż takiego wiesz o nich?

- Ba!... Dość dla potrzeby chwili. Słynna była za mojej pamięci pewna historyjka, w której rolę główną odegrał dziad twój, Domicjusz. Był on legatem Antoniusza, wzorowym wodzem i świetnym służbistą. A jednakże pewnego dnia, było to w samym warze bitwy pod Akcjum, opuszcza swoje szeregi, tajnie przekrada się w łodzi do obozu Okta-wiusza, gdyż wtedy jedynie ma możliwość powrotu do Rzymu, gdzie zostawił kochankę, piękną Serwille Naidę. Z Rzymu pisze list przeproszający do Antoniusza; wyznaje, że sam rozumie haniebną swoją ucieczkę z pola bitwy, przedarcia się do obozu wroga. Ale tłumaczy się, iż

nocą doznał gwałtownej tęsknoty za nie widzianą od paru miesięcy Naidą, i uległ pokusie.

Wbrew powszechnemu oburzeniu, Antoniusz wspaniałomyślnie przebaczył zakochanemu; odsyła mu nawet do Rzymu jego pakunki i niewolników... cha! cha! cha! Jakby przeczuł, że sam wkrótce sprzeniewierzy się Marsowi dla Wenery: dla objąć Kleopatry straci berło, które wziął stateczniejszy Oktawian...

- I straci życie...

- I życie! A więc widzisz, cesarzowo, że miłość jest chorobą...

- Widzę... Cóż dalej?

- Dalej to, że panujesz Rzymowi, który sam szaleje i pozwala Cezarom na wszelkie szaleństwa.

- Cezarowie wydali edykty, nakazujące moralność.

- Ach! Tak... Tak... Ale Rzymianie objadają się, aby wymiotować i wymiotują, aby jeść... mają po to przy jadalniach specjalnie urządzone vomitoria. Mam wrażenie, iż podobnie objadają się prawami cesarstwa, aby je... „zwymiotować” i robić swoje! August wydawał edykty, pozbawiające prawa do spadku po dalszych krewnych mężczyzn bezżennych, obciążał ich podatkami, uciskał nimi kobiety niezamężne: wynagradzał małżeństwa płodne, utrudniał rozwody. Cóż z tego wszystkiego? On sam się rozwodził... Konsulowie, którzy ogłaszali jego prawa, zostawali starymi kawalerami i bezdzietnymi... A sławetna lex Papia-Poppea miała za ledwie ten skutek, że mężczyźni za opłatą żenili się z bogaczkami, a matrony rzymskie, aby nie stracić prawa do spadku, wychodziły za eunuchów.

- To wstrętne!

17 - Mesalina- Zapewne... Ale cóż robić, Mesalino? Na jedną Arrię, która pierwsza wrazi sztylet w swoje łono, aby dać przykład męstwa skazanemu na śmierć Trazei Petusowi, przypadają tysiące kobiet, które pocieszają się szybko po wdowieństwie. August próżno

dawał córce Julii za wzór Klaudie Kwintę.

- O kim mówisz?

- O tej kobiecie z legendy, która sama jedna zepchnęła okręt z mielizny, gdy wróżby orzekły, że podźwignie go jedna słaba ręka niewieścia, o ile będzie należała do wiernej małżonki. Julia uprawiała inny rodzaj cnoty.

Wybuchnął śmiechem i dokończył:

- Słyszałaś, cesarzowo, jej dowcipną odpowiedź, gdy zapytano ją: „W jaki sposób urządza się mimo zdrad, że wszystkie dzieci mają rysy jej małżonka?”

- Nie wiem.

- Odparła ciekawskim: „Przyjmuję pasażerów obcych dopiero wówczas, gdy okręt jest... załadowany!”

Mesalina musiała się śmiać.

- Tak, cesarzowo, w naszych czasach częściej spotyka się Marulle, niż Klaudie Kwinty.

- Co za Marulla?

- Moja przyjaciółka z Rzymu, która wychowuje siedmiu synów w Apulei: jeden z nich ma rysy kucharza Maura, drugi skośne oczy jej piekarza, trzeci lniane włosy flecisty domowego, Galla itd, itd. Zapatrzyła się na całą służbę!... Cha! cha! cha!

W tych swobodnych gawędach lekarz z dobrodusznym cynizmem wyłożył Mesalinie, że Cezarowie w zepsutym Rzymie zdobyli sobie przywileje, które winny jednakowo przysługiwać żonom Cezarów. Opowiedział jej wesoło, jak to Kaligula potrafił zabierać podczas uczyty żony senatorom i śmiać się, że robili przy tym żalosne miny; ale posłuszni bywali zakazowi wchodzenia następnie w stosunki z legalnymi żonami, które służyły na moment chuci żartownisia-tyrana. W wesołości, jaka ogarniała Wettinusa Walensa przy tych

opowieściach, drgała okrutna pogarda dla nikczemności niewolników, którzy chronili głowy swoje brakiem protestu przeciw tego rodzaju niecnotom Cezara.

Nadto Wettinus opowiedział Mesalinie jeszcze jedną rzecz, która napęliła ją zgrozą, ale... zarazem zatrzała myślą, że w istocie dwór cesarski nie jest miejscem, w którym można by szanować tragedię cnoty. Oto Kaligula swojego czasu założył we własnym pałacu lupanar z dam dworu. Rozsyłał zaproszenia doń publicznie na miasto, pobierając opłatę od dostojnych gości. Nie posiadającym dość pieniędzy na tego rodzaju kosztowny wydatek - pożyczał wielkie sumy ze swojej prywatnej szkatuły, pobierając za to grube procenty.

Wszystko to brzmiało rozgrzeszeniem pokusy... Było zaś może zamaskowaną weselem rezygnacją człowieka, który zwątpił w naprawę Rzymu, lub doszedł do rozpaczliwego wniosku: „im gorzej, tym lepiej - prędzej to się skończy!” Ale była w tym i litość dla kobiety młodej, nieszczęśliwej, przykutej do rozpustnego niedołęstwa Cezara Klaudiusza. Tym ostatnim doktor Wettinus w głębi duszy gardził, a podobnie do Ei - jeno w kształcie figla - wyglądał pomsty nad nim przez szal Mesaliny.

Tedy chętnie przyrzekł jej wpłynąć na małżonka zakazem lekarskim, iżby ów szanował jej słabe zdrowie i nie wymagał od niej do czasu poddawania się obowiązkom Hymenu. Wskazówkę tę wziął małżonek do serca przez cześć dla powagi lekarza, nie podejrzewając, że natchnieniem przepisu był... wstręt Mesaliny. Cezar zwierzył się przy tym doktorowi, że „sam musię się szanować”. Zauważył nadto, że „miłość małżonki-Diany, acz tylko duchowa, napęliła go szczęściem dostatecznym”.

Samej Mesalinie Walens udzielił rady w granicach koniecznej ostrożności iść przez trafny wybór za głosem serca, lub zmysłów: a skrupułów nie mieć, wyrzutów sumienia sobie nie robić, bo „nie ma dla kogo!” Rzym terażniejszy cnoty nie wart; o potomnych zaś można nie dbać, bo umarłym nie powinno zależeć na opinii o nich przyszłości. Toć i przyszłość

będzie zawsze grzeszyła po swojemu i ma wątpliwe prawo do roli sędziowskiej. Wreszcie, co się tyczy niezadowolenia bogów na tamtym świecie, to rozmaite ludy opowiadają na ten temat tyle bajd odmiennych, że „albo wszystkie zgoła są zmyśleniem, albo wszystkie są prawdą jednaką - i można będzie obrać sobie pobyt u bogów najmiłościwszych”. Ci bogowie są najuczciwsi, którzy nie wymagają za wiele od grzesznej natury człowieka i jako jej twórcy „poczuwają się do współodpowiedzialności za nią”.

Pod lekkością przepisów terapeutycznych doktora Wettinusa - o ile dziś możemy sprawiedliwie o tych sprawach sądzić - tkwiło, zdaje się, pełne powagi przypuszczenie, że Mesalina jest potomkinią rodu zdegenerowanego, dzieckiem epoki zepsutej, osobą chorą, którą - na przekór marzeniom jej dzieciństwa o powołaniu Westalki - dotknęła nim-fomania, słabość, znana już medycynie klasycznej. Zimny obserwator badacz Wettinus, spostrzegając jej skryte objawy w kontekście - w przesadzie dotychczasowej czystości pacjentki; zapowiedź zaś rozwoju tej choroby zgadywał w wybuchowym szale i w nieumiarze jej nocy, spędzonej w domu rozpusty.

Leczył ją z nudy, apatii i smutku - jak mu polecił Cezar; nie leczył z tej choroby, której grozy ani chciał, ani umiał środkami lekarskimi swego czasu powstrzymać, a to tym bardziej, że wątpliwe jest, czy w jej daleko posuniętych stanach mądrość nawet współczesnej psychiatrii potrafi stawiać jej napadom tamy lecznicze.

Pozostając przy dworze, gdzie składano hołdy jego sławie i płacono mu bajeczne honoraria, nade wszystko zaś bawiąc się tu cyniczną obserwacją zbroczeń czasu i układając z notat ciekawe pamiętniki, które, zachowane w urywkach, służą nam dziś za cenny materiał do zrozumienia owej epoki - Wettinus wziął Mesalinę pod swoją wyrozumiałą opiekę. Swymi przepisami, którym Cezar i dwór poddawał się bez oporu, ułatwił on cesarzowej wstąpienie na drogę, która zapewniła swobodę jej zmysłom i uciechę lat paru, w ostateczności jednak



przywiodła ją do zguby... wbrew mądrości doradcy. Albo może wszystko przewidział i na wszystko z góry się zgodził, gdyż był zdania, że „krótkie życie, wypełnione wolnością szczęścia, więcej jest warte, niżli najdłuższa nuda świętobliwych wyrzeczeń się rozkoszy życia”.

Wyznajemy jednak, że sądził on duszę swej pacjentki z niejaką ograniczonością, właściwą jednostronności medyków. Albowiem dusza Mesaliny była bardziej zawiła, złożona i szlachetniejsza, niżli sądził doktor Walens: pod maską popędów zmysłowych, pod pozorami igraszek weselnych szukała ona z tragiczną chciwością oczarowań i głębi wielkiej miłości. Że nie znalazła jej, było to fatalnością losu wyklętej przez czas swój i przez potomność.

W każdym razie należy zachować wielką ostrożność w czerpaniu ze źródeł naukowych owej epoki nawet „faktów”, mających rzekomo za świadectwem uczonych dowodzić „bezgranicznej zmysłowości i ślimaczego usposobienia tej cesarzowej”, która jakoby „nocą usług przechodziła najwytrzymalsze dziewczki najemne”. Trudno bowiem liczyć się z wiarygodnością tego twierdzenia, choć pochodzi ono z ręki uczonej i współczesnej, skoro tuż obok czyta się np. takie obserwacje natury:

„Myszy płodzą się przez lizanie się wzajem. Pewna mysz - samica wydała 120 młodych za jednym razem. W Persji w żywocie myszy znaleziono płód, który był sam już brzemienny”.Przykro pomyśleć, że te obserwacje - myszy i Mesaliny - spisywał jeden z najwybitniejszych przyrodników, znakomity autor Historii naturalnej Pliniusz!

Rozdział XLV

Aktor Mnester

Wettinus Walens zaordynował Mesalinie rozrywki.

Cezar był posłuszny. Co wieczora urządzano w pałacu widowiska teatralne, gdyż cyrkowe nie odpowiadały jej gustom i drażniły jej nerwy. Mimowie, tancerze, tancerki,

fleciści i harfistki, poeci i deklamatorzy, zapełniali skrzydło jej pałacu, w którym mieściła się scena urządzona ad hoc, zapewniająca możliwość czarodziejskiej dekoracji: pierwsze pomysły nowej techniki teatralnej, odstępujące od tradycji sceny greckiej, a zapomniane potem na długo, bodaj aż do lat romantyzmu w ubiegłym stuleciu naszej ery.

Wreszcie zaproszono na życzenie cesarzowej Mnesterą, który wszedł wówczas w modę w Rzymie, bawił mężczyzn i porywał kobiety z arystokracji. W tej epoce sztuka teatralna nie mogła konkurować ze świetnością cyrku, ściągającego tłumy, czyniła jednak postępy, bawiąc i zajmując wykwinne sfery towarzyskie. Teatry i teatrzyki publiczne nie były wprawdzie liczne i obszerne, dawały farsy i komedyjki, które przejadały się, gdyż były nazbyt znane i stanowiły dość nieudolne przeróbki starych komedii greckich. Na wskrzeszenie dram w wielkim stylu Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, nie było miejsca - nie trafiały one do gustu dość gruboskórnej i żądnej wesela, lub sensacji, publiczności rzymskiej. Brakowało zresztą odpowiednich talentów nawet wśród piszących Greków, którzy służyli niewyrobnemu lub zepsutemu smakowi Latynów albo szumowin cudzoziemskich. Natomiast w prywatnych domach bogaczy, wśród sfer wykwinnych, teatr stał się ulubioną rozrywką. Oczywiście i tutaj sztuka nie stała na wysokim poziomie. Ale rozwijał się przepych dekoracji i kostiumów, podnosił się stopień muzykalności, taniec klasyczny nabierał wdzięku, retorzy z łaźni przenosili swoje popisy na scenę, błysnęła nieraz wśródswawoli nuta prawdziwej poezji, a przede wszystkim wykluwała się nieśmiało satyra.

Mówiła ona śmieiej, przeżyte bóstwa i szaleństwa Cezarów ośmieszając w podziemiach pałaców, gdzie zbierały się w nocnym czasie nieliczne kółka widzów, gdzie bojaźliwi, porwani nową sztuką, schodzili się w maskach, drżąc przed donosicielami i cenzorami moralności, mogącymi zamieszać się między tę publiczność. Wiedzano dobrze, iż wykrycie teatrów grozi urządzającym owe scenki - bodaj prototypy dzisiejszych kabaretów,

wytopione przez surowość późniejszej epoki chrześcijańskiej - utratą głów i rozciągnięciem tejże kary na widzów - smakoszków satyry. Świeciła tu triumfy poezja dekadenska, poszukująca nowych form, lubująca się w dźwiękach bez treści, w błyskotkach stylu, ogłaszająca dawnych mistrzów Grecji za naiwnych dzieciuchów, wierzących w najgłupsze mity; a równocześnie tu właśnie, w postaci tłustych kupletów i subtelnej ironii, wykuwano ten oręż sceptycyzmu, który zniszczył do cna dawną wiarę pogańską w warstwach przednich narodu, zanim na grecko-rzymskie bóstwa powiały niszczące wiatry nowych idei ze wschodu. Miały one z nizin przedostać się na wyżyny, zwłaszcza w dusze kobiet, przerażonych pustką bezbożności, stęsknionych do jakiejś wiary nowej i ożywczej.

We wszystkich tych teatrach wysunął się na pierwszy plan Mnester, w istocie aktorski geniusz uniwersalny: grał na wielu instrumentach, śpiewał, deklamował, był mimikiem nie lada, sztukmistrzem, improwizatorem, posiadał dar charakterystyki w najwyższym stopniu, zmieniał głos, udawał zwierzę, budził dreszcz i śmiech do woli, wywołał rumieńce kobiet, przychodzących podziwiać go pod maską, gotowych wdrzeć się za kulisy, oddać się mu - i zrozpaczonych jego niepojętą obojętnością na wdzięki niewieście. Szydł z najupartszej miłości.

W teatrach publicznych, mających pozwolenia edylów i cieszących się opieką władz miejskich i zapomogami z kasy państwa, Mnester popisывał się w roli Laureolusa. Odgrywał dzieje tego zbiegłego niewolnika, zbója - postrachu dróg publicznych, ojcobójcy, mordercy swoich panów, świętokradcy i podpalacza, który ostatni epizod swego awanturniczego żywota - romantyki w epoce klasycznej - w rzeczywistości odegrał na arenie cyrku, przybity do krzyża i poszarpany w oczach tłumu przez niedźwiedzia. Tu Mnester szarżował co niemiara, ziejąc krwią i zalewając scenę farbą czerwoną w jękach okrutnych pod zębami partnera, przystrojonego w skórę niedźwiedzia. Na tych wido-wiskach bywał i lud,

odnawiając wrażenia dreszczu, przeżywanego podczas kaźni prawdziwej. Inteligentne warstwy doznawały nie mniej wstrząsu, ale równocześnie bawiły się tą szarżą, bodaj ucząc się po raz pierwszy przedkładać udany przelew krwi nad grozę jej zapachu na arenie cyrkowej. Po tym przedstawieniu wielki aktor odwiedzał na zaproszenie bogaczy i popisował się lżejszymi produktami - śpiewkami, grą, deklamacją. A po uczcie gospodarz zatrzymywał wybranych przyjaciół, którzy tajnymi schodkami udawali się w podziemie, strzeżone przez zaufanych niewolników - i tu odbywały się najciekawsze widowiska Mnestera i dobranej, a zarabiającej olbrzymie na tej dyskretnej sztuce trupy. Odgrywano tu Testament Jowisza, soczystą farsę, w której pierwszy bóg Olimpu umierał, poszukując równie głupiego i złośliwego dla siebie następcy, jednowładcy, albowiem znużyły go ciągle bunty opornych jego władzy bogów i kapryśnych, jak matrony rzymskie, bogiń, uszy spuchły mu od nieustannych modlitw, śmiertelnego kataru dostał od smrodu ofiar, zarzynanych na ołtarzach. Widzowie brali się za boki, słuchając legatów Jowisza, darzącego kapłanów za utrzymanie narodów w ciemnocie i hołdach dla jego boskiego majestatu, przy czym jednak bóg-Mnester użalał się kwaśno na oszustwo w rachunku ofiar, które otrzymał: właściwie wynagradzał z przyzwyczajenia największych złodziei, augurów.

Inna farsa nosiła nazwę: Najazd bogów. Przedstawiała konsternację na Olimpie, zaszłą wśród bogów grecko-rzymskich z powodu uszczuplonych dochodów i porcji na ucztach. Najlepsze kąski dostawały się bogom, którzy zapełnili wszystkie miejsca w gospodach „Pod bykiem egipskim”, „Pod oskubanym kogutem”, „Pod zdechłym jagnięciem”, „Pod wytrzebionym orłem”, „Pod nowym piorunem”, „Pod trzosem kapłańskim” itp. I znowu widzowie tarzali się ze śmiechu na swoich leżakach, przepijając winem do woźnego Olimpu, zatrwożonego tym, że obcy bogowie już tłoczą się przez kuchnię od oficyny do pałacu Zeusa. Na tych przedstawieniach zjawiali się tajnie sceptyczni Żydzi, przybysze z Aleksandrii

- mniej gorliwi, niż Żydzi rzymscy, przesyłający dziesięcinę całymi wozami złota kapłanom Palestyny - pozbawieni zgoła religijnych uczuć, zresztą w domu udający nabożniów, odbywających wszelkie posty, tutaj zachwyconych grą Mnestera, występującego w roli krzykliwego starucha, nigdy niesytego krwi jagniąt i baranów, czochrającego olbrzymią siwą brodę i loczki nad uszami, przybranego w chałat, całującego nitki u brudnej koszulki, wstrząsającego grzbietpałkowaty i drewniane kubki na ramieniu i czole, nakrytego wielką płachtą jedwabną i noszącego pod pachą sydur w fioletowym aksamitnym woreczku - legitymację następstwa po umierającym głodową śmiercią Jowiszu. Słowem, był to obraz „gorszący”, a bawiący tych wyzwolenców z pęt rodzimej religii, zarówno jak z wszelkiej wiary, a jednak świętoszków obłudnych w stosunkach z interesantami-współwy-znawcami - obraz, pobudzający do histerycznego śmiechu wybrańców kultury rzymskiej, którzy rozumieli wszystko, prócz zbliżających się czasów, skazujących ich wiarę i niewiarę na zagładę. Było niezmiernie charakterystyczne, że farsa Najazd bogów napisana została przez Żyda. Jej pointą był edykt Jowisza, którego grał również Mnester, zmieniający charakterystycję błyskawicznym przebraniem się za kulisami i nową peruką; edykt ten stanowił kontrolę policyjną nad legitymacjami bogów przyjezdnych - oględzin metryk i dowodów boskości. Inny autor żydowskiego pochodzenia dodał scenę o sporze pomiędzy ojcem i synem o wiek, w której rodziciel i urodzony godzili się w końcu na równowiecz-ność - scena ta była wyjątkiem z farsy, dawanej naówczas w Aleksandrii, a mającej wielkie powodzenie u Greków i Żydów w tym mieście ku zgorszeniu nie bywających w teatrach krzewicieli nowych poglądów w sferach ludowych.

Wszelako największe burze oklasków zbierał Mnester w roli idioty, w którym łatwo poznać było można Klaudiusza. Farsa, której bohaterem był sam Cezar, nosiła tytuł: Sąd pośmiertny i oddawała na pośmiewisko władcę olbrzymiego cesarstwa, pana Rzymu, odpychanego po

śmierci przez złośliwych i dumnych poprzedników w koronie, nie mogącego znaleźć sobie kącika w niebie i przyjętego wreszcie do posług przez Greka-koniucha do wymiatania nawozu, jako że „lepszego losu nie był wart”. Ta scenka posłużyła za osnowę do mściwej satyry powróconego po zgonie Klaudiusza z wyspy wygnania Seneki. Tak ten śmiech pod ziemią był pomstą słowną drżących ze strachu na ziemi pod ręką tyrana tych niewolników ze szczytów kultury, którzy nie mogli zdobyć się na żaden czyn i bezpłodnym, anarchicznym sposobem myślenia torowali drogę tym bliskim czasom, gdy korona cesarska stała się żerem, wydzieranym sobie wzajem przez samozwańców, a tron - igraszką walki na miecze pomiędzy swawolnymi i zuchwałymi kupami pretorianów.

## Rozdział XLVI

### Podczas przedstawienia

Parze cesarskiej nie wypadało bywać w teatrach publicznych, a nawet prywatnych, aby uniknąć spospolitowania się i podrażnień wśród konkurujących o ten zaszczyt nobilów i bankierów. Tedy wielkiego aktora - zgodnie z przypomnianą przez Klaudiusza obietnicą - zaproszono do pałacu. Tu oczywiście wobec powiewu surowej etyki wschodniej musiał on zapomnieć swoich figłów. Lada błąd mógł przyprawić go o utratę głowy. Obrął drogę doskonałą, skoro umiał tak przypodobać się Cezarowi, że ten po jego pierwszych występach polecił ustawić jego posąg na Forum i w świątyniach, i bić monety z jego wizerunkiem. Na pierwszym przedstawieniu, na którym obecny był dwór, a Mesalina z Klaudiuszem w odświętnych szatach zajęli miejsca górujące w obitej purpurą łoży na wprost sceny - Mnester wystąpił w roli wdzięcznego pasterza, jakoby patrzącego z wierzchołka góry na roztaczający się u jego stóp Rzym. Otaczało go stado wełnistych baranków. Grał na flecie - śpiewał pełnym słodczy głosem odę znakomitego poety Propercjusza:;

Spójrz, wędrowcze! Ta Roma, którą widzisz przed sobą, Ongiś leżała tak samo

Rozpostarciem szerokim...

Jeno że była siedmią wyżyn, trawmi okrytą!...

Tu, gdzie teraz strzelają wspaniałe szczyty

Świątyni boga słońca, Apolla, Pasły się woły pokorne...

A gdzie bożek sterczał gliniany

Pod niskim dachem chałupy drewnianej, Domy złociste wyrosły...

Gdzie poczciwi wieśniacy chodzili w skórach zwierzęcych, Teraz wznosi się gmach  
purpurowy Senatu...

Oda oczarowała wszystkich. Mesalina przysłuchiwała się z zapartym oddechem.

Wypieki wystąpiły na jej twarzy. Klaudiusz przyjął oklaskiem wtrącony przez Greczyna, nie  
lubiącego Żydów, ustęp:

A gdzie ongiś pobożny król Numa Z nimfą Egerią przesłodkie wiódł rozhowory, Rad

jej słuchał dla dobra ludu swojego, Tam, gdzie były święte źródła i gaje - Dziś Judejczycy  
siedli dzierzawą

Szwargocząc i robiąc na handlu zbożem pieniądze...

Następny numer wypadł jeszcze świetniej. Mnester zjawił się jako Cezar August

Oktawian. Charakterystyka była zdumiewająca. Przypominał do złudzenia posągi pierwszego  
cesarza, stojące na Forum. Powtarzał jego znakomitą mowę do bezzennych i bezdzietnych.

Grzmiał:

„Co mam rzec wam? Jak do was przemówić?

Mężczyźni? - nie okazaliście, że jesteście mężczyznami!

Obywatele!... Gdyby wszyscy byli takimi, jak wy, nie byłoby wkrótce państwa!

Rzymianie?! - ależ postępujecie tak, aby imię Rzymian wygasło...

Jesteście mordercami!... Nie dajecie życia tym, którzy winni być przez was splodzeni.

Grzesznicy! Pozwalacie wymrzeć nazwiskom i godnościom waszych ojców -

niszczycie szereg pokoleń, które Bóg nakreślił w kolei od was.

Toć nie jesteście samotnikami - nie obchodzicie się bez kobiet; żaden z was nie zajada i nie sypia sam. Ale nie chce się wam obowiązków - chce się rozkoszy. Wstyd mi, że muszę o tym do was mówić!

Jeżeli mnie kochacie i poczesny tytuł ojca dajecie mi nie z chęci schlebiania, lecz przez szacunek - postanówcież zostać małżonkami i ojcami.”

Dwór, znający Mnestera z przedstawień w willach bogaczy, a także z odwiedzin teatrzyków podziemia, chwycił dyskretne tony ironii w deklamacji znakomitego aktora.

Wszystko, co mówił, zwłaszcza obecnie na tle rosnącej w stolicy rozpusty, nie odmienionej przez prawa i słowa, padłe z ust obłudnika i komedianta w swoim czasie, niby głos na puszczy - brzmiało sarkazmem, natrząsaniem się aktora ze swej epoki. Rozumiało to wybornie również czułe ucho Mesaliny... Jedyne Klaudiusz - głupkowaty, niezdolny do uchwycenia ironii, przemycanej przez odcienie głosu - brał to wszystko na serio. Aktor wyświadczył Rzymowi niedźwiedzią przysługę. Cezar, zachwycony powagą aktora i potęgą mowy Augusta, zwrócił się do małżonki ze słowami:

- Edykty te wskrzeszę!... Pomnożę!... Rzym nazwał Augusta ojcem ojczyzny. Mnie potomni dadzą tytuł: „Wskrzesiciela cnoty”. A ten Mnester to po prostu mąż stanu. Podoba mi się ogromnie. A tobie?- Wszystko, co się tobie podoba, Cezarze, mnie zachwyca! - rzekła, tłumiąc lekki dreszcz z powodu zapowiedzi reform, mających na celu utwierdzenie cnoty. Wiedziała, że za reformą kryją się nowe karnie...

Nowa zmiana. Grecki aktor jest teraz w stroju Liwii przy stosie, na którym domyślnie płoną zwłoki Augusta. Ma głos kobiecy, naśladowany do złudzenia, i rysy pierwszej Augusty. Dzieje się cud. Cud podwójny - jako rola cesarskiej płaczki, odegrana świetnie, i jako



naśladowanie sceny rzeczywistości sprzed lat trzydziestu.

Zjawia się partner Mnesterera - Aliteros, z pochodzenia Żyd, jednak przyjaciel Greka, który widzi w nim przyszłą gwiazdę, swojego następcę, i podziwia wymowę i gest zhellenizowanego w środowisku aleksandryjskim Żyda. Aliteros gra rolę senatora Mumeriusa Attikusa, opowiada z patosem, że widział Augusta, wstępującego do nieba.

Teatralna Liwia wpada w zachwyt. Ona nigdy nie wątpiła, że jej mąż jest bogiem.

I znów Mesalina odczuwa w pietyzmie Mnesterera nuty ironii. Zwłaszcza, gdy ten przypomina w zakończeniu, jak przyjaciel Aleksandra Wielkiego - Klitus, zasłyszawszy grzmoty, zwrócił się do króla z zapytaniem:

- Czyś to ty uczynił?

Słuchacze dworscy tają śmiech. Ale Cezar jest poruszony do łez. Przecież to jest pewnikiem; boć i on należy do gatunku bogów.

Jednak rozstrój żołądka zmusza „ziemskiego boga” do oddalenia się na dłuższą chwilę z łoża, gdyż Grecy-wyzwoleńcy w tym jedynym wypadku nie mogą jego „boskości” zastąpić.

W przerwie gra orkiestra, utworzona z inicjatywy Polibiusza, złożona z instrumentów dętych i piszczałek. Mesalina zaprasza Mnesterera do swojej łoża. Ukryci na jej tyłach w cieniu rozmawiają półgłosem:

- Jesteś czarujący, Mnesterze! - mówi cesarzowa.

- Jestem rad, że po raz drugi mam przyjemność podobania się cesarzowej.

- Po raz... drugi?

- Tak, Lizisko!

Jest wystraszona. Co za zuchwalstwo!

- Nie rozumiem.

- Ale ja... teraz rozumiem. Nie lękaj się cesarzowo. Obiecałem ci wszakże przyjaźń.

Potrafię być dyskretny.- Co to znaczy? - mówi, przemagając z trudem dreszcz lęku.

- To znaczy - mówi pewny siebie aktor - że dziś w kancelarii cesarskiej podczas rozmowy z Narcyzem przypadkiem potrąciłem o pewien temat: „Lizyskę z Miletu”, jako o cud natury, który Wenerze dał rysy Diany. Narcyz rzekł mi: „Trzeba było ją sprzątnąć”. I pokazał mi raport policyjny, w którym donoszono mu, przed datą mego wyjazdu z Miletu, o zakłuciu Liziski w ustronnej uliczce i pochowaniu tajnym trupa w piwnicy domku strażniczego.

- Mroczy ci się w oczach, szaleńcze! Uległeś jakiemuś błędowi.

- Nie! Mam oczy wyborne... Widzę na pięknym nagim ramieniu Mesaliny w tej chwili czarujące znamię, ciemne wśród bieli, którego nie miała Liziska. Czułem to ramię wokół szyi, gdy mnie kusiła próżno. A cuda natury nie sięgają aż do sobowtórów znamion.

- Gdybyś nie miał głowy tak pięknej i mądrej, mógłbyś ją stracić.

- Liczyłem na to, że mam taką głowę.

- Po cóż mi to powiedziałaś?

- Bo pochlebia mi wspólność tajemnic z Mesaliną. Chcę mieć w cesarzowej najlepszą przyjaciółkę.

Zachwył, który miała dla aktora, urastał w pociąg do człowieka. Budził się szal, który tchnął na nią od pięknego Greka w lupanarze.

- A gdyby cesarzowa pragnęła nadto zostać twoją... miłośnicą? - spytała figlarnie.

Zmieszał się... wybełkotał:

- To nie-mo-żli-we, boska Augusto.

- Możliwe! - odparła, tracąc oddech i podając mu rękę do pocałunku. - Możliwe nawet jutro...

- Cesarzowo! Zwolnij mnie...

- Czy mądry Mnester głupieje? Nie ma odwagi, gdy cesarzowa daje mu do niej prawo? Otóż... stanie się to jutro... pojutrze... lub kiedy zechcę.

- Nie, cesarzowo! Prosiłem tylko o przyjaźń...

- A ja chcę twej miłości. Rozumiesz? Ani słowa więcej!

W loży zjawił się Cezar. Mnester powstał.

- Klaudiuszu! Chcę cię prosić, abys mi oddał do dyspozycji Mnestera. Pragnę pobierać odeń lekcje dykcji - rzuciła niedbale cesarzowa.

- Mnesterze! Mianuję cię nauczycielem cesarzowej.

- I każ mu uczynić wszystko, czego tylko zażądam.- Każę!

- Słyszałeś, Mnesterze? Możesz odejść i czekać mego wezwania.

Skłonił się w milczeniu.

Śpiewał tego wieczora pieśni Anakreonta i Safony. Widowisko zakończył chór, który przedstawiał gromadę Trojan, udających się po pogromie swojej stolicy do Italii celem założenia Rzymu. Mnester w roli Eneasza, jako przewodnik grupy wygnańców, śpiewał w tym chórze solo, sławiąc swoją legendarną matkę Wenerę i brata Erosa. Chór otoczył aktora, przystroił w wieńce, wielbił słowami hymnu:

Ty, któryś Rzym założył, jesteś synem bogini Wenery...

Sama Wenus króluje Rzymowi, miastu na siedmiu pagórkach!

Mesalina widziała w kształtnym, niemal nagim półbogiu na scenie - bożka Erosa...

I w myśli swojej nazywała siebie panującą odtąd Rzymowi Wenerą!

Rozdział XLVII

Przyjaźń

Pióro współczesnego pisarza nie może śledzić perypetii tej „ogromnie wesołej a

dlatego ogromnie smutnej historii” - wzorem otwartości pisarzy klasycznych.

Przypomnijmy jeno, że po ukończeniu występów na dworze - gdy Cezar znużył się nimi i jął kompromitująco chrapać w czasie widowiska - Mnester zniknął naraz z widowni stolicy. Tłum w teatrze domagał się jego powrotu na scenę. Gwizdał, tupał, wrzeszczał:

„Precz z innymi! Dajcie nam Laureolusa!”. Mówiono, że wielki aktor ukrywa się na dworze.

Zakłopotana dyrekcja wysłała gońców do Klaudiusza, błagając, aby rozkazał aktorowi powrócić do teatru. Cezar był zdziwiony: zapewnił wysłańców, że Mnester wyszedł z pałacu.

Policja przetrząsnęła Rzym. Podejrzewano nieszczęśliwy wypadek, może mord w celach grabieży. Mnestera nie znaleziono. Kiedy powrócił, po prostu wytłumaczył się żartem:-

Byłem z wizytą w niebie na zaproszenie Wenery. Jest kubek w kubek podobna do naszych ziemianek. Odrzuciłem jej natrętne zaloty, podobnie jak zaloty Rzymianek.

Kobiety tłoczyły się u drzwi jego garderoby.

- Wymieć te baby! - rzekł do służącego. - Czy one nigdy nie rozumieją, że jestem wrogiem kobiet?. Mnester jest wolny od słabości męskiej, która traci na słuchanie głupstw niewieścich czas i niszczy rozum w kajdanach niewoli miłosnej ich ramion...

Odchodziły niepocieszone, stokroć bardziej rozkochane w tym niepo-jęcie odpornym czarodzieju.

W rzeczywistości aktor przez trzy dni więziony był z pomocą Ei w sypialni Mesaliny.

Podejmowany był przez cesarzową po królewsku w najbardziej uroczym z więzień. A jednak żadne błagania miłosne jego strażniczki nie mogły go skłonić do posłuszeństwa jej zachciance, jakkolwiek, popadając już w gniew straszliwy, powoływała się na rozkaz samego Klaudiusza, nakazujący mu powolność wobec jej życzeń. Wreszcie, gdy po próżnych groźbach uderzyła w płacz, iż ją odtrąca, wyznał jej na kolanach, że jest... pomyłką natury - czuje się kobietą i serce jego ulega tylko podszeptom młodzieży męskiej, która piękność

kształtów łączący z bohaterstwem i mądrością, jak Alcybiades, rozkochany w Sokratesie.

Słuchała go z przerażeniem i... wstrętem. Wszelako z wolna poczynąła rozumieć jego tragedię. Przechodził męki od lat młodych, czując się wyrodkiem wśród ludzkości i narażając się na pośmiewisko mężczyzn i oburzenie kobiet. Uciekł od świata, krył się, modlił się długo do bogów, aby odmienili jego naturę, zniechęcił wreszcie Olimp za wyrządzony mu złośliwy figiel - przeklął wiarę, przekonawszy się o niechęci, lub niemocy bogów, skoro nie naprawili tego błędu czy żartu. Znalazł wreszcie pociechę odkrywając poezje Anakreonta i odczytawszy stronice Uczty Platona. To było rozgrzeszenie przez ludzi - poetów i filozofów. Ale nastały nowe czasy: - surowe kary zagroziły podobnym jemu „grzesznikom przeciw naturze”... acz grzeszył on z woli tejże przy jego stworzeniu obłąkanej natury. Poddał się w końcu swemu błędowi, odszukując podobnych nieszczęśników. Wielka ambicja, każąca mu dowieść, że może być czymś więcej, niżli zgrozą ludzkości i pośmiewiskiem społeczeństwa, kazała mu pracować nad sobą. Na tej drodze wyrobił się na wielkiego aktora. Oto jego „tajemnica, do wyjawienia której zniewala go błąd łaski cesarzowej!” Mesalina, wysłuchawszy tej opowieści, wybuchnęła śmiechem. Śmiała się z siebie. Przecież wstręt zastąpiła litość. Zrozumiała, że Mnester nie miał woli obrażenia jej. Nie było więc powodu do gniewu. Zwolniła go ze słowami:

- Zostajemy przyjaciółmi.

Odchodząc, rzekł jej:

- Oto dowód mojej przyjaźni. Uczyniłem ci wielką przysługę już owej pamiętnej nocy, cesarzowo. Nad rankiem, powracając w wesołej kompanii, znaleźliśmy obłąkanego wyrostka semickiego, który wrzeszczał: „Widziałem Putyfarę-Mesalinę w domu publicznym! Świat się kończy w kale grzechu!”... Ten szaleniec mógł tę wieść rozpuścić po całym Rzymie, a stolica chętnie wierzy plotkom! - uśmiechnął się.

- Coś uczynił? - spytała.

- Przede wszystkim wyjaśniłem przyjaciółom, że szaleniec zapewne uległ złudzeniu, pomieszawszy Mesalinę z Liziską.

- Ale teraz, gdy wiadomo, że Liziska umarła?

- O tym wiedzą nieliczni.. Któż zestawia daty? Ale w każdym razie zgłuszyłem szept, odwiózłszy obłąkańca do domu Azjatyka, który lubuje się w tych szaleńcach wschodu.

Przyjął go do usług. Oczywiście wyjaśniłem Azjatykowi, skąd pochodził błąd szaleńca i zakazał on chłopcu powtarzania podobnych bredni pod grozą wypędzenia go z domu. Wątpię, czy ten szaleniec uląkłby się edylów, ale pono przywiązał się do swego nowego pana i zamilkł. Zatem nie ma niebezpieczeństwa. Co do mnie, szanuję twoją tajemnicę, cesarzowo.

- A ja twoją, nieszczęśliwy przyjacielu.

Mnester wrócił do teatru.

Pomimo zawarcia przyjaźni cesarzowa nie chciała go nadal przyjmować! Brzydziła się nim jako „potworkiem”.

## Rozdział XLVIII

### „Kursy moralności”

Wszelako wypadek powyższy pociągnął za sobą pewne konsekwencje. Mnester rozegł krew Mesaliny - tchnął w nią ponowny szal zmysłów. Nie czuła teraz żadnych wędzideł moralnych. Pamięć silnych objęć męskich Krotona, delikatnej pieśczoży Petroniusza, szaleństw nocy zmysłów, w połączeniu z fizycznym wstrętem do Klaudiusza, z naukami cynicznie mądrego lekarza Walensa, świadomość swojej wysokiej pozycji oraz rozpusty podwładnego jej Rzymu, przykład zaraźliwy jednako zepsutych nizin i wyżyn - wszystko to pchało ją na drogę, na której: „chcę!” stawało się dla niej wystarczającą przyczyną postępowania. Aktor ją rozmarzył i zawiódł... należało szukać rekompensaty za

doznany zawód w stosunkach z innymi. Nie z Krotonem, który wyjechał z Rzymu, nie doczekawszy się cyrkowych widowisk, ani z Petroniuszem, przebywającym na wsi pod surową kontrolą ojcowską... Obaj byli zresztą tylko przygodnymi przedstawicielami owej męskości, której przeczył zużyty Klaudiusz - którą kusila ją teoria Wettinusa o zmienności gatunkowej samców. Oczywiście, nie zamierzała spuścić się znów do nizin: we wspomnieniu mierzył ją czad cuchnących lampek; groziło by jej tam niebezpieczeństwo poznania, zwłaszcza obecnie, gdy żywa cesarzowa nie mogła już podszyć się pod miano uprzątniętej Liziski. Nie!... Tu w pałacu, gdzie Kaligula urządził dom publiczny - Mesalina dokaże sztuki podobnej: znajdzie to, czego szuka - zapomnienie w rozkoszy i wcieli prawo miłości, nakazanej przez bogów - przez Wenerę i Amora!

Następuje ów dwa do trzech lat trwający okres szarów, najprzykrzej-szy dla biografów Mesaliny, bo najbardziej utopiony w hołdowaniu brutalnej namiętności, najmniej ujawniający czynność jej umysłu i serca; w gruncie rzeczy najciemniejszy dla historyków. A jeżeli odzywało się w tym okresie serce, to raczej litością dla nieszczęść innych, uwikłanych w nieubłaganej sieci Erosa, niżli w przeżyciach osobistych. Może też zawiniła wówczas nie tylko pobłażliwa wyrozumiałość dla cudzych grzechów, lecz - co gorsza - stwarzanie atmosfery, mnożącej pokusy... Ten okres zdaje się być wypełniony całkowicie fałszem, perfidią, zdradą, zarazą rozpusty - posuwa się brzegiem przepaści, z której wyrastają nawet zmory zbrodni. Tu Mesalina nie daje się żadną miarą oczyścić z win, ze współodpowiedzialności za ohydę swego czasu, choćby nawet nie ulegało wątpliwości, że jej oszczerczynią wobec historii i w znacznej mierze potwarczynią jej sławy była stokroć gorsza od niej Agrypina. Bo i ta rejestrowała cichaczem jej grzechy, chwytając w lot już wtedy każdą złośliwą plotkę. A ileż zmyślać musiała wtedy, gdy zajęła jej miejsce na tronie i wypierała ją z serca Klaudiusza, gdy - jak się okazało - wydarła ją z przebaczącej pamięci potomnych

przed trybunałem wszystko rozumiejącej Muzy historii na dwa tysiąclecia! Wyobraźnia, oparta na skąpych danych, potrafi odtworzyć nam za ledwie w przekroju ten ciemny okres dziejów Mesaliny.

Pewnego dnia cesarzowa wzywa celem porady Walensa. Lekarz zjawia się. Przygląda jej się figlarnie i naraz dotyka ręką jej prężnej, białej piersi. Mesalina słupieje.

- Co to znaczy?!

- Przebacz, cesarzowo, musiałem zdjąć pyłek.

- Nie było pyłka!

- Wiem o tym... Ale przypomniały mi się słowa Owidiusza. Cesarzowa niewątpliwie pamięta ten epigramat:

Gdy na pierś białą pyłek upadnie  
Zdejmij go zaraz palcami chciwie;  
A jeśli żaden pyłek nie padnie  
To i ten... żaden zdejmij skwapliwie!

Musiała się śmiać.

- A teraz przebacz, cesarzowo! Wiem, że jestem za stary, w sam raz dla twojej Ei..

Potrzebni ci są młodzi!

- O to właśnie chodzi.

I niezadługo, za nową poradą Wettinusa, po części zaś w myśl natchnień Mnesterera, Cezar małżonce, potrzebującej - według zaleceń lekarskich - zajęcia, użyczył nowej godności: „Cenzorki obyczajów, a zwłaszcza przewodniczki cnót małżeńskich”. Tytuł ten wiązał się z urzędowaniem na skrzydle pałacu, należącym do cesarzowej, w późnych godzinach wieczornych wykładów „o prawie małżeńskim, o dawnych cnotach Rzymianek, o potrzebie reform naprawczych w dziedzinie ogniska domowego”. Odczyty owe wygłaszał głównie doktor Wettinus, przy tej sposobności czyniący wycieczki w sfery etnografii, fizjologii, higieny małżeństwa - nieraz interesujące bogactwem wiedzy, sądem krytycznym, okrasą dowcipu.



Poza nim próbowali swoich sił lektorskich młodzi lekarze i prawnicy, których cnoty i talenty uprzednio egzaminowała sama cesarzowa na osobności.

Nieco później z wykładami połączono koncerty, które my dziś nazwalibyśmy mistycznymi, gdyż odbywały się w półciemni i ciszy głębokiej; niewidzialna orkiestra grała pod podium, lub ponad sufitem, nie mogąc zarazem widzieć zebranych.

Z początku arystokracja rzymska zachnęła się na wymysł nowomodny. Przeraziła ją myśl, iż będzie zapędzana, niby stado baranów, na

18 - Mesalinapouczenia o cnocie, co ubliżało zwłaszcza powadze ludzi starszych.

Niebawem jednak poczęto dobijać się, niby o zaszczyt najwyższy, o przywilej bywania na tak zwanych „dekadach”: koncertach w związku z odczytami. Odbywały się bowiem co dziesiąty dzień w zgodzie z podziałem rzymskiego trzydziestodniowego miesiąca na trzy części.

Wszelako dostęp zyskiwali tylko znamienitsi, a wybrani przez „przewodniczkę cnót”, Mesalinę oraz jej doradcę, Wettinusa. W przerwach między dekadami cesarzowa badała kandydatów i kandydatki na przyszłych mistrzów moralności. Zapowiedziano bowiem utworzenie organizacji, mającej z czasem objąć wszystkie wielkie miasta cesarstwa.

Wybrańcami byli utalentowani a dorodni mężczyźni i piękne a wymowne kobiety - jako zarodek organizacji, która już otrzymała miano „Ligi cnót małżeńskich”. Nie dopuszczano dziewic, jako z wieku nieuświadomionych. Natomiast młodzież kawalerska przygotowywała się tu do przyszłych zadań rodzinnych. Co do żonatych, to ci posiadali inne urzędowe zajęcia i uchodzili za zbyt ciężkich do roboty agitacyjnej. Uważano za wielki zaszczyt otrzymanie tytułu honorowego członka takiej Ligi. Przypadał on zazwyczaj wyższym urzędnikom i zobowiązywał wybranych do udzielenia komisji dam wiadomości o „myślach Cesarza”, nadających się do opracowań prawodawczych. Z drugiej strony - honorowi członkowie zgłaszali cesarzowi w imieniu „Stowarzyszenia cnotliwych” projekty ustaw, mających na celu

rozwój i reformę prawa małżeńskiego.

Rozumie się, wszystko to było lubo krzykiem pustym, lubo lśniącym pozorem.

Materiały prawodawcze gromadziły się w kancelariach, odkładane wciąż przez Klaudiusza do odczytania w chwili wolnej, która nigdy nie nadchodziła. Przecież „odgadywał” rzutem oka zgłaszane opinie dzięki niezwyklej intuicji - a w każdym razie wydawał edykty

Omoralności, odpowiadające rosnącemu na starość własnemu pedantyzmowi oraz

obłudzie doradców z kliki dworskiej. Nade wszystko przecież rad był, że jego Diana - jak mówił o niej - „najwzorowsza z wzorów małżonek”, lub „symbol cnoty na tronie” znalazła zajęcie pożyteczne

I miłe, trafiające jej do przekonania.

Ona sam na tych posiedzeniach nie bywał, trapiiony przypadłościami nerwowymi,

które utrudniały mu długi pobyt w towarzystwie. Zresztą nie lubił muzyki, uznając tylko huczne marsze; sentymentalna drażniła go, jak pisk kotów. Wolał tedy powrócić znowu do

opracowywania swoich „wywczasów historycznych” z pomocą doradcy literackiego,

Polibiusza. Albo segregował po całych dniach pamiątki z grobowców etruskich i materiały do

dziejów tego prastarego plemienia. A w tej robocie pomagał mu kustosz bibliotek i muzeów

pałacowych - istotny znawca i miłośnik archeologii, Witeliusz, który tym sposobem wdzierał

się w łaski Klaudiusza, usuwając na plan wtóry wieloletniego sekretarza cesarskiego,

Narcyza.

Ponadto ostatni oraz mistrz finansów, Pallas, złożyli w tym czasie Cezarowi projekt

olbrzymiego dzieła technicznego, sporządzony przez grupę inżynierów z Grecji i Fenicji -

poparty przez wielkich finansistów żydowskich Syrii i Egiptu. Plan ów został wcielony w

ciągu następnych sześciu lat panowania Klaudiusza i stanowił po długie wieki potomne

chlubną pamiątkę jego panowania.

Chodziło o cud techniki - wielki kanał, Aqua Claudia, który legł poprzez pola Kampanii na przestrzeni 67.000 metrów od Sublaqueum aż do Rzymu; otrzymywał on z obfitych źródeł górskich wody sztucznymi drogami, prowadzącymi z wyżyn przeszło trzydziestometrowych setkami zakrętów - i wdzierał się aż do stolicy na podnóża Palatynu, żywiąc wodotryski pałacu cesarskiego, liczne stawy i fontanny na placach stołecznych. To dzieło nieznanego z nazwiska a genialnych inżynierów otrzymało na zawsze imię „Wód Klaudiariskich”, jakkolwiek Cezar tylko asystował na posiedzeniach i popadał na nich stale w drzemkę, znużony gmatwaniną olbrzymich cyfr. O ile zbudził się przed czasem, zgłaszał swoje uwagi, które zapisywano z poszanowaniem, acz nikt nie myślał rad jego słuchać, jako że były zgoła zbędne.

Z powyższych względów - gdyby nawet nie była trafna myśl Diona Kasjusza, iż „książęta najpóźniej dowiadują się o tym, co dzieje się u nich w domu” - to ten książę (princeps) był zajęty naraz aż tylu sprawami, że nie miał zaiste czasu sprawdzić, co w rzeczywistości czyni upoważniona przezeń do „kontroli obyczajów w Rzymie” jego dostojna małżonka.

Gdybyż mógł zgadnąć!... Jej zebrania były poniekąd drwiną okrutną z pedantyzmu edyktów cesarskich, z surowości prawodawców i sędziów czasu, ze szperania cenzorów moralności, donosicieli o tajemnicach życia prywatnego... Nadto jeszcze były one upustem dla skrępowanych przez prawo i obyczajowość pożądań umysłów.

Mesalina w rozmowach z młodymi mężatkami - nieraz też ze starszymi matronami, strzeżonymi czujnie przez zazdrość i surowość mężów (oni sami pozwalali sobie na wszelkie swobody poza domem, nierzadko i w domu z wybranymi, ładnymi niewolnicami!) - łącznie wywiadywała się o cierpieniach i tęsknotach tych kobiet. Własny jej los - zawód, który skrzywił jej życie -

uczynił ją niezmiernie czułą na udręki płci swojej. Współczuła żywo niewiastom, których serca zapaliła żagiew Erosa, a które pod kontrolą mężów i szpiegów domowych ze służby nie mogły folgować swym namiętnościom. Podobnież wrażliwa była na mękę młodzieńców, którzy usychali z tęsknoty za niedostępnymi okolicznościowo kochankami, skrępowanymi przez śluby małżeńskie.

Z tych dwóch gatunków - męczenników i męczennic miłości, przekłutych strzałami Amora - tworzyła ona za pomocą zaproszeń ową dobraną publiczność, którą wypadało wykładami „skierować na drogę cnoty”, a muzyką mistyczną „ukoić i podnieść do sfer ideału czystości i wstrzemięźliwości”.

Tak to brzmiało w głośnych etykietach.

W istocie zaś słuchaczki kursów cnoty, odprowadzane przez czujnych mężów do drzwi przybytku moralności i oczekiwane przez nich w godzinach wyjścia u podwoi pałacu - starały się zawsze siedzieć podczas seansów najbliższej swych wybrańców, których łaska cesarzowej zapraszała na ich prośby po właściwym wywiadzie. W pewnej chwili ruchome światła, krążące w sali na cytrusowym kole maszynierią, której klucz spoczywał w ręku cesarzowej - przyćmiewały się stopniowo coraz mocniej, zachodziły poza posągi, kryły się całkiem we wnękach murów za kolumnami - tajemnicza muzyka grała nadal - i nikt nie pytał o to, co się dzieje na sali. Nazywało się to „minutami łask Wenery” - trwały one dość długo - głos Mesaliny uprzedzał: „LuxT - po czym pary słuchaczy rozpryskiwały się znowu na odległość należyta.

Bywalcy tych zebrań, krzepiących duch w cnocie, posiadali tyle taktu, iżby nigdy nie mówić w świetle o przypadkach, mogących zachodzić w ciemności - kobiety uwielbiały litościwą cesarzową, młodzieńcy oddawali hołd należny zstępującej z obłoków Olimpu Wenerze - wszyscy zachowywali dyskrecję, gdyż zdrada tajemnic byłaby pozbawieniem

siebie dobrodziejstw Erosa, nadto zaś pociągnać mogła wielorakie niebezpieczeństwa w epoce procesów o niewierność, grożących wygnaniem, a nawet śmiercią w wypadkach zhańbienia niewiasty wysokiego rodu, wobec kaprysów współczesnej procedury i „moralnego” Cesarza. Nadto można było narazić się na zemstę znieważonych małżonków. Z czasem lżejsi spośród tych ostatnich - ci zwłaszcza, którym sprzykrzyły się własne małżonki, a zasmakowały |# \*

obce - ci, którzy wydawali się skłonni do tolerowania wybryków małżonek za tolerancję wzajemną - znaleźli się na tych mistycznych zebraniach. W czasie seansów znajdowali przy boku swoim towarzyszek pożądane i domyślali się, że ich żony w pomroce miały w sąsiedztwie podobnie wybranych partnerów.

Urastało to do orgii - drażniących nerwy, upajających „aromatem subtelnej zgnilizny”, jak mówiono wówczas, a niezwykłych, ponieważ wzór ten (o ile wiemy), znalazł naśladownictwo dopiero u schyłku XIX wieku na pewnych dworach książęcych w Europie i to na czas krótki. Były to istotne orgie - albowiem z czasem owa litość nad zakochanymi doprowadziła do wmieszania się przypadku, do całkiem przelotnych kaprysów erotyzmu.

Wszelako, dzięki jakiejś znowie, czy nakazowi ręki cesarzowej - nawet owe orgie zachowały formy wykwintu, wykluczały zazdrość, skandale i sprośne słowa, oraz zobowiązywały wszystkich jednako do dyskrecji. Bodaj że wiązała gości uprzednio w cztery oczy Mesalina przysięgą na mściwą Wenus. Groziła pomstą temu, kto zdradziłby tajemnice tych zebrań, lub po prostu poza szeptem kwadransów ciemni napomykał o rzeczach, których poruszanie w rozmowie narażałoby dobroczynną cesarzową i wszystkich obecnych! Ludzie, którzy się tu znaleźli, stawali się sobie nader bliscy; spotykając się gdzie indziej, zachowywali się wobec siebie jak nieznajomi, lubo biesiadnicy wytworni, nie pamiętający o sprawach, które nie wymagają słów...

Kto bywał w owych chwilach zapomnienia wybrańcem samej Mesaliny, to wiadome było wybranemu.

Jedynie dzięki ścisłej dyskrecji i wytwornym pozorom, pomysł Kaliguli, przetworzony przez Mesalinę, nie wydał się przed niewtajemniczonymi na dworze, oraz nie doszedł w czasie realizacji do uszu Cezara, który nie opodal na drugim skrzydle pałacu, chrapał, gdy owe koncerty mistyczne i odczyty pouczające dla miłośników cnoty przeciągały się późno w noc...

Zresztą wierna Ea, która zapatrzyła się w Walensa, jak w słońce, i była posłuszna jego lekarskim wskazówkom, podobnie jak każdemu skinieniu swej pani - zorganizowała czujną opiekę nad bezpieczeństwem owych zebrań i nad tajemnicą obrzędów tego przybytku nowej Wenery. W korytarzach pałacu, pomiędzy salą zebrań i sypialnią Klaudiusza, częstokroć tuż przy samych drzwiach sypialni, jakby przypadkiem rozkładały nocą swoje poślanie cztery dziewczątka-niewolnice, uwielbiające cesarzową, jak boginię nadto przekupione smakołykami - nie wiedzące wprawdzie dokładnie, o co chodzi, ale ślepo posłuszne rozkazowi Ei. Gdyby ktoś wśród nocy szedł od skrzydła cesarzowej i zapukał do sypialni Cezara, albo gdyby zdarzyło się tak, że Cezar przez kaprys wyszedłby z sypialni i zmierzał na skrzydło pałacu, gdzie przebywa z gośćmi cesarzowa - miały one polecenie gwizdem kosa, lub nagłym zapaleniem lampek, pod którymi spoczywały snem udanym, zawiadomić jedna drugą w kolei. Ten znak dochodził do Ei, bezsennej na straży sali zebrań, lub przy drzwiach sypialni cesarzowej, za którymi pozostawał nieraz późno w noc gość, wybrany losem szczęścia. A o ile wszczął się taki cichy alarm, na znak czujnej Ei światła wracały wnet na salę, skoro bawili na niej goście, albo też znikali oni wyjściami tajnymi, gdy godzina była zbyt późna; wreszcie sam wybrańiec cesarzowej znajdował dyskretne ukrycie w pokoju Egipcjanki, położonym na wyższym piętrze.

Jakkolwiek tedy nocą czujne straże obchodziły wnętrza pałacu, aby za wolą cesarza badać, czy nie ukrył się gdzieś spiskowiec, i natykały się ze zdumieniem na owe dziewczątka, zagradzające ciałem swoim wąskie przejście; zawsze bezsenne, czasem porozumiewające się z końca w koniec korytarza szeptem, lub cichym chichotem - nikt nie mógł odgadnąć, że pod maską dziecinnej swawoli kryje się pieczęć ważnej tajemnicy.

Zresztą - skoro bezwzględny sekret tam, gdzie wtajemniczonych była garść spora, lub choćby osób kilka długo utrzymać się nie zdoła - zdarzyło się parokrotnie - iż ci, co zasłyszeli o tych zebraniach, a domyślali się rzeczy, ukrytych za nimi, lub niezadowoleni, którzy nie byli dopuszczeni do tajemnic przez wybredność cesarzowej, a zamieszkiwali pobliskie ubikacje pałacowe, może wreszcie tacy, którzy zostali wyrugowani z tych zebrań, lub wyszli z nich, doznawszy przesytu - słowem, różne osoby, pragnące bez narażenia siebie skierować uwagę Cezara na gniazdo „zła”, udawały się nocą do jego sypialni, aby mu donieść po prostu o jakichś podejrzanych szumach w pałacu. Liczyli owi ostrożni na to, że Klaudiusz, oderwawszy się od pracy literackiej, uprawianej po nocach, lub wyrwany doniesieniem ze snu - uda się w niepokoju do komnat cesarzowej i tam natrafi na sceny skandaliczne. Nie mieli odwagi oskarżać, chcieli przecie, aby Cezar otworzył oczy...

Wszystkie te zakusy - było ich kilka - nie powiodły się. Bezsenne dziewczątka spełniały obowiązek. Cezar zastawał zasłuchane w referat pracowite grono; podziwiał powagę wpływu swojej małżonki oraz pilność praktyk w cnocie jej słuchaczy i cofał się dobrotliwie do swoich komnat. Albo też znajdował Mesalinę, śpiącą na pozór snem twardym, i nie śmiał budzić jej z uwagi na zakaz lekarza, który zalecił cesarzowej odpoczynek po ciężkich pracach.

Nawiasem mówiąc, sam Walens, spełniwszy swoją rolę, nie bywał już, z uwagi na wiek swój, na owych zebraniach; wysypiał się na wygodnym pościeliu, rad z figła, którego

wypłatał Klaudiuszowi, obsypującego go złotem za tak świetnie udaną kurację małżonki cesarskiej. Często odwiedzała lekarza rankami Ea, z którą zbliżył się bardzo; pomagała mu ona układać złoto w rulony i kłopotowała się wysyłaniem określonych sum pod wskazane przezeń adresy. Starzec posiadał w wielu miejscach cesarstwa dawne miłośnice i nielegalne dzieci; dbał o jedne i drugie i darzył je niespodzianymi upominkami, które brał z ręki cesarzowej. Rozkoszą doktora Wettinusa były podziękowania od obdarowanych kochanek, którym - wbrew swemu cynizmowi - wdzięczny był za chwilę uciechy, a którym z poczucia obowiązku dopomagał utrzymywać owoce wzrosłe na gałązkach jego wielu przygodnych miłostek.

## Rozdział XLIX

### Juniusz Kapitoniusz

Pewnego ranka Ea wbrew obietnicy nie przyszła. Wieczorem zakomunikowała doktorowi, że zebrania u cesarzowej skończyły się, gdyż zawisło nad nimi niebezpieczeństwo, którego kusić nadal niepodobna.

Miała słuszność!... Rzeczy przybrały obrót fatalny:

Naczelnik gwardii, Juniusz Kapitoniusz postanowił odkryć Cezarowi, co się dzieje tuż pod jego bokiem

Działął w oburzeniu i rozpacz.

Na zebraniach cesarzowej bywała młodziutka jego żona, słodka Kipassis. Była to Greczynka z Efezu, lekkomyślna, rozwiązała, gadatliwa. Powróciwszy z jednego z takich zebrań, zasiadła do wieczerzy z mężem. Przez figiel spoił ją mocnym winem. Rubaszny żołnierz ją opowiadać młodej małżonce, że ją zawsze zdradzał i że będzie zdradzał, ile mu się podoba. Wówczas ona, śmiejąc się z kolei, opowiedziała mu, iż odpłacę mu się równą monetą. Mniemając, że żona tylko żartuje, upewnił ją, iż daje jej wolność zdrad wzajemnych.



Kipassis wzięła rzecz na serio. Sądziła, że jej Juniusz Kapitoniusz jest małżonkiem wyrozumiałym, że dojrzał do tajemniczych zebrań u Mesaliny. Zamierzała go polecić cesarzowej i zapytała czy pozwoli. Nie wierzył. Wciąż wydawało mu się, że żona plecie po pijanemu. Zadał pytanie żartem.

- A nie boicie się, że cesarz was złapie?

- Gdzież tam! Dziewczątka pilnują pod jego sypialnią. Straż nasza lepiej jest zorganizowana niż twoja.

Wówczas przypomniał owe dziewczyny, które wciąż wpadały pod nogi jego pretorianom przy obchodzie pałacu. Zrozumiał straszną prawdę. Powstał groźny:

- Dziwko! Ja ciebie nie zdradzałem... Łgałem, a ty mnie... Ach, ty suko!

Podniósł pięść... Jeszcze nie wiedział, czy ją uderzy, boć jakkolwiek szorstki a nie znający ceregieli z kobietami - żołdak, mający za sobą trzydzieści lat koszarowego życia - czuł on nabożeństwo do greckiego kwiatu, jakim była jego Kipassis.

Lecz ona miała serce chore. Ulękła się jego dzikich oczu - padła. Pochylił się - ujrzał trupa.

Juniusz Kapitoniusz przebył z umarłą w zamknięciu całą dobę. Wylewał łzy krwawe.

Błagał niesłyszając o przebaczenie, wzywał nieczułą, aby się przebudziła. Wreszcie zrozumiał, że łzy i krzyki nie pomogą. Poprzysiągł zemstę Mesalinie, którą winił o zohydzenie jego lilii, o jej śmierć. Pojął jednak, że musi działać ostrożnie.

Wieczorem udał się na wartę nocną do pałacu. Z jego rozkazu pretorianie porwali czworo dziewczątek o północy - zakneblowali - wynieśli. Upoważnił ich do zabawienia się z nimi do rana. W istocie bawili się!... Rankiem wody Tybru wyrzuciły smukłe cztery ciała na brzeg. To było powodem desperacji Mesaliny i lęku Ei.

Co do Juniusza Kapitoniusza, to ten, cofnąwszy strażę w dalsze pokoje - nie mając już

tamy z sygnalizujących dziewcząt - szedł zdecydowany na wszystko ku drzwiom sypialni

Cezara. Rzuci mu prawdę w twarz - wywlecze go - pociągnie do sali mistycznych zebrań -

niechaj Cezar ujrzy na własne oczy orgie! - niech przekona się i pomści jego ból i zgon

Kipassis!41 \*

Juniusz Kapitoniusz - mimo braku tam - nie dotarł jednak do drzwi Cezara.

Bo oto raptem otworzyły się drzwi sąsiednie. Stał w nich Narcyz.

Przypadek, czy nakaz losu, sprawił, że tego dnia nie powrócił do domu na noc.

Pozostał w swojej kancelarii, znajdującej się obok sypialni Cezara, jakkolwiek nie miał tu

wygód, potrzebnych do spoczynku; dokonywano w pałacu remontu - w sali sąsiadującej z

gabinetem Narcyza zakładano rury wodociągowe. Miała tu być poczekalnia - projektowano

urządzenie w niej wodotrysku; murowano w piwnicach fundamenty dla ocembrowania

kanału. Narcyz sam czynił obliczenia techniczne i kierował tymi robotami. Może tedy spóźnił

się tego dnia z wyjściem, zatopiwszy się w owych rachunkach i planach rysunkowych.

- Dokąd to, Kapitoniuszu? - spytał, stojąc na progu.

- Do Cezara... Zedrę maskę z nierządniccy cesarzowej.

. - Wejdz na chwilę do mnie... Opowiedz... Pójdę z tobą do Cezara.

Juniusz Kapitoniusz wszedł.

U Cezara nie był tej nocy.

Poszukiwały go strażę nocą w pałacu. Nie znalazły. Dopytywał się o niego Cezar nad

ranem; Narcyz kłął, grzmiał, nakazując przeszukać wszystkie zakątki zamku, albowiem od

wszystkich wrót warty doniosły, że Juniusz Kapitoniusz nie wychodził z pewnością.

Wszystko nie zdało się na nic.

Juniusza Kapitoniusza nikt nigdy więcej nie oglądał. Potem rozeszła się wieść o

zgonie Kipassis. Sądono, że mąż z rozpaczyny zadał sobie śmierć samobójczą.

Ale jak? Gdzie?

Kroniki rzymskie zapisały: „nikt o tym nie dowiedział się nigdy. Ale w wiele lat później podejrzewano o mord Mesalinę”.

W późniejszych pamiętnikach niewiadomego autora, żyjącego za czasów Hadriana, znajduje się następująca notatka:

„W piwnicach domu Augusta podczas robót ziemnych znaleziono zamulony szkielet ludzki, nakryty zbroją. Naramienniki na kościach z blachy, na której zachowała się pozłota, zdają się świadczyć, że są to szczątki naczelnika gwardii pretoriańskiej, przypadłego w czasach Klaudiusza bez wieści w samym pałacu, co tyle zdziwienia i plotek wywołało”.

Rozdział L

Ziemska Wenus

Zebrania ustały. Mesalinę ogarnął lęk, podobnie jak jej gości. Cezarowa oświadczyła Klaudiuszowi, że prace, które dla wykształcenia cenzorów i cenzorek moralności wśród samej społeczności podjęła poza magistraturą płatną - zostały pomyślnie ukończone. Obecnie szereg obywateli i obywaterek szerzy przykładem swoim cnotę i czuwa nad dochowywaniem wiary małżeńskiej stosownymi upomnieniami.

Klaudiusz był zachwycony czarami, które sprawiła jego małżonka. Nadmienimy, że w owym okresie nieomal zakochał się w niej powtórnie. Jakkolwiek był zajęty tyłu pracami naukowymi, prawnymi i budowlanymi - nie uszło jego oczu, że cesarzowa, zawsze piękna, stała się jeszcze piękniejsza - i to na inny sposób.

Bładej Dianie przybyły rumieńce. Ogarnęło ją jakieś wesele. Jej kształty stały się bujniejsze, zaokrągliła się pierś, ruchy nabrały pewności; co prawda - był czas po temu; nie była przecież szesnastoletnim dziewczęciem, jak w dniu ślubu, przekroczyła dawno dwudziestkę. Klaudiusz odnalazł w niej nowy czar.

- Doktorze! - mówił do Walensa. - Uzdrowiłeś nie tylko żonę moją, ale i mnie!

Przepędzę mojego lekarza Teofanesa. To osioł!

W istocie urok, który płynął od zmienionej Mesaliny, przywracał i Klaudiuszowi odmłodzenie prostszymi drogami, niż te, którymi leczył go stary lekarz nadworny. Nie posiadał się ze szczęścia, gdyż Mesalina - w czas grozy, jaką powiało na nią od śmierci dziewczątek - lękając się jakichś odkryć, pozwoliła małżonkowi wyjątkowo na pieszczoty. Jej powściągliwość budziła w nim uwielbienie; łaski, udzielane skąpo, miały zatem podwójną cenę, zwłaszcza że uległość była świadectwem miłości, a skąpstwo w pieszczocie stanowiło dlań dowód dbałości żony o zachowanie jego zdrowia, którego sama zdawała się twórczynią. W istocie Klaudiusz w tym okresie powracał do zdrowia, nabierał ochoty do życia, do pracy; chwilami - to zdumiewało wszystkich, jak ongiś zdziwiło Cezara Augusta - stawał się bystrzejszy, mówił na posiedzeniach publicznych wcale do rzeczy, odzyskiwał pamięć i nie dawał się powodować pierwszym lepszym wpływom. Oczywiście były to tylko błyski inteligencji - lucida intervalla w tym mózgu zwyrodniałym. Owe nawroty umysłowego zdrowia, bodaj dowody, że na świat przyszedł nie pozbawiony zdolności, a nawet uczciwe wysiłki tej pilności niewątpliwej, jaką ujawnił w pracy, wreszcie szlachetne próby rządów sprawiedliwych i dobroczynnych - wszystko to razem nie przyniosło żadnych owoców.

Rządowa maszyna Rzymu była beznadziejnie zepsuta; społeczeństwo gniło...

W tym właśnie czasie trąd przekupstwa, łapownictwa, szacherek prawami obywatelskimi i urzędami, oddawanymi cudzoziemcom za gruby pieniądź, konfliktów majątku, łącznych z usuwaniem ludzi, którzy jeno tym zawinili, iż byli nazbyt bogaci w czasie, kiedy kiesa państwowa stale potrzebowała nowych funduszków po rozkradzeniu zebranych wcześniej - ten trąd zadawniony wysypał szerszymi i ciemniejszymi plamami już nie bez udziału Mesaliny.

Władna klika wyzwoleńców, którym Rzym rdzenny nadawał miano wzgardliwe „Greczyneków” (Graeculi) - zresztą z wyjątkiem Narcyza, usuniętego w owej chwili przez wschodzącą gwiazdę faworyta Witeliusza - ta klika, wspomagana przez rdzenne siły, już będące z tamtymi w zмовie, nauczone już sztuki intrygi i pochlebstw na wzorach wyszłych z nizin niewoli parweniuszy helleńskich - ta przebiegła i chciwa klika odczuła, że Mesalina może być dla niej bezcennym narzędziem przy zdobywaniu łask Cezara, a wraz z tym i fortuny.

W owej gromadce łowców zdobyczy w mętnej wodzie, to wspomagających się wzajem w myśl tezy „ręka rękę myje”, to wzajem pod siebie przez zazdrość skryte czyniących podkopy - znaleźli się tacy, którzy bądź potrafili zyskać łaski chwilowe cesarzowej, bądź odrzuceni przez nią okazali się na tropie jej szarów. Tamci prawem choćby jednej nocy wspólnej, ci ostatni drogą szantażu - pogroźką zdradzenia tajemnicy, wyzyskiwali trwogi Mesaliny oraz rosnący z wiekiem i dojrzałością niewieścią jej wpływ na Cezara. Przez nią otrzymywali urzędy, tytuły, upoważnienia do grabieży - z jej pomocą ogłupiali do reszty władcę, już z natury ogłupionego, a skołatanego ciężarem zbyt zawiłych dla słabego umysłu spraw olbrzymiego państwa - nadto władcę zawsze potrzebującego pieniędzy na kosztowne budowle użyteczności publicznej, na wcielanie projektów fantastycznych, na niezliczone wydatki dworu, wśród których nie najmniejszą pozycję stworzyła chęć Klaudiusza przystrojenia małżonki w przepych bajeczny.

Nie szukając przeto władzy, ale kochając się w kosztownym pięknie, Mesalina teraz nabrała smaku do zbytku. Nie pytała o drogi, na jakich zdobywano łupy dla niej, nie rozumiała krzywd, z którymi łączyła się ta grabież poddanych na potrzeby dworu i dworaków. Zbywszy ciężaru swej nudy, szukając odpłaty za stracone lata wyrzeczeń, pragnąc zatracić się w zapomnieniu o bólach swoich - teraz stawała się tą lekkomyślną, wesołą, pełną pustoty

szalejącą Mesaliną, jaką malowały nam dzieje. Gdy obecnie przejeżdżała na zaprzężonym w osiem białych koni złotym rydwanie, z dreszczem rozkoszy słyszała bijący dokoła krzyk uwielbienia powszechnego: „Wenus! Wenus!”

W istocie dawna Diana, zagniewana w micie na podpatrującego ją w kąpielu Akteona, pierzchła bez śladu. Z mętnej piany życia rzymskiego wstała nowa Wenera. Zeszła z Olimpu... w błoto.

Tak dokonała się metamorfoza!

Teraz wstąpiła na nowy, zawiły, kwietny i ciernisty, słoneczny i burzliwy szlak, który - jak zobaczymy - przywiedzie ją do najtragiczniejszego w dziejach upadku z niedosiężnych wyżyn i do bezlitosnej śmierci.

Dalsze dzieje cesarzowej nierządniccy znajdzie czytelnik w drugim tomie powieści

Śmierć Mesaliny.

## SPIS TREŚCI

Księga pierwsza Rzym się bawi

Rozdział I Człowiek, który nie potrafi umierać...5

Rozdział II Myśli, rosnące w podziemiu...17

Rozdział III Laurowy wieniec z ręki cesarzowej...22

Rozdział IV Sieć, której uniknąć trudno...28

Rozdział V Droga krótka a długa.....40

Rozdział VI Tragifarsa przewrotu dziejowego...44

Rozdział VII Przypomnienie.....50

Księga druga Kontrast narodów Ducha i Materii

Rozdział VIII Świątynia Jerozolimka.....52

Rozdział IX Skargi Jerozolimy.....57

Rozdział X Rabi Menachem i inni.....63

Rozdział XI Policzek Minerwie.....73

Rozdział XII Nauka mędrca.....81

Rozdział XIII Dysputa o sprawach, które umrzeć nie mogą89

Rozdział XIV Wstrząs.....95

Księga trzecia Pomiędzy ustami a brzegiem pucharu

Rozdział XV Jego list.....102

Rozdział XVI Pod dachem rodzicielskim...113

Rozdział XVII Przygoda dziecka.....120

Scintill

Rozdział XVIII Piękny sąsiad

Rozdział XIX Ciotka Wibidia

Rozdział XX Tajemnice kuzynki

Rozdział XXI Na cmentarzu

Rozdział XXII Surowość Westy

Rozdział XXIII Przeszłość Szymona Maga

Rozdział XXIV Wróżba czarnoksiężnika

Rozdział XXV Poseł Kaliguli Rozdział

XXVI Seneka przeciw Senece Rozdział

XXVII Papirus.. Księga czwarta Zbrodnie Cezarów

Rozdział XXVIII Ea...

Rozdział XXIX Pajęczycza

Rozdział XXX Cień Owidiusza.

Rozdział XXXI „Los rzucony”

Rozdział XXXII Na Forum.

Rozdział XXXIII Jonatan.. Księga piąta Baranek i tygrys

Rozdział XXXIV Kroton.. Księga szósta Lupanar i filozofia

Rozdział XXXV W<sup>^</sup>drodze..

Rozdział XXXVI Rak...

XXXVIIEnotea..

XXXVIII Metamorfoza

XXXIX Petroniusz XL Liziska

XLI Szukanie Boga Księga siódma Metamorfozy

Rozdział XLII Jeszcze kartka z przeszłości

Rozdział XLIII Lekarz Wettinus Walens

Rozdział XLIV Rady lekarza

Rozdział XLV Aktor Mnester

Rozdział XLVI Podczas przedstawienia

Rozdział XLVII Przyjaźń.

Rozdział XLVIII „Kursy moralności”

Rozdział XLIX Juniusz Kapitoniusz

Rozdział L Ziemska Wenus.